

# Klątwa Penwyth

Coulter Catherine

Książka VI z Pieśń



calibre 0.9.43





Drogi Czytelniku! Mam nadzieję, że czytanie tej książki sprawi Ci  
tyle radości, ile mnie sprawiło jej pisanie.

*Catherine Coulter*

CATHERINE  
COULTER

 KŁĄTWA   
PENWYTH



Zamek Penwyth wciąż nie ma dziedzica.

Pozostał tu tylko stary lord z żoną i wnuczką

- rudowłosą i zielonooką Merryn.

Wielu śmiazków chciało zdobyć dziewczynę

wraz z zamkiem, jednak za sprawą starej

druidzkiej klątwy żaden z nowo poślubionych

małżonków Merryn nie doczekał nocy poślubnej.

Aż wreszcie pojawił się sir Bishop, urodziwy,

mężny i bystry, który nie zamierzał

dzielić losu poprzedników.

Czyżby naprawdę był czarownikiem,

jak obwieścił? Z pewnością nie jest zwyczajnym

rycerzem żadnym majątku i z jego przybyciem

związane są nadprzyrodzone zjawiska w okolicy,

a i on sam doświadcza niezwykłych doznań

- wizyt w innym czasie i innym świecie

lub dziwacznych snów, w których jest zupełnie

kimś innym. Jedno jest tylko takie samo

- pożądanie nie do opanowania, dla którego światy

i czas nie mają granic.

CATH

T ER

E IN

I E

COU

OL

UTE

TR

E

KLĄT

ĄWA

W

PE

P NWY

WT

YH

Rozdz

d ia

i ł ł

Czt

z er

e y

r l ata

t

a w

cz

c e ś ni

n ej.j..

Zam

a ek

k Pe

P n

e w

n yth

t

Korn

r w

n al

a ia,

a A

ng

n lia

a

14

**4 m**

**aja**

j

a 127

24

7



**4 ro**

**r ku**

k

Sir Arlan de Frome ściągnął wodze bojowego rumaka i uniósł dłoń w stalowej rękawicy, by zatrzymać jadących za nim trzydziestu dwóch zaprawionych w boju niezłomnych wojowników. Konie parskwały, drobiąc kopytami, kurz wirował w powietrzu. Sir Arlan wyczuwał wszechobecny zapach strachu. Dobrze go znał i lubił, zwłaszcza gdy był o krok od zdobycia celu.

De Frome widział przerażenie na twarzach mężczyzn okrążających szaniec zamku Penwyth - zwartej budowli, która już niedługo będzie należała do niego. Miasteczko Penwyth ukryte w cieniu zamkowych kamiennych murów szybko opustoszało, gdy tylko jego oddział pojawił się na horyzoncie. Nie zezwolił swoim ludziom grabić i palić.

W końcu za parę chwil zamek i miasteczko będą jego własnością. Mury warowne wydawały się równie mocne i solidne jak granitowe kornwalijskie klify, wznosiły się na wzgórzu, spoglądając w stronę morza ponad Land's End - ostatnią rubież oddzielającą Penwyth od najeźdźców nadciągających od morza. Zamek miał ogromne znaczenie strategiczne, lecz sir Arlan wiedział doskonale, że król Edward z radością uczyni go panem i dziedzicem, jeśli

tylko zdoła utrzymać zamek w garści.

Zamek Penwyth stanie się jego własnością, kiedy tylko go zdobędzie. Gdy tylko poślubi tę dziewczynę, jakżeż ona ma na imię... Jakoś dziwnie. Lady Merryn, tak jest! Dziwne imię, romantyczne i zapewne doskonale pasujące do strof tych łapserdaków bardów. Ślub z dziewczyną będzie jeszcze jednym powodem, dla którego król nie zawaha się przed ustanowieniem go panem na Penwyth. Nikt nie waży się mu go odebrać ani zakwestionować jego praw. Otrzyma tytuł lorda de Gaya z Penwyth, a czemuż by nie? Nazwisko, które odziedziczył po znenawidzonym ojcu, nie ma ni znaczenia, ni potęgi. Lecz Arlan de Gay... to brzmi wspaniale i niesie ze sobą świetną reputację co najmniej czterech generacji. I pasuje do niego. Sir Arlan uśmiechnął się do siebie. Stary lord nie może przecież żyć wiecznie, nieprawdaż? Pewnie nawet nie chciałby tu zostać i przyglądać się nowym rządóm.

Nie miał zamiaru mordować ani równać Penwyth z ziemią. Nie chciał zabijać zamkowych żołnierzy, służby ani kupców pracujących na co dzień w zamku. Straci tylko tylu, ilu będzie musiał, by reszta uznała go za nowego pana i władcę i była mu wdzięczna za pozostawienie przy życiu.

Ogarnął wzrokiem żyzne ziemie i falujące na wietrze  
zboża zapowiadające obfite plony. Uśmiechnął się.

W głębi serca miał nadzieję, że staruszek siedzący  
w fotelu pana zamku ukrywa gdzieś całe stosy złota.

Zapewne nie wszyscy rycerze z oddziału będą chcieli przy  
nim pozostać. Będzie zmuszony sownie wynagrodzić  
tych, którzy postanowią odejść, bądź zabić ich, by  
zapobiec grabieżom i niepotrzebnej przemocy.

Och, tak. W zamku pozostali tylko staruszek, staruszka  
i młódka. Słyszał, że ma dopiero czternaście lat.

Doskonały wiek do zamążpójścia. Wystarczająco dojrzała  
do małżeńskiego łoża i na tyle młoda, żeby po kilku  
solidnych klapsach nawet mc miała odwagi pomyśleć  
o jakichkolwiek sprzeciwach wobec pana małżonka.

Wspaniale.

Zerknął w górę i zobaczył długi rząd twarzy  
przyglądających mu się z wyżyn zamkowych blanków.

Słyszał wiele plotek o licznych zastępach żołnierzy  
kryjących się w Penwyth, ale nie miał zamiaru tego  
roztrząsać. Wkrótce sam się przekona.

Wysłał  
porucznika

Darrika,

by

przedstawił

mieszkańcom zamku warunki pokoju. Darrik ma

wspaniały głos - głęboki, donośny i ostry. Jego orędzie

będzie słychać aż na brzegu morza.

Arlan skinął głową.

- Lordzie Penwyth, żołnierze i wszyscy mieszkańcy

zamku - ryknął Darrik. - Penwyth wciąż pozostaje bez

dziedzica. Sir Arlan de Frome zgadza się poślubić lady

Merryn de Gay i objąć dziedzictwo, otaczając je opieką,

dbając o nie i chroniąc, dopóki lord Vellan de Gay

pozostanie przy życiu. Wtedy panem zamku i lordem

Penwyth zostanie sir Arlan. Jeśli otworzycie bramy

i pozwolicie nam wjechać w pokój, nikomu nie stanie się

krzywda.

- Dobra robota, Darrik - powiedział Arlan, uśmiechając

się promiennie, jakby nie słyszał dzikich wrzasków

i obelg padających z zamkowych murów. Żołnierze

zaczęli znikać z blanków. Zapewne w podskokach

pobiegli powiadomić pana zamku o najeźdźcy u bram.

Minęła chwila, dosłownie kilka minut, lecz Arlan nie

należał

do

cierpliwych.

Czując

narastające

podeksytowanie pana, ogier zaczął się niepokoić.

Arlan powiedział coś cicho do Darrika.

- Otwórzcie bramy albo wasza krew splami tę ziemię! -

wrzasnął Darrik.

Po chwili rozległ się głośny trzask grubych łańcuchów.

Nad szeroką fosę wypełnioną słoną, zamuloną wodą zaczął opadać zwodzony most. Wszystko szło zgodnie z planem. Tak jak sobie Arlan wymarzył. To zapewne znak z niebios.

Nigdy jeszcze nie zdobył żadnego zamku bez wysiłku.

Sir Arlan poprowadził swój oddział szerokim drewnianym mostem, zerkając na żelazną bronę, która w każdej chwili mogła jeszcze spaść, wbijając ostre szpikulce głęboko w ziemię lub w ciała najeźdźców.

Wjechali na pierwszy dziedziniec, wąski i otoczony grubymi murami, potem przez dwie potężne bramy dostali się w obręb miejskich murów. Na dziedzińcu zgromadziły się tłumy mieszkańców. Wszyscy stali nieruchomo, wpatrując się w sir Arlana i jego ludzi. Dzieci czepiały się ubrań rodziców, nawet zwierzęta zastygły z wzniesionymi do góry łbami, jakby wietrzyły niebezpieczeństwo.

Wszystko wydawałoby się zupełnie normalne, gdyby nie przejmująca cisza. Cóż, cisza nie jest zła. Zapewne

oznacza głęboki szacunek dla nowego pana.

Wewnętrzny dziedziniec był brukowany, więc końskie kopyta nie wzniosły tumanów kurzu. Arlan uśmiechnął się na widok lorda Vellana de Gaya stojącego u stóp kamiennych schodów. Jego wnuczka stała tuż za nim, kryjąc się za plecami dziadka, niemal niewidoczna, lecz de Frome dostrzegł, jak ciekawie zerknęła na mężczyznę, który z taką łatwością podbił zamek. Na swojego przyszłego męża. Doskonale.

Lord Vellan wpatrywał się bez mrugnięcia powiek w rosłego, zakutego w zbroję rycerza jadącego wprost ku niemu. Sir Arlan zatrzymał rumaka w ostatnim momencie, dosłownie o krok od starca.

- Mój panie, nazywam się sir Arlan de Frome i pochodzę z Keswick. Przybyłem, by chronić was przed maruderami i bandami rzeźmieszków, które zapewne będą chciały splądrować zamek i zabić twoich ludzi.

Zapadła chwila mrozącej krew w żyłach ciszy.

- Bez wątpienia same niebiosy zesłały cię do mnie, sir Arlanie - odezwał się wreszcie lord Vellan.

Arlan puścił mimo uszu jawną impertynencję. Lord Vellan jest starym człowiekiem, a starcy mają swoją dumę, nawet gdy nie pozostanie im już nic innego.

- Potrzebujesz dziedzica, mój panie - stwierdził Arlan -

a twoja wnuczka męża. Chętnie przyjmę obie te role.

- Mój syn zmarł zaledwie dwa tygodnie temu -

westchnął lord Vellan. - Musiałeś nieźle wyciągać nogi, skoro dotarłeś tu pierwszy.

- Owszem. Jestem wytrwały, gdy czegoś pragnę. Gdzie moja przyszła żona?

- Zanim przedstawię ci moją wnuczkę - powiedział lord Vellan - i zanim ogłosisz moim ludziom, że przybyłeś tu jako dziedzic, uważam, że uczciwie będzie, jeśli cię ostrzeżę.

Sir Arian roześmiał się w głos.

- Ostrzeżesz mnie? Przed czym?

Lord Vellan ściszył głos:

- Przez całe wieki okolicznych ziem i stojących na nich fortec strzegła starożytna klątwa druidzka. Celtyccy kapłani szanowali i kochali tę ziemię. W ciągu setek lat zamek Penwyth nigdy nie został zdobyty przez wroga.

Żadna z twierdz stojących w okolicy nie ukorzyła się i nie upadła pod ciosami człowieka. Owszem, czasami opustoszałe zamki popadały w ruinę i obracały się w pył, lecz nigdy żaden człowiek im nie sprostał. Tego miejsca strzeże druidzka klątwa.

- Celtowie? Druidzi? Te krwawe potwory poginęły setki lat temu, starcze. Nie boję się żadnych kapłanów ani

ich klątw. Wiesz tylko, że żadna z okolicznych twierdz nigdy nie została zdobyta. Nie masz jednak dowodu, iż stało się tak za sprawą klątwy. Uważam, że okłamujesz mnie, starcze, i zaczynam się na ciebie gniewać.

- Nie kłamię ani nie opowiadam ci bajek. Mówię o klątwie. Nie ma potężniejszych zaklęć niż druidzkie.

Sir Arlan usłyszał za plecami nerwowe poruszenia.

Któryś z rycerzy okazał się zabobonnym głupcem.

Odezwał się donośnym, podszytym groźbą głosem:

- Nigdy nie słyszałem o żadnej klątwie. Klątwa celtyckich druidów? To jakiś nonsens i dobrze o tym wiesz, mój panie. Nie wystraszy mnie pierwsza lepsza bajeczka.

- To prawda, że niewielu słyszało o klątwie - odparł lord Vellan. - Lecz to nie sprawia, że moc zaklęcia osłabnie lub że utraci ono swoją moc. Chciałbyś może ją usłyszeć? Przechowała się niezmiennie przez wieki wojen i chaosu.

Sir Arlan zeskoczył z konia, wręczając wodze jednemu ze swoich ludzi.

- Nie chcę słuchać żadnych bluźnierstw. Nie dbam o klątwy istniejące zapewne wyłącznie w twoim starym umyśle. Teraz wejdziemy do zamku, bym mógł nacieszyć oczy nowym dziedzictwem. Wezwij księdza, gdyż



zamierzam się ożenić, zanim zajdzie słońce. Gdzie jest dziewczyna?

Zza pleców lorda de Gaya wysunął się chudy dzieciak ubrany w spodnie i luźną wełnianą koszulę, z włosami ciasno splecionymi w grube warkocze. Stary lord chwycił dziewczynkę za ramię, jakby chciał ją powstrzymać, lecz ona strząsnęła dłoń dziadka i stanęła śmiało przed sir Arlanem.

- To ja jestem Merryn de Gay.

- Ja zaś będę twoim mężem, zanim zapadnie noc — odparł, w duchu napominając samego siebie, że przecież to jeszcze dziecko i z pewnością z wiekiem nabierze ogłady. Podszedł, by przyrzeć się jej z bliska.

Nie była ani trochę apetyczna. Jednak nie dość odstręczająca, by nie był w stanie umościć się między patykowatymi nogami i odebrać jej wianka, a tylko to się liczyło. Sir Arlan w najmniejszym stopniu nie dbał o ten załazek człowieka mieniący się jego przyszłą żoną.

Wątpił, by odziana w suknię stała się bardziej pociągająca, skoro nie ma piersi ani bioder. Jej szczupłe, dziecięce ciało nie obiecywało żadnych rozkoszy. Z drugiej strony, mógł się pocieszać myślą, że gorzej już nie będzie.

- O, tak - powiedział, gdy się jej dobrze przyjrzał. - Nim nadejdzie zmrok, będę twoim mężem. Możesz zwracać się

do mnie: „sir Arlanie” albo też „mój panie”.

- Nie zamierzam zwracać się do ciebie żadnym z tych imion. Jesteś zwykłym najeźdźcą. Gdybyśmy cię nie wpuścili, z radością zabiłbyś wszystkich. Przyjechałeś tylko po to, by odebrać mi to, co należało do mojego ojca, teraz zaś powinno należeć do mnie. Odejdź, zanim zabije cię klątwa. Druidzcy kapłani, którzy nałożyli ją na te ziemie, mieli ogromny dług wdzięczności wobec moich przodków.

Sir Arlan słyszał przyciszone rozmowy, które za jego plecami prowadzili rycerze.

- Nie obchodzą mnie te bzdury - warknął. - Nie ma żadnej klątwy, a gdyby nawet była, jest równie mocna jak drewniany mieczyk w rękach dziecka.

Pochyliła się ku niemu, zbliżając twarz do jego twarzy, i powiedziała cicho:

- To naprawdę bardzo prosta klątwa, sir Arlanie. Jeśli nie odejdziesz i nie zostawisz mnie w spokoju, umrzesz.

- Ach, i całe wieki temu druidzi przewidzieli moje nadejście, lady Merryn? Może zobaczyli również i ciebie w martwych oczach jednej ze swoich ofiar?

- Być może - spokojnie odpowiedziała Merryn.

Lord Vellan chwycił ją za rękę i brutalnie odepchnął na bok. Potrząsnął bujnymi, siwymi włosami i wspaniałą

brodą sięgającą aż do pasa.

- Słuchajcie wszyscy - krzyknął. - Sir Arlan może nie wierzyć w klątwę, jednak jest ona prawdziwa. Niedawno potwierdziły ją i odnowiły wiedźmy z Byrne, prawowite następczynie druidów. Ten kraj na wieki ma być wolny od gwałtu i przemocy. O, tak! Przez wieki Penwyth chroniła moc potężniejsza od kilku mężczyzn na koniach.

- Jakaż to klątwa? - zapytał jeden z rycerzy.

- Czy widzisz moją wnuczkę? - wykrzyknął lord Vellan. - Jej rude włosy? Jej zielone oczy? Jest ona żyjącym obrazem kapłanów mieszkających na tej ziemi wieki temu. Legenda głosi, że u bram starożytnej fortecy

Penwyth

pojawił

się

najeźdźca,

żądając

zamku

i okolicznych ziem. Druidzcy kapłani zgromadzili się na drewnianej palisadzie chroniącej ówczesny zamek i wypowiedzieli klątwę. Wróg zginął okropną śmiercią, sir Arlanie.

Rycerze zaczęli pokrzykiwać coraz głośniej.

- Jaką śmiercią? Co się stało?

- Wódz najeźdźców wpadł do szamba i utonął w nim na oczach swoich zastępów.

- Co za niedorzeczność, lordzie! Wpadł do szamba i nikt mu nie pomógł? Nie ma żadnej klątwy!

Lord Vellan uśmiechnął się spokojnie.

- Posłuchajcie!

*Zginie najeźdźca, co morzem przybędzie,*

*Kto lądem nadjedzie, ten w męczarni skona,*

*Scześnie niechybnie, kto klucza dobędzie,*

*Na wieki będzie ta ziemia strzeżona!*

- Jakiego klucza? O jakim kluczu mowa, starcze?

- Nie mam pojęcia. - Lord Vellan wzruszył ramionami.

- Powtarzam jedynie starożytną klątwę. Jeśli istniał jakiś klucz, dawno już o nim zapomniano. Jednak ty przybyłeś lądem, sir Arlanie, co oznacza, że zginiesz, jeśli nie odejdiesz w pokoju.

Zanim Arlan zdążył splunąć mu z pogardą w twarz, lord Vellan krzyknął do jego rycerzy:

- Nie wiem, jaką śmiercią zginie wasz wódz, gdyż do tej pory nikt nie próbował zdobyć Penwyth. Wiem tylko, że sir Arlan umrze, jeśli natychmiast was stąd nie zabierze i nie odprowadzi tam, skąd przyszliście. Czy reszta z was również zginie, tego nie potrafię powiedzieć.

Sir Arlan nie splunął. Wiedział już, że jego ludzie są

przerażeni, sam także zaczął czuć strach, więc by go odegnąć, odrzucił głowę i roześmiał się głośno.

- I to wszystko, starcze? To już cała klątwa? Nie słyszałem w niej ani słowa na temat twojej bezcennej wnuczki!

- Oto dalsza część klątwy - krzyknął Vellan.

- Popatrzcie tylko na moją wnuczkę, a zrozumiecie, że jest prawdziwa:

*Oczy panny zielone jak blask pożądania,*

*Włosy panny czerwone jak źródło płomienia,*

*Serce panny jest czyste i klamać się wzbrania,*

*Ten, który ją zniewoli, zginie bez wątpienia.*

Zapadła całkowita cisza. Lord Vellan spostrzegł, że rycerze sir Arlana są przerażeni. Wspaniale.

- Klątwa jest prosta i jednoznaczna - powiedział do najeźdźcy. - Obie jej części są jasne jak słońce, sir Arlanie. Czego ci jeszcze trzeba?

- Klątwy muszą być proste - mruknęła Merryn - żeby mężczyźni mogli je zrozumieć.

Sir Arlan uniósł dłoń w żelaznej rękawicy i zacisnął pięść, by jednym ciosem zmiażdżyć twarz bezczelnego podlotka. Nie! Musi zachować spokój. Opuścił rękę.

Wciąż przecież miał pełną władzę nad sytuacją. Był silny, miał broń oraz wiernych, lojalnych ludzi.

- Rozumiem - wycedził. - Zatem chcesz mi powiedzieć, że jesteś wiedźmą, lady Merryn? Wierzysz, że ta klątwa została wymyślona specjalnie dla ciebie? Czy może dla wszystkich rudowłosych, zielonookich wiedźm żyjących tu od wieków?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, spoglądając na niego, jakby był błotem na jej butach.

- Od zarania dziejów w każdym pokoleniu w naszym rodzie była zielonooka i rudowłosa dziewczyna.

- Bzdura - prychnął. - Skąd miałabyś o tym wiedzieć?

- To prawda, że nie ma żadnych świadectw na ten temat

- wtrącił się lord Vellan. - Klątwę przekazywano sobie ustnie, dopóki wreszcie nie zapisał jej mój dziad, by z czasem nie przepadła. Gdyby o niej zapomniano, przybyłbyś tu, zdobył Penwyth i zginął bez ostrzeżenia.

Sir Arian znów się roześmiał. Stał na stopniu obok lorda Vellana. Starzec był równy mu wzrostem, co zupełnie zbiło rycerza z tropu. Lord Vellan, choć był wiekowy, ramiona miał krzepkie. Szczupły, wręcz chuderlawy, z daleka wydawał się niski i nie powinien sięgać ponad ramię sir Arlana, a jednak okazało się, że może mu spojrzeć twarzą w twarz.

- Jestem twoim dziedzicem, lordzie Vellan - powiedział Arlan. - Nie jestem wrogiem, który chce ci siłą odebrać

Penwyth. Czy to nie powinno rozwiązać groźnej klątwy?

Uniżenie dziękuję za twą dobrą wolę. Dzięki niej zostaniesz lordem Penwyth, oficjalnie, rzecz jasna, nieco dłużej, niż na to zasługujesz. Pozwolę ci zostać przy życiu, sączyć wino i udawać, że rządysz mieszkańcami zamku. Wiedz jednak, że to ja będę tu panem, zaś ta oto dziewczyna będzie moją żoną. To uszczęśliwi króla Edwarda.

Lady Merryn de Gay spojrzała na rycerza, oceniając w duchu, że jego twarz nie jest odrażająca, a oddech nie wywołuje w niej mdłości.

- Jeśli to zrobisz, *sir* - rzekła miękko - umrzesz. Mój pradziad powiedział dziadkowi, że słowa klątwy spisano w świętym kamiennym kręgu na południu Brytanii. Nic więcej mi na ten temat nie wiadomo.

- Dość tego! Idź już do gotowalni i niech służące upodobnią cię do niewiasty. Każ też przygotować ucztę weselną. Niech wszystko będzie gotowe, zanim zajdzie słońce.

\* \* \*

Dokładnie pięć minut przed zachodem słońca ojciec Jeremiasz udzielił ślubu młodej Merryn, odzianej w niemodną jedwabną suknię w kolorze szafranu, która należała jeszcze do jej matki, z sir Arlanem de Frome

z Keswick.

Jedyne okrzyki radości wzniesli rycerze sir Arlana i to tylko dlatego, że cieszyli się już na wieść o pucharach napełnionych piwem i najlepszym winem znad Renu i z Akwitanii. Bardzo chcieli się odświeżyć po całym popołudniu, które spędzili, mocując się z żołnierzami Penwyth na zamkowym dziedzińcu.

Jak się okazało, dowódca armii Penwyth, Crispin, starzec z brodą jeszcze dłuższą i bielszą niż broda lorda Vellana, znał tysiące klątw i hojnie obdarowywał nimi przybyłych. Żadna z nich jednak nie miała morderczej mocy, zaś rycerze Arlana nie mieli zamiaru brać tych zniewag na poważnie. Wszyscy członkowie drużyny pili, śmiali się i wznosili toasty, uszczęśliwieni zdobyciem tak wspaniałego zamku, w dodatku bez żadnego wysiłku.

Lady Merryn de Frome siedziała przy stole u boku swojego małżonka. Tuż przy nich zasiadali lord Vellan z sędziwą żoną oraz dwóch rycerzy sir Arlana.

Małżonkowie jedli z jednego talerza. Sir Arlan maczał delikatny, pszenny chleb w gęstej wołowej nalewce.

Nauczony w rodzinnym domu wytwornych manier, podał żonie smakowity kąsek wołowiny nabity na czubek noża.

Przyjęła kąsek i przełknęła, patrząc wciąż poprzez niego, jakby w ogóle nie istniał.



Ujął jej podbródek palcami i przytrzymał, by musiała spojrzeć mu w twarz.

- Jestem twoim mężem! Masz mi okazywać szacunek.

Spójrz na mnie!

- Niezmiernie mi przykro, że niebawem umrzesz - odrzekła, patrząc mu prosto w oczy.

- Do stu piorunów, skończone wreszcie z tą głupią kłębą! - Odwrócił się od niej i ostentacyjnie wyjadł najdelikatniejsze kawałki mięsa z talerza.

Rycerze przerzucali się sprośnymi żarcikami, lecz czynili to z wyraźnym przymusem. Jakiż mężczyzna o zdrowych zmysłach chciałby iść do łóżka z takim dzieckiem? Mimo to chcieli, by było tak, jak każe zwyczaj.

Co chwilę wznoszono toasty, jeden nawet dotyczył rychłego pojawienia się na świecie potomka młodej pary.

Sir Arlan roześmiał się głucho.

- Od tej chwili jestem Arlanem de Gayem, twoim dziedzicem i mężem twojej wnuczki – krzyknął do lorda Vellana. - Wspaniale pasuje do mnie to nazwisko, czyż nie?

Lord Vellan tylko się uśmiechnął.

Znów posypały się toasty, wszystkie wznoszone przez rycerzy Arlana. Mieszkańcy zamku siedzieli za stołami

gniewni i tylko pomrukiwali z cicha, nie chcąc narażać życia.

Arlan zwrócił się do żony:

- Błagam, powiedz, że zaczęłaś już krwawić.

Merryn spojrzała z ukosa na rosnącego mężczyznę, który mógłby być jej ojcem. Prawdę mówiąc, większość z mężczyzn zgromadzonych w Wielkiej Sali mogłaby być jej ojcem, a nawet dziadkiem, miała przecież zaledwie czternaście lat.

- Nie - odparła spokojnie. - Jeszcze nie zaczęłam.

- Szkoda. Może igraszki z mężem zachęcą twoje ciało do spełniania kobiecych obowiązków. W każdym razie tej nocy będziesz krwawić. O, tak.

- Dlaczego postanowiłaś ukraść ziemie należące do kogoś innego?

Sir Arlan mógł ją za to uderzyć, a jednak postanowił odpowiedzieć:

- Mój ojciec wstydził się takiego bękarta, jak ja. Chciał, bym został księdzem, żył w nędzy i celibacie, kopiując książki w lodowatej celi odciętego od świata klasztoru. Miałem własnym życiem odpłacić za jego grzech spółodzenia mnie. Nie mogłbym sobie nawet wyobrazić gorszej egzystencji. Mogłem go zabić, lecz tego nie zrobiłem. Wyruszyłem do Ziemi Świętej i walczyłem pod

dowództwem lorda Edinthorpa. Wróciłem ze sporym łupem. Jednak dość szybko kosztowności się skończyły i nic dla mnie nie zostało. - Wzruszył ramionami, najwyraźniej zadowolony z siebie, a Merryn zastanawiała się, ile z tej bajki to prawda.

- Tak czy siak - ciągnął Arian - teraz Penwyth jest moim domem, ty zaś moją żoną. Odpowiedziałem na twoje pytanie. Nigdy więcej nie odzywaj się do mnie równie bezczelnie. - Umilkł na chwilę, wpatrując się w jej szczupłą twarz, która z pewnością z czasem stanie się piękna. - Nie będziesz walczyła ze mną dziś w łóżku.

- Och, nie, nie będę walczyła - uśmiechnęła się Merryn.

- Nie będę musiała.

Arlan nie zrozumiał tej uwagi, lecz nie przejął się tym.

Był zbyt zadowolony z samego siebie i ze swojego nowego domu, by miał się przejmować kobiecymi fochami.

Czuł się wyśmienicie. Nie tracąc ani jednego człowieka, zdobył zamek Penwyth i stał się jego panem. Wprawdzie twierdza nie jest tak okazała jak zamki w Wolffeton czy St. Erth, jednak za niepełna dwadzieścia lat jego synowie poślubią bogate córki potężnych lordów. Wszyscy z szacunkiem będą wspominali lorda Arlana de Gaya.

Napotkał przenikliwe spojrzenie lorda Vellana i zadrzał

w duchu. Dzięki Bogu, nikt nie mógł tego zauważyć.

Wydawało mu się, że te zimne, szare oczy widzą nieporównanie więcej niż jego własne, co było, rzecz jasna, absurdem. Vellan nigdy nie opuszczał granic Kornwalii. Był nikim. Reliktem przeszłości, karmiącym się starymi legendami i bajkami. Wzniósł puchar napełniony ciemnym płynem z Bordeaux i zawołał do swoich rycerzy:

- Wznoszę toast za przyszłość! Od tej chwili należy się do mnie zwracać: lordzie Arlanie de Gayu!

- Za przyszłość!

- Za lorda Arlana!

Arlan duszkiem opróżnił puchar, uśmiechnął się promiennie, po czym zachwiał się i runął twarzą w talerz.

Głuchą ciszę przerwał nagle dziki wrzask rycerzy

Arlana i szczęk dobywanego oręża. Mężczyźni oderwali

się z za stołów i ruszyli ku swojemu panu leżącemu bez

życia w resztkach tłustego sosu. Lord Vellan wstał

i krzyknął:

- Sir Arlan nie żyje. Ostrzegałem go. Wszyscy

słyszeliście, że otwarcie i lojalnie opowiedziałem mu

o starej druidzkiej klątwie odnowionej przez wiedźmy

z Byrne. Za sprawą wszechwładnej mocy i mądrości

dawnych kapłanów leży tu oto pokonany przez klątwę

i własną nieostrożność.

- Nie! - wrzasnął Darrik. Był tak wściekły, a zarazem przerażony, że cały się trząsał. - Otrułeś go, wstrętny starcze! Otrułeś go i bądź przeklęty! Zabiję cię za to! Zabiję was wszystkich!

Rycerz rzucił się w stronę lorda, lecz nagle się zatrzymał, jakby niewidzialna dłoń chwyciła go z mocą i przytrzymała w miejscu. Widać było, że nie może się poruszyć. Oczy rozszerzyły mu się z grozy, a usta rozwarły w niemym krzyku. Nawet nie drgnął, tylko łzy ciurkiem pociekły mu po twarzy. Nagle jego ciało zaczęło drżeć i się skręcać. Na usta wystąpiła mu piana. Przez moment miotał się wściekle na oczach otaczających go ciasnym kołem rycerzy znieruchomiałych z przerażenia. Po chwili Darrik nie żył.

Pozostali najeźdźcy natychmiast zdali sobie sprawę z tego, że zostali bez przywódcy i że klątwa może ich dosięgnąć w każdej chwili.

Przez okrzyki grozy, płacze i zawodzenia przedarł się czysty głos ojca Jeremiasza:

- Dokonała się wola Boga. Módlmy się za te stracone dusze.

Nim minęła godzina, trzydziestu jeden najeźdźców w popłochu opuściło zamek Penwyth, opowiadając po

drodze mrozące krew w żyłach historii o klątwie, która dosięgła sir Arlana chcącego zdobyć Penwyth i ożenić się z wnuczką lorda Vellana.

Opowiadano też o tym, jak Darrik krzyczał o truciźnie i chciał zabić lorda Vellana. Szeptem przekazywano sobie historię, jak niewidzialna siła zatrzymała go w miejscu, jak miotał się przez chwilę, a wreszcie runął na ziemię z pianą na ustach. Że siła, która go przytrzymała - czy to diabelscy posłannicy, czy moc klątwy - zabiła go. Na jego ciele nie znaleziono żadnego znaku przemocy prócz gęstej piany obsychającej powoli na zsiniałych wargach.

Ro

R zd

z z

d i

z ał

a ł2

Obecn

c i

n e

Londy

d n

**3 m**

**aja**

j

a 12

1 78

7 r

o

r ku

k

Król Edward I wyciągnął długie nogi, skrzyżował je w kostkach i z zachwytem zapatrzył się w nowe trzewiki z wydłużonymi noskami. Być może były nieco zbyt pięknie haftowane jak dla króla wojownika, lecz jego słodka

Eleanor

twierdziła,

że

będą

wyglądały

oszałamiająco na królewskich stopach. Przynajmniej nie oczekiwała, że będzie je wdziawał na bitwę.

Promienie słońca wpadały przez piękne witrażowe okno zainstalowane jeszcze za czasów jego ojca, zmarłego króla Henryka II. W ich blasku włosy Edwarda lśniły głębokim odcieniem złota i przypominały świeżo wybitą monetę, jak zwykła mawiać jego matka. Edward rozejrzał się po kamiennych ścianach pokrytych gobelinami i zerknął na przestronne okna. Właściwie lubił Windsor, zwłaszcza po tych wszystkich remontach, które zrobił jego ojciec.



Dostrzegł Robbiego nadchodzącego w towarzystwie potężnego młodego człowieka o zaciętej twarzy. Był to sir Bishop z Lythe, młody wojownik, który trzy miesiące wcześniej ocalił życie jego słodkiej córki Philippy, gdy udała się na jedną ze swoich niedorzecznych wypraw.

Zięć króla, Dienwald de Fortenberry, hrabia St. Erth, wciąż nie mógł okiełznać swojej szalonej żony. Edward z pewnością powinien z nim na ten temat porozmawiać.

Jedyną rzeczą, na jaką się zdobył Dienwald, było pasowanie młodzieńca na rycerza. Gdyby Edward był na jego miejscu, z pewnością przemyślałby najpierw ten ruch.

Sir Bishop podniósł się z głębokiego ukłonu.

- Wezwałem cię, sir Bishopie z Lythe, aby osobiście podziękować ci za wyrwanie mej najdroższej córki z rąk tych parszywych drani - powiedział król. - Czy to prawda, że jeden z nich trzymał nóż przy jej żebrach?

Sir Bishop kiwnął głową.

- Czy ten człowiek groził, że ugodzi ją nożem, jeśli nie odrzucisz miecza?

Sir Bishop ponownie kiwnął głową.

- Jak zatem zdołałeś odebrać mu nóż?

Bishop zastanawiał się przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Łajdak nie był dobrym wojownikiem, nie był też wystarczająco szybki. Zdołałem na chwilę odwrócić jego uwagę i zabiłem go, zanim zdążył skrzywdzić Philippę.

To wszystko.

- Hm... - Edward nie sądził, by rzeczywiście było to tak proste. - Jak mniemam, nie znałeś mojej córki, a jednak przyszedłeś jej z pomocą, choć nigdy wcześniej jej nie widziałeś.

- Napotkałem ich na mej drodze. Nie miałem wyboru.

Król roześmiał się i poklepał sir Bishopa po szerokich ramionach.

- Zdajesz sobie sprawę, że Philippa jest słodkim owocem chwili mego zapomnienia?

Sir Bishop wydawał się zakłopotany. Robert Burnell szepnął mu wprost do ucha:

- Mówiąc to, jego wysokość ma na myśli, że lady Philippa jest jego bękartem.

Bishop uśmiechnął się z ulgą.

- Tak jest, *sir*. Wiem o tym.

- Świetnie. Dowiedz się zatem i tego, że ratując ją z łap zbójców, ocaliłeś także część duszy twojego króla.

- Niebiosą mnie zesłały, nie śmiem w to wątpić.

Król wychwycił nagły przebłysk dowcipu i uśmiechnął się.

- Jeśli obawiasz się, że zamierzam cię wynagrodzić ręką jednej z moich trzech prawowitych córek, które są rzeczywiście księżniczkami w odróżnieniu od Philippy będącej księżniczką wyłącznie dla mnie samego, rozchmurz się i szybko pozbądź tych obaw. Zamierzam cię wynagrodzić o wiele bardziej stosownie.

Najstarsza ze ślubnych córek króla skończyła właśnie siedem lat, zatem sir Bishop czuł się prawdziwie usatysfakcjonowany wieścią, że nie będzie zmuszony stawać na ślubnym kobiercu z dzieckiem. Zastanowił się przez chwilę nad słowami króla. Bardziej stosownie? Cóż to może oznaczać? Król patrzył na niego w zamyśleniu, z roztargnieniem przyjmując puchar wina od sługi odzianego w czerwono-białą liberię. Sączył je powoli, w milczeniu.

Prawdę mówiąc, sir Bishop uważał pasowanie go na rycerza za wystarczającą nagrodę, nie był wszak ostatnim idiotą. Nie miał zamiaru sprzeczać się z królem.

Ostatecznie nie jest drugim synem ani nawet trzecim.

Ojciec Bishopa ma pięciu krzepkich synów, on zaś jest czwartym z kolei. Na chrzcie dano mu imię, które miało mu pomóc w karierze zakonnej. Na tę myśl Bishop zawsze czuł lekkie mdłości. Jak większość drugich, trzecich czy czwartych z kolei synów nie odziedziczył ziemi.

W odróżnieniu od swoich braci miał już dość nadstawiania karku w bitwach możnych panów, walczących o wpływy i posiadłości, choć musiał przyznać, że w ciągu ostatnich kilku lat szczęście mu sprzyjało, a mieszek spęczniał na tyle, by przez jakiś czas mógł żyć spokojnie i utrzymać bez trudu jedenastu własnych żołnierzy. Jednakże... O czym mówi król?

Skrzynia złota byłaby przyjemnym upominkiem. Może nawet z kilkoma klejnotami z Ziemi Świętej? Bishop wszakże wątpił, by Edward miał na myśli kosztowności.

Nigdy nie słyszał o królu chętnie rozstającym się ze złotem. Gdy wreszcie władca dopił wino i spojrzał z uwagą na rycerza, Bishop odezwał się ze swobodą, jakiej nie powstydziliby się żaden dworzanie:

- Zaszczyt bycia rycerzem jest wystarczającą nagrodą, wasza wysokość.

W duchu przyznawał, że tytuł rycerza do tej pory nie przyniósł mu ani pensa, ani więcej szacunku bliskich, którzy znali go od lat. Jedynym zyskiem byli nowi przyjaciele w osobach Philippy i Dienwalda de Fortenberrych.

Król spodziewał się takiej riposty i w zasadzie nie miał nic przeciwko pokorze i unізoności. Pokorni nie podnosili chciwych oczu na jego majestat.

Dienwald powiedział mu, że Bishop z Lythe jest  
byстрыm młodzieńcem o zdrowym poczuciu humoru  
i niezwykle odważnym. Rzeczywiście, wydaje się bystry,  
pomyślał Edward. Zięc powiedział również, że świeżo  
pasowany rycerz jest ambitny i honorowy - a te dwie  
cechy rzadko występowały razem. Dienwald wszelako dał  
słowo, że tak jest. Może i zięc króla uchodził za  
nieudacznika i aroganta, jednak trzeba przyznać, że  
zwykle trafnie oceniał charaktery. Wieści o jego celnych  
sposrzeniach krążyły po całym kraju, wreszcie zaczęto  
go nazywać Biczem z Kornwalii.

Dienwald powiedział królowi, że Bishop jest świetnym  
wojownikiem, chytrym i przebiegłym. Swoją wartość  
potwierdził, strzegąc Philippy, póki nie nadjechał jej mąż  
z oddziałem.

Król pokręcił głową. Strzegł Philippy? Nie był w stanie  
wyobrazić sobie, by jego słodka, delikatna córka miała  
przyjąć jakąkolwiek pomoc czy poddać się czyjejkolwiek  
opiece. Edward westchnął i powiedział do swojego  
wiecznie przepracowanego sekretarza, kanclerza Anglii,  
Roberta Burnella:

- Robbie, wydaje mi się, że właśnie znaleźliśmy  
człowieka, który zdoła rozwiązać mroczną zagadkę  
Penwyth.

Bishop nie jęknął, choć opanował się z trudem. Nie dostanie złota. Co za szkoda. *Penwyth? Czym, do diabła, jest Penwyth? Cóż to za zagadka?*

Burnell przez chwilę rozważał słowa króla, ogryzając uwalany inkaustem kciuk, aż usta zrobiły mu się całkowicie czarne. Wreszcie skinął głową.

- Ta tajemnica nie przestaje mnie dręczyć, wasza wysokość. Być może jednak wystarczy posłać tam odpowiedniego człowieka, by zdjął klątwę?

- Hmm... - zadumał się król. - Naprawdę wierzysz, że klątwę rzucili dawni druidzcy kapłani, Robbie? I że odnowiły ją więdźmy z Byrne? Sądzisz, że w murach tego zamku wciąż gnieźdzą się duchy przeszłości?

*Druidzcy kapłani? Więdźmy z Byrne?*

- Przyznaję, że myśl taka sama mi się narzuca, wasza wysokość - odparł Burnell. - Zdaje się, że nikt nie zdołał znaleźć innego wyjaśnienia.

- Jesteś pobożnym człowiekiem, Robbie, a jednak pozwalasz sobie na wiarę w te bujdy o klątwach.

- Sam już nie wiem, w co mam wierzyć, *sir*. - Robert Burnell przewrócił oczami. - Martwi mnie fakt, że Kornwalię nęka to lichy. Martwi mnie, że wciąż nie wiemy, czy to demon, czy potężna starożytna klątwa.

*Demony i klątwy? To nie brzmi zachęcająco.*

- Ilu ludzi zginęło dotychczas przez tę klątwę? - zapytał

Edward.

- Czterech, wasza wysokość. Pierwszy z nich, sir Arlan de Frome, zginął niecałe dwie godziny po poślubieniu lady Merry. Z pewnością był martwy, zanim jego twarz spoczęła na talerzu. Zdarzyło się to cztery lata temu, zaledwie dwa tygodnie po chwalebnej śmierci dziedzica Penwyth na turnieju, który zorganizowałeś, panie, w kwietniu tysiąc dwieście siedemdziesiątego czwartego roku.

- Ach, istotnie - przytaknął król. - To był sir Thomas de Gay, jeśli dobrze pamiętam. Wspaniały rycerz i wielce żałuję jego śmierci. Pamiętam doskonale, że zdarłem gardło, krzyżąc na uczestników turnieju, żeby na siebie uważali, ale nie chcieli mnie słuchać. - Król westchnął rozdzierająco, spoglądając na jednego ze swoich myśliwskich psów. Potężny czarny mastif mógł w pełnym biegu złapać w mordę całego pieczonego bązanta. - Tak czy siak, stary lord Vellan, który ma bardziej krewki charakter niż niejeden młodziak z mojej armii, zasypał mnie petycjami, bym mianował jego wnuczkę dziedziczką Penwyth i baronową de Gay. To niedorzeczność!

Król uśmiechał się przez chwilę. Z jego twarzy nie zniknął wyraz życzliwości i dobroduszości.

- Postanowiłem, że dziedzicem Penwyth zostanie nasz dzielny młody rycerz. - Spojrzał na wyprostowanego Bishopa. - Poślubisz lady Merryn, wnuczkę lorda Vellana. Ogłaszam cię dziedzicem Penwyth. To bardzo bogata ziemia, a zamek ma wielką wartość strategiczną. Ufam, że będziesz go bronił za cenę swojego życia. Ponadto znajduje się niedaleko St. Erth i Dienwald będzie mógł cię szybko wezwać, w razie gdyby Philippa wplątała się znów w jakąś kabałę. Łudziłem się, że dzieci wypełnią jej czas... Philippa ma troje dzieci - najpierw powiła bliźnięta, dwóch chłopców, z których jeden nosi moje imię, potem zaś dziewczynkę, nazwaną na cześć mojej ukochanej Eleanor. Chłopcy są podobni do mnie jak dwie krople wody! Dzieciaki klaszczą w ręce, gdy Philippa opowiada im barwne historie o swoich wyprawach. - Król spojrzał na swoje długie trzewiki. Pomyślał, że byłoby wspaniale, gdyby chłopcy odziedziczyli po nim wzrost. Choć w zasadzie, jeśli odziedziczą go po matce, to również wystarczy.

- Opowiedziałeś mi ciekawą historię, wasza wysokość.

- Owszem, zaś ty masz dość oleju w głowie, by zrozumieć, co z tego wynika.

Bishop pokiwał głową, chociaż wciąż nie mógł uwierzyć w to, co powiedział król. Zapytał ostrożnie:



- Pragniesz uczynić mnie dziedzicem Penwyth, wasza wysokość?

Młodzieniec wydawał się szczerze zdumiony, co polectało próżność króla. W mniemaniu władcy każdy podarunek, który przekracza oczekiwania i skryte marzenia poddanego, jest najlepszym sposobem na zdobycie jego lojalności. Edward kiwnął głową, zadowolony z własnej szczodrości.

- To właśnie zamierzam uczynić. Z czasem zostajesz lordem Bishopem de Gayem z Penwyth. Masz czterech braci, którzy zapewnią ciągłość twemu rodowi, zatem ty możesz przedłużyć ród de Gayów. *Król naprawdę chce, bym został piątym przeklętym mężem tej dziewczyny!*

Władca bez mrugnięcia okiem wysyła go na pewną śmierć, która z pewnością go dopadnie, zanim zdąży zakosztować słodczy małżeńskiego łoża. Król chce, by Bishop rozsypał się w pył, zanim zdoła choćby poczuć, że Penwyth należy do niego. Stanie się lordem Bishopem de Gayem, piątym małżonkiem, który zginie haniebną śmiercią niedługo po zaślubinach.

Powalony przez starodawną druidzką klątwę.

To nie brzmi dobrze.

Robert Burnell podał młodzianowi kawałek pergaminu.

- Oto treść klątwy, sir Bishopie. Do tej pory odebrała

życie czterem rycerzom, którzy zdobyli Penwyth

i poślubili lady Merryn.

- Przeczytaj ją na głos, jeśli łaska - wtrącił król.

Bishop odchrząknął.

- To wygląda jak dwie osobne klątwy, wasza wysokość.

- Wiem, wiem. Czytaj.

Bishop spojrział na pergamin i zaczął czytać:

*Zginie najeźdźca, co morzem przybędzie,*

*Kto lądem nadjedzie, ten w męczarni skona,*

*Scieżnie niechybnie, kto klucza dobędzie,*

*Na wieki będzie ta ziemia strzeżona!*

Podniósł wzrok na króla:

- Co za klucz?

- Nikt tego nie wie - odparł Burnell. - Lord Vellan

twierdzi, że sam poznał klątwę dokładnie w tej postaci.

- Przeczytaj resztę, sir Bishopie.

*Oczy panny zielone jak blask pożądania,*

*Włosy panny czerwone jak źródło płomienia,*

*Serce panny jest czyste i klamać się wzbrania,*

*Ten, który ją zniewoli, zginie bez wątpienia.*

- Czy lady Merryn de Gay ma rude włosy i zielone  
oczy?

- Bez wątpienia - stwierdził król. - Zatrzymaj kopię

klątwy. Może ci się jeszcze przydać.

Bishop starannie zwinął pergamin i wsunął go do pochwy na sztylet wiszącej u pasa. Zaczął podejrzewać, że król w głębi ducha nienawidzi swojej córki i dlatego posyła jej wybawcę na pewną śmierć. Na pastwę jakiegoś demona, jak twierdzi Robert Burnell. Bądź trucizny podanej dłonią starca. A może to sama dziewczyna uwalnia Penwyth od najeźdźców i siebie samą od niechcianych mężów?

Czy owe dwa wiersze istotnie pochodzą sprzed wieków?

Bishop zupełnie nie wiedział, co powiedzieć, jakby odebrało mu mowę. Nie chciał, by król miał go za tchórza, z drugiej zaś strony wcale nie miał zamiaru umierać.

Dopiero co skończył dwadzieścia cztery lata!

Ponieważ jednak nie pozostawiono mu żadnego wyboru, kiwnął z rezygnacją głową i ukłonił się królowi.

- Dziękuję za szczodrość i pokładane we mnie zaufanie, wasza wysokość. Czuję się zaszczycony. Do śmierci będę bronił i strzegł zamku Penwyth. – *I mam szczerą nadzieję, że nadejdzie ona raczej za pięćdziesiąt lat niż za tydzień.*

- Dobrze powiedziane - uśmiechnął się król. I w samą porę, pomyślał jeszcze. Kiwnął głową do Burnella, by wręczył

Bishopowi

plik

oficjalnych

dokumentów

spisanych pięknym charakterem pisma sekretarza.

Bishop przebiegł wzrokiem ich treść. Doszedł do wniosku, że właśnie czyta wyrok na siebie. Nagle się uśmiechnął.

- Czy mógłbym prosić o jeszcze jeden dokument, wasza wysokość? Być może zdołałby on ocalić mi życie.

Król odpowiedział uśmiechem.

- O co chodzi, Bishop? Obawiasz się, że dopadnie cię klątwa?

- Wydaje mi się, że taka obawa nie jest bezpodstawna, skoro klątwa zabiła już czterech rycerzy...

- Teraz jednak rzecz ma się inaczej - surowo powiedział Edward, prostując się na tronie. - Napisałem do lorda Vellana, że osobiście wyznaczam cię na jego dziedzica. Zatem sprawa jest już załatwiona i klątwa nie ma żadnej mocy. To królewski nakaz.

- Wszyscy w Kornwalii wiedzą, że czwarty z rycerzy, przybywszy do Penwyth, głośno obwieszczał, że znalazł się tam z twojego polecenia, mój panie - wtrącił się Burnell. - Niestety, nie ocaliło mu to życia. Skonał,

ciągnąc świeżo poślubioną małżonkę do łóżka.

- Nie wiedziałem o tym - przyznał król i podrapał się po brodzie. - Lecz tamten rycerz kłamał, a demony z pewnością zdawały sobie z tego sprawę, więc tym chętniej porwały jego nędzną duszę do piekła.

- To możliwe - kiwnął głową Burnell. - W każdym razie nie miał przy sobie żadnych dokumentów potwierdzających jego słowa.

- Może zatem powinienem nalegać, by demony odczytały dokumenty, zanim i mnie porwą do otchłani? - z szyderstwem w głosie zapytał Bishop.

Któryś ze służących parsknął cichym śmiechem.

Robert Burnell zmarszczył brwi.

- Naprawdę nie chcę, byś umierał - stwierdził król, wpatrując się w rycerza - mimo że nie podobał mi się twój żart. Masz jakiś pomysł, Robbie?

- Myślę, że sir Bishop chciał ukryć lęk pod nie-wczesnym żartem, *sir* - wycedził sekretarz. - Nie jest przecież głupcem. Co więcej, jestem przekonany, że ma już jakiś plan.

- Czy to prawda? Masz już plan, sir Bishopie?

- Oczywiście - przytaknął Bishop. - Mam nadzieję, że to dobry plan, *sir*, albowiem jest jedynym, jaki przychodzi mi do głowy.

\* \* \*

Trzy dni później sir Bishop Lythe, obecnie prawowity dziedzic lorda Vellana de Gaya, baron Penwyth, opuścił Londyn, choć miasto nie zaczęło jeszcze cuchnąć. Świeży, wiosenny wiatr, omiatał ulice i zaułki. Jednak sir Bishop czuł prawdziwą ulgę, zostawiając za sobą ciżbę ludzką, przenikliwy smród niemytych ciał i wieczny harmider. Przed jego oczami rozciągały się uprawne pola i łąki. Wyruszał do Kornwalii ze swoim oddziałem i dwoma dokumentami od króla ukrytymi w skórzanej sakiewce na piersi. Między dokumenty wsunął też kopię klątwy Penwyth.

Zatem dziewczyna jest ruda i ma zielone oczy? Hm, zaiste, brzmi to intrygująco i zapewne będzie się świetnie bawił. O ile przeżyje. Nigdy jeszcze nie spał z rudzielcem i zastanawiał się, czy włosy na łonie też będzie miała czerwone. Cóż, przekona się o tym, kiedy już zostanie jej mężem.

Zanim jednak uda się z nią do łóżka, musi jakoś uniknąć dotknięcia klątwy. Z tego, czego zdążył dowiedzieć się o świecie, w niektórych sprawach stosowano tradycyjne sposoby, w innych potrzebne były szczególne metody. Cieszył się ogromnie, że zdołał wymyślić tego rodzaju sposób. Może dzięki niemu nie zginie.

Rozdz

d ia

i 1 13

St

S . Ert

r h

t , K

orn

r w

n al

a ia

Otoczony jedenastoma żołnierzami młody Bishop

wjechał na dziedziniec St. Erth. Wyraz jego twarzy nie

spodobał się Dienwaldowi de Fortenberry, pierwszemu

hrabiemu Erth i przekłętemu zięciowi samego króla. Sir

Bishop trzymał hełm pod pachą, a jego długie czarne

włosy powiewały na wietrze. Nie wyglądał na

szczęśliwego. Zwykle pogodne, błękitne oczy zwęziły mu

się w szparki. Wyglądał, jakby podjął trudną decyzję

i miał zamiar za wszelką cenę dotrzymać słowa. Co to

może oznaczać?

- Weź swoich ludzi i przyjdźcie do Wielkiej Sali,

Bishopie - krzyknął Dienwald. - Widzę, że masz dla mnie

wieści, które cię wcale nie radują. Nie mów mi, sam

zgodną. Król, mój ukochany teść, życzy sobie, bym

wybudował

flotę,

załadował

na

nią

wszystkich

mieszkańców Kornwalii i popłynął zdobyć przeklętą

Francję!

Bishop z uśmiechem pokręcił głową. Oczy mu

rozbłysły.

- Nie, Dienwaldzie, nie zgadłeś. Wieści nie są nawet w połowie tak złe, i mam nadzieję, że dożyję, by móc to sprawdzić. Natomiast potrzebna mi twoja rada.

- Umm... - mruknął Dienwald, drapiąc gładko ogolony policzek. - Tajemnica. Mój błazen, Krętacz, wymyślił o tym baśń, która przeżyje nas wszystkich. Philippo! - krzyknął nagle. - Chodź tu, mała wiedźmo, i powitaj dzielnego rycerza, który uratował twój piękny tyłeczek.

Mówię o tym głośno i szczerze, byś nie miała okazji skarżyć się ojcu, że cię nie doceniam. Król obdarłby mnie ze skóry - powiedział cicho do Bishopa - gdyby choć jeden kręcony włoszek spadł jej z głowy. W ciągu ostatnich trzech lat powtórzył mi to co najmniej kilkanaście razy.



Zastanawiam się czasem, gdybym naprawdę miał chęć wyrwać jej kilka włosów, skąd król miałby się o tym dowiedzieć. Philippa ma taką masę loków, że nikt by się nie zorientował.

Philippa de Fortenberry weszła do Wielkiej Sali z małymi chłopcami, każdym pod jedną pachą.

- Jak się masz, Bishopie. Witaj w St. Erth. O co chodzi?

Nie wyglądasz jak rycerz, który cieszy się z królewskiej nagrody. Wejdz, proszę. Oddaj wodze Gorkelowi. On się zaopiekuje twoim rumakiem, a także twoimi ludźmi. Nasz sąsiad, Graelam de Moreton, przysłał nam wspaniałe wino swojego teścia.

Bishop zsiadł z konia i oddał wodze Gorkelowi

Szkaradnemu, który powitał go szczerym uśmiechem, od którego rycerz dostał gęziej skórki na całym ciele.

W okolicy mawiano, że nad Kornwalią słońce rzadko świeci, gdyż nie chce oglądać wstrętnej twarzy Gorkela.

Bishop musiał jednak przyznać, że tego dnia twarz sługi nie wydawała mu się tak potworna jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Bishop uściskał Dienwalda i podszedł do Philippy, spoglądając na chłopca, którego podrzucała jedną ręką.

- Czy to Mikołaj? - zapytał.

- To jest Mikołaj - odparła Philippa, podrzucając

drugiego syna. - A ten to Edward.

Bishop chętnie uściskałby Philippę i zrobił nawet dwa kroki w jej stronę, jednak kątem oka dostrzegł, że Dienwald marszczy brwi. Zatrzymał się więc nieco niezgrabnie, uklonił i tylko dotknął jej dłoni.

- Cieszę się, że znajduję cię w dobrym zdrowiu, pani - powiedział i uśmiechnął się, gdy Philippa roześmiała się dźwięcznie.

- Co się stało? Spotkałeś się z królem, nieprawdaż?

- Owszem, spotkałem się z nim.

- Słyszałam, że prosiłeś Dienwalda o radę. Nie wolałbyś poprosić mnie?

- Chętnie skorzystam z każdej rady i każdej pomocy - odparł gładko Bishop - jako że twój ojciec, a nasz król, zaserwował mi talerz z pięknie podanym daniem, które równie dobrze może się okazać całkiem niestrawne.

- Mimo to na twojej twarzy gości uśmiech - stwierdził Dienwald. - Coś mi się wydaje, że królewski prezent nie jest ci wstrętny. - Przeczesał palcami gęste włosy, które żona uwielbiała głaskać, gdy całowała go i przygryzała płatki jego uszu. - Zatrzymałeś się w Wolffeton, by poznać lorda Graelama?

- Nie. Król nakazał mi pośpiech - wytłumaczył się

Bishop. - Poza tym nie byłem pewien, jak mnie przyjmie.

- Przyjąłby cię z otwartymi ramionami – zapewnił

Dienwald. - Powiniennem chyba powiedzieć ci, że Graelam jest naprawdę przyzwoitym rycerzem. Na jego słowie można polegać. Potrafi też wcale nieźle kłamać, zwodzić i kraść, ale wciąż daleko mu do mnie.

- Nikt nie potrafi tak kłamać, zwodzić i kraść jak mój mąż - powiedziała Philippa, podając Dienwaldowi jednego z chłopców. Uśmiechnęła się promiennie do Bishopa. - Chodź, napijemy się wina i opowiesz nam, co się wydarzyło.

Dienwald podrzucił chłopca wysoko w górę. Bishop znów nie był pewien, czy to Edward czy Mikołaj.

- Jeśli chodzi o żonę Graelama, lady Kasię, jest ona prawdziwą księżniczką - ciągnął Dienwald. Posadził sobie syna na ramieniu, wznosił oczy do nieba, zatrzepotał rękami i westchnął przeciążę. - Philippa proponuje ci wprowadzić puchar wina, lecz założę się, że Kassia chętnie oddałaby ci klucze do piwniczek jej męża.

Philippa dzieliła męża kułakiem.

- Nie waz się mówić zbyt pochlebnie o malej Kassii. To ja jestem prawdziwą księżniczką.

- Ty jesteś prawdziwą wiedźmą - odparł Dienwald, patrząc czule na żonę i biorąc od niej drugiego chłopca. - Gdzie się podziewa moja mała Eleanor? Chciałbym, by

Bishop

miał

sposobność

zobaczyć

najpiękniejszą

dziewczynkę w całej Anglii.

- Będzie miał jeszcze okazję się nią zachwycić, drogi  
mężu. Bishopie, mój zacny małżonek jest ci niezmiernie  
wdzięczny za ocalenie mi życia, mimo trzech lat  
wspólnego pożycia i obserwowania, jak się toczy  
z Eleanor, a potem bliźniętami w mym łonie.

Zarzeka się, że niemal umarł ze zgrozy, gdy wydawałam  
dzieci na świat. Oskarża mnie, że chciałam go zabić  
poczuciem winy i specjalnie przedłużałam porody. Teraz  
zaś, choć zwykle tego nie robi, najwyraźniej zamierza cię  
poczęstować swoim cennym, pilnie strzeżonym winem.

- A gdzie jest twój syn Edmund, Dienwaldzie? - zapytał

Bishop, rozglądając się dokoła.

- Poluje z lordem Graelamem. - Dienwald pokręcił  
głową i parsknął. - Widziałem chłopaka chyba ze dwa  
tygodnie temu. Mówił wyłącznie o wspaniałym lordzie  
Graelamie, jego sile i mądrości. Ledwie to zniosłem,  
powiadam ci.

Edmund, syn Dienwalda z pierwszego małżeństwa, miał

już niemal jedenaście lat. Czas tak szybko płynie!

Dienwald podał chłopców Bishopowi, chwycił żonę za gęste loki i soczyście ucałował jej usta. Roześmiał się i powiedział:

- Czas coś zjeść, wiedźmo. Zajmij się tym.

Philippa ze śmiechem wezwała służbę. Bishop ruszył w kierunku jadalni, niosąc bliźnięta.

Gdy na talerzach zostały już tylko kości, Philippa okiełznała swawolne loki srebrną opaską i powiedziała:

- Nadszedł wreszcie czas, Bishopie, byś powiedział nam, co się wydarzyło.

- Jestem nowym baronem Penwyth. Ponadto król oddał mi rękę Merry de Gay.

Dienwald zakrztusił się winem i opryskał nim stół.

- Na kości wszystkich męczenników! To niezbyt dobrze, Bishopie! No, może i dobrze, ale to przerażające.

Co z tą słynną klątwą?

Philippa trzepnęła męża w plecy z taką siłą, że niemal wylądował twarzą w talerzu.

- Dziewczyna jest już czterokrotną wdową, Bishopie. Ojciec przeznaczył cię na piątą ofiarę? To naprawdę okropne.

Bishop oparł się wygodnie i kołysząc pucharem wypełnionym słodkim, czerwonym winem, opowiedział

przyjaciołom o spotkaniu z królem.

- Zatem mój wspaniały teść uczynił cię spadkobiercą

Penwyth. Poślubisz Merryn. Nie marszcz brwi, Bishopie.

Dziewczyna wcale nie jest szkaradna ani nie ma zębów

jak zajac. Hmm... Zamek wspaniały, jednak nie podoba mi

się to, że miałbyś zginąć, zdobywając go. Co by

oczywiście oznaczało, że nie otrzymałbyś żadnej nagrody.

*Żadnej nagrody! Żadnej nagrody!*

*Ożenić musi się Bishop młody,*

*Cóż jednak dostanie w darze?*

*Nagrody żadnej! Nagrody żadnej!*

*Padnie w objęcia śmierci szkaradnej!*

Philippa spojrzała surowo na Krętacza stojącego na

szeroko rozstawionych nogach z idiotycznym uśmiechem

na twarzy.

- Co to było, Krętaczu? - zapytał Dienwald.

- Rymy. Zrymowałem. Sprawilem się pięknie, czyż nie,

mój panie?

Dienwald podrapał się za uchem i uśmiechnął szeroko.

- Podejdz tu, Krętaczu. Pierwszy padniesz w objęcia

śmierci...

- O, nie! Pan chce się dobrać do mojego tyłka. Już mnie

tu nie ma!

Krętacz zaczął zmykać pokracznie, chowając się po

kątach.

- Wybacz, Bishopie. Gdy wstępuje w niego iskra boża, przemawia wierszem - powiedziała Philippa. - Zwykle są one znacznie gorsze. Nie mogę sobie jednak wyobrazić, że z własnej woli chcesz położyć głowę pod topór. Masz jakiś plan?

- Zanim wam o nim opowiem, chciałbym zapytać, czy macie może pojęcie, dlaczego celtyccy kapłani obłożyli ochronnym zaklęciem zamek, który zbudowano całe wieki później?

Philippa oparła podbródek na dłoni.

- Powiadają, że druidzi z łatwością spoglądali w przyszłość. Podejrzewam, że kapłani wiedzieli, że na ruinach ich świątyni ktoś wybuduje zamek i dlatego zaklęli to miejsce. By chronić swych potomków.

Dienwald machnął ręką.

- Słyszałem tę teorię, ale trudno mi w nią uwierzyć. Są też inne poważne kwestie do przemyślenia. Twoja przyszła żona ma śliczną twarz i przepiękne włosy. Nie tak dzikie i pokręcone jak wiedźma przy naszym stole, za to ogniste jak zachód słońca nad wzgórzami Pendeen.

- O, tak. A oczy zielone jak blask pożądania.

- A skąd takie porównanie? - zdumiała się Philippa.

Bishop podał jej pergamin i Philippa przeczytała na

głos:

*Zginie najeźdźca, co morzem przybędzie,*

*Kto lądem nadjedzie, ten w męczarni skona,*

*Sczeźnie niechybnie, kto klucza dobędzie,*

*Na wieki będzie ta ziemia strzeżona!*

*Oczy panny zielone jak blask pożądania,*

*Włosy panny czerwone jak źródło płomienia,*

*Serce panny jest czyste i kłamać się wzbrania,*

*Ten, który ją zniewoli, zginie bez wątpienia.*

Krętacz nadbiegł w podskokach.

- Co za wspaniała klątwa! Jakie niezrównane rymy! Na

szczerniałe paznokcie wszystkich świętych

napiszę

podobną! Zaklinam się!

Dienwald pokiwał głową.

- Zaiste, klątwa niczego sobie. I brzmi tak, jakby

rzeczywiście odnosiła się do Merryn. Nie widziałem jej od

kilku lat i nie wiem, czy ma biust, o którym warto

wspominać. Tak czy siak, nie może się równać z moją

piękną Philippą.

- Ja także nic nie wiem na temat jej biustu stwierdził

Bishop. Jeśli chodzi o zielone oczy i rude włosy, był

przekonany, że Merryn ma właśnie takie. - Wybacz,

Dienwaldzie.



Celtyccy

druidzi

mieliby

wymyślać

specjalną klątwę, by chronić swych potomków? Nie mogę w to uwierzyć. Ta Merryn miałaby być spadkobierczynią tradycji druidów?

- Czterech rycerzy zginęło już przez tę klątwę -

powiedział Dienwald. - Nie powinieneś jej lekceważyć.

Nie można też nie zauważyć, że Merryn dokładnie odpowiada opisowi.

- Możesz być pewny, że niczego nie lekceważę. Jednak

wciąż zapytuję sam siebie: czy to naprawdę klątwa?

Niosące śmierć słowa pradawnych kapłanów? Czy może coś, co potrafiłbym objąć umysłem? Podejrzewam, że to trucizna. Starzec, lord Vellan, zabija najeźdźców. Albo jego wnuczka.

- To by oznaczało - wtrąciła się Philippa - że Merryn

wiedziała wystarczająco wiele o truciznach, by zabić pierwszego męża, gdy miała zaledwie czternaście lat.

Posuwasz się za daleko, Bishopie.

- W takim razie lord Vellan - upierał się rycerz. - Gdy

pojawił się pierwszy pretendent do objęcia zamku, powitał go słowami klątwy.

- Zgadza się. Był na to przygotowany - westchnęła

Philippa.

- Być może - powiedział Dienwald. - Sąsiedzi uważają lorda Vellana za starego przebiegłego lisa.

- Wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że druidzi rzeczywiście pobłogosławili tę ziemię, lecz nie wymyślili żadnej

śmiercionośnej

klątwy.

Potem

ich

błogosławieństwo dostało się w ręce wiedźm z Byrne.

Może to one zamieniły je w słowa niosące zniszczenie?

Czy to nie miałoby więcej sensu? Przecież wciąż gdzieś żyją wiedźmy, czyż nie?

- Owszem - odpowiedziała Philippa. - Słyszałam, że wiedźmy z Byrne wciąż zamieszkują jaskinie w lesie Boswednack. Nie lubią gości.

- Sam nie wiem, Bishopie - zadumał się Dienwald. -

Twoja teoria wydaje się prawdopodobna. Chciałbym wiedzieć, jaka śmierć dosięgła każdego z tych czterech rycerzy.

- Wyborna myśl, Dienwaldzie! - wykrzyknęła Philippa.

- Z pewnością rodzaj ich śmierci pomoże nam odgadnąć,

czy zostali otruci, czy też dosięgła ich klątwa.

- Na relikwie Świętego Egberta - westchnął Bishop, przeczesując włosy palcami. - Nie mam pojęcia, jak zginęli moi poprzednicy. Muszę jednak się tego dowiedzieć. I powiem ci, Dienwaldzie, że będę błogosławił dzień, w którym się dowiem, że nie ma żadnej klątwy. - Znów westchnął. - Robert Burnell powiedział mi, że Penwyth jest niewielkim zamkiem. Nie tak okazałym jak St. Erth czy Wolffeton, za to ma wielkie znaczenie strategiczne.

- Zgadza się - odparł Dienwald. - Hm, wciąż nie mogę się nadziwić, Bishopie. Król podarował ci wiedźmę i Penwyth. To oznacza, że musi cię wielce szanować.

- A więc ona jest wiedźmą? - zachnął się Bishop, w ytracony z równowagi. - Wiedźmą? Na wszystkich świętych, jeszcze przed chwilą chwaliłeś jej urodę i piękne włosy, teraz zaś zwiesz ją wiedźmą?

- Mój mąż żartuje, Bishopie - uspokoiła go Philippa. - Merryn nie jest wiedźmą. A przynajmniej ja uważam, że nią nie jest. Nie jest już także dzieckiem. Pierwszy raz wyszła za mąż, mając zaledwie czternaście lat. Tak głoszą plotki. Prawda zaś jest taka, że nigdy jej nie widziałam, zaś mój ukochany mąż widział ją tylko raz, dwa lata temu. Musisz więc brać to pod uwagę, słuchając jego kwieci-

stych opisów.

- Bądź cicho, wiedźmo - prychnął Dienwald. -

przeczuwam różne rzeczy, dochodzę do błyskotliwych konkluzji na podstawie błahych faktów. Teraz na przykład z twarzy Bishopa wyczytuję, że nie ma on najmniejszej ochoty jechać pod mury Penwyth i ogłosić się piątym dziedzicem zamku i okolic. Zawsze mówiłem, że bystry z ciebie chłopak. Opowiedz nam, co zamierzasz zrobić.

Bishop pochylił się i rzekł:

- Dobrze więc. Opowiem.

Godzinę później Bishop raz jeszcze z rozczuleniem przyglądał się bliźniętom i delikatnie pogładził policzek Eleanor. Potem zasnął spokojnie na wąskim łóżku w komnacie, z której okna rozciągał się wspaniały widok na wzgórze Kornwalii.

Zanim o poranku wyruszył w drogę, uściskał gospodarza, dziękując mu za radę i gościnę.

- Nie jestem już zbyt młody, by się żenić, lecz czuję się stanowczo za młody, by zginąć w drodze do ołtarza.

- Przestań się mazać, Bishopie - odparł Dienwald. -

Tylko osiemnaście lat przeżyłem na tej cudnej ziemi, gdy poślubiłem moją pierwszą żonę. Cieszę się z tego, gdyż owocem tego związku jest Edmund. Jeśli jednak miałbyś

umrzeć,

zasługujesz

co

najmniej

na

niezapomnianą noc poślubną. - Zakrzyknął na Krętacza

leżącego na sitowiu i żującego kawałek sera: - Hej,

półgłówku, zaśpiewaj podniosłą pieśń dla sir Bishopa

z Lythe, barona Penwyth. Dalejże, zaśpiewaj dla

chrobrego rycerza, który pokona dawno wymarłych

kapłanów i ich klątwy.

Krętacz szybko przełknął ser, wyprostował się

i zaryczał przeraźliwie:

*Prześliczny rycerz w konkury gna,*

*Na noc poślubną nadzieję ma.*

*Czy wiedźmą będzie narzeczona*

*Chce się dowiedzieć, zanim skona.*

- To było straszne! - jęknął Dienwald, odsyłając

trefnisią kopniakiem z powrotem na sitowie. Błazen

poturlał się efektownie po kamiennej posadzce. - Twoje

nędzne rymy wzbudzają we mnie odrazę. Nie wiem, czy

zdołam coś jeszcze przełknąć. Co powiesz na to,

Philippo? Jak mam znosić to ponure monstrum?

- Jego wierszydła ranią moje uszy, mężu. Czy

powinnam go również kopnąć?

- Nie - zaprzeczył Dienwald. - Musnąłem go ledwie,  
potoczył się całkiem zacnie i to wystarczy.

- Wolałbym, by mnie kopała księżniczka prawie  
królewskiej krwi - pozalił się błazen, dygając pokracznie  
przed Philippa. - Pan ma cięższe buty.

- Kiedy kopnęła cię ostatnim razem - wtrącił Dienwald

- mało nie powybijałeś sobie zębów.

- Sir Bishopie - rzekł błazen, kłaniając się przed  
rycerzem - niech cię Bóg prowadzi, ja zaś postaram się  
wymyślać gładze rymy na twój chwalebny powrót. Jeśli  
w ogóle wrócisz. Czy można upiec rycerza w zbroi?

Bishop sam miał ochotę go kopnąć.

Rozdz

d ia

i ł ł4

Pen

e w

n yth

t , K

ornw

n al

a ia

Im bardziej Bishop zbliżał się do Penwyth, tym

piękniejsza robiła się pogoda. Dziwiło go to, gdyż z tego, co słyszał i widział po drodze, w Kornwalii padało równie dużo jak w całej Anglii, czyli o wiele za często, by można było to spokojnie znosić. Zdawało się, że nad tą okolicą rozpostarty jest niewidzialny parasol. Ziemia była wysuszona i spękana. Każdy kamień, każde drzewo i krzak pokryte były grubą warstwą kurzu.

Niedobrze, pomyślał. Każdą twierdzę powinny otaczać pola uprawne, sady i ogrody, by mogła się wyżywić.

Zwłaszcza tu, na samym skraju Anglii.

W najlepszych czasach bujnie kwitnąca i zielona zachodnia Kornwalia przypominała teraz wypalony przedsionek piekła. Bishop był ciekaw, czy król Edward zdaje sobie z tego sprawę.

Minęli niewielkie wzniesienie i wyjechali prosto na zamek Penwyth otoczony pierścieniem grubych murów.

Postawiony jeszcze za rządów Ryszarda Lwie Serce wznosił się nad okolicą jak pięść kamiennego giganta. Tuż pod nim przycupnęło niewielkie miasteczko Penwyth.

Zamek i miasteczko wybudowano na wzgórzu i zapewne z okien rozciągał się wspaniały widok na okoliczne ziemie. Mury wyglądały na suche i spieczone słońcem.

Bishop ściągnął lekko wodze Nieustraszonego i uważnie przyjrzał się murom. Jedenastu żołnierzy bezwiednie

ustawiło się w zwartym szyku za plecami rycerza.

W lewych dłoniach dzierżyli piki, w prawych tarcze.

Rozglądali się czujnie, gotowi do boju. Bishop wiedział, że się boją, co właściwie było mu na rękę. Chciał, by żołnierze skupili się na zadaniu.

Na szczycie kamiennych murów Penwyth dostrzegł jedynie pięciu żołnierzy. To nie miało sensu. Choć z drugiej strony, czterej jego poprzednicy zdobyli Penwyth bez rozlewu krwi.

Cóż, Bishop nie prowadzi ze sobą armii. To będzie jasne nawet dla głupca. Stali spokojnie, by żołnierze Penwyth mogli im się dokładnie przyjrzeć i upewnić, że nie kryją się za nimi żadne wojska. Nie miałyby nawet gdzie się skryć, jako że poblizu rosło niewiele drzew. Zamek był dobrze ufortyfikowany, miał głęboką fosę, choć w tej chwili zupełnie suchą. Most zwodzony podniesiono i zamknięto. Każda z czterech okrągłych wież miała co najmniej dwanaście metrów wysokości. Nie dostrzegł żołnierzy w basztach ani w okienkach



strzelniczych. Zdumiewające.

Podjechał do krawędzi fosy i zakrzyknął:

- Nazywam się sir Bishop z Lythe. Przysyła mnie król

Edward. Nie zamierzam nikomu wyrządzać krzywdy.

Pozwólcie nam wjechać, byśmy mogli wam przedstawić  
wolę króla.

Głowy pięciu żołnierzy zniknęły. Minęło kilka minut.

Wiał gorący, suchy wiatr, niosący lepki kurz, który  
osiadał na twarzy i wciskał się w ubranie.

- Zaklinam się, że spod jednego z hełmów wystawały  
długie siwe włosy! - szepnął dowódca żołnierzy, Dumas. -

Co to za miejsce?

- Mam nadzieję, że zdołamy się tego dowiedzieć,  
zanim zginiemy.

Wreszcie na blankach pojawił się siwowłosy starzec  
i przytknął dłoń do ust.

- Jestem lord Vellan de Gay - krzyknął. - Twierdzisz,  
że nazywasz się sir Bishop z Lythe. Nigdy o tobie nie  
słyszałem. Skąd mam wiedzieć, że przybywasz tu od  
króla?

- Nie jestem w stanie podbić twojego zamku, lordzie

Vellan - odkrzyknął Bishop. - Zdjął hełm, by wiatr

osuszył pot na jego twarzy. - Mam przy sobie tylko

jedenastu żołnierzy. Jak widzisz, nie ma tu skał ani drzew,

za którymi mogłaby się ukryć wroga armia. Możesz, jak sądzę, zaryzykować i wpuścić nas do Penwyth.

Przysięgam na Boga, że nie mamy wrogich zamiarów.

Jestem tylko posłańcem królewskim.

Lord Vellan stał na blankach. Gęste siwe włosy powiewały wokół głowy w podmuchach gorącego wiatru.

Bishop żałował, że nie widzi jego twarzy, lecz stał za daleko, poza tym zbyt wiele włosów furkotało przy twarzy starca, mieszając się z białą brodą.

Lord Vellan nic więcej nie powiedział. Po chwili zgrzytnęły grube łańcuchy i ciężki most zaczął się powoli opuszczać ponad suchą fosę.

Potem podniesiono bronę. Bishop skinął głową do swoich ludzi i lekko dotknął ostrogami boków

Nieustraszonego. Ogier szarpnął się mocno, podrzucił głową i zarżał donośnie.

Ku zdumieniu rycerza odpowiedziało mu stłumione rżenie z zamku. Najwyraźniej w stajniach kryła się klacz.

Tego tylko mu było trzeba! Klacz w pobliżu jego

Nieustraszonego, najbardziej jurnego rumaka w całej Anglii! Powinien w zasadzie wykastrować konia, lecz na ogół lubił jego narowistą i złośliwą naturę.

Poprowadził swoich ludzi pod broną. Nie był w stanie nie patrzeć na szpikulce i nie obawiać się, że w każdej

chwili mogą spaść mu na głowę i rozszcześcić go na dwoje. W tej chwili dopiero zdał sobie sprawę, że zamek należy do niego. Czy też, że będzie należał do niego, gdy lord Vellan uda się na spotkanie ze swoimi przodkami.

O, tak. To jego brona, jego most zwodzony i jego wysuszona fosa!

Minął zewnętrzny dziedziniec i przez bramę w grubym murze dostał się na dziedziniec wewnętrzny. Przystanął, wsłuchując się w dźwięki wypełniające duszną przestrzeń poza zamkowymi murami. Młot kowalski dźwięczał jak grom. Psy szczekały wściekle, dzieci płakały, a dorośli śmiali się i pokrzykiwali do siebie. Gdy tylko mieszkańcy miasteczka zobaczyli Bishopa i jego ludzi, zapadła grobowa cisza. Młot umilkł, nawet zwierzęta ucichły.

Bishop wiedział, co widzą mieszkańcy. Przyszłego, piątego z kolei, niebawem już martwego męża swojej pani. Zapewne zastanawiają się, jaką śmiercią skona.

Z uśmiechem zatrzymał konia kilka kroków przed kamiennymi schodami wiodącymi do Wielkiej Sali. Spojrzał na stojącego na stopniach starca. U jego boku kołysał się miecz, długi niemal do ziemi i uwieszony na szerokim skórzanym pasie, który zdawał się przecinać starca niemal na pół. Za pas wsunięty był również koniuszek długiej białej brody.

Stał wyprostowany, o wiele bardziej godny i dumny niż ojciec Bishopa. Widać było, że starzec ma więcej honoru niż powinien mieć zwykły śmiertelnik.

- Lordzie - odezwał się Bishop. - Jestem Bishop z Lythe i przybywam do ciebie z wieściami od króla.

Zza starca dał się słyszeć dziewczęcy głos, nie piskliwy i zalotny, lecz ostry, zabarwiony podejrzaniem.

- Bishop, dziadku? Czy ten człowiek sądzi, iż uwierzmy mu, że król posłał do nas kapłana?

Czyżby była to dziewczyna, która prawdopodobnie nie ma biustu, za to ma ładnie wykrojony podbródek?

I piękne rude włosy?

- Źle usłyszałaś moje imię, pani - powiedział grzecznie.

Wysunęła się zza pleców dziadka. Dziewczyna, którą miał poślubić i która będzie jego żoną, dopóki nie wyzwoli się z więzów śmiertelnego ciała. Nie uśmiechała się, więc nie mógł stwierdzić, jakie ma zęby. Podbródek miała istotnie ładny, w tej chwili uniesiony wysoko na znak upor. Linie ładnych warg wykrzywiały wyraz nieufności, który dominował obecnie na jej obliczu.

- Powiedziałaś,

że

jesteś

Bishopem

Z

Lythe.

Z pewnością jesteś zatem kapłanem. Dlaczego król przysłał do nas kapłana? Czyżby planował użyć kościelnej władzy, by napomnieć mojego dziadka i wmówić mu, że pójdzie prosto do piekła, jeśli nie przestanie się upierać przy tym, bym stała się jego dziedziczką? Ja, słaba kobieta, zupełnie bezwartościowa w oczach Kościoła?

- Jeśli twoje myśli są równie pokrętne jak słowa, zdaje się, że powinienem się zacząć zastanawiać, czy nie postradałaś przypadkiem rozumu – odparował Bishop.

Obraził ją celowo, by zobaczyć, jak panna zareaguje.

Sprężyła się, jakby chciała odepchnąć dziadka z drogi i rzucić się na Bishopa. Mocno zacisnęła pięści. Po chwili milczenia Bishop przemówił:

- Nie. Nie przyjechałem w tym celu.

Lord Vellan ujął wnuczkę za rękę i ścisnął ją lekko.

- To moja wnuczka i dziedziczka, lady Merryn de Gay - powiedział. - Skoro nie jesteś kapłanem i nie przybyłeś w celu, który sugeruje moja wnuczka, po co zatem przybyłeś do Land's End w środku suszy, gdy wszystko wokół nas umiera?

- Król przysłał mnie, bym przełamał klątwę ciągnącą nad Penwyth, lordzie Vellanie. Nie jestem kapłanem, za to

posiadam tajemną wiedzę - Bishop przemawiał bez wahania, patrząc lordowi Penwyth prosto w oczy. - Jestem uczonym. Ludzie zwykle uważają mnie za czarodzieja, gdyż posiadam dar rozumienia nadprzyrodzonych sił.

Słyszałem, że klątwa zgładziła już czterech rycerzy, bez wątpienia musi to być potężne zaklęcie, jednak wierzę, że sobie z nim poradzę. - Bishop się uśmiechnął.

Lord Vellan zamrugał gwałtownie. Bishop uznał, że to dobry znak. Starzec odgarnął gęste, siwe włosy z twarzy i szepnął:

- Czarodziej, powiadasz?

- Tak twierdzą.

- Nigdy wcześniej nie spotkałem człowieka, o którym powiadają, iż jest czarodziejem. Jeśli chodzi o klątwę, to muszę wyznać, że chroniła ona nasz zamek. Czterej rycerze, których zniosła z powierzchni ziemi, byli najeźdźcami. Wrogami, którzy zmusili mą wnuczkę do zamęścia. Ty zaś twierdzisz, że król chce, byś zdjął tę klątwę?

- Owszem, zgadza się.

- Nie rozumiesz tego? Przecież my chcemy, by nadal nas chroniła! - Merryn zrobiła krok w jego stronę. Głowę trzymała wysoko, plecy miała wyprostowane, oczy zmrużone. Była gotowa w każdej chwili rzucić mu się do

gardła, a potem pokonać wszystkich jego ludzi. - Klątwa już cztery razy ochroniła nasz gród. - Wystawiła mu przed oczy cztery palce. - I ocaliła również mnie.

- Miła pani - odezwał się Bishop surowym głosem - pochowałeś już czterech mężów. Nie będziesz więcej grzebać rycerzy. Król tego zabrania.

- Skoro król sobie tego nie życzy, niech tak będzie.

Następnych nie będziemy już chować. Niech ich wraże cielska zgniją na błoniach u stóp grodu. A skoro mowa o moich czterech mężach, wspomnę tylko, że jeden z nich nie miał ani jednego zęba, choć nie był starszy od mojego ojca, który umierając, miał jeszcze wszystkie. Był odrażający. Posłuchaj mnie, *sir*, wszyscy oni byli na wskroś źli. Z całego serca się cieszę, że nie żyją.

- Który z nich nie miał zębów?

- Trzeci z kolei, Flammond de Geoffrey - odparła Merryn. - Najemnik, który ledwo mówił po angielsku.

- Zmusił ją, by go pocałowała, i wessał się w nią bezzębnymi ustami. - Lord Vellan zadrżał z obrzydzenia. -

Nie mogłem na to patrzeć. Merryn trzasnęła go w ucho.

Nie mógł jej zabić, gdyż potrzebował dziedzica z jej łona, postanowił więc na jej oczach zabić jednego ze sług.

Sześciu jego zbirów schwytało Crispina i Geoffrey uniósł nad nim miecz. Nagle wypuścił go z rąk, szeroko

otartymi oczami zapatrzył się w sufit, jakby kogoś na nim zobaczył, po czym zaczął przeraźliwie krzyczeć i wymiotować pianą.

- O, tak - potwierdziła Merryn. - Piana wypływała z jego ust, on zaś krzyczał i dławił się nią. Wreszcie padł na podłogę, rozdrapując sobie gardło.

Bardzo zgrabne przedstawienie, pomyślał Bishop.

Świetnie je zagrali. Wszyscy słuchacze pewnie umierają ze zgrozy. Zastanawiał się, czy to ogóle prawda.

- Nie mam nic wspólnego z twoim trzecim mężem, lady Merryn - powiedział obojętnie. – Wątpię, by którykolwiek z nich w głębi serca chciał cię ślubie. Mężczyźni zrobią wszystko, by dostać to, czego pragną.

Mógłby przysiąc, że zakłęła bezgłośnie. Ktoś powinien nauczyć ją, jakie zachowanie nie przystoi wdowie.

Ignorując jej miny, mówił dalej:

- Znowu źle mnie zrozumiałaś, pani. Powiem to wyraźnie, by nawet najslabszy rozum mógł pojąć me słowa: Nie będzie więcej śmierci w Penwyth. Taka jest wola króla!

- Na wszystkich aniołów, co za bzdury. Król przysłał tu jakiegoś idiotę - warknęła cicho Merryn. Bishop jednak usłyszał jej słowa.

- Nie jestem idiotą. - Bishop czuł, że już najwyższa pora



na otwarte wystąpienie przed wszystkimi mieszkańcami.

Powinni zacząć się go obawiać. Zakrzyknął głośno: - Nie igraj ze mną, *madame*. Jestem czarodziejem i posiadam ukryte moce. Jeśli zaś one mnie zawiodą, jestem również wojownikiem i potrafię bez trudu rozszcześcić czaszkę wrogowi.

- Sir Bishopie, czarodzieju i wojowniku - krzyknęła dziewczyna. - Jak zamierzasz rozszcześcić czaszkę demona z druidzkiej klątwy?

- Zrobię to tym niewidzialnym mieczem - odrzekł i przeciął powietrze zamaszystym cięciem. Jeden ze starszych rycerzy Penwyth odskoczył na bok. - Widzisz? Ten człowiek poczuł ruch klingi niewidzialnego miecza.

Merryn roześmiała się pogardliwie. Bishop wsunął

niewidzialny

miecz

do

niewidzialnej

pochwy,

uśmiechając się spokojnie. Słyszał gwar przyciszonych rozmów mieszkańców zamku.

- Słyszałam, jak miecz z sykiem ciął powietrze.

Naprawdę słyszałam! - pisnęła jedna kobieta.

- Czułam zapach rozżarzonej klingi - powiedziała druga

i przeżegnała się.

Świetnie - pomyślał Bishop. - Groźba nadprzyrodzonych mocy powinna nauczyć szacunku nawet niepokorną dziewczynę.

- Czy to papież, tato? - zapytał mały chłopiec.

- To grzesznik, taki jak my - prychnęła Merryn. - Cała się trzęsę ze strachu przed jego niewidzialnym mieczem.

Uśmiechała się tak złośliwie, że miał szczerą ochotę wymierzyć jej siarczysty policzek. Powstrzymał się jednak.

- Zobaczysz jeszcze. Czy ty, pani, oraz lord Vellan zgadzacie się ze mną? Żadnych więcej śmierci w Penwyth?

- Nie jesteśmy magikami i nie potrafimy zapobiegać śmierci, sir Bishopie - powiedziała, wciąż szczerząc się bezczelnie. - Sądziś, że Penwyth jest siedliskiem wiedźm?

Wiedźm? - pomyślał Bishop. - O, tak. Z łatwością mogłaby uchodzić za wiedźmę, skoro tak miele ozorem.

- Zdaje się, że muszę mówić jeszcze jaśniej - stwierdził.

- Nie będzie więcej dziwnych śmierci w Penwyth, czy to świeżo poślubionych małżonków, czy wędrownych kramarzy, którzy was oszukali na dwa pensy.

- Czy powinniśmy dołączyć do tej listy mężczyznę,

który uważa się za biskupa i oczekuje, że będziemy go traktować z niezasłużonym szacunkiem?

Odetchnął głęboko i odparł:

- Jeśli tu zginę, ściągniecie sobie na kark gniew króla. -

Zamilkł na chwilę. Cieszył się, że lord Vellan i mała

wiedźma najwyraźniej go rozumieją. Przynajmniej

Dienwald miał rację co do jej włosów. Czerwone jak

zachód słońca. Czerwone jak grzech, jak wrota piekieł.

Koloru jej oczu jeszcze nie zdołał dostrzec. Odezwał się

spokojnie: - Ja i moi ludzie jesteśmy spragnieni.

Przyjechaliśmy St. Erth.

- To zaledwie dwadzieścia pięć mil stąd - wzruszyła

ramionami Merryn. - Skoro nie jesteś w stanie pokonać

nawet tak krótkiej drogi, to dlaczego nie machniesz sobie

nad głową, nie wypowiesz zaklęcia i nie pojawisz się

przed nami w obłoku dymu?

Nie zwrócił na nią uwagi. Nie miał wyboru. Mógł ją

tylko zignorować albo zsiąść z konia i zamienić w mokrą

plamę. Co za kusząca wizja! Bishop westchnął.

- Czy pozwolisz nam wejść do Wielkiej Sali, lordzie

Vellan? Mam list od króla adresowany do ciebie,

w którym przeczytasz, że wypełniam jedynie jego wolę.

- Oczywiście, wejdźcie, wejdźcie - powiedział lord

Vellan. - Merryn, zwołaj służbę. Niech wniosą jadło

i napitki dla fałszywego kapłana i jego ludzi.

- Nie jestem fałszywym kapłanem - cierpliwie

powtórzył Bishop. - Ojciec nadał mi imię Bishop.

Nie powinno się drwić z cudzego ojca ni z imienia, jakie

postanowił nadać synowi. Miał nadzieję, że zechcę

wstąpić w szeregi mnichów, ja jednak mam inne plany.

Przed moim nazwiskiem obecnie stawia się „sir”, więc nie

ma potrzeby kłopotać się z imieniem, jeśli jest dla kogoś

zbyt trudne. - Spojrzał na Merryn i dodał: - No, chyba że

ktos jest zbyt ograniczony, by to pojąć.

- Sir Bishop - powiedziała Merryn, smakując każdą

głoskę z osobna. - To brzmi niedorzecznie.

- Nie dziwię się, że już cztery razy owdowiałaś,

*madame* - westchnął Bishop. - Twój niewyparzony język

sprawia, że każdy mężczyzna natychmiast kładzie się do

grobu.

- Niestety, każdy, oprócz ciebie - wypaliła.

Uśmiechnął się do niej promiennie.

- Ach, to dlatego, że nie przyjechałem, by cię

poślubić, lady Merryn. - Przeżegnał się z na-

maszczeniem, słysząc jej wściekły syk.

Wciąż się szeroko uśmiechał, gdy odwróciła się na

pięcie i sztywno pomaszerowała po schodach i przez

szerokie drzwi do Wielkiej Sali. Spojrzał na schody,

zachwycając się wytartymi kamiennymi stopniami, szerokimi w sam raz dla jednego mężczyzny i zbyt stromymi, by wojownik stojący niżej miał jakiegokolwiek szansę w starciu z obrońcą. Wspaniałe schody! Przez chwilę zastanawiał się, jak wiele osób chodziło po nich przez ostatnie kilkaset lat.

Miał szczerą nadzieję, że zdoła wejść po nich jeszcze wiele razy, zanim obróci się w proch i pył. Sądząc po nerwowych szeptach za plecami, domyślił się, że jego rycerze nie spodziewają się, by miał dożyć tak sędziwego wieku jak lord Vellan.

Rozdz

d ia

i 15

Wielka Sala zamku Penwyth okazała się przestronną komnatą o wysokim sklepieniu poczerniałym od dymu przez lata wydobywającego się z ogromnego kominka przy jednej ze ścian. Bishop nie mógł się otrząsnąć z dziwnego wrażenia, że oto po długiej podróży wrócił do własnego domu.

Domu?

Zdumiewające, lecz prawdziwe. Czuł się ukojony. Czuł się tak, jakby znalazł się w swojej własnej Wielkiej Sali. Odetchnął głęboko delikatnym zapachem dymu i wonią

sierści psów myśliwskich, które stanęły za lordem Vellanem. Czuł także zapach suchego, przegrzanego powietrza. Zaszło mu w ustach. Lord Vellan ma rację. Susza niszczy Penwyth.

- Mamy szczęście, że nasze studnie są niezwykle głębokie - powiedział lord Vellan, siadając na wspaniałym fotelu o poręczach rzeźbionych w kształcie lwich łbów. Paszcze były rozwarte w niemym ryku. - Gdyby nie to, już dawno zabrałby nam wody dla mieszkańców zamku i zwierząt. Co innego ziemia. Jeśli niedługo nie spadnie deszcz, wszystkie nasze uprawy zmarnieją i będę się poważnie obawiał o nasze życie.

- Od kiedy trwa susza?

- Od kiedy pojawił się tu pierwszy kandydat na męża Merryn i padł martwy na swój talerz. Może zaczęła się nieco wcześniej, nie jestem pewien.

- Być może, jeśli uwolnisz nas spod władzy klątwy, znów zaczniesz padać - odezwała się Merryn, a jej twarz rozjaśnił uśmiech. - Byłby to przynajmniej jeden plus całego tego zamieszania.

Niejedyny, pomyślał Bishop, dochodząc do wniosku, że wspaniale by się prezentował w fotelu lorda Vellana.

- Usiądźcie za stołem - powiedział lord Vellan. - Ale przystawcie go tu bliżej, żebym nie musiał do was

krzyczeć.

Ciężkie buty żołnierzy zachrzęściły na sitowiu rozłożonym na posadzce. Bishop pomógł przestawić stół bliżej lorda i stojąc u szczytu, gestem zachęcił żołnierzy, by siadali na długich ławach.

Nagle zaświtała mu w głowie pewna myśl. Pojawiła się zniecka, jasna i klarowna, jak zwykle jego nagłe olśnienia, które nawiedzały go, odkąd był jeszcze małym chłopcem. Odetchnął głęboko, upewnił się i uśmiechnął.

- Lordzie Vellanie, mam dla ciebie wspaniałą wiadomość - powiedział wreszcie.

- Jaką? Że wyjedziecie stąd, gdy tylko wypijecie wino?

- zapytała niewinnym głosem Merryn.

- Nie. To o wiele lepsza wiadomość niż nasz wyjazd.

- Nie mogę sobie wyobrazić lepszej wieści - stwierdziła Merryn.

Bishop wciąż się uśmiechał.

- W takim razie nic ci powiem i pozwolę ci się nad tym zastanawiać. Obawiam się jednak, że to może całkowicie osłabić twój i tak nietęgi rozum.

Widział, że Merryn nie potrafi znaleźć żadnej ciętej riposty. Mógł odczytać z jej twarzy każde uczucie i domyślił się, że dziewczyna nie potrafi kłamać. Jej twarz była niesłychanie intrygująca. Może nie dosłownie piękna,

lecz o regularnych rysach i pełnych życia, wydatnych wargach. Zaś jej , niezwykle oczy, okazały się dokładnie takie, jakie zapowiadała klątwa - zielone jak blask pożądania. Patrząc w nie, czuł nagły przypływ żądy. Nie było w tym nic niestosownego, skoro miał ją poślubić, jednak czuł się zaskoczony. Nieczęsto zdarzało mu się w jednej chwili twarzenie na podobieństwo kamiennych posągów.

A jednak. Od samego spoglądania w jej oczy jego męskość nabrzmiała. Zdał sobie sprawę, że pragnie zobaczyć jej rude włosy, rozplecione, rozczesane i puszczone luźno na ramiona. Czy Merryn jest dzika i grzeszna? Wkrótce się pewnie przekona, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jeśli nie zginie, przyszłość jawi się w doprawdy interesujących barwach.

- Ha! - wykrzyknęła Merryn, gdyż nic bardziej błyskotliwego nie przyszło jej do głowy. Trudno, pokonał ją. Westchnęła: - Dobrze zatem, sir Bishopie. Słucham uważnie. Co jest lepsze niż kolejny martwy mąż?

Bishop pokręcił głową.

- Być może, gdy nabierzesz nieco ogłady i zwrócisz się do mnie słodkim, grzecznym tonem, odpowiem.

- Jeśli będziemy czekali na ogładę i uprzejmość mojej wnuczki, wszyscy się postarzejemy - powiedział lord



Vellan.

- Ty już jesteś stary, dziadku.

- A nawet o wiele za stary, Merryn. Sir Bishopie, ja zwracam się do ciebie grzecznie i uprzejmie: jakie dobre wieści przynosisz?

Bishop spojrział na Merryn.

- Niech będzie - prychnęła. - Cóż to za niedorzeczne wieści?

- Będzie padać.

Lord Vellan z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Deszcz? Przepowiadasz deszcz? Nikt nie może przepowiedzieć pogody.

- Przekonacie się - odparł Bishop.

Merryn mruknęła coś pod nosem, a potem powiedziała na głos:

- Usiądź, sir Bishopie. - Nalała mu wina do pięknego cynowego pucharu. - Twierdzisz, że potrafisz przewidzieć deszcz? Czy masz może jakieś bliższe informacje o wiedźmach z Byrne lub druidzkich kapłanach? Czy naprawdę jesteś czarodziejem? Czy był to kiepski żart?

- Powiedziałem, że tak o mnie mawiają. - Jestem mistrzem w gładkich kłamstewkach, pomyślał Bishop, wspominając starszych braci, największych łgarzy w Anglii. - Jeśli chodzi o deszcz, wyznaję, że wyczuwam

jego zapach w powietrzu. Już jako dziecko czułem zapach deszczu. - Bishop postukał palcem w nos. - Nigdy się nie zawiodłem. Najpewniej będzie padało jutro, najpóźniej pojutrze.

Parsknęła drwiąco.

- Jak to robisz, sir Bishopie? - zapytał lord Vellan. -

Skąd otrzymałeś taki dar?

- Być może mam go po babce - odparł Bishop. - Gdy byłem mały, słyszałem, jak matka opowiadała, że babka umiała dokonywać niewyjaśnionych rzeczy. - Wzruszył ramionami. - Wydaje mi że masz rację, lordzie Vellan.

Wyczuwanie deszczu jest swego rodzaju darem.

Na twarzy lorda Vellana dostrzegł przebłysk nadziei, lecz Merryn wciąż patrzyła na niego z niedowierzaniem.

Z pewnością mu nie wierzyli. Dlaczegoż mieliby wierzyć?

Dopiero co pojawił się w ich grodzie, twierdząc, że jest

czarodziejem, teraz zaś przewiduje opady deszczu

w spustoszonej suszą kraju. Przynajmniej w tej jednej

sprawie nie kłamie. Pierwszy raz wyczuł nadchodzący

deszcz, mając trzy lata.

Wysłuchał

się

w

głosy

służby

i

żołnierzy

rozmawiających cicho pod ścianami Wielkiej Sali

podniósł puchar. Kątem oka zerknął na lorda Vellana.

Merryn naląła dziadkowi wina z tej samej rafki. Bishop

wciąż jednak bał się napić, a choć nienawidził siebie za te

obawy, nie mógł nic poradzić. Wiedział też, że przekłeta

wiedźma z łatwością odczytała strach malujący się na jego

twarzy.

Roześmiała się, chwyciła jego puchar i upiła porządny

łyk. Otarłszy usta dłonią, oddała mu puchar.

- Skoro nie wdarłeś się tu siłą ani nie zmusiłeś mnie do

małżeństwa, jesteś całkowicie bezpieczny. Klątwa cię nie

doścignie. - Zamilkła na chwilę, po czym zmarszczyła

brwi, celowo usiłując go rozzłościć. - Przynajmniej na

razie. Któż może przewidzieć, jak działa starożytna

klątwa? Może przez wieki działa właściwie, a potem coś

się psuje?

Wiedźma roześmiała się wesoło.

Lord Vellan wznosił puchar.

- Jeśli rzeczywiście spadnie deszcz, będę twoim

dłużnikiem, sir Bishopie. Gród Penwyth będzie twoim

dłużnikiem. - Zerknął z ukosa na wnuczkę. Czyżby w jego

starych oczach czaiła się groźba?

Bishop był zadowolony. Uważał, że to dobrze, iż jego przyszli poddani mają u niego dług. To mu sprawiało przyjemność.

- Niech będzie błogosławiony Bóg Ojciec i zastępy jego aniołów - wykrzyknął, zastanawiając się w duchu, skąd przyszedł mu do głowy podobny toast. Wypił połowę wina jednym haustem. Spodziewał się kwaśnych popłuczyn, jednak napitek okazał się przedni. Bishop oblizwał kroplę z brzegu pucharu. Nie był przekonany, czy jest zatrute, czy też nie. Tak czy siak, było już za późno, by się nad tym zastanawiać. Za późno dla nich obojga, skoro jego przyszła żona również spróbowała. Resztę wina wypił, patrząc jej prosto w oczy, Merryn zaś spoglądała na niego z drwiącym uśmiechem.

Słyszając ciche głosy żołnierzy, domyślił się, że uważają go za szaleńca. Nie winił ich za to. Zwykł chodzić w bój z większą pewnością siebie niż teraz, pijąc wino, które przyjął z rąk wiedźmy obserwującej go z uśmiechem. Ta wiedźma powinna mieć czarne, splątane włosy i ostatnie dwa zęby, nie zaś ciasno splecione warkocze upięte wokół głowy na kształt korony. Jej włosy były czerwone jak nos pijaka, jak zachód słońca w Irlandii, jak szaleństwo. Jeśli zaś chodzi o zęby, okazały się proste i olśniewająco białe.

Cóż, może i Merryn ma jakieś zalety, choć na razie nie był o tym przekonany.

Merryn dolała mu wina. Bishop widział doskonale, że świetnie się bawi całym tym przedstawieniem. Wzniósł puchar.

- Pijcie, chłopcy - powiedział do swoich żołnierzy. -

Wino jest wyborne.

- Żołnierze nie dostali wina, sir Bishopie. Nalałam im piwa z naszego browaru. Nie obawiajcie się, dzielni rycerze - rzekła do jego ludzi, którzy niemal pospadali z ław z ulgi. Wszyscy chwycili oprócz Dumasa, który

wciąż

wyglądał,

jakby

miał

chęć

ją

związać

i zakneblować. Merryn odezwała się do niego: - To

najlepsze piwo w Kornwalii. Według przepisu mojej matki.

Dumas odchrząknął.

- Gdyby była pani tak uprzejma i pozwoliła nam jednak skosztować wody z waszej studni...

Merryn się roześmiała. Po prostu śmiała się do rozpuku z jego dzielnych żołnierzy, których przed chwilą wystraszyła niemal na śmierć.

- Jak ci na imię, *sir*?

- Dumas, proszę pani.

- Czy od dawna znasz fałszywego kapłana?

- Owszem, proszę pani. Poznałem go, gdy był jeszcze niedojrzałym siedemnastolatkiem.

- Widzę, że dojrzał już wystarczająco - rzekła Merryn, spoglądając na Bishopa. Nie była ślepa, musiała widzieć, że w żadnym razie nie może go uznać za niedojrzałego.

Był dobrze zbudowany, silny jak Prince - najlepszy chart jej dziadka, mięśnie miał krzepkie i twarde. Czarne, gęste włosy

ocieniały

jego

twarz,

zaś

oczy

miął

ciemnogrnatowe. A do tego jeszcze ta przekłeta,

przystojna twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi,

a usta... Nie, nie będzie patrzyła na jego usta, gdyż na ich

widok zaczynają ją przepełniać doprawdy dziwaczne

uczucia. Był nieziemsko przystojny i zapewne doskonale o tym wiedział. Prawdopodobnie odkąd dorósł na tyle, by można było całować jego usta i dotykać smukłego ciała, uganiały się za nim całe zastępy swawolnych panien. Nawet zęby miał proste i białe. Z pewnością ma jakieś wady, ale do tej pory nie zdołała ich znaleźć. Będzie musiała lepiej mu się przyjrzeć.

Merryn z trudem oderwała od niego wzrok. Sączyła wino, czekając, aż dziadek przeczyta list od króla.

Lord Vellan milczał. Pomyślała, że z pewnością jeszcze nie przejrzał mężczyzny, który znienacka pojawił się w ich grodzie i przepowiedział deszcz, twierdził, że jest uczonym i rozumie zjawiska nadprzyrodzone.

Który jest czarodziejem.

Czarodziejem.

Z pewnością prócz czarownic kryjących się w jaskiniach

nieopodal,

nie

istnieli

już

czarodzieje

i czarownicy. Czarownic z Byrne zostało już zaledwie

kilka i rzadko je widywano.

Sługa podał lordowi Vellanowi potężny krąg sera na drewnianej tacy. Starzec odkroił spory kawałek, schował nóż do pochwy przy pasie i zaczął jeść, marszcząc brwi.

Bishop był ciekaw, czy to ser mu nie smakuje, czy też gnębią go jakieś myśli. Wreszcie Vellan odchrząknął i rzekł:

- Poproszę o list od króla, sir Bishopie.

Rycerz wyciągnął zwój pergaminu z kieszeni tuniki i podał go starcowi. Poznaczone żyłami, pomarszczone dłonie lekko drżały, gdy Vellan rozwijał pismo. Bishop ze zdumieniem przyglądał się jego gęstym, siwym włosom i długiej brodzie, której koniuszek tkwił za pasem. Ileż lat może mieć Vellan? Z pewnością jest starszy niż pył zalegający zamkowy dziedziniec.

- Gdy byłem jeszcze małym chłopcem, poznałem twojego syna, sir Thomasa de Gaya - powiedział nagle Bishop. - Był wspaniałym rycerzem. Było mi bardzo przykro, gdy usłyszałem o jego śmierci na królewskim turnieju.

Merryn nagle zastygła. Nie odezwała się słowem, jakby na coś czekała. Fałszywy kapłan poznał jej ojca? Poczwała ostrze bólu. Nie pamiętała twarzy ojca.

- Syn powinien być zostać w domu - stwierdził cierpko lord Vellan. - Jednak mężczyźni lubują się w przemocy



i szukają okazji, by się sprawdzić. Moim zdaniem on tego nie potrzebował i powinien być zostać w domu, nie chciał jednak słuchać - Lord Vellan podał Merryn pergamin.

Bishop otworzył szeroko usta ze zdumienia.

- Dlaczego dajesz jej królewski list, mój panie?

Przecież to dziewczyna. Ona nawet nie ma pojęcia co oznaczają te znaczki na papierze. Przecież nie...

Zamilkł, gdy zawartość kielicha z winem rozprysnęła mu się na twarzy. To było wprost nie do wiary! Przecież jest gościem! Rycerzem! Na Boga, jest czarodziejem!

A ona wylewa mu wino prosto w twarz? I tylko dlatego, że powiedział...

Merryn była wstrząśnięta, zawstydzona i przerażona - widział wyraźnie wszystkie uczucia na jej twarzy. Czytał w niej z o wiele większą łatwością niż pisma.

- Proszę o wybaczenie, to był nieprzemyślany ruch. To moja wina. Skoro jesteś czarodziejem, czy zmiażdżysz mnie za to swą mocą?

Bishop spokojnie wytarł wino rękawem. Spojrzał na nią, jakby była nędznym prochem i z zadowoleniem spostrzegł, że zastygła i się zarumieniła. Po chwili powiedziała jednak:

- Potrafię czytać lepiej niż ty.

Nie była to jednak prawda. Wciąż jeszcze musiała

przeczytać niektóre wyrazy na głos, by zrozumieć, co oznaczają, nie miała jednak zamiaru się do tego przyznawać. Odwróciła się plecami i zaczęła uważnie czytać dokument. Na całe szczęście, zrozumiała prawie wszystko. Podniosła głowę i uśmiechnęła się słodko.

Bishop pomyślał, że to nawet ładny uśmiech, mimo że fałszywy jak bujdy minstrelów.

- Wybacz, że wylałam na ciebie wino, sir Bishopie.

Zachowałam się niegrzecznie i z całego serca za to przepraszam. I dziękuję ci za to, że mnie nie spaliłeś.

- Twoja skrucha jest równie prawdziwa, jak pragnienie ponownego zamążpójścia, moja damo. Mówisz to tylko dlatego, że naprawdę obawiasz się mej mocy. Wizja surowej kary dla ciebie coraz bardziej mnie kusi, więc łaskawie powściągnij swój język i temperament.

- Oczywiście. Nie chcę, byś poraził mnie swoją mocą.

Nie jestem głupia i zwykle nie bywam także niegrzeczna.

Bishop słyszał głębokie westchnienia ulgi wśród swoich żołnierzy. Wiedział, że gorąco się modlili, by nie dał się ponieść gniewowi, nie poderwał zza stołu i nie cisnął kobietą o sitowie. A potem zginął porażony klątwą.

W końcu klątwa mogła dosięgnąć pana wraz z załogą.

Uśmiechnął się do niej paskudnie.

- Co myślisz o królewskim liście, moja pani? Zgadzasz

się z królewskimi rozkazami?

- Jeśli o to chodzi, liczy się wyłącznie zdanie mojego dziadka - powiedziała z uśmiechem. Bishop zatrzęsł się ze złości, że z taką łatwością uniknęła zasadzki. Kobieta, która potrafi czytać, paradne! On sam nauczył się czytać wyłącznie dlatego, że lord Losenthrope miał brata, który został mnichem i uwielbiał nauczać. Bishopowi nie podobały się lekcje i ślęczenie nad manuskryptami, jednak teraz doceniał umiejętność czytania. Zawsze mógł sam sprawdzić rachunek do zapłacenia, kontrakt czy weksel. To prawda, trudno oszukać człowieka, który potrafi czytać.

- Ach, tak - powiedział Bishop, nie poddając się łatwo. - Jednak wydaje się, że lord Vellan wysoko ceni sobie twoje zdanie. Zapewne uważa, że masz więcej oleju w głowie niż większość niewiast. Król powiedział mi, że zasypuje go petycjami, by uczynił cię dziedziczką i baronową Penwyth. Może gdybyś powiedziała królowi, że potrafisz czytać, władca przychyliłby się do tych próśb. - Uśmiechnął się krzywo. - Choć wątpię w to. Kobieta, która potrafi czytać, jest czymś w rodzaju kaczki, która potrafi śpiewać.

Spodziewał się, że Merryn wybuchnie gniewem i czuł już żar jej wściekłości na całym ciele. Cieszył się też, że

panna nie ma żadnego wina pod ręką.

A jednak nie wybuchła. Siedziała bez ruchu jak

proporzec

w

bezwietrzny

dzień.

Wykazała

się

niesamowitym opanowaniem, co wydało mu się ważne,

skoro miał zostać jej mężem. Po chwili powiedziała:

- Król powinien to zrobić. Powinien zaufać słowom  
mojego dziadka.

- Nie bądź śmieszna - wypali! Bishop, zanim się  
zastanowił. - Król wolałby oddać ten gród pod rządy owcy  
lub wilka niż w ręce kobiety! Przecież to nonsens! -

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że swoimi słowami  
obraża lorda Vellana, a także jego wiedźmowatą wnuczkę,  
więc dodał po chwili: - Nie wątpię w słusność twych  
intencji, lordzie Vellan, lecz Penwyth powinno należeć do  
mężczyzny, odważnego rycerza z doświadczeniem  
w walce.

- Jesteś stanowczo za młody, by posiadać takie  
doświadczenia.

- Zdobyłem o wiele więcej doświadczeń, niż wskazuje

na to mój wiek. Za to zauważyłem, że większość waszych strażników, a przynajmniej tych pięciu, którzy stoją tu pod ścianą, jest już w podeszłym wieku. Pewnie dlatego byliście zmuszeni oddać bez walki swój gród czterem najeźdźcom, czyż nie?

Lord Vellan roześmiał się głośno.

- Niedługo poznasz moich ludzi, sir Bishopie. W tej chwili strzegą mnie i Merryn. Cała ich uwaga skupia się wyłącznie na tobie. I wcale nie są w podeszłym wieku, przeciwnie. Jeszcze im do tego daleko. Może i nie walczą już jak wściekłe szczury, lecz wciąż potrafią mnie obronić oraz służyć dobrą radą. Są zdrowi i sprawni.

Jeden ze starych strażników zaczął kasłać. Służący, nie namyślając się wiele, wręczył mu kufel piwa.

- I co myśleli twoi ludzie, gdy w ciągu ostatnich czterech lat czterej rycerze pojawiali się u bram Penwyth, by przejąć władzę w grodzie?

- Uważali, że walka z najeźdźcami jest bez sensu - odparł spokojnie Vellan. - Twierdzili, że powinna ich zabić klątwa i tak też się stało. Wszyscy najeźdźcy zginęli od klątwy, zaś my wszyscy wciąż tu jesteśmy.

- Wpuszczaliście wrogie wojska do grodu? - zapytał Bishop. - Nie broniliście się w ogóle?

- Nie. Otwieraliśmy bramy, witaliśmy ich u stóp

schodów i lojalnie ostrzegaliśmy. Żaden nie szedł  
w objęcia śmierci, nie wiedząc, co mu grozi. Każdemu  
odczytałem klątwę i upewniłem się, że ją zrozumiał.  
Prosiłem, by odeszli i zabrali ludzi. Gdy odmawiali,  
hojnie ich gościłem. Nie chciałem, by ktokolwiek  
z mieszkańców grodu został skrzywdzony w walce.  
Nie chciałem rozlewu krwi. - Lord Vellan wzruszył  
ramionami. - Niestety, żaden z nich mi nie uwierzył.  
- Wydaje mi się, że czwarty pan młody, sir Basil  
z Ware, uwierzył dziadkowi. Jednak przyprowadził ze  
sobą pięćdziesięciu ludzi, których skusił widok bogactwa  
i żyznych gospodarstw, więc nie mógł się wycofać.

Widziałam,

że

z

uwagą

słuchał

opowieści

o poprzednikach i bał się. - Westchnęła. - Powiedział nam,

że przysłał go król. Kłamał, rzecz jasna, a demon klątwy

o tym wiedział. Nie był chciwym, żądnym władzy

człowiekiem, lecz to nie miało znaczenia. Klątwa

twierdziła, że zginie, i zginął.

- Odmówił jedzenia na uczenie weselnej - przypomniał

sobie lord Vellan - tłumacząc, że nie jest głodny. Było dla nas zupełnie jasne, że obawia się trucizny. Oświadczył, że chce natychmiast udać się panną młodą do łożnicy.

- I co się stało? - Bishop nie mógł powstrzymać pytania.

Z wypiekami na twarzy słuchał opowieści.

- Wziął mnie za rękę i zmusił, bym z nim wstała -

powiedziała Merryn. - Pocałował mnie na oczach całej

kompanii. Kazał mi wypić wino ze swojego kielicha, więc

wypiłam parę łyków. Wtedy odważył się dopić wino do

końca. Całował mnie raz po raz. Potem wypił jeszcze

więcej wina. Stał śmiać się głośno, po czym upadł nagle,

ciągnąc mnie za sobą. Zakrztusił się, a z nosa i z ust

zaczęła mu tryskać krew. Długo umierał. Wszyscy uwa-

żają, że to dlatego, iż skłamał, mówiąc, że przysłał go

król.

- Jego ludzie byli przerażeni - dodał lord Vellan. -

Umknęli, zanim zdołałem spełnić toast za duszę sir Basila.

- Żaden z twoich czterech mężów nie spał z tobą, lady

Merryn?

- O takich sprawach, sir Bishopie, rozmawiam

wyłącznie z Bogiem przy wieczornej modlitwie.

- Król pisze, że masz moc wyzwolić Penwyth spod

jarzma klątwy - powiedział lord Vellan. - Że posiadasz

starożytną tajemną wiedzę. Że nie tylko jesteś w stanie

pojąć i zgłębić moce rządzące tym zamkiem, ale że także możesz je pokonać. I że taki rozkaz otrzymałeś od króla.

- Zgadza się.

- Jeśli to zrobisz, sir Bishopie, zostawisz nas bezbronnych na pastwę kolejnego rycerza, który zapragnie ukraść nam Penwyth. To nie jest ni dobre, ni słuszne.

- Król w swej mądrości nie życzy sobie, by druidzkie klątwy pustoszyły jego kraj i zabijały poddanych. Ja jestem tylko jego wysłannikiem. Mam nadzieję, że wykonawcy owej klątwy, czy to demony, czy śmiertelnicy, zdają sobie sprawę, że jeśli tu zginę, król przyjedzie z armią i zdobędzie Penwyth, was zaś wydziedziczy, a nawet zgładzi.

- To niegodziwe! - wykrzyknęła Merryn. - Król zamierza nas karać za coś, czego nie zrobiliśmy? To nie ma sensu. W tysiąc sto siedemdziesiątym czwartym roku dziad mojego dziadka otrzymał ten gród z rąk króla Henryka II. Prawdę mówi mój dziadek - zostawisz nas na pastwę kolejnego chciwego i okrutnego rycerza.

Bishop wzruszył ramionami, nie odzywając się więcej. Widział, jak jej twarz robi się niemal równie czerwona jak włosy. Niech wybuchnie wściekłością! Spojrzał na lorda Vellana. Starzec siedział w fotelu z kamienną twarzą.

Znienacka



uśmiechnął

się,

okrutnym,

wrogim,

podstępным uśmiechem.

W mgnieniu oka Bishop doszedł do wniosku, że będzie musiał postępować bardzo ostrożnie. Gdyby w tym momencie król zapytał go o zdanie, byłby skłonny przysiąc, że starzec otruł wszystkich czterech mężów Merryn i że nie ma żadnej klątwy Penwyth. Jednak w tej chwili nic więcej nie mógł już zrobić. Uczynił wszystko, co było w jego mocy, by uchronić się przed śmiercią.

Rozdz

iał 16

Merryn podniosła głowę i spojrzała w niebo.

- Czyżbym poczuła kroplę deszczu na nosie? -

Zmarszczyła nos, przejechała po nim palcem i stwierdziła:

- Och, rety. To nie deszcz. Obawiam się, że to znów

podmuch gorącego wiatru niosącego kłęby kurzu. Gdzie

ten przepowiedziany deszcz, sir Bishopie?

Bishop odwrócił się na dźwięk jej głosu. Stał na

blankach przy jednej z wież, spoglądając na swoje

przyszłe włości. W duchu gratulował sobie, że wciąż żyje.

Oparł się o solidny kamienny mur. Parę kroków dalej stał

strażnik. Jego siwe włosy powiewały na wietrze. Kolejny starzec. Czy to Penwyth rodziło samych starych wojowników, czy też starcy z całej okolicy zbiegali się tutaj, by dożyć w spokoju swoich lat? Bishop nie przejmował się tym zbytnio. Gdy Penwyth będzie już jego własnością, znajdzie odpowiedź na dręczące go pytania.

Skrzyżował ramiona na torsie. Widząc, że z twarzy Merryn wciąż nie schodzi drwiący uśmieszek, odezwał się spokojnie:

- Nie sądzę, by deszcz miał spaść dzisiaj. Raczej jutro wieczorem. Od kiedy trwa susza?

Uśmiech dziewczyny zgasł.

- To już szósty miesiąc bez deszczu – powiedziała. -

Ludzie zaczynają szemrać, że to z powodu klątwy.

- Ach, pojmuję. Uważają, że klątwa może być zarówno błogosławieństwem, jak i utrapieniem/

- Właśnie.

- Ty zaś wierzysz, że więdźmy i dawno wymarli druidzi są w stanie kontrolować pogodę?

- Nie. Nie wydaje mi się. Jednak są ludzie, którzy w to wierzą.

- Susza zaczęła się cztery lata temu, gdy nadjechał pierwszy z twoich mężów?

- Trudno mi powiedzieć dokładnie, ale rzeczywiście

pogoda zaczęła się zmieniać mniej więcej tym czasie.

Najgorsza susza przyszła po śmierci czwartego najeźdźcy, sir Basila z Ware. Od tamtej chwili nie spadła ani jedna kropla deszczu.

- Wygląda na to, że sir Basil was przeklął, kręciła głową.

- Nie, to niemożliwe. To był zwykły rycerz. Trudno mi pogodzić się z myślą, że za tym wszystkim kryją się druidzcy kapłani, gdyż szczerze pragnę zaufać, że to Bóg kieruje naszymi losami na ziemi. - Stała teraz u jego boku, spoglądając w stronę morza. Na niebie nie majaczyła nawet najmniejsza chmurka. Słońce wisiało nad nimi ogromne i gorące, w twarze wiał suchy wiatr. - Mówiąc zupełnie szczerze, sama już nie wiem, w co mam wierzyć.

- Powiedziałem ci, że spadnie deszcz, a to oznacza, że twoi poddani dojdą do wniosku, że demony opuściły Penwyth.

Wzruszyła ramionami.

Nie

patrzac

na

niego,

powiedziała po chwili:

- Jesteś pierwszym młodym i przystojnym mężczyzną,

który pojawił się w Penwyth.

- Słucham?

- Miałam zaledwie czternaście lat, gdy sir Arlan przybył

tu, by zmusić mnie do małżeństwa i ukraść mi

dziedzictwo. Żaden z najeźdźców nie był młody,

przystojny ani nawet czysty. Jakieś trzy lata temu

wpuściliśmy kupca, który zachwalał swój towar pod

bramą. Okazało się, że jego wóz jest wypełniony zbójami,

którzy chcieli splądrować nasz zamek. Nie zabiła ich

kłątwa. Nasi strażnicy wyrznęli ich do nogi. - Potrząsnęła

głową. - Tamtego dnia straciliśmy Ruperta, jednego

z najdawniejszych przyjaciół dziadka. Wtedy dziadek

postanowił, że pozwolimy kłątwie dokonywać dzieła

zniszczenia.

- Właśnie widzę. Co masz na myśli, mówiąc, że jestem

przystojny?

- Wyglądasz wspaniale i na pewno dobrze o tym wiesz.

Czyżbyś był ślepy?

- O to właśnie chodzi, że nie jestem. Czy w okolicy nie

ma młodych mężczyzn?

Zastanawiała się przez chwilę, odgarniając włosy

z czoła.

- Chcesz, bym cię z nimi porównała? Nie ma tu

żadnych

młodzieńców,

o

których

warto

byłoby

wspominać. A już na pewno żadnych kandydatów na

męża - wypaliła i zmarszczyła brwi. - Przyszłam, by ci

powiedzieć, że dziadek chce porozmawiać o waszej

wizycie w Penwyth. O tym, jak długo zamierzasz tu

zostać.

- Zostanę, dopóki nie rozwiążę waszych problemów

z klątwą.

- A następnie wyjedziesz?

- Dlaczego tak się troskasz moim wyjazdem?

Nic nie odpowiedziała. Bishop również się nie odezwał,

gdyż spojrzał w oczy koloru świeżych wiosennych liści

obmytych porannym deszczem. Jego męskość stała się

równie twarda jak kamienny mur, o który się wspierał.

- Obawiasz się, że zdejmę z was klątwę, po czym

wyjadę, a niedługo potem u waszych bram pojawi się

kolejny rycerz, który zmusi cię do zamążpójścia?

- Skoro zdarzyło się to już cztery razy, tylko idiota nie

obawiałby się kolejnego najeźdźcy.

- Co konkretnie masz na myśli, twierdząc, że wyglądam wspaniale?

- Co? Ach, teraz mam cię uraczyć komplementami?

Niech będzie. Masz najpiękniejsze oczy, jakie w życiu widziałam. Granatowe, lecz tak ciemne, że wydają się niemal czarne.

*Piękne oczy? Mężczyzna o pięknych oczach? Hm...*

- Tym wyznaniem zmuszasz mnie do szczerości -

westchnął Bishop, patrząc na nią z góry. – W moich oczach nie ma nic nadzwyczajnego. Za to patrząc w twoje, pragnę... Cóż, nieważne.

- Czego pragniesz?

- Zapomniałem już i najlepiej zrobisz, jeśli ty również o tym zapomnisz. Wiesz, Merryn, jestem równie mądry jak przystojny. Zdejmę z was klątwę, a potem zobaczymy.

Możesz mi zaufać.

- Miałabym zaufać mężczyźnie, który zaledwie kilka godzin temu pojawił się w Penwyth, rzucając rozkazy?

Nie sądzę, bym potrafiła. Nie po czterech mężach, którzy tylko jedno mieli w głowie. Przyszło mi na myśl, że zamierzasz zdjąć tę klątwę, a potem zmusić mnie do małżeństwa, tak jak tamci.

Pannica okazała się całkiem bystra. Bishop podrapał się po policzku.

- Czy prócz oczu mam jeszcze jakieś wspaniałe części ciała?

- Stopy.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Masz duże stopy i to jest wspaniałe, bo jesteś potężnym mężczyzną. Uważam, że wszystkie części twojego ciała pasują do siebie.

- Czyli że jestem harmonijnie zbudowany.

- Dokładnie tak. Czy mam dalej wymieniać piękne części twojego ciała?

Bishop powstrzymał się w ostatniej chwili, by nie kiwnąć głową. Musiał zachować ostrożność, co oznacza, że nie wolno mu patrzeć jej w oczy. A zatem wiedźma uważa, że Bishop ma piękne oczy?

- Poślubienie dziewczyny, która miała już czterech mężów, byłoby dziwactwem.

- Powiem ci, co jest dziwactwem. Wychodzić za mąż cztery razy i patrzeć, jak każdy mąż wali się martwy u twoich stóp.

- Może Bóg da ci jeszcze męża, który cię przeżyje?

- Przyjemna myśl, ale nie zamierzam czekać na to jak na zbawienie.

Już miał jej powiedzieć, że i on również nie zamierza

długo czekać, ale się powstrzymał. Spojrzał na wschód,  
w kierunku pola, na którym stał koślawy krąg z głazów.

- Widziałem podobne kamienne kręgi w całej

Kornwalii i w zachodniej części Francji.

- Niczego nie wiem na temat kręgów we Francji. Ten,

który tu widzisz, nazywają Menya Alber i stoi tu od  
niepamiętnych czasów. Niedaleko stąd znajduje się drugi

krąg,

Lanyon

Quoit,

który

był

prawdopodobnie

cmentarzem, lecz jest tak stary, że równie dobrze mógł

istnieć, zanim jeszcze człowiek pojawił się na ziemi.

A jeśli tak jest, jak mógłby być cmentarzem? W okolicy

znajduje się kamienny krąg Dziewięciu Dziewic. Ludzie

mawiają, że są to posągi dziewięciu panien, które zwołały

sabat i w czasie tańca zamieniły się w kamienie.

- Czuję, że te kamienie są bardzo stare – przyznał

Bishop. - Czuję w powietrzu zapach wielu wieków. Kiedy

o tym myślę, zaczyna mnie swędzić kark.

- Mnie również. - Merryn zamrugła z zaskoczeniem. -

To dziwne, że czujemy to samo.



- Pozwól, że wyznam ci, iż ja również zachwycam się twoimi stopami. Być może nawet bardziej niż ty moimi.

Nie zdołała się powstrzymać. Spojrzała na zakurzone noski starych trzewików wystające spod znoszonej sukni.

- Moje stopy? Przecież nawet ich nie widziałeś.

Czyżbyś starał się wyprowadzić mnie z równowagi głupimi żartami?

Nie mówiąc słowa, Bishop padł na kolana, uniósł delikatnie jej suknię i spojrzał na cienkie rzemyki trzewika. Rozwiązał je i zdjął jeden but.

- Taaak - powiedział, stawiając bosą stopę Merryn na swoim udzie. - Spójrz tylko na tę stopę. Dzięki Bogu, że jest dość czysta.

Merryn chciała wyrwać stopę, lecz nie zdobyła się na żaden ruch. Stała bezradnie, wpatrując się w klęczącego rycerza. Bishop pogłaskał kciukiem każdy palec, aż Merryn zadrżała. Potem pogłaskał podbicie.

- Zastanawiałem się, czy twoje stopy nie okażą się zbyt duże. Co za szczęście, że są drobne. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się. - Co myślisz o tej klątwie?

Z sykiem wypuściła wstrzymywane powietrze. Nie zabrała stopy, która wyczuwała sprężyste udo, miękką wełnę spodni i ciepłą dłoń wokół kostki. Ogarnęło ją bardzo dziwne uczucie. Palce Bishopa gładkały jej gładką

skórę.

- Nie mam dużych stóp - powiedziała. - Moja babka zawsze powtarzała, że mam identyczne stopy jak ona, a zatem doskonałe.

Nie odezwała się, dopóki nie założył jej trzewika i nie zawiązał rzemieni. Wstał powoli. Spojrzała na plamy na jego zakurzonej szarej tunice i powiedziała:

- Będziesz spał w służbówce. Wyślę lokaja, by zajął się twoją tuniką. Przyda jej się pranie. O kłątwie nie wiem nic ponad to, co ty wiesz. Dziwnie się czuję, widząc tu tak wielu młodych mężczyzn.

Bishop ze zdumienia uniósł jedną brew.

- Mam na myśli ciebie i twoich ludzi - wyjaśniła.

- Dumas ma już prawie czterdzieści lat. Jest niemal starcem.

- Czterdziestolatka nazywasz starcem? Jeden z naszych strażników, Crispin, ma sześćdziesiąt osiem lat. Ty zaś zapewne nie masz jeszcze dwudziestu pięciu, choć widzę w twych oczach, że zebrałeś już wiele doświadczeń.

- To zdumiewające, że dożył sześćdziesięciu ośmiu lat, a wciąż może mówić z sensem, chodzić, a nawet walczyć.

- To prawda. Nie chcę, byś umarł.

Bishop uznał, że to dobry znak.

- Dlaczego?

Merryn najwyraźniej dopiero teraz zdała sobie e z tego, co powiedziała. Nagle skryła się jak ślimak w muszli.

- Czy może dlatego, że tak zachwycasz się wspaniałymi częściami mojego ciała?

- Można uznać, że jest to część prawdy – stwierdziła patrząc na stopę, którą głaskał.

Bishop uśmiechnął się szeroko.

- Przyjechałem cztery godziny temu. Wciąż jeszcze oddycham. - Przycisnął dłoń do poplamionej tuniki. -

Moje serce wciąż bije. - Ujął jej dłoń i położył sobie na sercu.

- Rzeczywiście. Biję bardzo mocno. Wydaje mi się, że bije nieco szybciej niż przed chwilą. Dlaczego?

Szybko odsunął jej dłoń.

- Moje serce bije dokładnie tak, jak powinno - odparł. -

Myślę, że mogę czuć się zupełnie bezpieczny, skoro moja śmierć oznaczałaby również śmierć twoją i twojego dziadka. Druidzcy kapłani z pewnością by tego nie chcieli.

- Raczej nie.

- Odkryję prawdę, Merryn. Muszę to zrobić. Wiesz, że nie mogę stąd wyjechać. Gdybym opuścił ogród, nie rozwiązawszy tej zagadki, król wbiłby moją głowę na pal.

Uśmiechnęła się tak promiennie, że w policzku zrobił

jej się dołączek. Był to pierwszy uśmiech, jakim go obdarzyła.

Bardziej boisz się króla niż starożytnej klątwy?

- Och, zdecydowanie. Wydaje ci się, że klątwę wymyślono specjalnie z myślą o tobie? Że jakiś druid powiedział: „To dla Merryn de Gay”?

- A wydaje ci się, że moje włosy są czerwone jak płomień?

Spojrzał na wściekle czerwone kosmyki fruujące wokół jej głowy w podmuchach wiatru i przytaknął.

- Jak najbardziej. Co najmniej.

Wyciągnął dłoń i zaczął nawijać na palec pasmo czerwonych włosów. Nie odrywając od niej wzroku, powoli przyciągał ją do siebie. Merryn potrząsnęła głową, uwalniając lok.

- A czy moje oczy są zielone jak blask pożądania?

- Nie. Są zielone jak żądza.

- Och - jęknęła i zamrugała gwałtownie, rumieniąc się.

- Co wiesz na temat tego klucza?

- To jakaś dziwaczna treść. Nie mam pojęcia, o co w tym chodzi. Nikt nie wie, nawet dziadek.

- Zatem klątwa dotyczy wszystkich rudowłosych, zielonookich kobiet, które żyły w Penwyth?

Merryn milczała.

- No, dobrze. Powiedz mi, proszę, czy macie w stajni

klacz w rui?

- Cóż, mamy. Moją klacz, Lockley. Nie mamy jednak ogiera, który mógłby ją pokryć.

- Mój Nieustraszony zrobi to z radością. Będąc jeszcze za murami, poczuł jej zapach i zarżał na powitanie.

- Pomyślę o tym. Chciałabym poznać jego rodowód, sir Bishopie. Chcę go też dokładnie obejrzeć i dopiero wtedy postanowię, czy jest wart mojej Lockley.

- Mógłbym przysiąc na zeschnięte kości świętego Cuthberta, że Nieustraszony jest najlepszą partią w okolicy.

- Żartujesz. Nie znam nikogo, kto żartowałby tak jak ty.

- Czy moje poczucie humoru również uważasz za wspaniałe?

- Znam cię zaledwie od kilku godzin. Tyle samo trwa dobrze przygotowana ucztą. To wszystko jest bardzo dziwne.

- Możesz obejrzeć Nieustraszonego. Skoro ma to mu zapewnić dostęp do klaczy, z pewnością na to pozwoli. Powinnaś w prostych słowach wyjaśnić mu, jaki jest cel tych oględzin i jaka czeka go nagroda. Ja, będąc czarodziejem, muszę tylko w myślach wydać polecenie, a on je wykonuje.

- Skoro twierdzisz, że potrafisz przewidzieć, kiedy spadnie deszcz, to może i ten przeklęty koń czyta ci w myślach. Nie wierzę w czarodziejów. Poza tym czarodziej powinien być stary, brodaty i patrzeć bykiem, rzucając na wszystkich gromy.

- Nawet czarodziej musi być młody, zanim się zestarzeje.

- Ja jednak w to nie wierzę. Jesteś człowiekiem.

Zwykłym człowiekiem, choć bystrym i przebiegłym.

- Uważasz, że jestem bystry?

- Nie. Wcale nie chciałam tego powiedzieć.

- Sama się przekonasz. Wróćmy do klątwy. Druidzcy kapłani nie znali pisma.

- Klątwa była przekazywana ustnie z pokolenia na pokolenie. Dziadek lorda Vellana postanowił ją w końcu zapisać.

Merryn kłamała i Bishop doskonale o tym wiedział.

Czuł, jak ściska się jej żołądek z żalu i frustracji. Co się tu dzieje?

- Ludzie mawiają, że druidzi wkładali ludzi do drewnianych klatek, podpalali je i palili bardzo wolno, by grzać się przez całą noc przy ogniu. Wyobrażasz sobie smród takiego ogniska? Podobno składali też krwawe ofiary z ludzi.

- Gdy mój trzeci mąż wymiotował pianą, smród był straszliwy.

Bishop nie chciał sobie tego wyobrazić.

- Ha - powiedział tylko. - Pomówmy o wiedźmach z Byrne. Z tego, co obydwójce wiemy, jest to niewielka sekta kobiet malujących ciała białą kredą, farbujących włosy na siny kolor, zaś zęby barwiących na czerwono sokiem z dzikich jagód, by w ten sposób przekonać wszystkich o swojej dzikości i apetycie na surowe mięso. Trudno je spotkać, gdyż nienawidzą mężczyzn. Z tego też powodu ich plemię wymiera. Nie mogą przetrwać, jeśli nie pozwalają mężczyznom zasiać nasienia we własnych łonach.

- Babka mówiła mi, że wiedźmy z Byrne nie gardzą mężczyznami - powiedziała Merryn. - Po prostu im nie ufają. Wiedzą, że to mężczyźni niosą wojnę, gwałt i pożogę, że wygubiliby je wszystkie, gdyby tylko mogli. Chyba temu nie zaprzeczysz?

- Twoja babka?

- Tak. Lady Madelyn. Niedługo ją poznasz.

- Czy jest równie leciwa jak lord Vellan?

- Owszem, i podobnie jak dziadek ma umysł lotny, a język ostry jak miecz Crispina.

- Powiedziałaś o grozie, którą niosą mężczyźni. Jestem

przekonany, że kobiety wywołałyby tyle samo wojen i czyniły równie wiele gwałtów, gdyby tylko miały ku temu okazję. Prawdę mówiąc, mężczyźni mają niewielki wybór. - Wzruszył ramionami. - Żyję najlepiej, jak potrafię. Nie zabiłbym wiedźmy, dopóki nie nastawałaby na moje życie. Czy to uczciwe? I sprawiedliwe?

Machnęła lekceważąco dłonią.

- Ty mówisz o braku wyboru? Jesteś rycerzem.

Przyjechałeś do Penwyth prosto od króla. Ja nigdy nigdzie stąd nie wyruszałam i nawet nie mogę marzyć, że stanę przed królewskim obliczem. Uważasz, że masz prawo rozkazywać kobietom. Masz zastęp ludzi, którzy spełnią twoje życzenia. Możesz robić wszystko, co tylko ci się spodoba. Zdjąłeś mój trzewik i, nie pytając o zgodę, bawiłeś się moją stopą. A teraz gadasz jakieś bzdury.

- Wokół nas czai się śmierć, Merryn - odparł Bishop. - Jest ona nieuniknionym końcem dla wszystkich kobiet i mężczyzn. Wszyscy chcemy po prostu przetrwać, a to oznacza, że trzeba myśleć, jak działać i jak się chronić. Są na świecie honorowi mężczyźni i są zwykłe rzezimieszki. Wierzę, że kobiety także dzielą się na uczciwe i występne. Jednak honor przestaje mieć znaczenie, gdy chodzi o zachowanie życia. Mówię prawdę: żyję najlepiej, jak potrafię. Nie zabijam, dopóki nie muszę. Spójrz na siebie,



Merryn. Twoje życie zależy od klątwy.

- Trudno jest żyć w cieniu czterech zmarłych mężów.

- Znam słowa klątwy. Znam je już na pamięć. Powiedz mi, co wiesz, Merryn.

Przez chwilę wpatrywała się we własne paznokcie, wreszcie pokręciła głową.

- Niczego już nie wiem.

Uśmiechnął się do niej. Nie musiał się nawet nad nią pochylać, gdyż była wysoka. Może nawet równie wysoka jak Philippa de Fortenberry.

- Robert Burnell, sekretarz króla i Wielki Kanclerz

Anglii, jest bardzo uczonym człowiekiem. Zanim wyjechałem, dał mi całą kolekcję dokumentów na temat druidzkich klątw i wiedźm z Byrne. Gdy je czytałem, włosy stanęły mi dęba i wypadły z nich wszystkie wszy.

- Kolejny żart. - Merryn spojrzała na gęste, czarne włosy Bishopa, które teraz rozwiewał gorący wiatr. -

Zawsze chciałam mieć czarne włosy, tak gęste jak twoje.

Lśniące w promieniach słońca,

- Czy uważasz, że moje włosy są wspaniałe?

- Owszem, przyznaję, że są. Mówisz, że posiadasz tajemną wiedzę, sir Bishopie, że rozumiesz magiczne, niewytłumaczalne zdarzenia. Krótko mówiąc, że jesteś czarodziejem.

- Naprawdę nim jestem. Często otwieram się na inne światy, na ludzi żyjących w innych czasach. Na dusze błąkające się po naszym świecie. Staram się je wchłonąć i zrozumieć, kim były i dlaczego wciąż snują się po ziemi

- dokończył niemal szeptem. Sam prawie uwierzył we własne słowa.

Merryn roztarta ramiona. Bishop zrozumiał, że jest trochę przestraszona, co było mu na rękę. Co przed nim ukrywa?

- Muszę się dowiedzieć czegoś więcej o istotach, które rzuciły klątwę na ten gród - dodał.

Nagle uderzenie wiatru rozplatało jej włosy i odgarnęło je z twarzy. Bishop zauważył, że Merryn ma niewielkie, kształtne uszy. Jeszcze cztery godziny wcześniej nie wydawała mu się piękna, zaczynał jednak myśleć, że był w błędzie. Wyciągnął dłoń, by znów dotknąć jej włosów, jednak powstrzymał się w ostatniej chwili i opuścił rękę.

Przynajmniej nasze dzieci nie będą brzydkie - pomyślał. - To dobrze wróży ich przyszłym małżonkom. Dołeczek w policzku Merryn bezpowrotnie zniknął. Była zbyt przestraszona, by się uśmiechać.

- Opowiedz mi o swoich mężach.

W jej oczach widać było wciąż świeżą zgrozę, gdy zaczęła mówić:

- Patrzyłam na śmierć każdego z nich. Pierwszy z nich sir Arlan, siedział przy moim boku i jedliśmy z jednego talerza.

Patrzyłam,

jak

je.

Nawet

podawał

mi

najsmaczniejsze kąski na czubku noża. Byłam jeszcze dzieckiem i byłam przekonana, że zostanie moim mężem aż do śmierci.

- Nie wierzyłaś zatem w klątwę.

- Gdy dziadek odczytywał ją na dziedzińcu swoim czystym, mocnym głosem, wierzyłam w każde słowo.

Jednak gdy doszło do zaślubin... – Zamyśliła się i Bishop

wiedział, że wspomina scenę sprzed czterech lat. - Czy

wierzyłam w nią podczas uczyty weselnej? Nie. Nie

wierzyłam. Dlatego tak bardzo mnie to zaskoczyło, że

przez dłuższą chwilę nie mogłam złapać tchu. Sir Arlan

szarpnął się, zakrztusił i padł twarzą w tłusty sos. Jeden

z jego żołnierzy, odważny i bardzo głupi, zerwał się

z ławy i krzyknął, że dziadek go otruił. On również zginął.

Reszta załogi w ciągu godziny wyjechała z Penwyth.

- To rzeczywiście wygląda na truciznę, nie na klątwę.

Przez chwilę milczała, wreszcie kiwnęła głową.

- Ja również pomyślałam, że to trucizna, jednak

jedliśmy z tego samego talerza. Przekrajał kawałki

wołowiny i podawał mi do ust. Piłam z jego kielicha.

Jakże mogła to być trucizna?

Spojrzał na nią.

- To mogła być trucizna, jeśli to ty byłaś trucicielką.

- Przecież byłam jeszcze dzieckiem. Nie zabiłam go.

Nawet nie przyszłoby mi do głowy, że mogę go zabić.

*A jednak coś ukrywa!*

- Potem nadjechał sir Gifford de Lancey. Opowiedz mi

o nim.

- Znasz imiona moich mężów?

- Oczywiście - odparł. - Czarodzieje lubią wszystko

wiedzieć. Opowiedz mi o nim.

- Ani on sam, ani jego ludzie nie wierzyli w klątwę.

Gdy mnie poślubił, zaczął mnie całować, tulić i cmokać

z zachwytem nad zdobyczą, którą dostał bez żadnego

wysiłku. Wyzywał swoich ludzi od starych tchórzy,

mojego dziadka nazwał zbędnym reliktem przeszłości

i stwierdził, że babka jest zapewne matką najbrzydszych

wiedźm w całej okolicy. Jeszcze zanim pojął mnie za

żonę, chciał mnie rozebrać do naga, na szczęście dziadek

zdołał mu to wyperswadować. Sir Gifford śmiał się z klątwy, nazywał mego pierwszego męża głupcem, a potem zabił dwóch naszych ludzi tylko po to, by pokazać dziadkowi, do czego jest zdolny.

- I co się stało?

- Nagle i bez żadnego ostrzeżenia z jego nosa i ust buchnęła krew. Stał się prawdziwą fontanną krwi. -

Zadrżała i obróciwszy się na pięcie, podeszła do drewnianej drabiny wiodącej na dziedziniec. Zeszła po niej prędko. - W człowieku mieści się bardzo dużo krwi.

Umierał dłużej, niż ktokolwiek z nas mógłby tego pragnąć. Na kamieniach wciąż widać ślady jego krwi.

Merryn odwróciła się i szybkim krokiem przemierzyła dziedziniec. Za krótka suknia wirowała jej wokół kostek.

Czterech mężów. Drugi z nich zginął trzy lata temu, a ją wciąż to przeraża. Sądził, że widok człowieka, z którego nosa i ust tryska krew, jego również mógłby przerazić.

Czy trucizna mogła tego dokonać?

Co ona przed nim ukrywa?

Rozdz

d ia

i 17

Do małej komnaty w służbówce zaprowadziła Bisopa stareńka służąca, która nie miała już ani jednego zęba,

a mimo to nie przestawała się do niego uśmiechać.

Wprowadziła go na środek pokoju i wyszła. W komnacie unosił się zapach pergaminu i atramentu, powietrze było ciężkie i gęste, jakby od wielu lat tu nie wietrzono. Bishop zerwał kozią skórę zasłaniającą wąskie okno, wpuszczając do komnaty promienie słońca. W smugach światła dostrzegł kłębiące się tumany kurzu. Przyjrzał się półkom ciągnącym się wzdłuż całej ściany. Na każdej w schludnych stosach piętrzyły się zwoje pergaminu.

W nogach wąskiego łóżka stał niewielki kufer przykryty cienkim kocem.

Bishop wyciągnął na chybił trafił jeden pergamin, rozwinął go i przeczytał. Był to raport o Penwyth sprzed trzech lat - zbiory, sprzedane plony, narodziny, śmierci i zawarte małżeństwa. Przejrzał kilka kolejnych pergaminów. Nie znalazł żadnego dowodu na to, by kamerdyner oszukiwał lorda Vellana. Może Bishop powinien utrzymać go na stanowisku?

Nagle usłyszał chrząknięcie. Nie miał wątpliwości, że dźwięk ten wydała bardzo leciwa osoba. Odwrócił się płynnie, prawą dłońią sięgając po miecz, lewą zaś wyjmując sztylet z pochwy u pasa. Niemalże spodziewał się ujrzeć czający się u progu złowrogi cień czy też demona klątwy lub steranego wiekiem wojownika

z mieczem w drżących, żyłastych dłoniach. Ze

zdumieniem spojrział na stojącą na środku komnaty starą kobietę. Wyglądała tak krucho, że zdawała się niemal przezroczysta. Mógłby się założyć, że od dawna nie wychodziła na blanki. Wiatr z pewnością zdmuchnąłby ją na dziedziniec. Staruszka przypatrywała mu się bez ruchu i bez słowa, aż poczuł nagły przyływ lęku. Nie słyszał, kiedy weszła. W jednej chwili był sam, w następnej stała tuż przy nim. Może jednak jest duchem albo wiedźmą z Byrne?

Bishop potrząsnął głową. Uspokoił się powoli. To tylko staruszka i nic poza tym. Miała na sobie przepiękną suknię, zatem nie była służącą.

- *Madame?* - odezwał się łagodnie. - Czym mogę pani służyć?

Choć niewiarygodnie posunięta w latach, dama trzymała się prosto i wyniosłe. Siwe włosy miała upięte w wysoki kok związany kilkoma błękitnymi wstążkami, które zwisały wokół jej twarzy. Stwierdził, że kiedyś, całe lata temu, musiała być bardzo piękna. Wciąż odnajdywał ślady dawnej urody w wyblakłych już błękitnych oczach o pięknym kształcie i w regularnych rysach twarzy. Stała bez słowa, wpatrując się w niego uparcie, jednak po chwili zaczęła coś pomrukiwać pod nosem. Całe ciało

Bishopa pokryło się gęsią skórką.

- Kim pani jest?

Zrobiła trzy kroki w jego stronę i wyciągnęła wiotką, niewiarygodnie szczupłą dłoń o chudych, kościstych palcach. Ujął ją delikatnie i ucałował z szacunkiem. Skóra damy wydawała się tak cienka, że miał wrażenie, iż za chwilę rozwieje się jak dym, a stare kości opadną na podłogę u jego stóp. Jej dłoń nie była wcale lekka. Na palcach miała ciężkie złote pierścienie z klejnotami, jakich nigdy wcześniej nie oglądał. Gdyby jej kości rozsypały się w proch, pierścienie z brzękiem spadłyby na posadzkę.

Nagle naszła go wizja toczących się po podłodze pierścieni i męskiego buta, który je zatrzymuje. Potrząsnął głową i odegnał od siebie dziwny obraz.

- Jestem lady Madelyn de Gay - powiedziała słabym, drżącym głosem. - Skąd się wziąłeś w komnacie kamerdynera?

- Jest pani żoną lorda Vellana?

Roześmiała się skrzekliwie, lekko klepiąc go w ramię.

- Nie mogę przecież być jego córką, nie sądzisz? Jestem trzy lata starsza od tego roztrzęsionego starca, a mimo to się nie trzęsę. Patrz tylko.

Poszła w stronę drzwi, szurając brzegiem sukni o podłogę. Odwróciła się z wdziękiem i wróciła do niego.



Uśmiechnęła się szeroko, ukazując rząd śnieżnobiałych zębów. Lord Vellan również miał wszystkie zęby, co przy jego wieku wydawało się niezwykle.

- Ani trochę się pani nie trzęsie, *madame* - wyznał Bishop.

- Przystojny z ciebie chłopiec, pełen wdzięku i dobrze ułożony. Merryn powiedziała mi, że jesteś stanowczo zbyt uroczy. Bardziej czarujący, niż powinien być mężczyzna.

Nie wiem, czy dokładnie rozumiem, co miała na myśli, ale sądzę, że mała może mieć rację. Wciąż jednak zastanawia mnie, co robisz w pokoju kamerdynera.

- Mąż pani zaofiarował mi tę komnatę na czas mego pobytu u was.

- Nasz kamerdyner, Ranlief, jest już stary. Oczywiście nie tak stary jak ja, czy lord Vellan, jednak zaczyna już niedołążnieć i ręce mu się trzęsą. Nie wyobrażam sobie, by jego stare gnaty miały spoczywać na podłodze w Wielkiej Sali.

- Dlaczego nie oddacie mu pokoju Merryn?

- Mojej słodkiej małej wnuczki? Zbyt wielu mężczyzn mogłoby zechcieć ją napastować, gdyby spała w Wielkiej Sali.

- Nie widziałem tu zbyt wielu mężczyzn, którzy byliby w stanie kogokolwiek napastować, *madame*.

- Masz rację. Tej rozrywki od dłuższego czasu nawet ja nie brałam pod uwagę. Ostatnim razem było to pewnie w poprzednim stuleciu. Jednak ja jestem kobietą, nie zaś wiecznie napalonym mężczyzną. Nawet lord Vellan wciąż jest napalony, choć jego żądze muszą pozostać w sferze pragnień, jako że nie posiada już członków mogących im sprostać.

Uśmiechnęła się szeroko i ciągnęła dalej:

- O, nie. Muszę strzec mojej małej Merryn. Młodzi czy starzy, wszyscy jej pragną. - Westchnęła, prawdopodobnie licząc na to, że rycerz dobrowolnie zrzeknie się komnaty kamerdynera. Bishop jednakże nie miał takiego zamiaru. - Mój Vellan wyglądał dokładnie tak jak ty. Och, tak, cały był z mięśni. Był wspaniałym wojownikiem i jeszcze wspanialszym kochankiem. Miał cudowne, czarne włosy do ramion. Ach, a jak rubasznie się śmiał! - Zmarszczyła brwi i wzrok jej przygasł. - A przynajmniej tak mi się wydaje. To było tak dawno temu, może również w poprzednim stuleciu. Czy pragniesz zostać piątym mężem Merryn?

- Wciąż jestem żywy, więc skąd ten pomysł?

Szczupłymi

palcami

wygładziła

suknię.

Bishop

przyznał w duchu, że suknia jest piękna, bladoniebieska

jak jej oczy i wstążki we włosach. Nigdy wcześniej nie

widział

takiego

kroju.

Może

też

pochoziła

z poprzedniego stulecia.

- Słuszna kwestia, młodzieńcze. Na siwe brwi świętego

Franciszka, wciąż jesteś żywy. To zdumiewające, że

klątwa cię nie dosięgła. – Obejrzała go od stóp do głów. -

A przynajmniej jeszcze nie. Ja również uważam, że jesteś

zdecydowanie zbyt przystojny na męża. Vellan również

był piękny. Świetnie pamiętam, że moja matka gorąco

pragnęła go dla mnie. Całymi dniami wychwalała go pod

niebiosa przy moim ojcu i powtarzała, że Vellan będzie ze

mną tańczył przy świetle księżyca i sprawi, że będę

krzyczała z rozkoszy.

- Czy jej słowa się spełniły, *madame*?

- W świetle księżyca tańczyłam zwykle sama.

Bishop uśmiechnął się do niej ciepło.

- Owszem, krzyczałam z rozkoszy nader często i dzięki niech będą niebiosom, że w tych chwilach nie bywałam sama. - Zmarszczyła brwi. - Nie krzyczałam już od tylu lat, że chyba nie jestem w stanie ich zliczyć. Muszę zapytać Vellana. Nie sądzę, by cokolwiek mi powiedział.

Widzisz, on wciąż kłamie. Bez mrugnięcia okiem i bez wahania, sam się przekonasz. Skoro jednak nie przyjechałeś, by zostać piątym mężem Merryn, jaki jest cel twojej wizyty? Czyżby Ranlief umarł i nikt nie raczył mnie o tym powiadomić?

- Nie. Kamerdyner wciąż jeszcze dzieli z nami ziemski los. Przybyłem z rozkazu króla, by uwolnić Penwyth od klątwy.

- Króla? Król cię przysłał? - Wybuchnęła śmiechem i śmiała się tak długo, że Bishopa zdjął lęk. W jej piskliwym śmiechu kryła się jakaś tajemnica, sekret sięgający dalej niż zwykle ziemskie sprawy.

Bishopowi przestało się to podobać. Stawał się równie przesądny jak jakaś młódka. Zastanawiał się, czy staruszka zachłyśnie się śmiechem, czy raczej rozpadnie w proch na jego oczach. Stał bez ruchu, w milczeniu obserwując wybuch szalonej wesołości.

Dama jednakowoż przeżyła atak. Wygładziła suknię, poprawiła rękawy i splotła palce.

- W razie gdybyś zapomniał, przypominam ci, że nazywam się lady Madelyn de Gay i kiedyś byłam oszałamiająco piękna. Moja kochana matka zawsze mi powtarzała, że jestem księżniczką, najpiękniejszą dziewczyną w całej Kornwalii. - Zmarszczyła brwi, patrząc niewidzącym wzrokiem na scenę rysującą się tylko w jej pamięci. - Skoro byłam księżniczką, dlaczego nie wyszłam za mąż za króla? Dlaczego nie mieszkałam w Londynie, w pięknym zamku Windsor, tylko tutaj, w krainie czarownic?

- Krainie czarownic, *madame*?

- O, tak. Czarownic z Byrne. Zaczęły się gromadzić na pagórkach nieopodal. Tańczyły i śpiewały w czasie burz. Potem przeniosły się do jaskiń bliżej morza. Jak pewnie wiesz, uwielbiają ryby.

- Nie wiedziałem o tym. Jeszcze nigdy w życiu nie starałem się równie usilnie zrozumieć, lecz nie potrafię odnaleźć sensu w tym, co mówisz, pani.

- Jesteś mężczyzną - odparła. - Rzadko którykolwiek z was patrzy głębiej i rozumie więcej, niż widzą jego oczy.

- Być może jest to prawda o ludzkości w ogóle -

powiedział Bishop. - Często życie jest zbyt trudne i wymagające, by skupiać się na jego niewidzialnej, mistycznej stronie. Jak klątwy na przykład. Dlaczego śmiała się pani, gdy powiedziałem, że przybyłem zdjąć z was klątwę?

-

Och,

jesteś

jeszcze

taki

młody,

niewinny

i nieświadomy zła. Jednak zło istnieje i zawsze będzie istniało, czy to w ludziach, czy też bardziej pradawne, kryjące się w cieniu, niepokojące zmarłych. Wciąż czekające się, czekające na sposobność.

- Może i nie jestem doświadczony w postępowaniu ze złem, *madame*, lecz rozpoznam je, gdy stanie mi na drodze. Uważasz, że klątwa jest widocznym znakiem złych mocy?

W mgnieniu oka coś się zmieniło. Madelyn nie była już wiotką staruszką z błyskiem szaleństwa w oczach. Stała przed nim twarda jak stal, czujna, wyprostowana.

- Nie masz o niczym pojęcia - powiedziała niskim, chropawym głosem. - Niczego nie wiesz i nie pojmujesz.

Nie powiedzie ci się w Penwyth. Nie, jeśli chcesz nas uwolnić od klątwy.

- Dlaczego mi się nie powiedzie?

- Klątwa nigdy nie zostanie zdjęta. Ona nas chroni.

Słyszałam, jak wiedźmy mówiły, że nie ma już życia po śmierci. Czyżby złe moce zabrały nam życie po śmierci? -

Staruszka potrząsnęła głową. Niewielka drewniana szpilka spadła na kamienną posadzkę. - To wszystko przerasta ludzkie rozumienie.

Zamilkła i powoli zaczęła się kurczyć, wracać do postaci kruchej staruszki.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- Bishop z Lythe. Od niedawna sir Bishop, pasowany przez lorda Dienwalda de Fortenberr z St. Erth.

Pokiwała głową.

- Ach tak, Bicz Kornwalii. Kolejny przystojny młodzieniec. Jego dusza jest równie dzika jak klątwy rzucone przez wiedźmy przeciwko czarnym niebiosom.

Ma świeży, przewrotny umysł. Mówili mi, że Dienwald patrzy na świat odmiennie niż zwykli śmiertelnicy.

Słyszałam wiele historii na jego temat. Czy to prawda, że ożenił się z córką króla?

- Trzy lata temu - potwierdził Bishop. - Pasował mnie na rycerza, gdyż ocaliłem jej życie.

- Skoro byłem księżniczką, dlaczego nie wysłałem za Dienwalda?

- Jeszcze nie było go wtedy na świecie, *madame*.

Staruszka przeżuwała przez chwilę jego słowa. Nagle podbiegła do okna.

- Ten żart mnie rozbawił. Ach, popatrz tylko. Nasz kraj umiera. Czyż to nie jest intrygujące?

- Przestanie umierać, gdy tylko spadnie deszcz.

- Nie spadnie żaden deszcz. Dopóki mojej wnuczki nie ogłoszą dziedziczką Penwyth, nie spadnie tu ani kropla deszczu.

- Spadnie. Już jutro.

Spojrzała na niego z zaciekawioną.

- Słyszałam, jak służba szeptała między sobą, że jesteś czarodziejem. Że rozumiesz pradawne moce, słyszysz duchy i możesz nawet z nimi rozmawiać. Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie. Do tego jeszcze twoje imię. Bishop... Imię pełne potęgi. Nie zdejmiesz tej klątwy, o, nie. Musisz wyjechać z Penwyth, zanim zrobi się za późno. Skąd wiesz, że będzie padać?

- Właśnie pani o tym mówiła, *madame*. Jestem czarodziejem. Wiem pewne rzeczy. Będzie padać.



- W takim razie, mój panie, powiedz mi, ile dzieci powiłam?

Nagle Bishop po prostu to wiedział.

- Powiła pani pięcioro dzieci, *madame*, lecz tylko jedno przeżyło. Sir Thomas de Gay, wspaniały mężczyzna, którego miałem zaszczyt poznać.

Nie potrafił powiedzieć, czy była zaskoczona, miał jednak taką nadzieję. Po chwili powiedziała:

- To właściwa odpowiedź. Ach, wszystkie te martwe dzieci... Wygląda na to, że na tym strasznym świecie więcej dzieci umiera, niż dożywa dojrzałego wieku.

- Przykro mi, *madame*. Czy opowie mi pani o klątwie?

Ziewnęła rozdzierająco prosto w twarz Bishopa. Jej oddech nie był słodki, lecz nie był także odrażający, po prostu stary i niemal niewyczuwalny, jak cichy szept.

- Nie sądzę. Jestem wykończona. - Pomachała ręką, która po chwili opadła ciężko do jej boku, jakby pierścienie stały się zbyt ciężkie. - Poznałam cię i ostrzegłam. Być może jesteś czarodziejem. Wiedziałeś o moich dzieciach i to mnie zaskoczyło. Powiedziałeś, że spadnie deszcz. Jednie nie jesteś tak silny jak klątwa.

Wyjedź, sir Bishopie z Lythe. Deszcz jest cudowny.

Marzę o gęstych kurtynach deszczowych kropel.

Chciałabym poczuć je na skórze. Jestem bardzo ciekawa,

czy sprawdzą się twoje słowa.

Powoli ruszyła ku drzwiom, zamiatając długą suknią kurz z posadzki. Przy drzwiach zatrzymała się i patrząc na niego przez ramię, wyszeptała starczym głosem:

*Zginie najeźdźca, co morzem przybędzie,*

*Kto lądem nadjedzie, ten w męczarni skona,*

*Sczeźnie niechybnie, kto klucza dobędzie,*

*Na wieki będzie ta ziemia strzeżona!*

*Oczy panny zielone jak blask pożądania,*

*Włosy panny czerwone jak źródło płomienia,*

*Serce panny jest czyste i klamać się wzbrania,*

*Ten, który ją zniewoli, zginie bez wątpienia.*

Uśmiechnęła się do niego.

- To dobra klątwa, Bishopie. Jest potężna. Stoją za nią wielkie siły, o których nie masz pojęcia. Przetrwa jeszcze długie wieki. Ach, nie wiesz jeszcze jednej rzeczy, piękny chłopcze. Moja matka była wiedźmą z Byrne. Wiedziała o klątwie, zanim jeszcze wyszłam za lorda Vellana.

Powiedziała, że będzie chroniła mój dom długo po mojej śmierci. Potem wyszeptała, że właściwie nie jest pewna, czy kiedykolwiek umrę.

- A czy twoja matka, wiedźma z Byrne, umarła?

- Ojciec ją zabił - powiedziała. - I pogrzebał jej serce

z dała od reszty ciała. - Uśmiechnęła się i wyszła

z komnaty.

Bishop przez długi czas wpatrywał się w zamknięte drzwi. Czuł chłód. Zastanawiał się, czy Merryn także jest wiedźmą jak jej babka.

\* \* \*

Gdy wczesnym wieczorem służba wniosła chleb, ser i piwo dla czterdziestu osób, z których zaledwie dwudziestu było strażnikami grodu, Bishop wciąż żył.

Sześć wilczurów usadowiło się przed kominkiem w oczekiwaniu na posiłek.

Stara służąca podeszła do lorda Vellana z ogromną tacą, na której piętrzyły się obgotowane kości. Lord Vellan wybrał największą i rzucił pierwszemu wilczurowi.

Pies chwycił kość w locie. Reszta wilczurów nawet nie drgnęła. Lord Vellan rzucał kości każdemu psu po kolei, a dopiero potem dał znak do wieczerzy.

- Świetnie wytresowane psy - powiedział Bishop.

Lord Vellan obejrzał się przez ramię i widząc, że pierwszy wilczur zjadł już swoją kość, rzucił mu drugą.

- Owszem, dziękuję.

- Poznałem pańską żonę, *sir*. Przyszła do mnie do komnaty kamerdynera.

Lord Vellan rzucił za siebie kilka kości i uśmiechnął się do Bishopa.

- Biedny Ranliel. Nie przestaje narzekać i psioczyć.

Dostał aż trzy koce, czegoż więcej mógłby chcieć? Moja żona... Zaskoczyła cię, nieprawdaż, chłopcze?

- Wyznam, że nie zrozumiałem niektórych jej słów.

Zdumiewająco młoda służąca - nie mogła mieć więcej niż pięćdziesiąt lat - podała Bishopowi grubą pajdę pszennego chleba i talerz z ładnie poukładanymi kawałkami sera. Słyszając delikatny szelest, Bishop odwrócił się i zobaczył, że Merryn siada na krzesło u jego boku. Krzesło obok lorda Vellana stało puste. Bishop podejrzewał, że jest to miejsce lady de Gay. Dlaczego nie brała udziału w uczcie?

- Wciąż żyjesz - powiedział lord Vellan. - Wszyscy moi ludzie są tym zdumieni. Moja żona uważa, że pijesz magiczny dekokt, by uchronić się przed klątwą.

- Dziś nie piłem żadnego - stwierdził Bishop. Oderwał dla Merryn kawałek chleba, po czym sam zjadł kilka kęsów. Nie wyczuwał smaku trucizny, lecz to pewnie nie miało żadnego znaczenia. Gdyby którykolwiek z czterech mężów wyczuł smak trucizny, na pewno zdołałby krzyknąć o tym przed śmiercią. Szczerze mówiąc, chleb był przepyszny. Zjadł kolejny kęs. Młyn w Penwyth musiał być doskonały. W chlebie niemal nie wyczuwał twardych kawałków ziarna.

Merryn kiwnęła grzecznie głową i sięgnęła do talerza z serami, po dłuższym zastanowieniu wybierając kawałek żółtego sera, którego zapach czuć było z kilku metrów.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Smakuje o wiele lepiej niż pachnie. Zrobiony z mleka Belzebuba.

- Słyszałem, że Szatan krąży po ziemskim padole, nie wiedziałem jednak, że daje mleko.

*Znów żartuje*, pomyślała Merryn.

- Nie mówię o Szatanie. Jedna z naszych kóz nazywa się Belzebub. Z jej mleka robimy najlepszy ser.

- Przyznaję, że jego zapach jest powalający.

- Owszem, lecz zaręczam ci, że twój oddech wciąż będzie pachniał słodko jak róże w moim ogrodzie.

Spróbuj.

Ku zdumieniu Bishopa ser okazał się słodki i miękki.

Zjadł spory kawałek, zagryzając chlebem. Za jakiś czas młynarz będzie mełł jego zboże, a Belzebub da mleko na jego ser. Modlił się w duchu, by ser nie okazał się zatruty.

Skoro Belzebub daje tu mleko, to kto wie?

Spojrzał na stół, przy którym siedział Dumas pogrążony w rozmowie z jednym ze starych wojowników. Starzec był niemal łysy, lecz koniuszek jego siwej brody sterczał mu za pasem, podobnie jak u lorda Vellana. Bishop miał

nadzieję, że Dumas odkryje coś pożytecznego, skoro jemu

samemu się to nie udało.

- Nie jesteś martwy. - Merryn przerwała mu rozmyślenia.

- Nie. Nie jestem także twoim mężem.

- Uważasz, że powinnam być rozczarowana?

Patrzył na nią przez długą chwilę, potem przeżuł kolejny kęs wspaniałego chleba.

- Nie wiem. Wiem za to, że ukrywasz przede mną ważne fakty.

- Nie odezwała się.

Bishop zaczekał, aż lord Vellan rzuci psom wszystkie kości i opróżni karafkę wina. Dopiero wtedy powiedział:

- Jak mówiłem, poznałem twoją żonę, panie.

Rzeczywiście nieco namieszała mi w głowie. Powiedziała mi, że jej matka była czarownicą z Byrne.

W Wielkiej Sali zapadła całkowita cisza.

Rozdz

d ia

i 118

Lord Vellan w skupieniu żuł ser Belzebuba.

- Musiała się tym pochwalić.

- Powiedziała, że jej matka wiedziała o klątwie, która ma chronić Penwyth.

Lord Vellan pokręcił głową, aż siwe włosy opadły mu na twarz.

- Ach, moja biedna, stara Madelyn – westchnął. -

Każdego dnia powtarza mi, że chciałaby mnie pochować.

Ciekaw jestem, czy tak się stanie. Z jej matki było niezłe ziółko. Miała na imię Meridian. Nikt nie ma wątpliwości, że była wiedźmą. Czy jedną z wiedźm z Byrne? Tego nie potrafię powiedzieć. Nigdy nie widziałem, by malowała ciało białą kredą czy barwiła na czerwono zęby.

W każdym razie nienawidziła ryb. Ta kobieta prześladowała mnie bez końca. Gdy tylko moje postępowanie jej się nie podobało, zsyłała klątwy na moją głowę. Przysięgam ci, Bishopie, pewnego dnia zesłała na mnie taki świąd, że niemal od tego oszalałem. Widzisz, zaledwie lekko potrząsnąłem żonę za ramiona, zaraz biegła się poskarżyć matce. Świąd był straszliwy, lecz wciąż był niczym w porównaniu z wrzodami, jakie pojawiły się na podeszwach moich stóp. Były ogromne, pękały i wypływała z nich ropa. Wydawało mi się, że umrę. Błagałem, by mnie uzdrowiła i przysięgłem, że nigdy więcej nie skrzywdzę jej pięknej córki.

- Czy to oznacza, że po ataku świądu miał pan odwagę raz jeszcze uderzyć żonę?

- Nie, nie miałem. - Lord Vellan strzelił palcami i trzeci

z kolei wilczur poderwał się z miejsca, podbiegł do swojego pana, machając kosmatym ogonem i zwinął się w kłębek u jego stóp. – Madelyn była na mnie zła, więc powiedziała matce, że znów ją zbiłem. Nie jestem przecież idiotą. Nigdy więcej nie podniosłem na nią ręki. Jeśli zaś chodzi o Meridian, przeklęła swojego małżonka o jeden raz za dużo. On również nie był głupi i wiedział, że jeśli się na nią naprawdę wścieknie, wiedźma zabije go bez trudu. Poderżnął jej gardło we śnie, wyrwał serce i zakopał je dwadzieścia metrów dalej niż resztę ciała. Sir William był ostrożnym człkiem. - Lord Vellan w zadumie przeżuwał ser. Ostatnio Madelyn snuje się po zamku, w ciepłe noce sypia na blankach, szyje koszulki dla Belzebuba, by wciąż z jej mleka powstawał słodki ser, i co rano modli się do dawnych bogów o deszcz.

Powiedziała mi, że ty sprowadzisz deszcz. Twierdzi, że to czuje.

Bishop był bardzo prostolinijnym człowiekiem. Nie cierpiał przebiegłości i fałszu. Obserwował ludzi, przyglądał się ich poczynaniom. Obserwował też naturalne zjawiska - uwielbiał gwałtowne burze i zachwycały go tęcze. Próbował także zrozumieć istotę tych zjawisk. Gdy słuchał innych ludzi, choćby to był sam król, rozumiał słowa, które wypowiadali, motywy, jakie



nimi kierowały, wiedział też, co sam powinien myśleć

i robić. Lecz tutaj, w Penwyth? Ledwo powstrzymał

Dreszcz. Upił łyk naprawdę dobrego piwa i powiedział:

- Nie potrafię sprowadzić deszczu. Nie posiadam

takiego daru. Potrafię go jedynie przewidzieć.

- W jaki sposób? - zapytała Merryn.

Bishop zmarszczył brwi.

- Nie umiem tego wytłumaczyć – odparł - Po prostu to

czuję. Przewidywanie deszczu jest jakby częścią mnie

samego.

- Jak zwał, tak zwał. - Lord Vellan wzruszył ra-

mionami. - Zwykły człowiek i tak tego nie zrozumie.

- Czy moja babka przeraziła cię do szpiku kości? -

zapytała Merryn.

- Raczej mnie zaskoczyła, niż przestraszyła - stwierdził

Bishop, wiedząc, że nie mówi całej prawdy. - Wyrażała

się bez ładu i składu.

- Po prostu nie potrafisz jeszcze jej słuchać. Babka

powiada, że jej umysł roztrząsa sprawy tego świata od

nazbyt wielu lat. Powiada, że tak doświadczony umysł

potrafi odgadnąć znaczenie liścia leżącego na skale.

Bishop przewrócił oczami.

- Mam już dość tych mistycznych bredni. - Zwrócił się

do lorda Vellana. - Panie, chciałbym poznać twoje zdanie

na temat klątwy. Jeśli zaś nie ma żadnej klątwy,  
chciałbym, byś wreszcie przyznał, że otrułeś wszystkich  
najeźdźców i ocaliłeś Penwyth i swą wnuczkę, wrywając  
ją z ich chciwych łap. Nie widzę innego rozwiązania,  
panie. Czas już, byś powiedział mi prawdę.

W

Wielkiej

Sali

ponownie

zapanowała

cisza.

Nieprzebrany tłum starych twarzy spalonych słońcem  
wpatrywał się w lordowski stół.

Lord Vellan odchrząknął, wypił trochę piwa i odezwał  
się ponurym głosem:

- Nie otrułem żadnego z czterech mężów mej wnuczki.

Choć istotnie raz jeden zabiłem żonę, wycierpiałem za to  
niezasłużenie wyższą karę. Nie popełniłem żadnej innej  
zbrodni.

Lady de Gay weszła do Wielkiej Sali. Zdawała płynąć  
ku nim ponad kamienną podłogą.

- Ja opowiem ci wszystko o klątwie, sir Bishopie -

powiedziała głośno. - Rzucił ją żyjący przed wiekami

druidzki kapłan B'Eall. Skąpał się we krwi wielu ofiar

i trzymając w dłoniach serca świeżo wydarte z ich piersi, wciąż pulsujące i toczące krew, ścisnął je i głaskał, aż wydobył z nich ostatnią kroplę. B'Eall rozejrzył się po okolicy i postanowił, że nasza ziemia na wieki pozostanie świętym dziedzictwem bogów. Zakopał wiele serc w naszej ziemi, by spełniły się jego słowa. Tak też stało. Lord Vellan wzruszył ramionami.

- Kto wie? - powiedział.

- Ta klątwa jest potężna i straszna – powiedziała

Merryn, uśmiechając się drwiąco. - Może męski umysł nie jest w stanie ogarnąć jej znaczenia.

Opowieść lady Madelyn miała na celu sparaliżowanie jego ludzi strachem. Bishop miał już tego wszystkiego dość. Zdał sobie sprawę, że mieszkańcy zamku bawią się z nim w kotka i myszkę. Nikt nie mógł być równie szalony i opętany jak ci ludzie. To wszystko gra! Chcą go wystraszyć i przegonić z Penwyth na cztery wiatry.

Powoli podniósł się z krzesła. Spojrzał na staruszkę ubraną w piękną suknię w starym stylu, jej męża i wnuczkę o ślicznych stopach i małych uszach. Otarł resztki sera ze sztyletu i wsunął go do pochwy ukrytej w rozcięciu rękawa. Jeszcze raz spojrzął na lorda i lady de Gay.

- Mam już serdecznie dość waszych bajeczek, które

powtarzacie tylko po to, by nas wystraszyć. Mnie nie przerażają. Wprawiają mnie we wściekłość. Nie zniosę tego dłużej.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy wpatrywali się w niego z uwagą, oprócz dwóch wilczurów, które zaczęły chrapać.

- Słuchajcie wszyscy. Powiedziałem wam, że jestem czarodziejem. Powiedziałem, że spadnie deszcz, który uzdrowi waszą ziemię. Powiedziałem lady de Gay, że powiła pięcioro dzieci. Powiedziałem, że rozumiem pradawne siły, słyszę głosy duchów i mogę z nimi rozmawiać.

Nie będę dłużej tolerował waszych obłąkańczych kłamstw i szalonych gróźb ukrytych pod mistycznymi bajeczkami. - Spojrzał na Merryn. - Nie będę dłużej znosił waszych tajemnic i niedopowiedzeń. -

Przerwał na chwilę i wykrzyknął głośno: - Przeklinam was!

Chrapiące wilczury poderwały głowy i wpatrywały się w niego ze zdumieniem. Bishop wznosił ręce do nieba i zamknął oczy. Jego potężny, dźwięczny głos brzmiał jak

głosy dawnych proroków przepowiadających zagładę.

- Wieszczę, że miejsce, w którym stoję, będzie zalewane wiecznym deszczem do dnia, w którym nie usłyszę szczerych i zgodnych z prawdą odpowiedzi na wszystkie moje pytania!

- Wieczny deszcz będzie bardzo przyjemną odmianą, sir Bishopie - powiedziała Merryn, ani trochę niewzruszona jego klątwą. - To nie nasza wina, że jesteś zbyt tępy, by zrozumieć to, co się do ciebie mówi.

- A co z tym, czego mi się nie mówi? Czy jestem zbyt tępy, by zrozumieć?

Założyła nogę na nogę i radośnie machała stopą, uśmiechając się drwiąco. Bishop był tak wściekły, że miał chęć pluć tak długo, by wypełnić fosę, a potem ją tam wrzucić.

Rozejrzał się po Wielkiej Sali. Żołnierze i służący siedzieli bez ruchu, sparaliżowani strachem. To sprawiło mu przyjemność. Spojrzał na lorda i lady de Gay.

Spokojnie przeżuwali chleb i ser, jakby w ogóle nie słyszeli jego słów. Jednak wilczury siedziały wyprężone, wlepiając w niego ślepią jak rycerze przed bitwą. Być może czekały na więcej kości.

- Odpowiedzieliśmy na wszystkie twoje pytania najlepiej,

jak mogliśmy - flegmatycznie odezwał się lord Vellan.

Powoli zaczął wyglądać na zatroskanego. Świetnie.

Bishop nagle zdał sobie sprawę, że przed chwilą wstał

i rzucił na Penwyth klątwę potopu. Przecież, na litość

boską, nie ma zielonego pojęcia o klątwach ani żadnej

tajemnej mocy! Powódź. Nie mógł uwierzyć we własną

głupotę.

Ta klątwa wypłynęła z głębin jego duszy. Przecież

w jakiś sposób odgadł, ile dzieci powiła lady Madelyn.

Czuł się przytłoczony.

To tylko zbieg okoliczności, zupełnie bez znaczenia.

Jest głupcem. Kompletnym idiotą. Może mieć nadzieję, że

deszcz będzie padał przynajmniej dwa dni. Czy dwa dni

ulewy będą się liczyły jako spełnienie klątwy?

Raczej w to wątpił. Musi koniecznie zrobić coś

spektakularnego. Coś, co wstrząśnie nimi do głębi.

Uśmiechając się, odwrócił się do Merryn, chwycił ją za

ramię i poderwał na nogi. Otworzyła usta, by na niego

krzyknąć, lecz zamknął jej wargi dłonią.

- Nie! Tym razem będziesz cicho. - Zacisnął rękę na jej

ramieniu, wiedząc doskonale, że sprawia jej ból. W tej

jednak chwili nie miało to dla niego znaczenia.

Pochylił się ku niej i krzyknął:

- Pójdiesz ze mną, Merryn de Gay! Będziesz siedziała

na spalonym słońcem wzgórzu, dopóki nie nadejdzie deszcz. Strugi wody będą tłukły w twe ciało, wlewały się do ust, oślepiały cię. Będę cię trzymał z dala od Penwyth, dopóki nie wyjawisz mi całej prawdy o klątwie.

Kopnęła go w goleń.

Krew w nim zawrzała z wściekłości, dudniąc w uszach i płynąc wartko żyłami jak struga szaleństwa. Chwyił Merryn i przerzucił sobie przez ramię. Kątem oka dostrzegł, jak Crispin wyciąga miecz.

- Zostaw mnie, Crispinie. Żaden z was niech się nie wtrąca. Przybyłem tu, by uwolnić Penwyth od klątwy, i zamierzam tego dokonać. Nie zniosę więcej kłamstw i niedomówień. Ani prób sprowadzenia na mnie obłądu.

Merryn szarpała się z całej siły i tłukła jego plecy kulkami. Bishop z uśmiechem trzepnął ją dłonią po pośladkach.

Krzyknęła, szarpnęła się ponownie i usiłowała go ugryźć. Rozluźnił na chwilę chwyt i zaczęła spadać głową w dół na kamienną posadzkę. Wrzasnęła wniebogłosy.

Bishop chwycił ją w ostatniej chwili, spojrzał przez ramię i powiedział:

- Bądź cicho i przestań się szarpać albo cię upuszczę, a twoja głowa pęknie jak dojrzały melon.

Zastygła jak posąg.

Świetnie. To była wspianiała groźba, choć mało wiarygodna. Bishop powoli wciągnął ją z powrotem na ramię. Suknia jej się podciągnęła i jego usta znalazły się o włos od białego uda. Czując zapach jej ciała, natychmiast stwardniał. Przekleństwo! Przecież jest mężczyzną. Nie jest w stanie kontrolować odruchów swojego ciała. Zresztą to nie ma znaczenia. Podjął już decyzję. Sprowadzi pokój do Penwyth. Dowie się całej prawdy i pocałuje tę zgrabną nogę, gdy tylko wyjdzie z Wielkiej Sali.

Zanim dotarł do stajni, zatrzymał go Dumas.

- Bishopie - powiedział, wiedząc, że Merryn słucha - będziesz potrzebował ochrony przed nadchodzącym deszczem i zapasów, by go przetrwać. A także straży.

Pojedziemy z tobą.

- Dziękuję, Dumasie - powiedział Bishop. - Wolę, byście zostali w zamku. Przynieś mój namiot i zapasy do stajni.

Merryn szarpnęła się zniecierpliwiona.

- Zostaw mnie, głupcze! - krzyknęła. - To jakieś szaleństwo. Nie mam zamiaru utopić się w deszczu, który przecież nie nadejdzie, bo nawet nie wiesz, o czym mówisz!

Dał jej kolejnego klapsa.



- Szaleństwo panuje tutaj, w Penwyth. To, co ja robię, ma sens i jest normalne. Zabieram cię stąd, wiedźmo.

Choć może tego nie zrobię, jeśli powiesz mi prawdę.

- Nie ma żadnej prawdy! Jest tylko ta przeklęta klątwa!

Nic więcej. Mój dziadek wie o niej najwięcej z nas wszystkich. Skoro postanowił nie mówić wszystkiego, to jego sprawa, nie moja. Zostaw mnie!

- W takim razie będzie musiał nas znaleźć na wzgórzach i powiedzieć całą prawdę. Mam nadzieję, że lubisz deszcz, Merryn, gdyż naprawdę zamierzam cię związać i pozwolić ci w nim utonąć.

Zamilkła. To nawet lepiej, pomyślał i uśmiechnął się.

Gdy chwilę później jechał na Nieustraszonym, ścigało ich rzenie jej klaczy. Merryn leżała na brzuchu na jego kolanach, a zapasy i namiot zwieszały się po bokach siodła. Bishop zdał sobie sprawę, że jeśli rzeczywiście zwiąże ją i zostawi na deszczu, może ją zabić.

- Brzuch mi zaraz pęknie.

- Zamilknij. Wyjechaliśmy właśnie z Penwyth. Jeśli możesz spojrzeć za siebie, zobaczysz blanki, a ponad nimi zastępy starców, włączając w to twojego dziadka. Służba pewnie została w Sali, zajadając ser Belzebuba i zastanawiając się, jak będziesz wyglądała, gdy deszcz zaleje ci usta.

- Nie chcesz chyba mnie utopić! Hej! Słyszysz, mnie?

Hej! Nie spadnie żaden deszcz! Jest susza, głupku. Nie padało od miesięcy. Nie utonę. Być może umrę od spiekoty i kurzu!

- To dopiero będzie widok.

- Zatem przyznajesz, że twoje przepowiednie nie są warte funta kłaków?

- Sama zobaczysz. Wszyscy zobaczycie.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Bądź cicho.

- Ale...

Dał jej siarczystego klapsa.

Krzyknęła i nie odezwała się więcej.

Zaczął gwizdać, by zagłuszyć jej chrapliwy oddech.

Noc była piękna, na niebie jaśniały tysiące gwiazd, wąski sierp księżyca dawał zdumiewająco dużo światła. Ciepłe powietrze miękko obmywało skórę. Czy w bezkresnej przestrzeni nieba rzeczywiście kryje się deszcz? Bishop wiedział, że tak. Że deszcz nadejdzie niedługo. Nigdy wcześniej jego dar nie był tak ważny jak w tej chwili.

Może naprawdę jest czarodziejem, zaś deszcz będzie na to niezbitym dowodem.

Pomyślał o suszy gnębiącej Penwyth. Wątpił, by miała cokolwiek wspólnego z wiedźmami z Byrne czy druidami.

Zapewne to potężne siły natury wysuszyły na pył ziemię wokół zamku.

Merryn zaczęła charczeć.

Bez wahania podniósł ją i posadził przed sobą w siodle.

- To było mądre posunięcie - wyjąkała po chwili. -

Pobrudziłabym ci buty.

- Ciekawe, co ja bym wtedy zrobił?

- Znowu byś mnie zbił?

- Nie zbiłem cię jeszcze. Nie przeceniaj własnych cierpień.

- Dokąd mnie zabierasz?

W tej chwili zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, dokąd jadą. Nie wiedział, co jej odpowiedzieć, więc warknął tylko:

- Bądź cicho.

Nieustraszony

instynktownie

kierował

się

na

południowy wschód. Gnał do Land's End. Niech więc tak

będzie. Nad urwiskiem Bishop ściągnął koniowi wodze.

Rozciągało się przed nimi spokojne morze, czarne

i aksamitne w świetle księżyca. Poszarpane skały

wznosiły się wokół jak armia gigantów, górując nad wąskim paskiem plaży. Bishop słyszał fale roztrzaskujące się o skały, czuł na twarzy mgiełkę morskiej bryzy.

- To najpiękniejsze miejsce na ziemi – odezwała się

Merryn. - Popatrz tam. Widzisz gniazda tysięcy

gawronów powtykane we wszystkie szczeliny klifu?

- Nigdy stąd nie wyjeżdżałaś, więc nie dziw się, że

uważasz to miejsce za piękne.

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Widziałeś kiedykolwiek piękniejszy krajobraz?

- Ta okolica jest zbyt wyschnięta, zbyt jałowa -

powiedział Bishop.

- To się zmieni, gdy spadnie twój słynny deszcz, czyż

nie? - zapytała sarkastycznym tonem. - Masz zamiar tu

zostać? Zwiążesz mnie i pozwolisz wronom wydziobać mi

oczy?

- Gdy już zacznie padać, wątpię, by jakikolwiek ptak

miał ochotę opuszczać suche gniazdo, by cię atakować.

Nawet wrona. - Zeskoczył z siodła i zestawiał ją na ziemię.

- Nie uciekaj, bo się rozłoszczę. - Odwiązał potężny

toból z zapasami i rzucił go na ziemię. - Tu jest namiot.

Rozstaw go.

Kopnęła kamyk, nawet na niego nie patrząc.

- Oczywiście, że wątpię, byś potrafiła zrobić cokolwiek

pożytecznego. Jesteś tylko dziewczyną, córeczką lorda, która w całym swoim życiu nie robiła nic poza liczeniem wstążek. Może gdy nadejdzie twoja pora, będziesz w stanie powić i wykarmić dziecko. Można tylko mieć taką nadzieję.

Kopnęła ze złością tobół, uklękła i zaczęła go rozpakowywać. Chleb, ser, trzy bukłaki piwa. Wyglądało to, jakby Dumas zebrał wszystko ze stołu w Penwyth. Merryn wyciągnęła namiot. Wydawał się doskonale uszyty, ale nie wiedziała, jak go rozłożyć. Obejrzała cienkie kijki, sporą płachtę materiału i westchnęła. Wsparła dłonie na biodrach i spojrzała na Bishopa. Wyczesywał Nieustraszonego. Widząc jej wściekłość, roześmiał się wesoło.

- Wyszczotkuj konia.

Zrobiła to z wprawą, przemawiając czule do ogiera, całując go po nosie i opowiadając mu o swej klaczy. Bestia zarżała w odpowiedzi i położyła wielki łeb na jej ramieniu.

Gdy namiot stał już na płaskim kawałku ziemi, Bishop podszedł do Merryn. Stała o krok od urwiska. Jej suknia furkotała wokół nóg w gwałtownych podmuchach wiatru. Zdawało mu się, że coś mówi.

Zapewne mruczała klątwę.

- Nie będziemy już rozpalać ognia – powiedział. - Jest późno. Dzień ciągnął się bez końca i jestem zmęczony.

Chodź tu.

Odwróciła się do niego powoli. Mógłby przysiąc, że wokół jej głowy jaśniał pierścień światła. Poczuł, jak serce koziółkuje mu w piersi. Potrząsnął głową, wściekły na siebie. Przyjechał do tego niedorzecznego miejsca, które ma niedługo należeć do niego, a zamiast dążyć do celu, widzi wiedźmę za każdym krzakiem.

- Chodź tu.

- Chciałabym nacieszyć się tą cudną nocą.

- Nie obchodzi mnie, co byś chciała. - W dłoni trzymał zwiniętą linę.

- Co zamierzasz zrobić? Zbijesz mnie tym sznurem?

- Chodź tu - powtórzył po raz trzeci.

Merryn pomyślała w tym momencie, że odkąd obudziła się o świcie, całe jej życie uległo zmianie. Teraz był tu Bishop i w głębi serca czuła, że nie zamierzą wyjeżdżać.

Czy zginie? Czy klątwa go porazi?

- Nie potrafię powiedzieć ci niczego więcej na temat klątwy.

- Chodź tu.

Powoli podeszła do niego.

- Daj rękę.

Podąła. Obwiązał liną jej nadgarstek.

- A teraz pójdziemy spać.

Spojrzała na niego bezradnie, przełknęła ślinę

i powiedziała:

- Muszę mieć chwilę dla siebie, zanim położę się spać,  
błagam.

- Chwilę? Po co? Żeby rzucić kolejne przekleństwa na  
moją głowę?

Pokręciła głową.

- Proszę. Tylko chwilę. Muszę sobie ulżyć.

- Niech będzie. Jeśli spróbujesz uciec, przywiążę cię na  
noc do Nieustraszonego i spędzicie ją bardzo blisko  
siebie.

W pobliżu rósł tylko jeden krzak. Bishop machnął  
dłonią w jego kierunku.

- Idź.

Gdy wróciła po kilku minutach, stał w tym samym  
miejscu. Powoli podniosła rękę, by mógł obwiązać ją  
sznurem.

- Chodź - powiedział, wskazując na namiot.

Schronienie okazało się ledwie wystarczające dla nich  
dwojga. Bishop rozłożył na ziemi koc i ułożył tobołek  
z zapasami, by służył za poduszkę. Przywiązał  
Nieustraszonego do skały tuż przy namiocie.

Merryn odwróciła się do niego plecami i zwinęła w kłębek, zaś Bishop ułożył się wygodnie na plecach na swojej połowie. Drugi koniec liny miał przywiązany do własnego nadgarstka, lecz po chwili stwierdził, że żadne z nich nie jest w stanie się poruszyć.

- Odwróć się do mnie - powiedział. Gdy się nie poruszyła, dodał znużonym głosem: - Nie mam zamiaru cię napastować. Jestem zmęczony. To był długi i bardzo dziwny dzień. Chcę tylko spać. Bądź posłuszna.

Nagle Merryn usiadła, naciągając linę.

- Nie powinieneś był mnie tu przywozić. To nie w porządku. Jestem damą.

- To się jeszcze okaże. Chodź do mnie.

Merryn nie chciała kłaść się przy jego boku, dotykać go, opierać policzka na jego ramieniu, mimo że wciąż miał na sobie tunikę. Był obcy. Młody, pełen mocy i wspaniale zbudowany. Bała się go i nie bała jednocześnie. To ci zagadka.

- A jeśli zacznie padać?

- To solidny namiot. Jednak jeśli będzie porządnie lało, pewnie trochę przemokniemy.

-

Niedaleko stąd jest mały szałas. Moglibyśmy się w nim schronić.



- Mowy nie ma, jestem zmęczony. Nie zamierzam się stąd ruszać - powiedział i pociągnął za sznur.

Powoli, z ociąganiem, położyła się przy jego boku. Była sparaliżowana jego bliskością. Suchy wiatr szarpał połami namiotu. Nie niósł z sobą nawet najlżejszej zapowiedzi wody. Bishop wziął ją pod pachy i ułożył sobie w zagłębieniu ramienia. Gdy spostrzegł, że Merryn nie bardzo wie, co zrobić z ręką, ujął ją za nadgarstek i zwyczajnie położył jej dłoń na swoim torsie.

- Śpij już - powiedział. - Nic ci nie grozi z mojej strony, pod warunkiem że nie zaczniesz znów inkantować.

- Nie inkantowałam. Śpiewałam tylko. Co byś zrobił, gdybym zaczęła inkantować?

- Włożyłbym na ciebie siodło Nieustraszonego i kazał ci w nim chodzić.

Nie znała go na tyle, by wiedzieć, czy mówi na serio.

Wolała jednak nie ryzykować.

- Nie będę inkantować.

- To dobrze - powiedział i zamilkł.

Merryn leżała przy nim bez ruchu. Nigdy wcześniej nie leżała tak blisko mężczyzny. Był potężny. Zbyt potężny.

Pod dłonią czuła równe, mocne uderzenia serca. Czuła przyjemny zapach jego rozgrzanego ciała. W tym zapachu było coś zdumiewającego... Nie pachniał starością!

Merryn zamknęła oczy. Dlaczego ją tu przywiózł? Czyżby naprawdę zamierzał położyć ją związaną na pastwę deszczu?

O ile spadnie deszcz.

Rozdz

d ia

i 1 19

Bishop miał bardzo lekki sen, który co najmniej trzy razy ocalił mu życie. Obudziłby się natychmiast, gdyby usłyszał parsknięcie Nieustraszonego. Obudziłby się na dźwięk gałązki pękającej pod czyjąś stopą na sąsiednim wzgórzu. Obudziłby się, gdyby dziesięć metrów dalej usłyszał czyjś oddech.

Jednak gdy w środku nocy Merryn wspięła się na niego i ułożyła się do snu, nawet nie drgnął. Tuż przed świtem otworzył oczy i przez długą chwilę leżał bez ruchu, zdumiewając się tym zdarzeniem. Merryn leżała na brzuchu, rozłożywszy ręce i nogi na boki. Głowę wcisnęła pod brodę Bishopa. Całe jej ciało wtulało się w niego. Z trudem pozbierał myśli. Słyszał delikatny wiatr od morza. Czuł zapach słonej wody, lecz nie wyczuwał deszczu.

Jeszcze nie. Jeszcze za wcześnie.

Czuł za to leżącą na nim Merryn. Nie tylko jej delikatne

ciało tak doskonale pasujące do jego ciała. Czuł jej głęboki oddech i palce zaciskające się na ramieniu.

Jak, na litość boską, zdołała ułożyć się na jego ciele, nie budząc go przy tym?

Słyszał oddech śpiącego Nieustraszonego. Wyobraził sobie swojego ogiera zwróconego w stronę klifu, kiwającego miarowo głową w lekkiej bryzie.

Merryn leżała na nim, przyciskając swój brzuch do jego brzucha, i Bishop czuł, że jest twardszy niż ziemia, na której leży. Merryn jest za blisko, stanowczo za blisko. Na pewno niedługo się obudzi i poczuje jego nabrzmiałą męskość. Na pewno poderwie się gwałtownie i będzie przerażona. Wstrząśnięta od stóp, które pieścił, do głowy.

Czuł jedną z jej drobnych stóp spoczywającą na jego podbiciu.

Na spróchniałe kości świętego Antoniego, mógł bez trudu podciągnąć suknię i dotknąć jej nóg. Wiedział już, że są smukłe i długie, zauważył to gdy wiatr igrał z jej spódnicą. Jednak chciał poczuć jej skórę, dotknąć delikatnego ciała. Chciał znów zamknąć w dłoni drobną stopę i pogłaskać małe uszy.

Boże, niech ona się obudzi!

Wspaniale. Po prostu świetnie. Merryn za chwilę zerwie się jak oparzona i zacznie wrzeszczeć jak opętana

wiedźma, a wtedy wszystkie duchy antycznych druidów  
rzucą się na niego i bez ceregieli wpakują go do  
drewnianej skrzynki.

Nie dbał już o to. Nie zważając na to, że obejmuje ją  
ramionami i przyciska mocno do siebie, odezwał się  
półgłosem:

- Merryn...

- Mmm...

- Merryn, obudź się. - Dłonie Bishopa zsunęły się niżej,  
niemal do jej pośladków. - Jeśli się nie obudzisz, wezmę  
cię tu i teraz, i będzie za późno.

Z wysiłkiem oderwał od niej dłonie. Nie powinien był  
jej dotykać. To kompletne szaleństwo, wzięwszy pod  
uwagę ścigającą ich klątwę. Jednak wszelkie rozważania  
na jakiegokolwiek tematy nie były w stanie go teraz  
rozproszyć. Ścisnął mocno jej biodra, wyobrażając sobie,  
że obraca się wraz z nią i wchodzi w jej ciało jednym  
ruchem. Czy gdyby uczynił ją brzemienną, klątwa  
zniszczyłaby go mimo to? Czy w ogóle wściekłe duchy  
wiedziałyby, że ją posiadał?

- Merryn, już świta. Otwórz oczy. Jeśli tego nie zrobisz,  
za chwilę znajdziesz się pode mną.

Spodziewał się, że dziewczyna poderwie się z krzykiem,  
lecz znów się pomylił. Bardzo powoli uniosła się na

rękach, wpatrując się w jego twarz. Musiała czuć palce Bishopa na biodrach i jego pulsującą męskość przy własnym łonie.

- Na wszystkie świętości - powiedziała zaskoczonym głosem. - To jest tak przyjemne, że na pewno jest bardzo ciężkim grzechem.

Nie tego oczekiwał Bishop. Kimże jest ta dziewczyna, która pochowała już czterech mężów? Która wciąż ma przed nim sekrety?

Jego dłonie wciąż jej dotykały, lekko poruszając jej ciałem kołyszącym się na twardej męskości. Pragnął jej tak bardzo, że był gotów jęczeć przeciągle jak zraniony w boju rycerz. Rozkoszne pulsowanie w członku graniczyło niemal z bólem. Nie odrywał zgłodniałego wzroku od jej twarzy.

- Oczywiście, że to przyjemne. Powinno być przyjemne.

- Sądziś, że to grzech? - zapytała, lekko opuszczając się na rękach. Piersiami niemal dotykała jego torsu.

- Merryn.

Powinnaś

przeraźliwie

wrzeszczeć,

odpychać mnie i starać się uciec.

- Aha - odparła, pochylając głowę. Czuł jej lekki

oddech na wargach.

- Kiedy się na mnie wspięłaś?

- Ja? Ojej... - Merryn wyraźnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Gdyby mogła się zarumienić jeszcze bardziej, przypominałaby zachód słońca w St. Ives. Jednak w jej oczach skrzyło się podniecenie zmieszane z ciekawością.

- Skoro mnie pragnęłaś, dlaczego po prostu mnie nie obudziłaś?- zapytał. - Mężczyźni są gotowi do boju w każdej chwili.

Chwycił ją mocno za biodra i przycisnął do nabrzmiącej męskości.

- Nie mam pojęcia, jak to się stało – szepnęła. Jej oddech stał się krótki, urywany. - Może przez sen szarpnęłaś za linkę i wciągnęłaś mnie na siebie?

- O, nie. Nie jestem głupcem. - Jednak najwyraźniej był szalony. Zaczął powoli podciągać jej suknię.

Wpatrywała się z uporem w jego oczy.

- Jeśli nie przestaniesz, klątwa może cię zabić.

- Być może, lecz czy powinnaś się tym martwić? Jeśli powiesz mi wszystko, co przede mną ukrywasz, może nie zwiążę cię i nie porzucę na deszczu.

Nie odezwała się, lecz jej oddech stał się chrapliwy.

Jeśli Bishop się nie pomylił, a był przekonany, że nie,

Merryn poważnie zastanawiała się nad jego słowami.

- Zaslugujesz na karę - powiedział znudzonym,

obojętnym głosem, choć palce mu drżały z pragnienia, by poczuć jej nagą skórę. - Gdybyś zechciała ze mnie zejść, bardzo by mi ulżyło.

- Jesteś zupełnie inny niż ja - powiedziała, wpatrując się w jego usta.

Bishop poruszył się. Nie mógł się powstrzymać. Był jeszcze twardszy niż przed chwilą; miał ochotę osiąść ją i kochać bardzo, bardzo szybko i mocno. Ponownie się poruszył. Nagle nie był w stanie dłużej tego znieść. Objął ją mocno ramionami i przetoczył Merryn na plecy, wspierając się na łokciach nad jej ciałem.

Nie krzyknęła ani nie przeklęła go. Po prostu leżała z dłońmi na jego ramionach.

- Widziałam już wielu nagich mężczyzn - powiedziała spokojnie. - Nie wyglądali tak jak ty.

Roześmiał się głośno. Włosy Merryn były splątane, usta miała lekko rozchylone. Ta pozycja okazała się o wiele trudniejsza do zniesienia niż poprzednia, gdy Merryn leżała na nim. Tak łatwo mógłby podciągnąć jej suknię i wejść w nią z mocą, głęboko, jak najgłębiej. Na samą myśl o tym ledwie powstrzymał jęk.

- Dotykałaś nagich mężczyzn? - zapytał, by skupić na czymś uwagę. - Czy ty, młoda dama, dotykałaś ich tam? -

Pchnął lekko biodrami, by zrozumiała wyraźnie, o co ją pyta. Zdawało mu się, że jeszcze chwila i umrze.

- Nie. Patrzyłam na nich tylko i nie wyglądali tak jak ty.

- Mężczyzna jest tylko mężczyzną - odparł, nadymając się jak paw. Czuł, że męskość stwardniała mu nawet bardziej. Czyżby Merryn usiłowała go uwieść?

- Być może, a jednak nie przypominali ciebie.

Bishop nagle pojął różnicę i jego entuzjazm oklapł nieco.

- To byli sami starcy.

- Oczywiście. W Penwyth są sami starcy.

- Dość tego. Muszę się od ciebie odsunąć.

Nie chciał się odsuwać, naprawdę tego nie chciał.

Z wysiłkiem odchylił się lekko na bok. Merryn leżała bez ruchu, dopóki nie fuknął:

- Niech cię licho, Merryn, nadużywasz mojej cierpliwości! Odsuń się!

Próbowała wysliznąć się spod niego, przesuając się powoli, jakby się bała, że ją skrzywdzi, jeśli wykona jakiś fałszywy ruch. Gdy mógł się już położyć przy niej na boku, szybko usiadła. Jednak nie przestała na niego patrzeć, o nie. A pod jej wzrokiem męskość twardniała mu nieprzerwanie.

Usiadł przy niej i zaczął rozwiązywać sznur.



- Co zamierzasz dziś robić?

Do tej pory o tym nie myślał. Wcześniej czuł tylko wściekłość i chciał ukarać wszystkich za robienie z niego głupca, ukarać ją za wszystkie sekrety i ponętny wygląd.

Ukarać ją za to, że nie był w stanie trzeźwo myśleć.

W milczeniu rozsupływał węzeł, który w nocy się zacisnął.

- Naprawdę wierzysz, że będzie dziś padać?

- Owszem. Dziś spadnie deszcz.

- Jeśli tak się stanie, nie zamierzasz przecież porzucić mnie skrepowanej na pastwę ulewy, nieprawdaż?

Nareszcie usłyszał strach w jej głosie. Powinna się bać.

Głowę miała spuszczoną. Rude włosy splątały się i rozczochrały.

- Jeśli wreszcie powiesz mi prawdę, jeśli powierzysz mi wszystkie tajemnice, których tak pilnie strzeżesz, przemyślę to jeszcze raz.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie mam żadnych tajemnic. Masz wąsy.

Świetny sposób na odwrócenie uwagi.

- Jestem mężczyzną i mamy poranek. Oczywiście, że mam wąsy. Miałaś już czterech mężów, więc musisz wiedzieć, co się im przydarzyło. Wiesz wszystko.

Ku jego zdumieniu Merryn uniosła dłoń i opuszkami

palców dotknęła jego policzka i brody.

- To sprawa klątwy. Nic więcej nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Bardzo różnisz się ode mnie.

- Merryn, w Penwyth są także młodzi mężczyźni.

Widziałem ich co najmniej tuzin. Zapewne wszyscy w waszym przeklętym zamku doskonale wiedzą, co się tam dzieje.

- Ach, lecz ci młodzieńcy są wieśniakami i nie mam prawa patrzeć na nich, chyba że przychodzą się na coś poskarżyć. - Zamilkła na chwilę, szarpiąc sznur uwiązany do nadgarstka. - Nigdy nie widziałam żadnego z nich nago. Nie kąpią się zbyt często, a nawet jeśli to robili, nie było mnie wtedy w koszarach, gdzie kilka razy widziałam nagich strażników.

Bishop

parsknął

śmiechem.

Nie

mogąc

się

powstrzymać, pochylił się nagle i pocałował ją w usta.

Merryn zamarła. Zauważył, że od sznura ma obtarty nadgarstek.

Dotknęła palcami warg i spojrzała mu w oczy.

- Nikt mnie wcześniej nie całował.

- Twój drugi mąż całował cię, aż krew buchnęła mu ustami.

Zadygotała.

- Sir Gifford de Lancey. To było okropne. Nie chcę tego pamiętać.

- Już nie żyje. Otrzymał należną karę.

Pokiwała głową.

- O, tak. Tak właśnie się stało.

- Dotykał cię?

Merryn położyła dłoń na piersi, lecz nic nie powiedziała. Bishop znów wybuchnął śmiechem.

- W normalnych okolicznościach nikt nie uwierzyłby, że miałaś czterech mężów i wciąż jest dziewicą.

Merryn podniosła się na kolanach.

- Muszę się udać na stronę.

- Ja również.

Poranek był prześliczny i nie tak ciepły jak poprzedniego dnia. Bishop natychmiast wyczuł zmianę w powietrzu. Zawsze czuł ją przed deszczem. Słońce powoli wspinało się ponad linię horyzontu. Wciąż było bardzo wcześnie. Morze, teraz gładkie i spokojne, rozciągało się u jego stóp. Spojrzał na Merryn idącą ku jedyemu krzaczkowi. Odwrócił się i ulżył pęcherzowi,

po raz pierwszy w życiu myśląc, że to zadanie jest o wiele łatwiejsze, gdy jest się mężczyzną.

Zajrzał do Nieustraszonego. Znudzony rumak trącił go mocno w ramię. Bishop wyczesał go i podprowadził bliżej klifu, gdzie koń mógł widzieć szalejące ptaki.

Gdy Merryn wróciła, wciągnęła nosem powietrze jak Bishop i uśmiechnęła się.

- Jestem głodna. Mogę zobaczyć, co Dumas dla nas spakował?

Spojrzał na nią zdumiony. Czyżby to było jej miłe, łagodne obejście? Zachowywała się, jakby się wcale go nie bała. Niedobrze.

- Przejrzyj zapasy - powiedział szorstko. - Gdy zjemy śniadanie, powiem ci, co postanowiłem z tobą zrobić. Jego słowa i ton głosu trochę ją przestraszyły. Powinna się go bać. Zaczynał się przyzwyczajać do myśli, że pewnego dnia ją poślubi. Wszyscy powtarzali, że rolą żony jest słuchanie we wszystkim męża, rodzenie mu dzieci i dbanie, by przeżyły, a przede wszystkim zgadzanie się z każdym jego słowem. Bishop spodziewał się, że Merryn nie zechce być taką żoną. Przecież pragnie stać się dziedziczką Penwyte.

Nagle oczyma wyobraźni ujrzał małego chłopca, którego włosy były równie czarne jak jego własne. Jednak

oczy

okazały

się

zielone

jak

bagna,

nie

zaś

ciemnoniebieskie. To jakiś nonsens. Przecież nie jest  
przeklętym jasnowidzem! Prawdę mówiąc, nie jest także  
czarodziejem. Nie posiadał tajemnej wiedzy, nie zna  
starodawnych mocy, które przetrwały wieki i wciąż są  
potężne. Nie. Nie potrafi przyrządzić sobie gorącego  
posiłku, a co dopiero przekląć człowieka czy zabić go  
jednym spojrzeniem.

Skąd zatem wzięła się wizja chłopca? Na pewno  
przywołała ją sama wyobraźnia podniecona nocą  
w namiocie pod ciepłym kobiecym ciałem.

Jedynym darem Bishopa było przepowiadanie deszczu,  
nic więcej. Niezbyt wiele wiedział też o kobietach, nie  
licząc tego, że spółkowanie z chętną dziewczuchą wprawiało  
go na kilka godzin w dobry nastrój. Wszyscy mężczyźni,  
jakich poznał, byli tacy jak on.

- Babka powiedziała mi, że bez wahania wymieniałś

liczbę dzieci, które powiła - odezwała się Merryn. - Skąd

o tym wiedziałeś?

Bishop wziął od niej kawałek sera Belzebuba i zaczął

go żuć, by zyskać na czasie. Wreszcie wzruszył

ramionami i odpowiedział:

- Mówiłem ci przecież. Jestem czarodziejem. Dużo  
wiem.

- A może król ci o tym powiedział?

- A skądże król miałby to wiedzieć? I niby dlaczego  
miałoby to mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie?

Niewątpliwie. Merryn podała mu bochen chleba

i przyglądała się, jak przełamuje go w dużych dłoniach.

- Babka była przerażona - rzekła.

- Słusznie. Powinna się bać. Jakkolwiek sama jest dość  
przerażająca, nie powiedziała mi niczego, co miałoby  
jakikolwiek sens. Bardzo dziwna z niej dama, Merryn.

Czy to ona cię wychowała?

- Myślę, że można tak powiedzieć. Zazwyczaj jednak  
robiłam to, na co mi przyszła ochota aż do dnia, gdy nasz  
kamerdyner, Ranlif...

- Ach, kamerdyner. Przynajmniej mógł wyspać się  
w swojej komnacie.

- Tak. Jestem pewna, że docenił to szczęście, Twierdzi,  
że nocami łupie go w kościach. Dziadek kazał zrobić dla

niego specjalny materac z gęsiego puchu. Ranliel nauczył mnie czytać i pisać. Twierdzisz, że moja babka jest dziwna. Ja zawsze uważałam ją za fascynującą. Jest dumna ze swojej odmienności i niezwykłości. To doprowadza dziadka do szaleństwa, zresztą zawsze go doprowadzało, a ona dobrze o tym wie. Ale, jak wiesz, uderzył ją tylko jeden jedyny raz. Nigdy potem nie podniósł na nią ręki, nawet po śmierci Meridian.

- A twoja matka?

- Zmarła niedługo po urodzeniu trzeciego syna.

Wszyscy chłopcy szybko umierali, tylko ja przeżyłam.

Ojciec rzadko bywał w Penwyth po jej śmierci. Chyba przestało mu zależeć na rodzinie.

- Twoja prababka nazywała się Meridian. Przedziwne imię. Przykro mi z powodu twych zmarłych braci. Trudno jest dożyć męskiego wieku.

- To prawda. Słyszałam, jak niektórzy mówili, że to ja powinnam umrzeć, a nie chłopcy, lecz, jak widzisz, nie umarłam.

- Gdzie mieszkała Meridian?

- W zamku niedaleko Tintagelu. Potrafiła przewidywać różne zdarzenia, podobnie jak ty. Naprawdę. Czy to ona rzuciła tę klątwę? A może ją odczytała i nadała jej pierwotną moc? Nie wiem. Sam widzisz, że mówię ci

wszystko, co tylko wiem. - Zamilkła, jedząc chleb, który jej podał. Bishop zastanawiał się, czy wraz z chlebem przelyka też kłamstwa i przeklęte sekrety. - Uważam, że pradziadek zabił ją, bo za bardzo się jej bał.

Wiatr ustał. Przestał wiać dosłownie w jednej chwili.

Powietrze jakby się rozrzedzało, rozwiewało. Było to bardzo dziwne uczucie, a Bishop odczuwał je całym sobą.

Nie poruszał się, by nie spłoszyć niezwykłego doznania.

- Co się stało, Bishop? - zapytała Merryn. Dlaczego masz taką dziwną minę?

Nieustraszony zarżał niespodziewanie.

Bishop zerwał się na równe nogi i rozejrzał wokoło, lecz nikogo nie dostrzegł. Specjalnie wybrał to miejsce na obozowisko. Wiedział, że z daleka zobaczy zbliżających się ludzi.

Pusto. Tylko poranna mgła unosząca się aż do horyzontu. W oddali widział zachodnią wieżę Penwyth.

Czy na blankach stali ludzie, wypatrując ich powrotu? Nie wiedział. Nie mógł wiedzieć.

- Wszystko w porządku. - Skończył jeść chleb, wypił porcję *ale* i powiedział: - Podjąłem decyzję, co z tobą zrobię.

Rozdz

d ia



Nie odezwał się więcej, tylko podał rękę Merryn i usadowił ją na siodle Nieustraszonego. Pojechali na północ, wzdłuż wybrzeża. Starał się jechać po ziemi należącej do Penwyth, chciał bowiem zobaczyć krainę, która będzie do niego należeć. Niestety, jego oczom ukazał się obraz nędzy i rozpacz. Pola uprawne były wyschnięte, a rolnicy zagłodzeni niemal na śmierć. Zaczął się modlić, by dar przewidywania deszczu nie zawiódł go tym razem, gdyż widział wyraźnie, że Penwyth umiera.

- To nie wygląda dobrze - powiedziała Merryn.

- Istotnie.

- Jeszcze nic ze mną nie zrobiłeś - odezwała się znów po dłuższej chwili.

- Szukam dogodnego miejsca, w którym wystawię cię na pastwę nadchodzącego deszczu.

Jednak wydawało się, że nie może go znaleźć.

Zatrzymali się na polanie i zjedli resztę zapasów.

Zauważył, że Merryn jest bardzo z siebie zadowolona.

Wiedział, że natychmiast musi coś zrobić, inaczej dziewczyna go pokona. Będzie przekonana, że jest zwykłym blagierem. Nie mógł na to pozwolić.

- To miejsce jest wyborne - powiedział. Spójrz na ten niewielki pagórek. To właśnie tu zostaniesz wydana na

pastwę ulewy. Ponieważ położę cię na wzniesieniu, masz szansę nie utonąć, jednak z pewnością poznasz, czym są bicze wodne.

- Nie uwierzyła mu.

- Chcę już wrócić do Penwyth. Wszyscy na pewno bardzo się o mnie martwią.

- Dlaczego mieliby się martwić? Przecież wiedzą, że zabrałem cię, by cię ukarać. Czyżby sądzą, że zamierzam cię zabić? Hmm... - Błyskawicznie chwycił ją za nadgarstki i obwiązał je liną. Merryn starała się wyrwać z jego uścisku, a była naprawdę silna. Szarpała się i krzyczała głośno, lecz Bishop beznamiętnie zawiązywał kolejne węzły. Zaciągnął ją na szczyt pagórka, gdzie rósł potężny krzak, podciął nogi i przewrócił ją na plecy. - Przestań się miotać. Przecież mówiłem ci, co zamierzam zrobić.

- Nie! Nie pozwolę na to! - Zdołała wyszarpnąć związane ręce i zdzielić go z całej siły w szczękę. Bishop przewrócił się, a Merryn poderwała się na równe nogi. -

Nie pozwolę ci się związać jak jakieś zwierzę! -

Poderwała się do biegu. Widział, że biegnąc, stara się poluzować linę zębami.

Rzucił się za nią w pogoń. Musiał uważać, jak biegnie, gdyż Merryn uciekała w dół po zboczu, wśród skał

i staczających się kamieni. Słyszał jej ciężki oddech.

Spojrzała przez ramię i potknęła się. Krzycząc, wyciągnęła przed siebie związane ręce. Wylądowała na dłoniach i kolanach i potoczyła się w dół, aż do stóp pagórka.

- Niech cię licho porwie, Merryn - wysapał Bishop. Sam również się potknął, lecz jakoś zdołał utrzymać równowagę. Opadł na kolana przy leżącej bez ruchu dziewczynie. Była nieprzytomna. Przysiadając na piętach, zamknął oczy.

Dzień wcale nie toczył się tak, jak powinien.

Lekko obmacał palcami jej głowę i wyczuł za lewym uchem szybko rosnący guz. Dzięki Bogu za jej gęste włosy! Miał nadzieję, że choć trochę ją ochroniły.

Odwrócił ją na plecy, zbadał ręce i nogi, lecz nigdzie nie wyczuł złamania. Czy jednak nie odniosła wewnętrznych obrażeń? To mogło się naprawdę źle skończyć! Bishop zbladł, spojrzał w niebo i zaklął szpetnie.

- Kapłan nigdy nie zniżyłby się do wypowiedzania takich bluźnierstw.

- Nie jestem kapłanem. Dla ciebie jestem sir Bishop!

W jego głosie usłyszała ulgę. Była jednocześnie wściekła i przestraszona, choć miała wielką ochotę

roześmiać mu się w twarz. Z drugiej zaś strony chciała porządnie uderzyć się kamieniem w głowę i znów zapaść w słodką nieświadomość.

Niestety. Zamknęła oczy i zacisnęła zęby. Nigdy wcześniej nie doznała podobnego cierpienia. Dudniący, przeszywający ból rozsadzał jej głowę, niemal ją oślepił.

Czuła, jak Bishop rozwiązuje linę i rozmasowuje jej nadgarstki. Położył dłoń na jej czole i się pochylił. Czuła jego ciepły oddech na twarzy.

- Nie mogę ci w żaden sposób pomóc.

Wiedziała o tym. W jego głosie słyszała niekłamana troskę.

- Nie mogę się ruszyć.

- Nawet nie próbuj. Leż spokojnie.

Odszedł. Słyszała stłumione rzenie Nieustraszonego i cichy głos Bishopa. Po chwili wrócił, niosąc dwa koce.

Uniósł jej głowę i wsunął pod nią zwinięty koc.

Nie pisnęła nawet, choć było to trudne. Bardzo trudne.

Poczuła

na

policzkach

opuszki

jego

palców

i zrozumiwała, że ściera jej łzy.

Wtedy właśnie, bez ostrzeżenia, niebiosa otworzyły się nagle i spadł rzęsisty deszcz. Bishop spojrzął na niewiarygodnie gęste kurtyny wody i zaklął ponownie.

Wspaniały, życiodajny deszcz, który przywróci życie jego ziemi! Dlaczego nie mógł zacząć padać nieco później?

- Nie musisz mnie nawet związywać – powiedziała

Merryn, odwracając twarz. - Tak czy siak utonę, bo leżę u stóp pagórka i nie mogę się podnieść.

Bishop pochylił się nad nią, usiłując zasłonić ją przed strugami wody lejącej się z nieba, ale było to niemożliwe.

Przemoczony Nieustraszony rżał przeraźliwie.

Bishop pochylił się jeszcze niżej. Jego nos znajdował się zaledwie parę centymetrów od jej nosa. Zupełnie nie wiedział, co robić. Jakąś częścią umysłu zanotował, że niebo pociemniało, jednak starając się ochronić przed ulewą swoją przyszłą żonę, nie zwracał na to uwagi.

Zaklął znowu, dotykając jej nosa własnym.

- Posłuchaj, Merryn. Nie mogę ryzykować przenoszenia cię gdziekolwiek, więc spróbuję ustawić namiot. Powinien osłonić nas chociaż trochę.

- Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałeś?

- Może sądziłem, że będziesz miała czelność umrzeć w moich ramionach?

- Jeśli już mam umierać, chcę umrzeć sucha.

Rozstawił namiot tuż przy niej, dziękując Bogu, że grunt okazał się dość równy. Merryn stoczyła się przecież z całego zbocza, zanim uderzyła głową o skałę. Wiedząc, że jest przytomna, a ból zapewne jest nie do zniesienia, wpełzł do namiotu i powolutku wciągnął ją do środka. Koce były całkowicie przemoczone, ale na to nic już nie mógł poradzić. Nie mogła przecież leżeć na gołej ziemi. Gdy wciągnął Merryn do środka i miał już pewność, że namiot osłoni ich przed najgorszą ulewą, położył się przy niej i przytulił ją, by mogła się rozgrzać. Rude włosy miała przemoczone, przyklejone do głowy. Na policzku zaczął wykwitać siniak.

- Oddychaj lekko i powoli - powiedział. - Proszę, Merryn. Na pewno dasz radę. - Wiedział, że to słuszne, gdyż kiedy sam leżał, cierpiąc straszliwie, kiedy zbójceki topór strzaskał mu ramię, Dumas w kółko powtarzał: „Oddychaj, Bishop, oddychaj powoli i spokojnie. Nie tak prędko. Spokojnie. Ja się wszystkim zajmę”.

Teraz Bishop powtarzał te same słowa Merryn. Lekko dotknął jej czoła opuszkami palców, a potem zaczął lekko masować; powoli muskał skórę głowy, coraz bliżej guza na skroni. Merryn zaczęła się wyraźnie rozluźniać.

Deszcz bębnił o namiot. Bishop zdawał sobie sprawę, że

plótno jest już przemoczone. Czy namiot przetrzyma  
nawałnicę? Nie wiedział. Nigdy wcześniej nie spotkał się  
z taką ulewą.

Merryn wzięła go za rękę i ścisnęła ją, gdy ból stawał  
się nieznośny. Żeby choć trochę odwrócić jej uwagę,

Bishop zaczął opowiadać:

- Walczyłem w Normandii z księciem de Crecy,

strasznym

nikczemnikiem,

bardziej

okrutnym

i straszliwym niż legendarny Ryszard Lwie Serca.

W ogóle nie próbował kryć się przed nami, od razu ruszył

w pole. Wydaje mi się, że był najszcześniejszy, gdy mógł

z rozmachu ciąć mieczem, przerażając ludzi na pół

i kopniakiem roztrącać połowy na boki. W ostatniej bitwie

niezłe się obłowiłem, więc postanowiłem wrócić do

Kornwalii. Wtedy właśnie natknąłem się na Philippę de

Beauchamp otoczoną zgrają bandytów.

Merryn leżała cicho, cichutko. Od dłuższego czasu nie

ściskała już jego dłoni. Dotknął jej czoła. Chłodne. Ani

ślądu gorączki, przynajmniej na razie.

- Kim jest Philippa?

- Ach, więc nie śpisz? Dobrze. Oddychaj spokojnie.

Philippa jest córką z nieprawego łoża króla i żoną  
Dienwalda de Fortenberry, hrabiego St. Erth. Pewnie w to  
nie uwierzysz, ale jechała sobie w towarzystwie półtuzina  
zbrojnych, gdy wpadła w zasadzkę. Herszt zbójców  
porwał ją z siodła i już trzymał nóż przy jej żebrach.

Zdołałem ją uwolnić i zabiłem herszta. Wtedy nadjechał  
Dienwald. Wszystko dobrze się skończyło, a potem...

Dzień nagle zamienił się w noc. Mrok ogarnął ziemie  
Penwyth. Czarne niebo przecięła błyskawica. Merryn  
krzyknęła cienkim głosem.

Bishop przytulił ją mocno, wiedząc, że jeśli deszcz się  
wzmoże, namiot z pewnością się zawali. Kolejna  
błyskawica na moment zupełnie go oślepiła.

Po niebie przetoczył się grzmot, od którego zatrzęsała się  
ziemia.

Błyskawica przeleciała tuż nad namiotem, z trzaskiem  
uderzyła w ziemię zaledwie parę kroków dalej  
i roztrzaskała ogromny głaz. Bishop przyciągnął Merryn  
do siebie, starając się ją ochronić.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział cicho  
i powtórzył to jeszcze kilka razy, choć nie wiedział, czy  
uspokaja dziewczynę, czy samego siebie.

Mijały kolejne minuty, deszcz łomotał w namiot bliski  
już zawalenia.



Oślepiąco jasna błyskawica rozświetliła wnętrze ich schronienia i zrobiło się jasno jak w południe. Rozległ się donośny grzmot, zatrzęsa się ziemia, lecz światło nie zniknęło.

To zupełnie nie miało sensu.

Światło jednakże nie zniknęło, co więcej, stawało się coraz jaśniejsze.

I jaśniejsze.

Bishop spojrział na przeciekające płótno namiotu i sękaty kijek, który utrzymywał je w górze. Zdawało mu się, że źródło światła znajduje się dokładnie tuż za jego głową. W głębi serca czuł wyraźnie, że gęstniejąca ciemność napiera ze wszystkich stron, starając się zdławić blask, lecz okrąg światła utrzymywał ją z dala.

Znów zagrzmiało i nagle zapadła przejmująca, nienaturalna cisza, jakby cały świat został pochłonięty przez mroczną nicość, której Bishop nie widział wprawdzie, lecz czuł całym ciałem.

Niespodziewanie dziwne światło znikło pochłonięte przez ciężki, gęsty mrok. Bishop zachwiał się pod ciężarem przerażającej ciemności.

Kolejny wybuch nie brzmiał jak błyskawica rozdzierająca ziemię na kawałki. W ostatnim przeblysku świadomości Bishop pojął, że ta eksplozja miała miejsce

tylko w jego głowie.

Bezwładnie opadł na Merryn.

Roz

o dz

d ia

i ł

ł 11

W

W inn

n y

n m cz

c a

z s

a ie

Obudził się w gęstym mroku, który otulał go szczelnie

jak koc. Nie chciał otwierać oczu, lecz cie uchylił powieki

i

stwierdził,

że

ciemność

jest

jeszcze

bardziej

nieprzenikniona, niż to sobie wyobrażał. Wokół niego nie

było nic prócz gęstej czerni. Czuł się bardzo dziwnie.

Czuł, że mrok jest ciężki, lepki i gęsty. Oddychał z trudem. Wiedział, że jeśli się nie poruszy, ciemność wypełnie w jego ciało i zawładnie duszą. Jednak na razie trwał w bezruchu, oddychając płytko.

Działo się coś bardzo dziwnego.

Przetoczył się na plecy. Leżał na dworze; przez jakiś czas spał, zupełnie sam. Nad głową nie widział gwiazd, otaczała go tylko ciemność. Słyszał zbliżające się ludzkie głosy. Na wszystkich bogów, wróg jest nieopodal! To musi być Mawdoor. W jaki sposób Mawdoor przeniósł go tu i ułożył w gęstym kręgu mroku. Tylko jak?

Czyżby nie spał, lecz był zupełnie nieprzytomny? Jak to możliwe? Odetchnął głęboko. Jeśli to rzeczywiście sprawka Mawdoora, trudno. Niech tak będzie. Obydwaj wiedzieli, że prędzej czy później przyjdzie im stanąć do walki. Czyżby miało to nastąpić właśnie teraz?

- Kto idzie? - krzyknął zachrypłym, skrzeczącym głosem.

Nagle z nicości wyłonił się mężczyzna i stanął tuż nad nim, wpatrując się bezczelnie w jego twarz. Leżący z zaskoczenia niemal wyskoczył ze skóry. Na wszystkich bogów świata, to nie Mawdoor! To stary Callas

kaprawych

oczach,

w

brudnych

łachmanach

i z potarganą siwą brodą zwieszającą się w strąkach aż do zapadniętego brzucha. Obrzydliwy staruch.

To nie Mawdoor, dzięki bogom. Leżący nie-

oczekiwanie poczuł się straszliwie osłabiony, jakby opuściły go wszelkie zmysły.

Po chwili zaczął sobie przypominać, lecz wspomnienia

nie miały większego sensu. Przypomnij sobie, że w końcu

odnalazł święty dębowy gaj Brecii. Że był całkowicie

pewny, iż gąszcz należy właśnie do niej. Wyczuwał go

z daleka, zaś gdy do niego dotarł, upewnił się, że się nie

myli. Czuł ogromną satysfakcję. Wiedział przecież, że

szukałby owego mrocznego boru, dopóki nie padłby z wy-

czerpania lub Brecia nie zdołałaby go pokonać. O, tak.

Miał zamiar wytropić przeklętą wiedźmę, choćby się

skryła na krańcu świata.

Teraz zaś stał nad nim Callas, jeden z jej starych

kapłanów. Bardzo ciekawe.

Dlaczego leży na ziemi? Czyżby zagubił się we śnie,

a splątane wyobrażenia paraliżowały mu umysł?

Przepelniało go dziwne uczucie. Czuł siebie samego i był pewien, że jest sobą, choć chwilami wyczuwał także jakby cień kogoś innego tuż przy sobie, a może nawet głęboko we własnym wnętrzu. Nie, cień odszedł. Teraz pozostał sam, nie wyczuwał nikogo więcej. Chyba zaczyna popadać w obłąd. Jeszcze chwila, a serce wyskoczy mu z piersi.

Callas

roześmiał

się

pogardliwie,

z

wyraźną

przyjemnością machając na niego sękatym paluchem.

Leżący uniósł brew ze zdumienia, usiadł i objął

ramionami kolana.

- Wygodnie ci teraz, mój książę? Siedzisz tu całkiem

sam i słyszysz jedynie bicie własnego serca. I co teraz

powiesz,

obmierzły

czarowniku?

Podobno

wiesz

wszystko! Widziałem, jak leżysz na plecach bezradny

i bezbronny jak dziecko. Czyżby moc potężniejsza od ciebie zdołała cię wreszcie pokonać? Czy to Mawdoor? Wiedziałeś przecież, że mieszka niedaleko. Czy to on cię tu sprowadził?

Książę przyglądał się, jak starzec wybucha gromkim śmiechem pełnym pogardy i podłości.

Powoli podniósł się z ziemi, otrząsnął się i zmarszczył brwi. Nikt go tu nie sprowadził, nic podobnego. Po prostu nagle stwierdził, że leży na ziemi. Obudził się, zaś po chwili stanął nad nim Callas. Przez chwilę był zupełnie bezbronny. Gdyby Callas nie był takim śmierdzącym tchórzem, książę mógłby równie dobrze już nie żyć.

A może po prostu wciąż śpi wciągnięty w sen innego czarodzieja? Może to jeden ze snów Mawdoora? Książę wciąż czuł echo obecności ciemnego ducha. Teraz jednak nie ma to znaczenia. Mawdoora tu nie ma, jest za to stary Callas.

Kapłan nie skorzystał z okazji, by we śnie wydrzeć mu serce, teraz zaś książę już na to nie pozwoli.

- O co chodzi, mój książę? Nie zamierzasz mnie zabić? Jesteś równie cichy jak kamienie u twych stóp.

Książę oparł się o jeden z menhirów ustawionych w niewielki okrąg, który był tu zapewne od początku świata. Przybrał wyniosłą, ospałą pozycję i odezwał się

spokojnym głosem, mrocznym jak spowijająca ich ciemność:

- Dlaczegoż miałbym cię zabijać, starcze? Nic dla mnie nie znaczysz. Jesteś zaledwie okruczem prochu pod moimi butami.

Callas wyprostował się na całą wysokość.

- Nie podoba mi się twoja pycha, książe. Jestem pierwszym doradcą Breicii. Znałeś mnie, zanim jeszcze opuściłeś łono swej matki, znałeś mnie, gdy jako mały chłopiec rzuciłeś pierwsze zaklęcie. Popatrz teraz na siebie! Opierasz się o jedną z Dam, by nie upaść... Nie, nie masz sił mnie skrzywdzić. Jesteś podobny do duchów krążących nad ziemią. O, tak, jesteś zupełnie bezsilny. Możesz tylko wspierać się na pogańskim głazie. Twoja moc zniknęła.

- Czyżbyś ożłopał się wina, starcze? Wydaje ci się, że jestem bezsilny? Mógłbym zmienić się w trującego muchomora, ot tak. - Książe pstryknął palcami i Callas krzyknął cienko, podskakując nerwowo.

- Zamknij się, Callasie!

Starzec oddychał ciężko. Książe właśnie miał mu powiedzieć, że takiego go woli, przygiętego do ziemi brzemieniem lat, gdy nagle poczuł, że coś czai się tuż za nim. Zdawało mu się, że jeśli szybko odwróci głowę,

zobaczy kogoś... lub coś. Odwrócił się. Oczywiście nikogo nie dostrzegł. Pokiwał głową. Wreszcie zaczął rozumieć. Ów dziwny cień był tylko naprzykrzającym się wspomnieniem zeszłej pełni księżyca, gdy był zmuszony wymierzyć karę nędznym śmiertelnikom, którzy postanowili zgładzić pewną wiedźmę nieprzytomną od własnych dekoktów.

Książę potrząsnął głową i wspomnienie odleciało.

Teraz powinien zająć się własną wiedźmą. Uciekała przed nim długo, lecz wreszcie ją odnalazł. Nie miał wprawdzie pojęcia, jak tego dokonał, lecz nie miało to większego znaczenia. Zastanowi się nad tym później. Był całkowicie pewny, że Brezia kryje się w świętym dębowym gaju.

Nie zwracał uwagi na trzęsącego się Callasa. Starzec wprawdzie nieco się uspokoił, ale jakoś nie zamierzał na razie otwierać zakreślonych czarną obwódką ust.

Książę zdał sobie sprawę, że Callas się go boi. Miał zresztą wszelkie powody, by się go bać, w końcu jest najpotężniejszym czarownikiem, jaki kiedykolwiek stąpał



po tej ziemi. Starzec jest wprawdzie idiotą, ale przecież nie aż tak głupim.

Książę stanął przy Callasie, górując nad nim. Po chwili podszedł jeszcze bliżej, by jeszcze bardziej go wystraszyć.

Chciał, by starcowi ze strachu zaszczękały zęby, choć zważywszy na ich dźwięk raczej nie byłby imponujący.

Dotknął lekko twarzy Callasa, muskając skórę i splątaną brodę.

- Przeprowadziłeś ze sobą innych kapłanów, Callasie?

Czekają na twój sygnał do ataku? Choćby ich było dziesięciu, a choćby i stu, wspieranych przez sto twoich duchów, poucinam im głowy i łapiąc za siwe brodziska porozrzucam psom. Albo zamienię w czarne skały, by przez wieki znosili roztrzaskujące się o ich grzbiety fale.

Jak ci się wydaje, Callasie?

- Wydaje mi się, że dzieje się coś dziwnego, książę.

Popatrz na siebie. Zgrywasz się i udajesz potężnego, a w istocie dzieje się z tobą coś, czego nie rozumiem. Czy ty rozumiesz, mój książę? Nie strasz mnie, nie zamierzałem wyrządzić ci krzywdy. Zresztą wciąż wyglądasz groźniej niż twój ojciec, gdy jednym potężnym dmuchnięciem wywołał tornado, które spustoszyło nędzne miasteczko Londinium leżące na wschodzie.

- Ojciec mój rzadko daje się ponieść kaprysom.

Motłoch kamienował staruszka, którego ktoś oskarżył

o

czarną

magię.

Ojciec

zwyczajnie

chciał

ich

powstrzymać.

- Dlaczego po prostu ich nie rozgromił?

Książę wzruszył ramionami.

- Starł się powściągnąć gniew i zaczął oddychać, by się uspokoić. Niestety, jego oddech stał się potężnym wichrem pędzącym potężne fale przez cały kraj.

- Zgadza się. I starzec, którego ocalił od kamienowania, po prostu utopił się wraz z atakującym go tłumem. I ty podobnie jak twój ojciec raczej chwycisz za miecz i rozrąbiesz wroga na połowy, niż złożysz palce w tajemny znak i zamienisz go w błękitny dym czy tarantulę.

- Hm... - Książę podrapał się po brodzie. - Od dłuższego czasu nie myślałem o pająkach. Twierdzisz zatem, że przyszedłeś sam, Callasie.

- Jak widzisz, mój książę.

- Dlaczego?

Callas pokiwał głową, szarpnął za brodę, zmarszczył brwi i wreszcie wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam. To bardzo, bardzo dziwne. Nie wydaje ci się to dziwniejsze niż duch, który pragnie współżyć ze śmiertelniczką?

- Owszem, wszystko to jest dziwne. - Zatem żaden z nich nie wiedział, skąd się tu wziął. - Nie za-  
biję cię - stwierdził książę. - Nie po to tu przybyłem. To dębowy gaj Breccii, nieprawdaż?

- Niestety, to nie ten las. Powinieneś stąd odejść, książę. Młodzieniec ze zdumienia uniósł brwi.

- Odejść? Nie wydaje mi się. Powiem ci całą prawdę, Callasie. Szukałem i szukałem, lecz wciąż nie mogłem znaleźć miejsca, w którym ukryła się Bercia. Jest świetna w ukrywaniu się, muszę to przyznać. Jednak teraz znalazłem się tutaj. Nie wiem dokładnie w jaki sposób, lecz stoję na skraju dębowego lasu. Czuję to całym sobą. I wreszcie rozumiem, dlaczego również ty tu jesteś. Masz mnie zaprowadzić do fortecy. Bogowie zesłali cię tutaj, podobnie jak mnie. Nadszedł czas i Breccia doskonale o tym wie.

Serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Niedługo ją zobaczy!

Minęło już zdecydowanie zbyt dużo czasu od ich

pierwszego spotkania pod ogromną poprzeczną belką rozległego kamiennego kręgu.

- Opowiadasz niedorzeczności, mój książę. Dlaczego

Brecia miałaby chcieć się z tobą spotkać? Jesteś

czarownikiem. Chcesz ją posiadać i kontrolować.

- Czyżby?

- Wysłuchaj mnie, mroczny książę Balanthu. Brecia jest

wolnym duchem. Jeśli zechcesz ją uwięzić, przejąć nad

nią kontrolę, umrze. Wszyscy umrzemy.

- Wierzysz w to, Callasie? Że tego właśnie pragnę?

Stary kapłan warknął jak osaczony wilk.

- Tak sądzi Brecia. Stwierdziła, że ją okłamałeś i że nie

może ci ufać. Dowiedziała się, że niedługo po waszym

spotkaniu w kamiennym kręgu, gdy powiedziałeś jej,

że pragniesz jej bardziej niż jakiegokolwiek innej, wziąłeś

za żonę zamorską wiedźmę.

Książę wzruszył ramionami.

- Nie okłamałem jej. Nie miałem wyboru, musiałem

poślubić Lillian. Nawet o tym nie wiedziałem, dopóki

rodzice i rada starszych mi tego nie oznajmili. Spełniłem

tylko swój obowiązek. - Zamilkł na chwilę, czując falę

żału. - Lillian umarł przy porodzie.

- Jak to w ogóle możliwe?

- Uparła się, by latać. Mówiłem jej, że za blisko już do

rozwiązania, lecz zawsze musiała robić mi na złość. Na szczęście posłańcy hiszpańskiej Karelii zgodzili się pozostawić w mocy nasz traktat, widząc, że zmarła naturalną śmiercią i ja nie miałem z tym nic wspólnego.

- Powiedziałeś im to, co mnie? Że cię nie usłuchała?

- Nie.

Callas pokręcił głową.

- I tak musieliby powściągnąć swój gniew. Pewnie wiedzą, do czego zdolna jest twoja rodzina. Kilkoma czarami rozerwalibyście ich na strzępy.

- Być może - uśmiechnął się książę. - Jednak

hiszpańska Karelia jest potężną drużyną i nie wolno ich lekceważyć. Traktat służy nam wszystkim, utrzymując namiętności na wodzy. Ale dość już gadania, starcze.

Chcę zobaczyć się z Brecią. Pójdę z tobą lub też zabiję cię i pójdę sam. Wybieraj.

Nagle księcia ponownie opanowało dziwne uczucie, jakby ktoś czaił się tuż za jego plecami. Błyskawicznie się odwrócił, lecz nikogo nie dostrzegł. Czyżby wciąż śnił?

Stłumił zdumiewające wrażenie, wytrącony z równowagi faktem, że w ogóle pozwolił im się opanować.

- Zaprowadzę cię, mój książę, choć wcale tego nie chcę.

Zobaczmy, co Brecia postanowi z tobą zrobić.

Książę aż się zachłusnął ze zdumienia.

- Co ona postanowi zrobić ze mną? Nie żartuj, Callasie.

Przecież właśnie po to się tu zjawileś, by mnie do niej zaprowadzić. A może jednak chciałeś zabić we śnie?

Starzec pokręcił głową. Nie, Callas nie byłby do tego zdolny. Mógł co najwyżej machnąć sękatym kijem nad jakimś wieśniakiem i zamienić go w karalucha. Wyglądał jak wszyscy jego bracia. Miał chudą, zapadniętą klatkę piersiową, był owinięty w brudnobiałe wełniane szmaty, które przewiązał cienkim sznurkiem, chyba równie starym jak on sam. Sandały przymocował do kościstych nóg cienkimi rzemieniami. Odkąd księżę sięgał pamięcią, Callas nosił te same łachy lub też identyczne, równie wyświechtane. Wyglądało to, jakby umierający kapłan przekazywał swoje łachmany młodszemu adeptowi. Być może szata Callasa jest równie stara jak otaczający ich las.

- Wyglądasz jak jeden z tych pustelników, którzy umierają za życia w jaskiniach na pustkowiach Bułgarii - powiedział z niesmakiem księżę.

- Bułgarii? - Callas spojrział na niego z zaciekawieniem.

- Nie znam miejsca o takiej nazwie.

- Jesteś zaściankowy, Callasie. Bułgaria to surowy, brutalny kraj, z którego pochodzi wielu najznamienszych na świecie czarodziejów.

- I mają tam pustelnie? W jaskiniach? Dlaczego nigdy

o tym nie słyszałem?

- Bo w odróżnieniu ode mnie nie podróżujesz -

roześmiał się książę. - Ale nie przybyłem tu, by

opowiadać ci o Bułgarii. Dość już. Chcę już wejść do tego

gaju. Chcę zobaczyć Brecię.

- Ona cię zabije, mój książę.

- Niech spróbuje - odparł młodzieniec, zacierając rękę.

Na myśl o tym, że ujrzy jej twarz, że spotka się z jej

gniewem i wściekłością, czuł prawdziwą rozkosz. -

Śmierdzisz jeszcze gorzej niż zwykle, Callasie. Ruszajmy

- stwierdził.

Callas uniósł kapłański kostur zwany keshą, długi

niemal na metr. Rozmiar kostura wskazywał, że Callas

jest jednym z najbardziej uczonych kapłanów i spędził na

studiach co najmniej siedemdziesiąt lat. Laskę pokrywały

rzeźbione głęboko symbole życia, zaś jej czubek jarzył się

czarnym światłem.

- Skąd ją masz? - zapytał książę.

- Od mego zmarłego mentora - odparł Callas. -

Pamiętający chyba początki świata kapłan jakieś cztery

lata temu przeszedł do świata duchów. Teraz jego kesha

należy do mnie, a gdy zbliży się mój czas, oddam ją

wybranemu uczniowi. Tylko bogowie wiedzą, kiedy to

nastąpi.

- Za pięćdziesiąt lat? Siedemdziesiąt?

Callas uśmiechnął się lekko.

- Widzę, że znasz moc i wartość keshy.

Książę pokiwał głową. Jarzący się czubek kostura zawsze przypominał mu świecę, która nigdy nie gaśnie.

Rozświetlał najgłębsze ciemności i najmroczniejsze leśne ostępy. Słyszał wiele historii o keshy. Wiedział, że

ludzkość otrzymała ją w darze od istot, które na początku czasu wzniosły ogromne kamienne kręgi. Obecnie

czarodzieje używali pięćdziesięciu sześciu potężnych

głazów

ustawionych

w

nierównym

okręgu

do

przenoszenia się w inne światy, w inny czas. Wszystko

było tam bezpieczne i piękne, świetliste i kolorowe.

Znajdowali też odpowiedzi na dręczące ich pytania,

a także na pytania, których nikt jeszcze nie zadał. Gdyby

zamknął oczy, zobaczyłby wyraźnie kamienny krąg,

usłyszałby wiatr gwizdzący między głazami i rytmiczne

pieśni kapłanów wysławiających istoty, których nikt nie

widział ani nie znał.



- Nie rozumiem gry, w którą chcesz mnie wciągnąć, mój książę. Skoro znasz moc ukrytą w keshy, wiesz, że wystarczy, bym cię nią dotknął, a twoje serce stanie w piersi i padniesz u mych stóp.

Książę roześmiał się głośno.

- Spróbuj mnie nią dotknąć, a odeślę cię na jeden z lodowców na północnych morzach. – Beznamiętnie skrzyżował ramiona na piersi. Wyczuwał sztylet mocowany do nadgarstka i ukryty w długim rękawie.

Callas się nie poruszył

- Masz na sobie całkiem nowy wełniany strój. Jest przedziwnie biały. Wyglądasz jak błyskawica na czarnym niebie.

Książę wzruszył ramionami.

- Moja szata jest ciepła i czysta. Powinieneś się na taką skusić.

- Wyglądasz jakoś dziwnie - skrzywił się Callas.- Coś mnie niepokoi w twoim wyglądzie, mój książę...

W mgnieniu oka książę wyszarpnął sztylet z rękawa, ruchem tak wyćwiczonym, że niemal niezauważalnym.

Callas odskoczył gwałtownie, głośno przełknął ślinę, nie spuszczać oka z wąskiego ostrza.

- Zawsze się mnie bałeś - powiedział książę. – To bardzo rozsądne z twojej strony. Widzę cię teraz

znacznie lepiej. Ciemność nieco zrzędała. - Po chwili potrzęsął głową i dodał: - Żyjemy w dziwnych czasach.

Gęsty mrok ustępował powoli. Tuż nad ich głowami wisiał sierp księżyca. Odwrócona filiżanka bogów pełna była gwiazd świecących tak jasno, że książe mógł dostrzec niewielką bliznę na swej prawej kostce.

- Masz rację, książe - odezwał się Callas.

- Przynajmniej ciemność jest już zwykłą ciemnością.

Teraz zaś...

- Jestem teraz najwyższym kapłanem, książe.

Młodzieniec parsknął donośnie i się roześmiał.

- Mam nadzieję, że to oznacza, iż dobrze znasz drogę.

Chodźmy już, Callasie. Zaprowadź mnie do Brecii.

Podniecał go sam dźwięk jej imienia. Wspaniałe uczucie! Uwielbiał tę wszechogarniającą żądzę, zwłaszcza że już niedługo ją zaspokoi. Nareszcie.

Callas pogłaskał się po brodzie, w milczeniu splatając i rozplatając warkoczyki z długich, siwych pasm. Książe znał ten zwyczaj.

- Breccia nie weźmie cię, choć rzeczywiście cię pragnie.

Powiedziała, że jeśli się do niej zbliżysz zabiję cię.

Książe uśmiechnął się szeroko.

- Aż się trzęsę ze strachu. Chodźmy już, zanim poderżnę ci to twoje wiekowe gardło. Potem mógłbym

zamienić cię w błękitny dym i posłać, byś przewrócił

jeden z wiedźmich kotłów Brecii.

Callas zastawił się keshą, lecz książę ze śmiechem

odsunął kostur na bok.

- Starcze, nawet nie próbuj na mnie swojej nędznej

magii. - Schował sztylet i wyciągnął piękną różdżkę.

- Ponieważ - ciągnął, gładząc z uśmiechem różdżkę -

zrobię ci krzywdę.

Książę wysunął różdżkę w stronę Callasa. Nic więcej,

tylko skierował ją ku niemu, a kapłan odskoczył jak

oparzony, krzycząc:

- Nie, książę! Nie! Na bogów, nie!

Młodzieniec przez chwilę patrzył z ukontentowaniem,

jak Callas miota się i usiłuje podrapać wszystkie miejsca,

które naraz zaczęły go swędzieć.

- Odwołaj to. Proszę, odwołaj!

- A zabierzesz mnie do Brecii?

- Zbiorę! - krzyknął Callas. - Niech cię zniszczy swą

mocą. Jest teraz potężna i... aaach! Odwołaj to!

Książę skinął różdżką. Callas otrząsnął się, podrapał

jeszcze kolano i odetchnął z wielką ulgą.

- Chciałbym umieć to robić. Nauczysz mnie? To

naprawdę głupie zaklęcie, ale bardzo efektowne.

- Jeśli zaprowadzisz mnie do Brecii, może cię nauczę.

Callas obrócił kostur w dłoniach, wpatrując się

w rozżarzony czubek.

- Czarnoksiężnik nie powinien wchodzić do świętego gaju. Twoja czarna magia zbruka świętość naszych drzew.

- Przestań już, Callasie. Niczego nie zbrukam, obiecuję.

Zaprowadź mnie do Brecii. Jestem pewien, że wiedźma chętnie mnie zobaczy. – Wreszcie ją odnalazł i jest już tak blisko. Roześmiał się. – Może rzucę na nią czar?

Nieswędzący, oczywiście. Sprawię, że będzie mnie pragnęła najbardziej na świecie. Że

będzie

chciała

zdrzeć ze mnie szaty i pieścić do nieprzytomności. Och, chciałbym mieć tę wiedźmę w swej mocy. Sądysz, że jej by się to podobało?

Książę myślał, że Callas padnie jak rażony gromem.

- Breccia nie zrobiłaby tego nawet, gdybyś ją zauroczył.

Jest nietknięta. Nie powinieneś z nas żartować, książę.

- W porządku - zgodził się młodzieniec. - Skoro jednak jestem czarownikiem, wystarczy że pstryknę palcami... -

Pstryknął palcami tuż przed nosem Callasa. Starzec pisnął i odskoczył. Książę się roześmiał. - O, tak. Wystarczy, że pstryknę palcami i w jednej chwili znajdziemy się tuż przed nią, w najświętszym sercu dębowego lasu. -

Gdybym tylko rzeczywiście potrafił to zrobić, pomyślał.

Na szczęście, Callas tego nie wie. - Czy tego właśnie pragniesz? Tylko bogowie wiedzą, jakie zmiany i fale mocy mogłoby to wywołać.

Callas jęknął głośno, lecz szybko się powściągnął.

Najwyraźniej zdał sobie sprawę, że kapłan nie powinien okazywać słabości, a zwłaszcza przed obliczem mrocznego księcia.

- Nie, nie. Nie stosuj na mnie swej czarnej magii Nie, nie zbliżaj się do mnie! Idź za mną. To naprawdę niedaleko. Brezia sama wybrała schronienie, więc nie zaszyła się głęboko w lesie.

To brzmiało niedorzecznie, jednak musiał przyznać, że Brezia jest przebiegła. Ruszył za Callasem, który poruszał się zwinnie jak kozica. Poszycie lasu było miękkie, łagodnie ugięło się pod nogami W mroku potknął się kilka razy.

Pragnął Brecii i miał zamiar pojąć ją tym razem. Nie powstrzymywały go żadne śluby, żadne obowiązki. Był wolny i mógł czynić, co tylko zechce. Zaczął pogwizdywać cicho. Callas wyglądał, jakby miał za chwilę umrzeć ze strachu.

Księżę się uśmiechnął.

Rozdz

d ia

i 112

Obecn

c i

n e

Bishop leżał bez ruchu, zaciskając pięści. Fale przenikliwego bólu przetaczały się przez jego głowę. Wyraźnie widział postać niechlujnego starca, a za nim młodzieńca. Ów młody człowiek był księciem, a poza tym czarownikiem! Trzymał w dłoni przeklętą różdżkę i w każdej chwili mógł jej użyć. Bishop wiedział, że to niemożliwe, a jednak miał dwie postaci wciąż przed oczami tak wyraźnie, jakby przed nim stały. Po chwili zaczęły znikać i rozwiewać się w gęstym dębowym lesie. Mógłby przysiąc, że słyszy śmiech księcia. Zamierza posiąść Brecię - pomyślał.

I nagle nastąpiła pustka. Nic już nie widział.

Przez chwilę Bishop bał się poruszyć. Śniło mi się, stwierdził. To tylko sen. Żywy, barwny, bardzo dziwny, lecz jednak sen, nic więcej. Odetchnął głęboko i potrząsnął głową. Obrazy zniknęły.

Jednego był pewien.

W pobliżu nie było żadnego dębowego gaju. Tylko on i Merryn w namiocie, pod bezlitosnym niebem

wylewającym na nich potoki wody.

\* \* \*

- Obudź się, Bishop. Hej, pobudka!

- Nie chcę.

- Ach, więc żyjesz. Każdego dnia, którego mam

zaszczyt cię znać, dowiaduję się o tobie czegoś nowego.

Teraz zaś widzę, że jesteś egoistą. Posłuchaj siebie... „Nie

chcę”! - Musiał przyznać, że naśladuje go całkiem nieźle.

- Nie obchodzi mnie, czy chcesz, czy też nie. Wstawaj,

zanim namiot się zawali.

Otworzył oczy. Merryn pochylała się tuż nad nim, jej

ciepły oddech owiewał mu twarz. Co się dzieje? Przecież

to ona uderzyła głową o skałę. Zmarszczył brwi.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. - Pamiętam, że upadłaś

i uderzyłaś się w głowę.

- Z pewnością czuję się lepiej niż ty. Gdy otworzyłam

oczy, zobaczyłam, że się nade mną pochylasz. Gdy ziemia

zatrzęsła się od kolejnego gromu, podniosłeś głowę,

a światło błyskawicy oświetliło ci twarz. Potem po prostu

na mnie upadłeś.

- Piorun - powiedział Bishop.

- Owszem. Coś musiało się wydarzyć, choć nie masz

żadnego guza na głowie. Mój guz jest okazały, a nie leżę

plackiem, czyż nie? Jesteś wojownikiem czy starą babą?

- Wciąż pada.

- Pada? Nadrabia cały ten czas, gdy nad nasza ziemią wiał tylko suchy wiatr. Nie wiem, ile jeszcze ten namiot wytrzyma. Musisz wziąć się w garść, Bishopie.

Spojrzał ponad ramieniem Merryn i zobaczył, że płótno namiotu ugina się pod zwałami wody. Wytrzymał zdumiewająco długo, lecz ile jeszcze postoi?

- Miałeś rację. Ten deszcz jest niesamowity. Jesteś jednak czarodziejem, prawda?

- Tak, to prawda. Jestem czarodziejem - powiedział bez wahania. Czuł, że nagle napełnia go energia, ból zniknął.

Miał chęć chwycić miecz, wyskoczyć z namiotu i przetrzepać skórę kilku bandytom. Niestety. Żaden szanujący się bandyta na pewno nie wałęsa się w takiej ulewie.

- Nie możemy tu siedzieć. Jak się czujesz?

- Właśnie uzdrawiam sam siebie - powiedział, by sprawdzić, co powie Merryn.

Odchyliła się gwałtownie.

- Znowu żartujesz. Żartujesz, prawda?

- Oczywiście - odparł. - Zostaniemy tu, dopóki deszcz nie przestanie padać lub namiot nie zwali nam się na głowy. Przytul się do mnie, spróbujemy trochę się rozgrzać.



Zawahała się tylko chwilę i powoli położyła przy jego boku. Oboje byli przemoczeni, co nie wróżyło nic dobrego, jednak Merryn szybko przekonała się, że żar jego ciała może ją ogrzać.

- Gdy się obudziłam, nie wiedziałam, ile czasu minęło - powiedziała. - Wciąż jest ciemno. Kiedy upadłam na wzgórze, nie było ciemno. Zaledwie nastało południe, prawda?

- Zgadza się, ale niebo szybko pociemniało, nie pamiętasz?

-

Bishop  
przypomniał  
sobie  
dziwną

błyskawicę, której światło trwało i trwało, a potem nagle się urwało. Potem zaczął śnić ten niewiarygodny sen. On jednak również zniknął.

- Ach, istotnie. Tuż przed ulewą niebo pociemniało, lecz teraz nastąpiła noc. Czy to twoja sprawka, Bishopie?

- Na wszystkie moce, za kogo ty mnie uważasz? Za boga, który może zmienić dzień w noc?

Milczała. Czuł jej palce wędrujące po przemoczonym torsie.

- A mógłbyś?

Ledwie powstrzymał śmiech. Co za zbieg okoliczności!

Miał rację co do deszczu, teraz zaś miałby zmieniać  
odwieczny bieg słońca?

- Niech tak będzie. Jestem bogiem, nie zaś cza-  
rodziejem.

Zachichotała.

- Znowu ze mnie żartujesz. Głowa trochę mnie boli, ale  
nie jest z nią aż tak źle. - Zamilkła na chwilę i dodała: -  
Naprawdę chciałeś mnie zwięzać i zostawić na pastwę  
ulewy?

- Naprawdę.

Merryn nie powiedziała nic więcej, tylko przytuliła  
policzek do ramienia Bishopa. Wkrótce obydwójce usnęli.  
Gdy się obudzili, stwierdzili, że nie przestało lać, jednak  
namiot wciąż stoi. Na zewnątrz dało się dostrzec słabe,  
zamglone światło. Jak długi spali? Czy naprawdę minęła  
już noc? Jak długi trwał tamten cudaczny sen?

Bishop nagle z absolutną pewnością zrozumiał że gdyby  
opuścił granice Penwyth, nie napotkałby ani kropli  
deszczu. Ulewa jest przeznaczona wyłącznie dla tego  
kraju. Jak to jednak możliwe?

\* \* \*

Pięć godzin później Bishop i Merryn w pełnym słońcu

jechali w stronę zamku St. Erth. W miarę jak zbliżali się do granic Penwyth, ulewa ustępowała, chmury rzedyły i rozpląwały się w białe obłoki na błękitnym niebie.

Bishop krzyknął na powitanie odźwiernemu przy bramie, pomachał do Gorkela Szkaradnego i dowódcy straży, Eldwina. Nie chciał, by przypadkiem uznali go za wroga i przeszli mu gardło strzałą z łuku.

Gdy wjechał na wewnętrzny dziedziniec St. Erth, niemal ogłuchł od panującej tam wrzawy.

Harmider był jednak przyjemny, gdyż najzupełniej normalny. Nie krył w sobie żadnych tajemnic, sekretów ani groźnych zdarzeń. Dzieciaki wrzeszczały, zwierzęta biegały, bodły się nawzajem. Kury gdakały, dziobiąc gołe palce dziecięcych stóp. Nad ludzką wrzawą unosił się odgłos kowalskiego młota dźwięczącego na kutym żelazie, odbijając się echem od zamkowych murów. Co więcej, wszystkie dźwięki wydawały się młode.

Bishop

odetchnął

mieszanką

zapachów

świeżo

upieczonego chleba, końskich zagród, ludzkiego potu

i świeżego rozmarynu. Ujrzał Philippę trzymającą koszyk,

z którego wychylały się gałązki ziela.

- Bishop, witaj! Kim jest twoja towarzyszka? Na Boga, wyglądacie strasznie. Co się wam przydarzyło?

Merryn doskonale sobie wyobrażała, jak wyglądają.

Wprawdzie ubrania niemal już wyschły, lecz jej suknia była podarta i pognieciona, a włosy wisiały w strąkach.

Spojrzała na Bishopa, widząc, że się uśmiecha.

- Jak dobrze jest znów znaleźć się w miejscu, które się zna i rozumie - powiedział. - W zupełnie normalnym miejscu. Merryn, ten oto mały człowieczek to błazen Krętacz, a przy nim stoi Gorkel Szkaradny. Właściwe imię, nie da się zaprzeczyć. To zaś jest Eldwin, dowódca straży, zmachany od szybkiego zbiegania z zamkowych blanków.

Bishop spojrzał na Dienwalda i Philippę.

- Przedstawiam wam zameżną cztery razy pannę z Penwyth. Oto Merryn de Gay, to zaś jest lord Dienwald de Fortenberry, hrabia St. Erth oraz jego żona, słodka królewska córka, Philippa.

Merryn nigdy wcześniej nie była w St. Erth. Słyszała opowieści o Biczu Kornwalii, lecz stwierdziła, że nie wygląda on wcale groźnie. Zaś Philippa, nieślubna córka króla, okazała się piękna. Jej gęste czarne włosy przeplatała żółta wstążka.

Dienwald roześmiał się, chwytając Merryn w ramiona i zsadzając z siodła.

- Jesteście trochę przemoczeni. Jak to się stało?

Popatrzcie tylko na słońce na błękitnym niebie. Nie wpadliście przypadkiem do rzeki? Albo do stawu?

- Nie pożartujesz z nią sobie, Dienwaldzie. - Bishop również się roześmiał i zeskoczył z siodła rzucając wodze Gorkelowi.

Sługa

uśmiechnął

się

porażająco.

-

W Penwyth leje jak z cebra.

- A tu nie? - Dienwald uniósł brew. - Jak to możliwe, Bishopie?

Bishop mógł tylko wzruszyć ramionami.

- To rzeczywiście dość niespotykane. Nie umiem wyjaśnić tego zjawiska.

- To Bishop przywołał deszcz - oświadczyła Merryn.

Zapadła całkowita cisza.

- Nie - zaprzeczył spokojnie Bishop po chwili milczenia. - Nie przywołałem. Merryn żartuje.

Dienwald spojrzał na niego z ukosa.

- Potem poszukamy wyjaśnienia - stwierdziła Philippa.

- Wejdźcie, wejdźcie. Po pierwsze, muszę dla was wyszukać suche ubrania. Wspaniale się składa, że nasze stada owiec bardzo się powiększyły i mamy dość wełny na ciepłą odzież. Skoro jesteśmy podobnego wzrostu, Merryn, moje suknie powinny dobrze na tobie leżeć.

- Ha - westchnął Dienwald. - Ty jesteś olbrzymką, istną topolą. Merryn to zaledwie mała dziewczuszka, ty zaś...

Philippa wetknęła w usta męża garść rozmarynu.

Wypluł ziola i roześmiał się donośnie.

- Chodźmy, Bishopie - powiedział. - Gorkel zajmuje się Nieustraszonym. W zasadzie jest jedynym sługą, któremu powierzyłbym twoją dziką bestię, bo tylko on się nie boi, że Nieustraszony go ugryzie.

- Owszem. To Nieustraszony boi się, że Gorkel go ugryzie.

Już po chwili Merryn szła u boku Philippy de

Fortenberry w stronę Wielkiej Sali.

Panował w nim niesłychany gwar. Wszyscy mówili jednocześnie, chodzili w tę i z powrotem, zajmując się swoimi sprawami, ale jednym okiem zerkając ciekawie na Bishopa i Merryn. A ile było śmiechu, dziecięcych pisków, krzyków i sporów!

- W Penwyth nie ma tyle hałasu - powiedziała Merryn

do Philippy.

Philippa uniosła brew w zdumieniu.

- Każdy zamek, jaki odwiedziłam, tętni gwarem, nawet królewski pałac w Windsorze.

- W Penwyth mieszkają sami starcy - wyjaśniła Merryn.

- Zwykle rozmawiają przyciszonymi głosem. Dziękuję za ubranie.

- Tę śliczną suknię dostałam kilka lat temu od Kassii de Moreton. Wyglądasz w niej bardzo dobrze. Co masz na myśli, mówiąc, że w Penwyth mieszkają sami starcy?

- Weszły do Wielkiej Sal - Och, nie! - jęknęła Philippa i przewróciła oczma.

Błazen Krętacz wskoczył na jeden ze stołów i śpiewał na całe gardło:

*Oto jest Bishop, królewski chwata!*

*Nie przybył do nas w szachy grać.*

*Jest także panna, z którą brać ma ślub*

*I w łozu tarzać się z nią po sam grób.*

*I cały czas mieć nadzieję,*

*Że klątwa go nie dosięże*

*Chwalmy Bishopa - piątego męża!*

Merryn spojrzała na Philippę.

- Ta straszna pieśń nawet się zrymowała. No przynajmniej większość wersów. Ale jest nieprawdziwa.

O co chodzi temu karłowi? Bishop nie przyjechał do Penwyth, żeby się ze mną ożenić. Przyjechał, by zdjąć z nas klątwę.

Dienwald ryknął, wskoczył na stół i trzasnął karła w plecy tak mocno, że błazen poleciał aż pod ścianę, tocząc się bezładnie i turlając. Wreszcie zatrzymał się i spojrzał przymilnie na swego pana.

- Oszczędź mnie, panie, będę się bardziej starał. Zanim wieczór nadejdzie, będę bez wytchnienia szukał rymów, dopóki pieśń nie będzie się rymowała sama ze sobą. Może nawet znajdę jeszcze kilka rymów do słowa „mąż”?

Jeszcze jeden wers? O, tak, dodam nawet jeszcze jeden wers. Co o tym myślisz, szlachetny mój panie?

- Dość już, bezmózgi łajdaku! - krzyknął Dienwald. -

Bishop nie ma zamiaru się z nią żenić.

- Ależ ma! Przecież słyszałem, jak mówiliście... -

Krętacz wywrócił oczami, chwycił się za gardło i zaczął szarpać na wszystkie strony. - Ojej, o, rety i o, mamuśku! Pan mnie zabije, bo mózg mi zgnił do reszty!

- Owszem, zgnił - stwierdził Dienwald. - Zamilknij wreszcie.

Hrabia St. Erth spojrzał na Bishopa, który siedział bez ruchu, ściskając w dłoni kufel przedniego piwa, wpatrując się w Merryn i rozmyślając, czy ten Krętacz nie wydał



właśnie na niego wyroku śmierci.

Merryn odchrząknęła.

- Dlaczego zwiesz go Bishopem, piątym mężem, błaznie? Dlaczego sądzisz, iż przybył do Penwyth, by się ze mną ożenić? Powiedz.

- Nie! - wrzasnął głośno Bishop. - Wolałbym odciąć sobie stopy, niż się z tobą ożenić. Błazen myli Bishopów. To imię jest tu bardzo popularne.

- O, tak, panienko. To prawda. - Krętacz przestał szarpać się za szyję, zwinął się w kulkę i potoczył do stóp Merryn. Z gracją poderwał się na nogi. Sięgał Merryn do ramienia. Lekko musnął palcem śliczną, bladozieloną suknię. - Pamiętam, jak piękna księżna Kassia przywiozła tę suknię. Pani warczała, zagryzała zęby i krzyczała, że rzuci ją psom do rozszarpania, ale tego nie zrobiła.

Przeciwnie...

Dienwald ruszył ku błaznowi, a Krętacz błyskawicznie wtoczył się pod jeden ze stołów.

- To błazen - powiedział hrabia de Fortenberry. -

Ponieważ to mój błazen, toleruję go. Chodź, Merryn i spróbuj trochę wyśmienitego chleba i piwa mojej wiedzy. Swoją drogą, suknia ofiarowana jej przez piękną małą Kasię, słodką i drobną, wygląda o wiele lepiej na tobie. Hej, więdźmo, nosiłaś ją w ogóle? Czy

okazała się zbyt ciasna dla twoich okazałych wdzięków?

Philippa trzasnęła męża pięścią w ramię. Dienwald

śmiał się długą chwilę, wreszcie odrzucił głowę

i zakrzyknął:

- Gdzie są moje dzieci?

Margot podbiegła pośpiesznie, niosąc chłopców pod pachami. Mała dziewczynka, trzymająca się kurczowo jej sukni, ssała palce.

Dienwald zerknął z ukosa na Merryn i rzekł:

- Popatrz na moje dzieci, Bishopie. Urosły przez te kilka dni, nieprawdaż?

- Rosną na prawdziwych gigantów, Dienwaldzie - przytaknął Bishop.

- O, tak. Jeśli się kiedykolwiek ożenisz, co pewnie nie nastąpi przez najbliższe kilka lat, zwłaszcza jeśli nie zamierzasz poślubić Merryn z Penwyth, takie właśnie dzieci będziesz chciał mieć. Podaj m Edwarda, Margot.

Margot podała dziecko ojcu, nie spuściła jednak oka z brzdąca, mimo że Dienwald mocno g trzymał.

- Popatrz na Edwarda, Bishopie. I ty również, Merryn.

Spójrzcie na to przecudne dziecko, zupełnie identyczne jak jego brat, Mikołaj. Czy naprawdę trzymam teraz

Edwarda?

- Tak, mój panie. To Edward.

Mikołaj zaczął płakać. Mała Eleanor wyjęła palce z buzi i zawtórowała braciom.

- Kiedy będziesz już miała własne dzieci, Merryn de Gay, a nie nastąpi to, zanim nie minie wiele lat, co więcej nie ma to nic wspólnego z Bishopem, będziesz chciała mieć takie dzieci jak moje małe skarby. Moja słodka Eleanor jest najgłośniejsza, czyż nie? Podobnie jak jej matka.

Dienwald tulił do siebie troje dzieci.

Philippa śmiała się tak serdecznie, że musiała się chwycić pod boki. Kątem oka jednak obserwowała Merryn, zastanawiając się, czy dziewczyna analizuje wypowiedziane nie w porę słowa błazna.

Merryn w ogóle o nich nie myślała. Rozglądała się po Wielkiej Sali, przyglądała się ludziom śmiejącym się i rozmawiającym. Wszyscy byli tacy młodzi! I tak wiele było wśród nich dzieci – czołgających się pod stołami, raczkujących, biegających. Czowała się oszołomiona. Nigdy w życiu nie widziała takiego zbiorowiska. Sama Philippa ma troje dzieci! Wciąż siedziały w ramionach ojca, śmiejąc się, piszcząc i podskakując.

Bishop ujął ją za rękę i posadził przy stole. Podał jej pajdę chleba i kawałek sera.

- Prawdopodobnie nie jest tak dobry jak ser Belzebuba,

ale dość smaczny.

- Dziękuję. - Merryn usiadła i zabrała się do jedzenia, nie odrywając wzroku od krzątaniny panującej w Wielkiej Sali St. Erth.

Gdy zjadła, wstała i wspierając dłonie na biodrach, powiedziała:

- Dziękuję wam, lordzie i lady St. Erth. Powinnam była zrozumieć wcześniej, że ów sławny Bishop z Lythe...

- Sir Bishop. Sam pasowałem go na rycerza.

- ... jest zwykłym łgarzem. Taki więc był twój plan, sir Bishopie? Udawanie, że przyjechałeś zdjąć z nas klątwę, podczas gdy twoim jedynym celem było poślubienie dziedziczki. – Wycelowała w Bishopa oskarżycielski palec.

- Wierzysz w piosenki błazna? - Philippa uniosła brew ze zdumienia. - Śpiewanie piosenek i wymyślanie bajek to jego praca.

Merryn zatupała gniewnie.

- Mówił prawdę, choć rymy rzeczywiście były dość podłe.

Wielka Sala ucichła. Nawet dzieci Dienwalda umilkły, wpatrując się w Merryn i jej wyciągnięte ramię.

- ... zniszczy go.

- ... zabije go piorunem strzelającym z palca.

Bishop słyszał przerażone szepty. Wstał powoli

i podszedł do niej, wpatrując się w wyciągnięty palec.

Chwytał dłoń Merry'n i odsunął ją na bok. Dyszała ciężko z wściekłości.

- Puść mnie, łajdaku!

- Posłuchaj mnie, Merry'n. Jeszcze nie wiem o co chodzi z tą klątwą, ale odkryję to i pokonał ją. A wtedy, owszem, poślubię cię.

- Łajdak!

Wrzasnęła tak głośno, że prawie pękły mu bębenki.

Wyrwała mu rękę, zamachnęła się i z całą siłą trzasnęła go w szczękę. Bishop zachwiał się, chwytając brzeg stołu.

Przez chwilę był tak wściekły, że krwawa plama zasnuła mu wzrok. Cała jego uwaga skupiła się na Merry'n.

Uderzyła go. Na litość boską, uderzyła go. Patrzył na nią długo, wiedząc, że jeśli podniesie na nią rękę w przyływie wściekłości, może ją zabić. Nie chciał przecież widzieć jej martwej.

- Słuchajcie wszyscy - krzyknął. - W mojej mocy, z dala od swego zamku i klątwy jest panna z Penwyth.

Poślubię ją w ciągu godziny, przed obliczem ojca Cramdla, który nie ulęknie się żadnych przekleństw ani inkantacji padających z ust mej narzeczonej.

- Nie możesz mnie zmusić do małżeństwa, Bishopie. -

Podbiegła ku niemu, stanęła na palcach i krzyknęła mu prosto w twarz: - Nie wyjdę za ciebie, nieszczęsny łgarzu!

Jesteś jeszcze gorszy niż wszyscy moi dotychczasowi mężowie. Tamci przynajmniej szczerze wyjawiali swą chciwość.

Bishop chwycił ją, obrócił, przycisnął plecami do siebie i przytrzymał jej ręce. Szepnął wprost do ucha Merryn:

- Król mi cię dał. To wystarczy.

Odparła bez wahania, bez najmniejszych wątpliwości:

- Nie pojmujesz tego, głupcze? Jak długo klątwa ma nade mną władzę, zginiesz, jeśli mnie poślubisz.

Do licha, wierzył jej.

- Doskonale - odparł. - Nie zmuszę cię do zamążpójścia.

- Świetnie. Puść mnie albo tak cię kopnę, że będziesz piszczał jak dziewczyna.

- Spróbuj tylko, a spuszczę ci tęgie lanie na goły tyłek.

Tutaj. Na oczach wszystkich.

Przez chwilę milczeli.

- Puść mnie, łajdaku.

- O, nie. Wiesz, Merryn, myślę, że zrobię z tobą coś goła innego.

Poluzował chwyt na tyle, by mogła się obrócić

i spojrzeć mu w twarz. Chciała go uderzyć, widział to

wyraźnie w jej oczach. Jednak się powstrzymała.

- Wiele się wydarzyło, odkąd najechałeś Penwyth, Bishopie. Powiedz mi, że już rozumiesz. Jeśli się ze mną ożenisz, umrzesz. To proste. Nie pozwolę, by się to stało.

Nie wyjdę za ciebie.

Przez chwilę patrzył na nią uważnie.

- Rozumiem. Jak powiedziałem, myślę już o czymś innym.

Rozdz

d ia

i 113

Bishop zaciągnął Merryn w kąt Wielkiej Sali. Stały tam trzy służące i wpatrywały się w nich szeroko otwartymi oczami. Przy ścianie dwa nieduże psy ogryzały stary rzemień. Bishop przegoni wszystkich ruchem dłoni i szepnął jej do ucha:

- Wszystko już rozumiem. Musisz zrozumieć i mnie, Merryn. Król dał mi ciebie. Nie ma w tym kłamstwa, chciwości, nieuczciwości. Jestem tylko ja i chcę przeżyć do czasu, kiedy zdejmę z ciebie tę klątwę.

Uderzyła go pięścią w brzuch. Powietrze uleciało z niego z sykiem. Jeden ze stojących nieopodal służących jęknął ze zgrozy.

- Jesteś zwykłym mężczyzną, niech cię szlag trafi! - warknęła Merryn, potrząsając pięścią przed nosem

Bishopa. - Jesteś taki sam jak wszyscy. Czyżby król pałał

do ciebie nienawiścią, że wysłał cię na pewną śmierć?

- Nie - wykrztusił Bishop, gdy już zdołał złapać oddech.

- Król chce tylko wreszcie to załatwić, bezpiecznie wydać cię za mąż i zapomnieć o klątwie.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Jeśli się ze mną ożenisz, umrzesz.

Spojrzał na nią z góry. Jest silna. Brzuch wciąż

promieniował bólem. I ta odrażająca klątwa! Bishop

nienawidził wszystkiego, czego nie mógł zobaczyć,

z badać i zrozumieć. *Czasami, pomyślał nagle, nie mogę znieść czarodziejskiej wiedzy, daru i płynących z niego*

*obowiązków.*

Zamrugał i potrząsnął głową. Przez chwilę kręciło mu

się w głowie, przed oczami zrobiło mu się ciemno. Zdołał

jakoś utrzymać się na nogach, a po chwili odzyskał

równowagę.

Skąd się wzięła ta dziwaczna myśl? To pewnie pierwsze

oznaki skradającej się po niego klątwy. Zapewne duchy

nie mogą się już doczekać, kiedy wciągną go do mogiły.

Czy z ust popłynie mu piana? Czy cała krew wypłynie mu przez nos?

- Jestem już zmęczony twoimi wykrętami i sekretami,

Merryn. Chcę prawdy. Przecież klątwa w jakiś sposób

przez ciebie przepływa, czyż nie? I możesz nią w pewien



sposób kierować, nieprawdaż?

W Wielkiej Sali zrobiło się cicho jak w kościele. W jaki sposób słyszeli go wszyscy, choć schował się w kącie, a przy jego nodze skamlały szczenięta? A jednak słyszeli.

Zamilkli i pochyłili się w ich stronę. Nagle bliźnięta podniosły głośny lament. Bishop słyszał cichy głos Philippy:

- Wszystko w porządku, moje skarby, chodźcie do mamusi. Jeśli Bishop nie zdoła tego naprawić, tatuś się tym zajmie.

- To prawda, że mam rude włosy i zielone oczy - odezwała się Merryn. - Prawdą jest też, że w naszej rodzinie, od zarania jej dziejów, w każdym pokoleniu była rudowłosa, zielonooka dziewczynka. Ale klątwę rzucono całe wieki temu. Jak może mieć cokolwiek wspólnego właśnie ze mną? Z Merryn de Gay?

- Dlaczego w takim razie czterech mężczyzn nie żyje?

Pokręciła głową.

- Nie jestem ani czarownicą, ani trucicielką. Nie posiadam wiedzy ani umiejętności, które mogłyby mi to umożliwić.

Bishop delikatnie odwrócił ją do siebie. Przytrzymał za ramiona i spytał:

- Kiedy wreszcie przestaniesz kłamać?

Zdołał chwycić jej pięść na moment, zanim zderzyła się z jego brzuchem. Podniósł ją i przycisnął do siebie, lecz to

Merryn odezwała się tuż przy jego wargach:

- Nie kłamię. I nie mam żadnych sekretów.

Bishop widział wyraźnie, że Merryn nie mówi prawdy.

Jego wściekłość narastała. W uszach dudniła mu krew.

- Niech będzie, jak chcesz, Merryn. Wierzę, że gdybym ożenił się z tobą nawet tu, z dala od Penwyth, i tak bym zginął.

- Zawieziesz mnie do domu?

- Nie. - Uśmiechnął się do niej, lecz nie był to przyjemny uśmiech. - Jak już mówiłem, mam wobec ciebie inne plany.

Merryn spojrzała na niego uważnie, usiłując wyczytać z oczu Bishopa jego zamiary.

- Wiele się wydarzyło, odkąd przybyłeś do Penwyth, Bishopie.

- O, tak. Masz zupełną rację. Minęły właśnie dwa dni, odkąd krzyknąłem do starców na blankach, żeby mnie wpuścili. Na wszystkich świętych! Minęły zaledwie dwa dni. - Oczy mu pociemniały z gniewu, Spojrzenie miał równie mroczne jak otaczające ich cienie. - Może gdybyś chciała za mnie wyjść, gdybyś nie była pod przymusem, nie zginąłbym?

- Posłuchaj mnie, Bishopie - rzekła, przysunąwszy się tak blisko, że jej oddech omiatał mu twarz. - Obawiam się, że nawet gdybym wspięła się blanki Penwyth i na wszystkie strony świata wykrzyczała, że chcę cię za męża, i tak byś zginął.

- Skąd wiesz, że klątwa by mnie zniszczyła, nawet gdybyś chciała mnie poślubić?

- Nie wiem. Ale nie zamierzam ryzykować.

- A dlaczego? Nie chcesz, żebym padł trupem?

Spoglądała na niego przez dłuższą chwilę, dopóki jeden ze szczeniaków nie trącił jej stopy końcem rzemienia.

Uniosła dłoń, jakby chciała go dotknąć, lecz opuściła ją bezwładnie.

- Nie, nie chcę, żebyś padł trupem.

Bishop uśmiechnął się lekko.

- Chronisz mnie.

Wzruszyła ramionami.

Wiedział, że wszyscy zgromadzeni w Wielkiej Sali przysłuchują im się z uwagą, lecz nie dbał o to.

- W porządku. Nie ożenię się z tobą.

Krętacz wskoczył na stół, wypiął dumnie pierś, wznosił dłoń ku powale i zaśpiewał:

*Dzisiaj panna wygrała,*

*Lecz niech nas to nie złości.*

*Umrze jako dziewczica*

*W gorzkiej samotności.*

Pieśń karła rymuje się nawet nieźle, pomyślała Merryn, lecz nie może być prawdziwa. Coś się wydarzy, coś się zmieni, musi się zmienić. Przecież nie może umrzeć samotnie.

Pomyślała

o

wszystkich

starcach

zamieszkujących Penwyth, których znała przez całe swe życie. Czy kiedykolwiek byli tak młodzi jak ona?

Pewnego dnia umrą, nie będą przecież żyli wiecznie i nie zostanie już nikt kto mógłby się z nią starzeć. Och, Boże, czyż naprawdę była skazana na umieranie w samotności?

W goryczy i smutku? Niezbyt pocieszając wizja.

- Nie - powiedział głośno Bishop. - Nie umrze jako dziewczica.

- Obawiałam się samotności - wtrąciła Merryn. - Nie rozważałam jeszcze części o dziewictwie.

Choć jeszcze przed chwilą Bishop wrzał z gniewu, teraz z trudem powściągnął uśmiech.

Krętacz wskazał na Gorkela Szkaradnego przeżuającego gałązkę rozmarynu i krzyknął:

- Stara Agnieszka powiedziała Gorkelowi, że po rozmarynie będzie miał tak rześki oddech, że wszystkie dziewczęta będą za nim chodzić, domagając się pocałunków. Powiedz, potworze, co sądzisz o całym tym wiedźmim zamieszaniu w Penwyth? Niech z twych słodkich ust popłyną mądre słowa!

Gorkel przełknął rozmaryn i zrobił wstrętą minę w stronę karła, choć niewielu ją dostrzegło gdyż zwykle był szkaradny.

- Sądzę, że panna nie powinna bić młodego rycerza, za niedługo pana na Penwyth, tyle wam powiem.

- A cóż to ma wspólnego z czarownictwem, potworze?

- Nie ma tu żadnego czarownictwa - powiedział Gorkel, stając o krok od Krętacza i odchylając głowę. Nawet psy zaczęły mu się przyglądać. - Kobieta powinna przez cały dzień starać się, by męskość jej pana była sztywna i twarda jak marmur, jak to czyni nasza pani.

Philippa pogroziła mu pięścią, a Gorkel roześmiał się głębokim, dudniącym śmiechem. Był to odrażający dźwięk.

Krętacz złapał się za nos, zatoczył i spadł ze stołu na sitowie rozrzucone na posadzce. Leżąc na plecach, krzyknął:

- Najdroższa pani, daj tej bestii słodkiego całusa, gdyż

jej oddech jest tak powalający, że aż mnie tyłek rozbolał.

Merryn nie mogła się powstrzymać. Wraz wszystkimi wybuchnęła śmiechem. Jednak Bishop wyczuł nagle, że coś jest nie w porządku, z co? Ktoś lub coś. Jest bardzo blisko. Bishop to czuł, widział czający się cień, ruch w powietrzu. Jednak gdy się odwrócił, nie dostrzegł nikogo. Tylko jeden z wilczurów Dienwalda drapał pazurami kamienną podłogę.

Na wszystkich świętych, co się dzieje?

Philippa, trzymając pod pachami bliźnięta, podeszła do Gorkela i wspięła się na palce. Zaczekała, aż chłopcy poklepią sługę po twarzy i pociągną za włosy, po czym ucałowała Gorkela w czoło.

- Masz bardzo przyjemny oddech, Gorkelu -  
powiedziała.

Twarz sługi wykrzywiła się przerażająco w szerokim uśmiechu.

- Słyszałeś, Krętaczu? Rozmaryn potrafi działać cuda.

Tak powiedziała pani!

- Hej, wszystkie piękne panny! Dalejże, chodźcie ucałować potwora!

Żadna z panien się nie ruszyła. Stara Agnieszka wysepleniła przez dwa ostatnie zęby:

- Ja cię pocałuję, Gorkelu.

Gorkel pisnął ze strachu i uskoczył w tył, zakrywając dłońią usta.

- Philippo, czy mogłabyś pożyczyć Merryn trochę cieplejszych ubrań? W ciągu godziny chciałbym wyjechać.

- Oczywiście - przytaknął Dienwald. - Ja także dam ci coś do ubrania. I zapasy. Eldwin! Zajmij się tym.

Merryn podniosła na niego oczy.

- Zabierasz mnie do domu?

Bishop pokręcił głową.

- Dokąd zatem jedziemy?

- Powiem ci tylko jedno, Merryn - odparł wystarczająco głośno, by wszyscy go usłyszeli. - Nie umrzesz jako dziewica.

- Jak widzę, to dobra nowina - stwierdziła Merryn, gdy

Wielka Sala wypełniła się gwarem, śmiechem i gromkimi radami, jak należy odebrać pannie wianek.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - odezwał się Dienwald.

Bishop patrzył na Merryn niosącą bliźnięta. Philippa tuliła do siebie Eleanor.

- I ja również mam taką nadzieję, Dienwaldzie.

- Dokąd zamierzasz jechać?

- Jakies dwa dni drogi stąd na północny wschód.

- Wydaje się, że dokładnie wiesz, dokąd zamierzasz dotrzeć.

- Istotnie. Wiem, że to dziwne.

- W tamtych stronach mieszka mój przyjaciel, Roland de Tourney. Jeśli będziesz potrzebował jakiegokolwiek pomocy, zgłoś się do niego.

- Dziękuję. - Bishop przeczesał włosy palcami. - Nic nie jest takie, jakie miało być. Wiem, dokąd muszę się udać, choć nie ma to najmniejszego sensu. Dienwaldzie, czy wierzysz, że mógłbym posiadać dar magii? - wymknęło mu się.

Dienwald nie roześmiał się. Spojrzał na swoją Wielką Salę. Margot szorowała jeden ze stołów. Gorkel zbierał z podłogi szpilki rozmarynu, pogwizdując donośnie przez szparę między zębami.

Dienwald nie lubił rozmów na temat magicznych mocy, które mogą bez trudu zniszczyć śmiertelnika.

Westchnął i położył rękę na ramieniu Bishopa.

- Owszem - powiedział. - Wierzę, że tak może być, ale wcale mi się to nie podoba.

Bishop zamknął na moment oczy. Ujrzał postaci utkane z cieni przedzierające się przez czerwoną mgłę. Dlaczego czerwoną?

- Czemu w to wierzysz?



- Gdy ocaliłeś Philipę - odparł Dienwald, wciąż wpatrując się w Wielką Salę - powiedziała mi, że nie mogłeś wiedzieć, że herszt bandy trzyma sztylet przy jej boku. Po prostu nie mogłeś. A jednak wiedziałeś.

Bishop zapomniał o tym zupełnie. To prawda, że często zwyczajnie wiedział różne rzeczy, jakby widział je wewnętrznym wzrokiem, lecz nie było to aż tak wyjątkowe. Wynikało wyłącznie z wielu lat treningów oraz wiedzy, w jaki sposób ludzie walczą, to wszystko.

- Może to wcale nie było tak, jak mówisz. Może po prostu zdałem sobie sprawę, że muszę być bardzo ostrożny. Że jeśli natychmiast nie poderżnę temu zbrojowi gardła... - Bishop wzruszył ramionami.

- Wiedziałeś, że wtedy stanie się coś złego, czyż nie?

- Owszem.

Dienwald spojrzał mu w oczy.

- To zdarzało ci się już wcześniej, prawda? Masz przeczucia. Wiesz, kiedy coś jest nie w porządku.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Wiesz przecież, że w czasie bitwy po prostu czujesz instynktownie, co masz robić. Nie przypisuj mi żadnych mistycznych zdolności. Jestem czarodziejem tylko na czas zdobywania Penwyth i dobrze wiesz, że to wyłącznie przebranie, które ma mnie chronić

przed

nagłą

śmiercią.

Jestem

zwykłym

człowiekiem, takim jak inni.

- Czasami rzeczywiście tak jest - z namysłem

odpowiedział Dienwald i spojrzał na Bishop z uwagą.

Nagle chwycił go za rękę i potrząsnął - Słuchaj! To ta

klątwa! Wmieszales się w sprawy potęg, których ani ty,

ani ja nie jesteśmy w stanie objąć rozumem. Będę z tobą

szczerzy. Byłem przekonany, że w Penwyth mieszka ktoś,

kto zna się na truciznach. Może nawet sam lord Vellan.

Dlatego sądziłem, że udawanie czarodzieja jest dobrym

pomysłem. Jeśli chodzi o lorda Vellana, ni uwierzyłbyś,

jakich rzeczy dokonywał w dawnych czasach. Nie to,

żebym je widział, byłem na to zbyt młody. Lecz wciąż

krążą o nich legendy. Lord Vellan jest bezwzględny, nie

ma w nim krzty litości. Powiadają, że jedyną osobą na

świecie,

która

była

w

stanie

kiedykolwiek

go

powściągnąć, była jego teściowa. Nie rozumiem tego, ale tak mówią. Czy starzec otruł czterech mężów? Nie wiem. Jedna cokolwiek zamierzasz zrobić z tą dziewczyną, nie powinieneś jej ufać.

- Masz rację - powiedział Bishop. - To raczej nie była trucizna. To coś dziwnego, ale to samo właśnie pcha mnie do działania. Nie wiem, co z tym począć. Wiem tylko, że muszę ruszyć w drogę i zabrać Merryn ze sobą. Nie ufam jej, oczywiście. Nie jestem głupi. Nie znam nawet trzech kobiet, którym mógłbym zaufać.

- Nie wiem, czy chciałbym poznać ich imiona.

- W porządku. Wiedz tylko, że Philippa jest jedną z nich. Ma serce na dłoni. Ta dziewczyna jest skarbem.

- Serce na dłoni, to prawda - uśmiechnął się Dienwald.

Po chwili roześmiał się wesoło. - Taka właśnie jest moja wiedźma.

Godzinę później nakarmieni, wykąpani i ubrani

w ciepłą odzież gospodarzy Bishop i Merryn wyjechali na Nieustraszonym.

Słońce zaczynało się chylić ku zachodowi, wietrzyk stał się nieco chłodniejszy, lecz wciąż był orzeźwiający.

- Doszłam do wniosku, że Nieustraszony jest

wspaniałym rumakiem. Pozwolę mu poznać moją Lockey.

- Będzie uszczęśliwiony.

- Dokąd jedziemy, Bishopie?

Nie odpowiedział. Zapatrzył się w horyzont, a po chwili zaczął gwizdać.

- Robi się późno. Dlaczego nie chciałeś zostać w St. Erth na noc?

Bishop gwizdał coraz głośniej.

Merryn oparła się o niego bezwładnie. Cisza okazała się nawet przyjemna. Słyszała ptaki buszujące w cisach.

Niektóre wzlatywały pod nieboskłon, kreśląc tajemnicze wzory. Widziała samotny głaz na środku pola.

- Jak długo będziemy jechać tam, dokąd zmierzamy?

- Dwa dni, a może więcej, gdyż jedziemy na jednym koniu.

- Co zamierzasz ze mną uczynić?

- Odwróć się do mnie.

Merryn zwróciła ku niemu twarz. Bishop przyjrzał jej się uważnie.

- Cieszę się, że uczesałaś włosy. Wyglądałaś jak wiedźma.

- Ciekawe, czy to był komplement, czy też nie? -

Odwróciła się od niego ostentacyjnie.

Bishop się roześmiał.

- O, nie - szepnął jej do ucha. - Nie umrzesz jako dziewczica.

- Czy właśnie to zamierzasz ze mną zrobić? Przymusić mnie?

- Ależ skąd! Nigdy nie zmuszałbym kobiety - powiedział i znów zaczął głośno gwizdać.

Bishop wyszukał miejsce na postój, gdy słońce zaczęło się chować za horyzont. Nie musiał zatrzymywać się wcześniej, gdyż Dienwald zapakował im zapasy na co najmniej tydzień, zatem nie trzeba będzie polować.

Zaciszne, bezpieczne miejsce znajdowało się w zakolu klonowego lasu. Rozpalił ogień, zaś Merryn wyjęła jedzenie.

- Mam nadzieję, że nie będzie padało - odezwała się, spoglądając w niebo.

- Jeśli nawet będzie, mamy już pewność, że namiot się nie zawali - odparł. Wciągnął powietrze nosem i się uśmiechnął. - Nie będzie.

- Myślisz, że w Penwyth wciąż pada?

Zastanowił się przez chwilę, spojrzął przez ramię - sam nie wiedział po co. Poczuł dziwne drgnienie powietrza i nagle już wiedział.

- Przestało padać.

- Mówiłeś, że nie przestanie. Że będzie potop i że

zwiążesz mnie, bym utopiła się w strugach deszczu.

Uśmiechnął się, ogryzając wołowe żebro.

- Pomyślałem,

że

to

będzie

brzmiało

groźnie

i przerażająco.

- Zmyślałeś?

- Zmyślałem. Czy mówiłem ci już, że to bardzo miłe iż

nie chcesz, bym zginął jak pozostali twoi czterej

mężowie?

Odlamała kawałek chleba, wzruszając ramionami.

- Nie chcę, byś zginął. To pewnie głupie. Czy będzie

znów padało?

- O, tak. Susza się skończyła.

- Skąd możesz to wiedzieć?

Zmarszczył brwi, spoglądając w ogień.

- Po prostu wiem.

Merryn siadła po turecku, podając mu kolejne pieczone

żebro.

- Ciekawe, dlaczego susza odeszła – zastanowiła się. -

Czy sądzisz, że ma to coś wspólnego z twoim

przybyciem?

- Nie wydaje mi się - odparł bez zastanowienia. - Czuję pewne ruchy na odległych obrzeżach... - Zamilkł w pół zdania. Dziwaczne słowa wypłynęły z jego ust, zanim zdążył nad nimi pomyśleć.

Merryn pochyliła się ku niemu, zapominając o świeżym groszku z ogrodu Philippy.

- Na odległych obrzeżach czego?

Zapatrzył się w niewielkie ognisko i wsłuchał się w słowa, które tak gładko wypowiedział.

- Powietrze drży i faluje. Może jest to echo dawnych, zapomnianych

już

konfliktów,

okrutnych

sporów

w dębowych lasach. Jakieś zmagania i niesnaski. -

Zamilkł, zamykając oczy.

- O co chodzi, Bishopie? Jakie dębowe lasy? Jakie dawne konflikty? Jakie niesnaski? Co jeszcze czujesz?

- Nic nie czuję - mruknął, jednocześnie zakłopotany

i zły. - Nie podoba mi się to. Naprawdę. – W głębi serca

czuł, że następują zmiany, wplątując go w tajemnice  
i dawno pogrzebane zagadki. Czuł, jak go oblepiają,  
niczym muł z dna stawu. Wstał, otrzepując spodnie. -

Pójdę wyszczotkować Nieustraszonego.

Merryn spoglądała za nim przez długą chwilę.

Zastanawiała się, co miał na myśli, mówiąc, że nie umrze

jako dziewica. Życie zupełnie wymknęło jej się spod

kontroli, lecz nie była ani trochę przestraszona. Czy

Bishop naprawdę wie, że dni jej dziewictwa są policzone?

Rozdz



d ia

i 114

Merryn ułożyła się wygodnie za plecami Bishopa, muskając jego kark ciepłym oddechem.

- Cudowna noc - mruknął Bishop. - W taką noc mężczyzna nie myśli o tym, by naostrzyć miecz i rozplatać czaszki swoich wrogów.

Merryn nie wiedziała, co rycerz chce przez to powiedzieć. Odparła po chwili:

- Nigdy nie widziałam rozplątanej czaszki. Gdy urodziłam, dziadek i jego żołnierze byli już starzy. Nigdy nie zapomnę, jak tłumaczył mi, że widząc, jak opuszczają go siły, poszukał innych sposobów na przetrwanie. Wciąż knuje intrygi i kłóci się z resztą starców. I wszyscy świetnie się przy tym bawią. Kiedy zginął mój ojciec, nie zostawiwszy po sobie męskiego potomka, wszyscy wiedzieli, że będą kłopoty. Dopóki po świecie krążą chciwi, bezwzględni rycerze, będą kłopoty. Ale nie martwili się tym zbyt, gdyż wiedzieli, że chroni nas klątwa.

- Ha. Mieliście wielkie szczęście.

Czekał, aż Merryn powie coś jeszcze, jednak milczała.

Co przed nim ukrywa? Jej palce musnęły jego kark, przesunęły się wzdłuż ramienia, zatrzymały na chwilę

i lekko, delikatnie zsunęły się po ręce.

Bishop zastanawiał się, czy jest dla niej niczym wielki, ciepły pies, którego może pogłaskać i przy którym może się ogrzać. Czyż nie zdaje sobie sprawy, że jest także mężczyzną? Co więcej, młodym mężczyzną, który w mgnieniu oka staje się twardszy niż drązek podtrzymujący namiot? Najwyraźniej nie.

Wziął jej dłoń i położył sobie na brzuchu, głaszcząc łagodnie palce. Mięśnie napięły się odruchowo. Wyczuł nagłą ostrożność Merryn i uśmiechnął się w ciemności.

Jeśli istotnie traktowała go jak przyjaznego psa, już o tym zapomniała.

Jej palce poruszyły się delikatnie.

- Niżej - powiedział.

- Niżej, co?

- Przesuń dłoń niżej.

- Tutaj?

Bishop zacisnął zęby i wstrzymał oddech, gdy powoli prześliznęła palcami po jego naprężonej męskości. Merryn pisnęła cicho. Zadrżał cały, marząc o jej palcach na swoim nagim ciele.

- Tak, tutaj. - Och, Boże, jakże pragnął poczuć więcej!

Niemal poderwał się z posłania, gdy znów delikatnie go dotknęła. Nie mógł się powstrzymać, chwycił jej dłoń

i przycisnął mocno do męskości.

- Bishop? Dobrze się czujesz?

Na wszystkie świętości, nie! Był bliski spełnienia i zmożenia sobie ubrania, a to byłoby nad wyraz upokarzające. Ledwie mógł oddychać, a Merryn żąda, żeby jeszcze mówił? Czuł, jak jej palce powoli otaczają pulsującą męskością. Był w stanie myśleć tylko o nich.

- Co mówiłaś?

- Wydaje mi się, że sprawiam ci ból. Czy mam zabrać rękę?

Jęknął przez zęby.

- Nie. Czuję się świetnie - wycodził, niemal nie odgryzając sobie języka.

- Twoje ciało jest całkiem inne niż moje. Przynajmniej w dotyku.

- Wiem - odparł, niemal eksplodując, gdy zacisnęła na nim dłoń.

- Co się z tym robi?

Roześmiał się głośno. Przyniosło mu to chwilową ulgę.

- Wsunąłbym to w twoje ciało.

Poczuł, jak zacisnęła kolana. Och, tak, dokładnie wiedziała, co ma na myśli. Tylko gdyby wychowywała się w klasztorze, miałyby szansę nie orientować się, co mężczyźni robią z kobietami.

- Gdy babka była młodsza, czasami kąpała ważnych gości. Powiedziała mi kiedyś, że wszyscy mężczyźni są tacy sami. Niektórzy może nieco bardziej wyposażeni.

Kiedy siedzą nago w wannie, trzeba zagwizdać albo chrząknąć znacząco i szybko wyszorować ich gąbką. Cała sztuka polega tym, by zbyt długo nie myć ich tam.

Bishop roześmiał się znowu. Nigdy nie był na tyle ważnym gościem, by dama kąpała go osobiście.

- Wyszorowałabyś mi plecy, Merryn?

- Nie wiem - odparła, głaszcząc go znów. -

Musielibyśmy najpierw zostać mężem i żoną, ty zaś nie mógłbyś zginąć od klątwy. Lub też musiałbyś odwiedzić mój gród ponownie, gdy król uczyniłby mnie baronową Penwyth. Wtedy zrobiłabym to, co radziła mi babka.

- Gwizdałabyś?

- Nie wiem - powtórzyła. Nawet w mroku zauważył, jak zmarszczyła brwi w zadumie. - Może zasługujesz na coś więcej niż gwizdnięcie. Może na rymowaną pieśń? Taką, jakie tworzy Krętacz? - Przesunęła dłoń w górę, a Bishop miał chęć się rozplakać. Znowu głaskała go jak ulubionego psa, monotennie, całymi dłońmi po brzuchu i torsie. Czuł, że potrząsnęła głową. - Nie chcę, żebyś zginął.

Po tych słowach coś drgnęło w głębi jego serca,

Przeraziło go to nie do opisanego. Nie, nie będzie o tym

myślał!

- Jeśli tylko odbiorę ci wianek, nie zginę.

To zwróciło jej uwagę. Poderwała się, patrząc na niego uważnie.

- Mój wianek?

- Owszem. Przynajmniej tę część mielibyśmy już za sobą. Nie byłbym przecież twoim mężem. Czy to mnie uchroni od klątwy?

- Och, tak - wyrzekła bez tchu i zadrżała, zdając sobie sprawę z własnej odpowiedzi.

Bishop znów się roześmiał. Dlaczego nie? Leży w namiocie, Merryn wtula się w niego całym ciałem, a jego męskość jest twardsza niż stojące na polach menhiry. Dlaczego nie?

Nagle poczuł, że coś go pociąga, odsuwając na bok wszystkie sprawy, Merryn i jej dziewictwo. Jednak czyż dziewictwo nie wydawało mu się najśłodszym skarbem, od którego nigdy nie należy odciągać młodego mężczyzny. Tak było, a mimo to coś pociągało go z wielką siłą. Nie pojmował tego. Coś znajdowało się tuż obok niego, niemal dotykało jego twarzy, a może było w nim, a jego umysł skierował się do środka?

Usłyszał własne słowa:

- Nie odbiorę ci wianka. Śpij, Merryn, śpij.

Być może mówił to do siebie, gdyż już po chwili zapadł  
w sen tak głęboki, jak dziura po celnie wymierzonym  
mieczu.

\* \* \*

W

W inn

n y

n m cz

c a

z s

a ie

Książę szedł za Callasem w głąb dębowego gaju. Szli  
niestrudzenie, coraz bardziej zagłębiając się w mroczny  
okrąg drzew, który tłumił odgłos kroków. Liście krążyły  
w powietrzu, spadały pod nogi, choć książę nie czuł  
wiatru. W lesie nie czaiły się cienie - nie było tu na nie  
miejsca.

Tylko

całe

zastępy

dębowych

pni

przypominających wartowników stojących na straży od  
zarania dziejów. Dęby rosły tak blisko siebie, że spadające

liście natychmiast usychały i obracały się w pył.

Po wędrówce, która zdawała się trwać całe wieki dotarli do wielkiej polany. Na jej środku wznosił się pagórek. Nie było to naturalne wzniesienie. Wyglądało, jakby ludzie ustawili stos z kamieni i nanieśli na nie ziemię, a potem zasiali trawę.

Albo jakby stworzyła go magia. To nawet bardziej prawdopodobne. Po co marnować czas i siłę na mozolne wznoszenie pagórka, skoro wystarczy przewrócić oczami i pstryknąć palcami?

Wąski sierp księżyca świecił tak mocno, że na polanie było niemal tak jasno jak w dzień. Na niebie lśniły tysiące gwiazd. W ich świetle liście dębów jak gdyby błyszczały.

Bardzo interesujący efekt. Ciekawe, czy wiedźma długo nad nim pracowała.

- Callas.

Starzec odwrócił się błyskawicznie. Księżę ujrzał

skurcz

strachu

na

jego

pomarszczonej

twarzy.

Sprawiło mu to przyjemność. Wstrętny staruch miał

głowę pełną wiedzy o sprawach, które ani trochę księcia nie interesowały. Zastanawiał się jedynie, jak stary jest w istocie.

- Czego sobie życzysz, mój książę?

Strach

gdzieś

zniknął.

Callas

wyglądał

na

zadowolonego z siebie. Czyżby sądził, że książę

przestraszył się nienaturalnego światła wypełniającego

polanę?

- Co to za miejsce? - zapytał młodzieniec, lekceważąco machając ręką.

Callas przechylił głowę. Brudne, skołtunione włosy spadły mu z ramienia.

- Czyżbyś był ślepy, mój książę? Byłem ciekaw, a teraz

już jestem pewien że twoja moc nie może przeniknąć

w głąb naszego lasu. - Roześmiał się. - Jesteś teraz

w naszej mocy. Choć nie widzisz tego, wielu cię teraz

obserwuje i zastanawia się, co tu robisz. Są gotowi zabić

cię, gdybyś choćby wyszeptał groźne słowo.

Książę roześmiał się. Włosy spadły mu na twarz więc je



odgarnął.

- Niech tylko się do mnie zbliżą, Callasie - powiedział bardzo cicho. - Sprawdźmy, czy są w stanie zrobić mi jakąkolwiek krzywdę. Powiem ci szczerze, nie widzę ich, jednak wiem, że twoi ludzie wzniesli ten pagórek.

Dlaczego?

Callas podniósł keszę. Czubek kostura pulsował światłem i mocą. Starzec skierował go w stronę pagórka.

- Co robisz?

Kapłan nie odzywał się, tylko trzymał kostur wyciągnięty w stronę wzniesienia. Co ten staruch wyczynia? Księżę chwycił go za rękę, uważając, by nie dotknąć kostura. Starzec był tak zaskoczony, że pewnie by upadł, gdyby księżę go nie podtrzymał. Bishop potrząsnął nim lekko. Nagle Callas wydał mu się bezcielesny jak szmaciana lalka wypchana puchem. Czyżby zabił go z taką łatwością?

- Zostaw go, podły łajdaku!

Brecia. Serce niemal wyskoczyło mu z piersi.

Nareszcie.

Wciąż się szeroko uśmiechał, gdy jego oczom ukazała się stojąca na szczycie pagórka forteca. Drewniane, ostro zakończone pnie powiązane były grubymi linami. Za ostrokołem stała drewniana wieża. Przeklęta wieża.

Naprawdę okazała. Widać, że zbudowana dla potężnej  
wiedźmy. Gdzie Brezia?

Księżciu nie podobało się to wszystko. Zwykł  
kontrolować swoje życie i panować nad nim. Widział  
tylko pagórek wzniesiony albo ludzką dłonią, albo za  
pomocą magii.

Teraz zaś na jego szczycie pojawiła się forteca. Nagle  
poczuł falę dławiącego strachu.

Dlaczego wcześniej nie widział wieży? Czyżby Callas  
miał rację? Czyżby stracił moc, wchodząc do dębowego  
gaju?

Gdzie jest przeklęta wiedźma, która nazywa go  
łajdakiem? Gdzie jego wiedźma?

Puścił Callasa. Kapłan zachwiał się mocno. Nagle  
zobaczył tuzin albo więcej twarzy wpatrujących w niego  
spomiędzy drzew otaczających polanę. I znów usłyszał jej  
krzyk:

- Nie waż się go zabić!

Księżę nie mógł tego znieść. Skąd dobiega ten głos?

Obrócił się dokoła, lecz forteca wciąż stała na swoim  
miejscu. Mogła być iluzją wywołaną mocą wiedźmy, co  
nie zmienia faktu, że nie chciała zniknąć.

Odetchnął głęboko. To jakiś nonsens. Przecież jest  
czarodziejem! Nikt nie dorównuje mu mocą. Co się tu

dzieje?

Odchylił głowę i wrzasnął:

- Brecia! Chodź tu natychmiast, przeklęta wiedźmo,  
albo zmiążdżę tego starego głupcu - Uśmiechnął się dziko.

- Albo nie. Stworzę specjalnie dla niego niewielki staw.

Śliczny, czysty i niezbyt głęboki, a potem zmuszę go, by  
się wykąpał i wyprał swoje obrzydliwe łachy. Pokaż się!

Cisza.

Książę wysunął z rękawa różdżkę i wyciągnął ją  
w kierunku Callasa.

- Nie waż się go upokarzać, nędzna imitacja  
czarodzieja!

Książę z uśmiechem patrzył na Callasa, kto uciekał ze  
zwinnością nieprzystającą sędziwemu kapłanowi. Brama  
fortecy otworzyła się z wolna. Książę schował różdżkę do  
rękawa, czując jej kojące ciepło. Naprawdę stała się  
częścią jego samego. Ruszył ku bramie.

Gdy mijał szeroko otwarte skrzydła, wydały mu się  
większe niż z daleka. Za plecami słyszał głosy. Wiedział,  
że skryte w cieniu drzew duchy naradzają się, co z nim  
zrobić.

- Uspokój swoich ludzi, Callasie. Powiedz im, że  
jestem tu tylko po to, by spotkać się z wiedźmą. Jeśli  
zostawią mnie w spokoju, nie zrobię im krzywdy.

Wszedł do fortecy, a wielkie drewniane wrota  
zatrzasnęły się za nim głucho. Wokół dziedzińca paliło się  
tuzin niewielkich ognisk. Sam dziedziniec okazał się  
ogromny, o wiele większy niż cała forteca widziana  
z zewnątrz. Wiedział już, że to wiedźma tworzy tak  
urocze iluzje i w głębi ducha doceniał jej wysiłki.  
Podziwiał też jej umiejętności. O, tak. Będą do siebie  
pasowali.

Przyjrzał  
się  
uważnie  
ogniskom  
i  
dostrzegł  
przynajmniej pięćdziesiąt duchów unoszących się tuż nad  
ziemią. Były tak blade, że niemal przezroczyste, jednak  
mógł dostrzec ich nagie stopy. Duchy nie wydawały  
najmniejszego  
dźwięku,  
po  
prostu  
unosily  
się  
w wibrującym powietrzu. Co najdziwniejsze - nie czuł ich

obecności, lecz widział wąskie nagie stopy z nienaturalnie długimi palcami.

Czyżby Brezia odgrodziła go od nich? Nie, był zbyt potężny, by mogła to uczynić. Wiedział, że to duchy, lecz ich nie czuł. Dlaczego? Może nie były duchami, a cieniami z innego wymiaru? Nieistniejącymi istotami, które

Brezia

zawezwała,

by

go

przestraszyć?

Rekwizytami, jakich używają mimowie do swoich sztuczek? Potrząsnął głową. To przecież nie ma znaczenia. Mogłaby stworzyć nawet stado dzikich psów, które z ujadaniem rzuciłyby mu się do gardła, a wcale by się tym nie przejął. Tak czy siak, duchy o wąskich stopach tworzyły przyjemny orszak powitalny.

Nigdy wcześniej nie był w świętym schronieniu Brezii.

Skupił się na płynących z otoczenia doznaniach i wkrótce wyczuł pulsującą magię, choć nie wydała mu się znajoma.

Przypominała

usta

chętnej

kobiety,

delikatne

i pieszczotliwe. Moc otaczała go, podpływała, muskała jego ciało i cofała się jak wstydliva kochanka.

Zdumiewało go, że nie potrafi rozpoznać owej magii. Co by się stało, gdyby obca moc nagle go dotknęła? Gdyby wpłynęła jak fala do jego oczu i ust, gdyby zaczął nią oddychać? Czuł, że różdżka ukryta w rękawie robi się coraz cieplejsza.

Zauważył,

że

leniwie

pełgające

pomarańczowo

plomień wielu ognisk co jakiś czas łączą się za sobą, splatają i tańczą, ogrzewając cały dziedziniec.

Z uśmiechem skierował różdżkę ku jednemu z ognisk.

Wystrzeliło w górę językami płomieni i snopami iskier.

Duchy odskoczyły na boki, stapiając się ze sobą

i wpatrując w ogniki unoszące się nad ich głowami.

Mógłby przysiąc, że ich stopy stały się bardziej widoczne.

Cóż, zapowiedział swoje przybycie i ostrzegł Brecię.

Uśmiechnął się pod nosem. Z całego serca pragnął ją zobaczyć.

Wsunął różdżkę do rękawa i ruszył ku wieży.

Przeklęta forteca znów okazała się większa niż jeszcze przed chwilą.

- Brecia! - krzyknął. - Gdzie jesteś?

- Jestem tutaj, książę - powiedziała.

Był ogromnie ciekaw, jak to możliwe, że jej głos jest tak bliski i czysty, mimo że wiedźma siedzi, w wieży.

Spryciuła! Spojrzał na przypadkowo porozmieszczane niewielkie okna o rozmaitych kształtach. Kwadraty, trójkąty i okręgi zdawały się jarzyć w ciemności.

Świetne sztuczki bystrej wiedźmy, pomyślał, nic więcej. Nie mogły się równać z tym, co sam potrafił. Nie

powinien o tym zapominać. Pchnął drzwi i wszedł do

wieży. Podłoga ze szlifowanych desek ciągnęła się

w nieskończoność. Czuł zapach lawendy i innych ziół,

których nie rozpoznawał. Ich listki były porozrzucane na

podłodze. Pośrodku przestronnej komnaty płonął ogromny

ogień. Płomienie sięgały okrągłego otworu w suficie.

Powietrze było lekko błękitne od dymu.

Wreszcie ją zobaczył.

Brecia. Minęły już trzy lata, odkąd zobaczył ją po raz

pierwszy w świętym miejscu, do którego pielgrzymowali

przedstawiciele wszelkich plemion, by medytować

w kręgu potężnych głazów i witać wschodzące słońce

kołyszące

się

przez

kilka

chwil

na

szczycie

monumentalnej budowli. Zdarzało się to wyłącznie w dniu letniego przesilenia.

Była tak urodziwa, że na jej widok zaschło mu

w ustach. Teraz zaś wyglądała jeszcze piękniej, stojąc na niewielkim podwyższeniu i patrząc niego z góry.

Zrozumiał, że jej wpływ jest znacznie potężniejszy.

Przełknął ślinę. Przeklęta wiedźma uciekła mu i tylko cudem nie przeklęła, lecz wreszcie zwyciężył.

Zdołał ją znaleźć, choć wciąż nie wiedział, skąd wziął się na skraju jej lasu i dlaczego ocknął się ziemi, widząc nad sobą Callasa. Pamiętał, że Callas był z nią w wielkim kamiennym kręgu. Stał jedną z poprzecznych belek, a w oczach miał strach i nienawiść.

Podobnie jak kapłan i duchy z lasu, Brecia miała na sobie białą wełnianą szatę. Jednak jej suknia była tak biała, że jaśniała jak światło. Mógłby czytać starożytne pergaminy w blasku jej. W pasie przewiązała się cienkim



złotym łańcuchem.

W komnacie poza nimi nie było nikogo.

Chyba że w kątach czaiły się duchy. Podszedł bliżej.

Wciąż miała te same, niespotykane włosy, może nieco

dłuższe. Czerwone, wściekle czerwone jak magiczny

płomień. Spływały jej po plecach aż do bioder. Książę

widział też niewiarygodnie zielone oczy, pełne tajemnic

i sekretów oraz wielkiej mocy zdolnej do czynów

o znacznie większym znaczeniu niż przekleństwo rzucone

w akcie zemsty. Skóra Brecii była gładka i jasna.

Uśmiechnęła się do niego, ukazując śnieżnobiałe zęby. Jej

triumfalny uśmiech zdradził mu, że wyprowadziła go

w pole i płała się właśnie w zadowoleniu. Miał ochotę

wyjąć różdżkę i rzucić Brecię na kolana. Zmusić ją, by

czołgała się przed nim i całowała jego zakurzone stopy.

O, tak. Ta wizja bardzo mu przypadła do gustu. Potem

mogłaby zrzucić tę białą suknię i pokazać mu swoje

wdzięki, a potem...

- Więc jesteś, mój książę. Jak, na wszystkie demony

piekieł, które cię stworzyły, zdołałeś tu dotrzeć? Jak mnie

znalazłeś?

Rozdz

d ia

i 115

Serce głośno waliło mu w piersi. Nie czuł się tak od trzech lat, odkąd ją pierwszy raz zobaczył. Odkąd ukryła się przed nim, przekłeta wiedźma, gdyż dowiedziała się o jego rychłym ślubie z Lilian. Chciał ją zatrzymać, chciał jej wytłumaczyć, lecz zdołała się wymknąć. Wył z wściekłości, próbował tysiącokrotnie wymazać ją z pamięci, lecz nie udało mu się. Wpatrywał się w jej twarz.

- Callas mnie przyprowadził - odparł swobodnie.

- Callas nigdy nie pozwoliłby ci się do mnie zbliżyć, a zwłaszcza wejść do mojego świętego gaju.

Magiczna różdżka leżała spokojnie przy przedramieniu księcia. Czuł jej delikatne pulsowanie. Wiedział, że musi postępować bardzo ostrożnie i nie może pozwolić Brecii stłumić swojej mocy. Nie chciał znów ulec niskim żądom, nie zważając na nic. Nie chciał być jak zwykły śmiertelnik zniewolony przez namiętności, nieużywający rozumu, poddany kaprysom nabrzmiałej męskości, myślący wyłącznie o tym, by się z nią połączyć.

- A jednak to Callas mnie przyprowadził. Chyba wystarczającym dowodem na to jest fakt, że przed tobą stoję.

- Musiałeś zagrozić mu śmiercią.

- Nie. Zesłałem na niego świąd.

Patrzyła na księcia przez długą chwilę. Wiedział, że

chce jej się śmiać, ale zdołała zachować powagę. Powoli zeszła z podwyższenia i ruszyła ku niemu leniwym krokiem. Biała wełna omiatała jej kostki, jakby suknię szarpał wiatr. Spod rąbka szaty błyskały złote sandaalki. Jednak powietrze było nieruchome. Gdzie są wszyscy kapłani? Gdzie służba? Gdzie się kryją bezkrwiste duchy o białych stopach?

Stała o kilka kroków od księcia. Wydawał mu się wyższa, niż ją zapamiętał, bardziej wyprostowana i dumna, zaślepiona swoją mocą. Zamierzał to zmienić.

A może Breca się go boi, skoro jednak zdołał ją odnaleźć i udowodnił, że nie jest w stanie się przed nim ukryć?

Ach, wspaniale było na nią patrzeć. Powoli uniosła lewą rękę. Falbaniasty rękaw zafurkota jak motyl. Delikatnie i łagodnie, zapewne pod wpływem magii. W dłoni Brecii zniecka pojawiła się różdżka. Bardziej przypominała jego własną magiczną różdżkę niż kostury kapłanów. Była niewielka, zgrabna, pięknie rzeźbiona, lśniąca klejnotami tak starymi, że zdawały się nosić odciski palców bogów przemierzających świat na początku czasu.

Gdzie są kapłani? Dlaczego Breca przyjmuje go sama?

- Zatem jesteś tutaj, książę. Czego chcesz?

Na twarzy Brecii wypatrywał najdrobniejszego choćby znaku, który powiedziałby mu, o czym ona myśli. Nie

odezwał się, po prostu na nią patrzył. Jak zwykle zasłoniła się potężną tarczą. Nie mógł przejrzeć jej myśli i czuł się tym upokorzony.

Podeszła bliżej, wyciągając różdżkę w jego stronę.

- Nie wyciągaj ku mnie tego śmiesznego patyka, kobieto - odezwał się książę.

- Patyka? Ty arogancki, bezmózgi bękarcie!

- Nie jestem bękartem. Jestem owocem uświęconego związku. A ty? Wiesz cokolwiek o swych przodkach?

- Nie miałam początku i nie będę miała końca.

Roześmiał się.

- To nonsens i doskonale o tym wiesz. Pochodzisz z rodziny magów, choć innej niż moja. Ten święty gaj, wszystkie te dęby szumiące w ciemności, forteca wysnuta z twojej fantazji, to wszystko dla mnie nie znaczy. Nie więcej niż nedorzeczne duchy falujące przy ogniskach i majtające stopami ponad ziemią.

- Duchy? Dlaczego sądzisz, że to duchy?

- Nie kpij ze mnie, kobieto! Nie mają ciała, są niematerialne.

- Ach, masz na myśli to, że nie czujesz ich obecności.

Musiał kiwnąć głową, choć czuł się z tym fatalnie.

- Racja, są duchami. Komukolwiek spoza świętego gaju trudno jest je wyczuć. Pewnego dnia Callas stanie się

jednym z nich. Te duchy żyją własnym życiem,  
oddychają, czczą mnie i zajmują się rzemiosłem.

Z czasem stają się tak stare, że zaczynają znikać. Stopy  
znikają na końcu. W ostatniej chwili swojego istnienia  
stapiają się w jedno z dębem. To starożytny święty  
obrzęd.

- Słyszałem, że duchy istnieją we wszystkich czasach.  
- Owszem. To moi ludzie, przeszli, terażniejsi i przyszli.

Najbliżsi moi czciciele.

- Czy wszyscy twoi czciciele to starcy? Większość  
z nich prawie całkiem znikła.

- Och, nie. Większość z nich żyje w lesie. Duchy nie  
czują się dobrze wśród drzew. Czują się zagrożone  
i zawsze zmarznięte. Lubią być blisko mnie i magicznych  
ogni, które dla nich rozpalam. Są tak stare, że ich moc jest  
niewyobrażalna. Jeśli zaś chodzi o moich ludzi  
mieszkających w lesie, zostaną w ukryciu, póki nie  
powiem im, że są bezpieczni.

- Wygląda na to, że twoi czciciele są równie nie-  
materialni jak ta iluzoryczna forteca.

- Nie kpij z czegoś, czego nie pojmujesz, książę. To  
głupota, której nawet czarodziej powinien się wystrzegać.

- Czy oni naprawdę cię czczą, Brecio?

- Oczywiście, że mnie czczą. Zapewniam im po-

żywienie, schronienie i ciepło. Daję harmonię, porządek

i równowagę, by mogli się stać tym, czym pragną być.

- Czy ta forteca istnieje, czy jest tylko po to, by  
zamydlić mi oczy?

- Dla tych, którzy ją widzą, jest wystarczająco  
rzeczywista.

Były to jego własne słowa wypowiedane wiele razy.

Przemilczał to.

- Kiedy Callas zacznie znikać?

- Może nawet za sto lat. Nie wiem dokładnie. Moi  
czciciele zwykle dożywają sędziwego wieku.

- A kogo będą czcili, kiedy umrzesz?

- Oczywiście, masz rację. Umrę, dotrę do końca mych  
dni. A wtedy będą czcić moją następczynię.

- A kimże ona jest?

- Jestem jeszcze bardzo młoda, mój księżę. Jeszcze nie  
potrzebuję następczyni.

- Przekażesz jej swoją potężną wiedźmią krew, czyż  
nie?

Z gracją przechyliła głowę na bok, a włosy spłynęły jej  
na ramię. Na wszystkich antycznych bogów, miał ochotę  
chwycić pasmo tych włosów i zacząć nawijać je na dłoń.

Nawijać tak długo, aż stałaby zaledwie pół kroku od  
niego, a potem jeszcze trochę, by znalazła się tuż przy

nim. A potem chwyciłby ją i położył się na niej i...

otrząsnął się marzeń.

- Dokładnie tak jak mówisz. Potężną, wiedźnią krew.

- Potrzebujesz zatem potężnego czarodzieja, który doda swoją moc do twojej i wzbudzi potomka z twych lędźwi.

- Jeszcze nie spotkałam czarodzieja, z którym

mogłabym

we

właściwy

sposób

połączyć

moc.

Czarodzieje są zbyt pyszni i hardzi, by robić cokolwiek,

co nie jest ich widzimisię. Być może wybiorę się do

Hiszpanii. Słyszałam, że członkowie Karelii mają wiele

tajemnych miejsc ukrytych przed oczami śmiertelników.

Może znajdę tam hiszpańskiego czarodzieja, który nie

będzie chciał uczynić ze mnie niewolnicy.

- Słyszałem, że członkowie Karelii chwytają ludzi

i zamykają ich w drewnianych klatkach, które nocą

podpalają, by się ogrzać.

- Nie wiedziałam o tym. Nie zniosłabym podobnych

praktyk. Zadrzała. - I smród... Byłby zapewne potworny.

- Z tego wynika, że są okrutni i słabi - stwierdził książę.

- Któż chciałby palić śmiertelników, by się przy nich grzać, skoro wystarczy jeden ruch różdżką? - Wysunął ją błyskawicznie, skierował do góry. Z różdżki popłynął wąski strumyk błękitnego dymu. Księżę z napięciem wpatrywał się w Brecię. Obserwowała dym wijący się ciasną spiralą ku otworowi w suficie. - Nie pieką cię przypadkiem oczy?

- Ależ skąd. Sprytna sztuczka, mój księżę, lecz teraz... - Szybko wyciągnęła własną różdżkę, uśmiechając się łagodnie. Czekał bez ruchu, patrząc, jak porusza bezgłośnie ustami. Nagle znalazł się w drewnianej klatce zwisającej z sufitu na długim żelaznym łańcuchu. Klatka kołysała się w przód i w tył.

Księżę nie wyrzekł słowa. Lewą nogę miał bardzo wykręconą, bliską złamania. Gwizdnął cicho, lekko przebiegł palcami po drewnianych prętach klatki i już po chwili znikła, zaś księżę stał znów przed Brecią.

Uśmiechnął się, kierując ku niej różdżkę. W jednej chwili leżała na plecach na kamiennym ołtarzu. Biała suknia opadła długimi kaskadami na boki postumentu.

- Menhir - odezwała się, siadając. - Ukradłeś menhir z któregoś ze świętych kamiennych kręgów,

- O, tak. To magiczny kamień. Piękny i potężny.

Doskonałe miejsce na ostatni spoczynek dla wiedźmy.



Szybkim, zwinnym gestem Brezia uniosła różdżkę.

W tej samej chwili księżę wypowiedział dziwne, bełkotliwe zaklęcie i nagle jej różdżka znalazła się w jego dłoni. Uśmiechając się, machnął własną różdżką. Brezie oplotły cienkie, mocne rzemienie. Nawet czarodziej nie byłby w stanie ich zerwać. Znalazła się w jego mocy.

Wciąż się uśmiechał.

Wyciągnął ku wiedźmie jej piękną, delikatną różdżkę oraz własną, skromną, emanującą mocą.

- Widzisz to, Brezio? Jeśli je skrzyżuję, jest bardzo możliwe, że nastąpi koniec świata. Co o tym sądzisz? -

Powoli zbliżył różdżki.

Szarpnęła się w więzach, lecz nie zdołała ich poluzować. Podniosła z wysiłkiem głowę, wpatrując się z natężeniem w obie różdżki.

- Nie rób tego, głupcze! Nie masz pojęcia, co się może wydarzyć!

Rzeczywiście, nie miał. Odsunął różdżki od siebie.

- Dysponujesz jakkolwiek mocą bez różdżki?

- Oczywiście.

- W takim razie, uwolnij się, Brezio.

Brezia zaczęła inkantować zaklęcie. Księżę zamknął oczy, by zobaczyć słowa, które mruzczała, i odwrócić je.

Posyłała go do diabła. Nie, jednak nie. Stała przy nim

w sercu dębowego lasu, on zaś był przywiązany do ogromnego dębu, który drżał i trząsał się, jakby wokół szalała wichura. A przecież w głębi lasu wichry nie szaleją.

Książę podszedł do ołtarza, spojrział w zielone oczy i poczuł jej moc oraz grube powrozy przytwierdzające go do drzewa. Przez chwilę pochylał się nad nią, po czym delikatnie dotknął czubka jej nosa palcem. To ją zdekongentrowało. Spojrzała na niego, a w jej spojrzeniu jarzył się gniew. Wiedział, że zabiłaby go, gdyby tylko mogła. Odesłałaby go hiszpańskiej Karelii, by upiekł się w drewnianej klatce którejs zimnej nocy. Jeszcze raz dotknął jej nosa i uśmiechnął się.

- A może zesłać na ciebie świąd jak na Callasa?

- Czarnoksięski bękart.

- Już ci mówiłem, że nie jestem bękartem. Czy moja magia jest czarna? Mówisz tak wyłącznie dlatego, że uważasz siebie za jakiegoś anioła obleczonego w biel.

- Jesteś głupcem. Uwolnij mnie.

- Nie, jeszcze nie. Zatem jestem głupcem A jednak wyciągnąłem wnioski z nauzki, którą mi dałaś trzy lata temu. Wtedy zdołałaś uciec. Nie chciałaś zrozumieć, że musiałem się ożenić. Nie miałem najmniejszego wyboru. Gdy obudziłem się z dusznego snu nad brzegiem morza,

znałem już sposób, jak sprawować nad tobą kontrolę.

Teraz zaś mam także i twoją różdżkę. Nie możesz mnie pokonać, Brecio. Cała moc należy do mnie.

Wargi Brecii się nie poruszały, lecz ksiązę widział, że przygotowuje kolejne zaklęcie, ułożone specjalnie dla niego.

Wysoko uniósł swą różdżkę i przesunął nią nad ciałem Brecii, od jej nagich stóp do czubek głowy.

Biała suknia nie zniknęła. Wiedźma nie stała naga. O co chodzi? Nie użył ponownie różdżki po prostu skupił się na wyobrażeniu jej nagiego ciała. Skoncentrował na nim całą siłę umysłu. Suknia wciąż opinała ciało Brecii. A więc wiedźma go nie przeklina, tylko odpiera jego zaklęcia!

Pochylił się nad nią.

- Poddasz mi się, Brecio. Możesz się szarpać ile chcesz, lecz więzy cię utrzymają. Do końca świat a nawet dłużej.

Brecia ucichła, wpatrując się w jego twarz. I nagle przeklęła go w głos, wzywając wszelkie moce, począwszy od samego Szatana, poprzez pierwszych druidów żyjących w jaskiniach, farbujących włosy na zielono, aż po okrutnych Karelian, którzy spiłowują zęby w szpic, by sprawniej ogryzać kości swoich ofiar.

- Twoje przekleństwa wzbudzają wyłącznie mój śmiech

- stwierdził i śmiejąc się, pocałował ją w usta. Jednak nie

poczuł pod wargami jej ust, tylko coś surowego

i śliskiego. Poderwał się. Na ołtarzu nie było już Brecii,

tylko splątane, zwinięte jak cielska węży rzemienie

skąpane we krwi. Czerwone krople kapały na brudną

podłogę.

Brecia zniknęła.

Po chwili zniknął też ołtarz i tylko biała suknia

pozostała na ziemi.

Księżę ze zdumienia nie mógł wykrztusić słowa. Jednak

zdjął jej suknię, lecz wiedźma zdołała wytworzyć iluzję,

że wciąż jest ubrana. Jak to zrobiła? Odchylił głowę,

rzucając jedyną groźbę, której nie mogła zignorować:

- Jeśli nie wrócisz, odejdę i zabiorę ze sobą twoją

różdżkę!

Znów przed nim stała. Miała na sobie suknię, która

wcześniej leżała na ziemi, ładnie ułożoną w fałdy

i przewiązaną złotym łańcuchem. Stopy miała bose. Złote

sandały

zapewne

przepadły

w

czasie

kolejnych

transformacji.

Należała już do niego, ksiązę dobrze o tym wiedział.

Miał nadzieję, że ona również to wie.

- Skoro jesteś tak potężna nawet bez różdżki -

powiedział ksiązę - rzucisz teraz pełne mocy zaklęcie,

które zapewni wszystkim twoim duchom i starym

kapłanom pożywienie, schronienie i ciepło na kolejne

tysiąc lat.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Bo zabieram cię ze sobą. Spłodzimy syna, który

będzie rządził wszystkimi czarodziejami chodzącymi po

tej ziemi.

- Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Okłamałeś mnie.

Poślubiłeś inną. Mogłabym cię zabić, gdybym tylko

zechciała.

- Moje małżeństwo jest już skończone. Jestem wolny

i przyszedłem po ciebie. Mówisz, że nie chcesz mieć ze

mną nic wspólnego tylko dlatego, że jestem od ciebie

potężniejszy. Mówisz tak, bo się mnie boisz. Bo czujesz,

że jesteś w mojej mocy. Pójdiesz ze mną, Brecio.

Również do łóżka.

Milczała. Ksiązę wiedział, że rozważa jego słowa, że

widzi siebie dającą życie ich dziedzicowi. Synowi

czarodzieja i wiedźmy.

- Pamiętam, kiedy cię pierwszy raz ujrzałem przy

kamiennym ołtarzu - powiedział miękkim, kuszącym głosem. - Położyłaś na nim obie dłonie. Szeptowałaś do niego. Życzenie? Klątwę? A potem odwróciłaś się i ujrzałaś mnie.

- To prawda. Odwróciłam się i stałaś przed mną. Byłaś mroczny, pełen mocy, dziki. Wierzyłam, że z czasem będę mogła ci zaufać, ale myliłam się. Chcesz tylko mnie prześcignąć, podbić i pojąć.

Popatrzył na nią z namysłem.

- Naprawdę? Pamiętam, że wtedy pomyślałem że rozpoznałaś we mnie swojego kochanka, podobnie jak ja rozpoznałem w tobie moją kobietę. Nic nie jest w stanie odwlec naszego zespolenia.

Roześmiała się.

- Och, nie. Nie rozpoznawałam w tobie nikogo, księżę. Prawdę mówiąc, patrzyłam na ciebie, myśląc o mej prababce, której włosy były tak czerwone, że niektórzy sądzili, że pełgają w nich płomienie.

Machnął dłonią.

- Dość już. Czas, byśmy połączyli się w jedno. Dobrze wiesz, że możesz mi zaufać.

Wzruszyła ramionami, patrząc mu w oczy. Czyżby próbowała także zajrzeć do jego umysłu? Nie była w stanie. Zamknął się przed nią. Nagle strzeliła palcami

tuż przed jego nosem i chuchnęła delikatnie.

I zniknęła. Po prostu zniknęła.

Nie zdołała zabrać ze sobą różdżki. Wciąż trzymał ją w dłoni. Stała się zimna jak kamień. Klejnoty nagle straciły blask, stały się matowe, puste, jakby wypełniająca różdżkę moc uleciała na zawsze.

Książę stał, bezradnie wpatrując się w różdżkę, która straciła wszelką moc. Dlaczego nic w życiu nie jest łatwe?

Rozdz

d ia

i 116

Obecn

c i

n e

- Bishopie, obudź się. - Merryn potrząsnęła go za ramię. - Co ci się śniło? Prawie się udławiłeś ze śmiechu. Hej, obudź się i powiedz mi, o czym śniłeś. Czyżbyś śnił o tym, jaka jestem sprytna? Czy to mój lotny umysł tak cię rozbawił?

*Stał wewnątrz wielkiej wieży, przy dziwnym kamiennym ołtarzu. Nie widział i nie słyszał nikogo.*

*Chciało mu się wyć. Chciał też zabić Brecię - gdyż to była Brečia o ognistych włosach. Naprawdę chciał chwycić ją za szyję, a jednocześnie czuć ją pod sobą, leżącą*

*z szeroko rozłożonymi nogami. Nagle jednak wybuchnął śmiechem, kręcąc głową nad jej przebiegłością.*

Obudził się, bo Merryn potrząsała go za ramię i klepała po twarzy. Wciąż się śmiał, lecz nie był to przyjemny śmiech. Śmiał się, bo nic innego nie mógł zrobić.

Otrząsnął się.

- Zaczynam myśleć, że nic w naszym dążącym ku nicości życiu nie jest łatwe dla śmiertelnika. - Zmarszczył brwi. - A może nawet i dla tych, którzy nie są śmiertelni, którzy nie należą do naszego czasu?

- Co nie jest łatwe dla śmiertelników - zapytała cicho. -

Kim są ci, którzy nie są śmiertelni? Dlaczego śmiałeś się do rozpuku? Kim są ci, którzy należą do naszego czasu?

- Nie wiem... - odparł. Co się stało? Co się tu dzieje?

Potrząsnął głową, podniósł się raptownie i uderzył czołem w kij podtrzymujący namiot. Wcale nie było mu do śmiechu. Czuł przejmujący strach ścinający krew w żyłach. W głowie wciąż miał wizje, które powoli gasły, rozwiewały się, aż śmiech stał się wyłącznie słabym echem. Brezia zniknęła.

Bishop miał ochotę natychmiast opuścić Kornwalię.

Chciał uciec na najdalsze północne wyspy, na których mieszkają wikingowie. Ukryć się w niskiej kamiennej chacie, ogrzać się przy ogniu. Chciał się oddalić od



tajemnic, sekretów, magii i wszystkiego, czego nie jest w stanie uchwycić dłońmi. Chciał spoglądać na zmrożone fale rozbijające się o brzegi wyspy, czuć lodowatą wodę obmywającą nagie stopy... Natychmiast ukazała mu się wizja mnóstwa nagich stóp majtających tuż ziemią. Nie! Odepchnął wspomnienie od siebie. Przekleństwo! Chce czuć wodę na stopach! Chce tego, co rzeczywiste, prawdziwe.

- Wyglądasz bardzo dziwnie. Co ci się śniło?

- Nie wiem, ale to w ogóle nie było śmieszne -  
odpowiedział.

- Cóż, to chyba dobrze, czyż nie?

Poczucie humoru o tej porze? Pokręcił głową, wyczołgując się z namiotu. Powietrze było rześkie i chłodne. Spojrzał na wschodzące słońce unoszące się tuż nad horyzontem. Stojąc tak, zastanawiał się, po co właściwie jedzie do Tintagelu. Przyszło mu to do głowy nagle, lecz był już pewien, że właśnie tam zmierza.

Co tam znajdzie? Otrząsnął się i odetchnął głęboko.

Cokolwiek się dzieje, był przekonany, że prędzej czy później wszystko stanie się jasne.

Odwróciwszy się, ujrzał Merryn rozpalającą ognisko.

Stał bez ruchu, obserwując ją w skupieniu. Ruchy jej dłoni były przemyślane i precyzyjne, gdy układała niewielkie

gałązki i podtrzymywała wątlą ogień. Przysiadła na piętach, wsparła dłonie o uda i pokiwała z zadowoleniem głową, gdy płomienie zajęły większe gałęzie. Suknię miała wymiętą, pasemka włosów wysunęły się

z warkoczy. Płomiennorude loki muskały policzki Merryn i wiły się na jej karku. Nagle podniosła głowę i uśmiechnęła się słodkim uśmiechem przeznaczonym wyłącznie dla niego. Dostrzegł, że Merryn zrozumiała, iż jest dojrzałym mężczyzną, pojęła, do czego zmierzali poprzedniej nocy, gdy go głaskała i dotykała. Dostrzegł też, że podobają jej się te wspomnienia. Chciał się odezwać, ale jedyne słowa, jakie przychodziły mu do głowy, brzmiały: Czy mógłbym podciągnąć ci suknię i całować twe nagie ciało?

- Martwię się o ciebie, Bishopie - powiedziała Merryn.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Pamiętasz jeszcze swój sen?

Kucnął przy ogniu i wziął kawałek sera z rąk Merryn.

Oderwał pajdę chleba z bochenka, który Philippa zawinęła

w gęsto tkaną wełnianą tkaninę i oczyma wyobraźni zobaczył białą wełnianą suknię... suknię Breicii. Wizja szybko znikła.

- Gdy się obudziłem - powiedział, wpatrując się w ogień - widziałem siebie samego, tylko że tak naprawdę to nie byłem ja. I śmiałem się, bo nie mogłem uwierzyć w to, co mi się przydarzyło.

- Co masz na myśli?

- Wyobraź sobie, że stoisz pośrodku Wielkiej Sali wypełnionej ludźmi. Nagle z niewyjaśnionych przyczyn znika twoje ubranie. Wszyscy przestają rozmawiać i gapią się na ciebie. - Wzruszył ramionami. - Czy nie roześmiałabyś się wiedząc, że właściwie nic innego nie możesz zrobić?

Merryn spojrzała na niego ze zdumieniem.

Bishop wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No, dobrze, może mężczyzna by się roześmiał. Wy, kobiety, macie znacznie więcej interesujących części ciała do ukrycia.

- Uważam, że części twojego ciała są znacznie bardziej interesujące, niż to, co kryje się pod moją suknią. Ja jestem po prostu sobą, zaś ty...

- Tak?...

Westchnęła ciężko, przeżuwając kawałek sera.

- Części twojego ciała są z pewnością bardziej interesujące niż ciało biednego starego Crispina, którego widziałam nagusieńkiego. Czułam cię w nocy. I to, czego dotykałam, wydaje mi się bardzo interesujące.

Przez dłuższą chwilę nie mógł się odezwać. Starał się zapanować nad żądzą.

- Zbiłaś mnie z tropu - stwierdził wreszcie, patrząc w ogień. Bał się spojrzeć na Merryn, gdyż mógłby się zniecka na nią rzucić i pozbawić ją dziewictwa.

- Mówiłeś o staniu nago w Wielkiej Sali pełnej ludzi.

- Co byś zrobiła, Merryn? Zakłębys siarczyście na cały głos, mimo że to by ci w niczym nie pomogło?

Roześmiała się, kręcąc głową.

- Nie.

Nie

uciekałabym

również,

bo

wtedy

wyglądałabym jeszcze bardziej głupio.

- Racja. Tak właśnie zakończył się mój sen. Nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko się roześmiać.

Merryn podała mu flaszkę piwa. Było świeże i mocne.

Rozgrzało go od środka.

Merryn zrozumiała, że Bishop nie powie nic więcej na temat snu. Może już zapomniał. Spoglądała na jego silne, opalone dłonie i oczyma wyobraźni widziała, jak głaszczkami jej ramiona, długie nogi, delikatnie drapie po głowie.

Kto wie, co mężczyźni robią z dłońmi? Pomyślała o wargach Bishopa podążających tuż za dłońmi. Ojej...

Przełknęła ślinę i odchrząknęła.

- Dokąd jedziemy, Bishopie?

Wskazał dłonią na północ.

- Wiesz, co się tam znajduje?

- Nie, ale wiem, że muszę tam pojechać i zabrać cię ze sobą. Wiem też, że powinniśmy już ruszać... - Milczał przez chwilę. - To ma coś wspólnego z klątwą.

Pokręciła głową, wpatrując się w ogień.

- O co chodzi, Merryn?

Milczała.

- Nie rozumiem wielu rzeczy i dobrze o tym wiesz.

Myślisz, że mogłabyś mi zaufać? - Patrzył na nią przenikliwie, czekając na odpowiedź.

Merryn pogrzebała patykami w żarze, posyłając w górę snop iskier. Wreszcie, gdy był już gotów zakląć szpetnie, powiedziała:

- Tak. Ufam ci.

Z sykiem wypuścił z siebie powietrze. Poczł, jak

zalewa go fala ulgi... I jeszcze czegoś. Może wdzięczności

za to, że Merryn rusza u jego bok w nieznane?

- Za to ty mi nie ufasz, prawda?

Spojrzał na jej wargi i marzył, by poczuć ich dotyk na skórze. *Przestań! Przestań natychmiast!* Popatrzył jej w oczy i aż się zachłysnął, widząc w nich ogromny ból.

- Zaufałbym ci, gdybyś wreszcie powiedziała mi co przede mną ukrywasz.

Merryn nie tylko mu ufała. W ciągu zaledwie dwóch dni zaczęła go uwielbiać - jego humor, wściekłość, uśmiech. Zaczęła patrzeć na niego, jak nie patrzyła nigdy dotąd na żadnego mężczyznę. Hm... To znacznie więcej niż zaufanie.

- Wydaje mi się, że babka otruła sir Arlana de Frome, mojego pierwszego męża - powiedziała bez wahania. - Nigdy tego nikomu nie mówiłam, a zwłaszcza tobie, bo nie chcę, byś ją ukarał. Nie chcę, byś powiesił ją za zamordowanie tego człowieka, a wiem, że król oczekiwałby tego od ciebie.

Jednak nie klątwa? Nie, nie mógł w to uwierzyć.

Byłoby to wbrew wszystkim jego odczuciom.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Następnego ranka słyszałam, jak się śmiała z dziadkiem i mówiła, że nie chciała dać resztek z talerza

śir Arłana świniom, bo mogłyby pozdychać.

- To wszystko?

- Tak. Ale to chyba wystarczy?

- A pozostali mężowie?

- Nie wiem. Každy zgiął inną śmiercią. I babka nigdy się do nich nie zbliżała. Niektórzy umierali szybciej, inni później. Babka nauczyła się zielarstwa od swojej matki, Meridian, która znała każdą trującą roślinę rosnącą na świecie.

- Nie masz jednak żadnego dowodu na to, że otruła śir Arłana?

Merryn pokręciła głową. Bishop delikatnie pogłaskał opuszkami palców jej nos, wygładził brwi, dotknął ust.

- Dziękuję, Merryn. Ufam ci.

- Śniłeś o kobiecie, Bishopie?

- Tak - odparł bez zastanowienia. Zmarszczył brwi. -

Ale nie do końca. To bardzo dziwne, Merryn.

- Dzieje się z tobą coś niezrozumiałego, prawda?

No proszę. Powiedziała to na głos.

- Masz rację. Ale nie mam pojęcia, co to wszystko ma znaczyć.

- Powiesz mi, kiedy będziesz już wiedział. - Miała ochotę podskoczyć, zatańczyć dokoła, a może nawet zaśpiewać krótką piosenkę. Bishop jej ufa! I potrzebuje

jej! Tylko dlaczego? – Klątwa - powiedziała cicho. -

Zawsze wracamy do punktu wyjścia. Wszystkie te dziwne wydarzenia, ta wyprawa w nieznane... Może babka jednak nie otruła sir Arlana.

- Przestań się tym zamartwiać. Odkryjemy prawdę.

Kiwnęła głową. Nie wiedziała już, w co ma wierzyć.

Była pewna tylko jednego - w ogóle się nie bała. Ani Bishopa, ani tego, co ich spotka. Wiedziała, że rycerz ją ochroni.

- Merryn, czy to twoi dziadkowie rzucili klątwę na Penwyth?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. - Po chwili dodała:

-  
Oczywiście,

słyszałam

plotki

na

ten

temat.

Zastanawiałam się nad tym, gdyż druga część klątwy mówi jakby dokładnie o mnie. Czerwone włosy, zielone oczy... Ale niczego nie wiem na pewno.

Pokiwał głową, podał jej rękę i pomógł wstać. Chciał ją pocałować, przytulić mocno do siebie, ale zdołał się



powstrzymać. To nie był odpowiedni moment. Coś go  
ciągnęło na północ. Ruszyli więc skrajem plaży,  
rozkoszując się pięknym powiem. Morze było tego dnia  
wyjątkowo urocze, fale lśniły w promieniach słonecznych.

Na twarzach osiadała delikatna słona mgiełka. Po  
południu znad wody zaczęła podnosić się gęsta mgła i  
otoczyła ich jak mleczny opar. Bishop skierował  
Nieustraszonego nieco dalej od klifów.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy Bishop  
powiedział:

- Jeśli klątwa rzeczywiście istnieje i się jej nie  
pozbędziemy, to naprawdę umrzesz samotna i smutna, jak  
śpiewał Krętacz. Żaden mężczyzna nie zaryzykuje  
małżeństwa z tobą.

- Wiem. Ale jest pewne rozwiązanie. Powinieneś  
poprosić króla, żeby mianował mnie dziedziczką dziadka,  
Bishopie. Mogę obronić zachodni kraniec Anglii przed  
każdym najeźdźcą. Naprawdę, Ojciec i dziadek od dziecka  
uczuli mnie strategii, władania łukiem i sztyletem. To  
prawda, że nie nadaję się do miecza i tarczy, bo są dla  
mnie zbyt ciężkie. Poza tym jestem sprytna. Bardzo  
sprytna. Jeśli Francuzi zapragnęliby zaatakować mój  
kawałek wybrzeża, potopiłabym ich jak kocięta.

- Jestem silny, Merry, potrafię władać mieczem

i tarczą, a jednak zawsze mam przy sobie jedenastu moich ludzi.

- Teraz nie.

- To prawda i ryzykuję nie tylko własnym życiem, ale także twoim. Kto będzie zasiliał twoją armię, Merryn? Kto będzie bronił ciebie i Penwyth? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ci starcy?

Milczała.

- Żołnierz musi napiąć cięciwę łuku i utrzymać ją nieruchomo. Musi walczyć konno. Musi z daleka dostrzec nadchodzących wrogów, a ze skrytobójcami czasem walczyć gołymi rękami. Musi umieć cisnąć toporem, a jak dobrze wiesz, są dość ciężkie. Twoi starcy umrą pewnego dnia, Merryn, i kto ci wtedy zostanie?

- Odkąd się urodziłam, żaden nie umarł.

- Masz zaledwie osiemnaście lat.

- Żaden z nich nie umarł także od początku życia mojego ojca.

Zapadła długa cisza.

- Załóżmy, że odeprzesz wszelkich wrogów od swojego zamku i wybrzeży Anglii. Komu jednak oddasz władzę, gdy będziesz umierać? Co się wtedy stanie z Penwyth?

Merryn trwała w milczeniu. Po chwili wyszeptała:

- Czy powinnam się roześmiać, skoro nic innego mi nie

pozostało?

Rozdz

d ia

i 117

Jakaś siła pchała go wciąż naprzód, na północny zachód, zaś najkrótsza droga wiodła wybrzeżem. Równie niewytłumaczalna siła nie pozwalała mu myśleć o odebraniu wianka Merryn.

Minęli wsie i kilka niedużych grodów o niezbyt wielkim znaczeniu. Bishop zastanawiał się właśnie, gdzie się podzieli wszyscy rabusie i bandyci, którzy bez wahania odebraliby mu życie, wtem Merryn pokazała palcem na chmurę pyłu na horyzoncie.

- Stado koni - powiedział Bishop.

Nie mógł sobie pozwolić na walkę, nie mógł pozwolić na to, by ktoś go zabił, gdyż Merryn, z dala od domu, byłaby zupełnie bezbronna. Wprowadził Nieustraszonego do niewielkiego zagajnika, zeskoczył z siodła i stanął tuż przy głowie konia, trzymając go za chrapy, by nie zdradził ich rzeniem. Zaczekali w ciszy, aż chmura pyłu zniknie na wschodzie.

Później jechali aż do wieczora, zatrzymując się tylko raz, by Nieustraszony mógł odpocząć. Zbliżali się do

siebie coraz bardziej. Bishop czuł to w głębi serca.

- Rozpoznasz to miejsce, gdy już do niego dotrzemy?

- Rozpoznam - odparł, uśmiechając się ponad jej głową.

- Jak?

- Po prostu będę wiedział. - *To samo powiedziałby*

*książę*. Bishop niemal spadł z konia. Co się z nim dzieje?

Zaczął się obawiać, że niedługo znajdzie odpowiedzi na

wszystkie pytania.

Przytulił mocniej Merryn.

Zaczynało się ściemniać.

- Niedaleko stąd jest jaskinia nad brzegiem morza.

- Skąd wiesz?

- Wiem. Nie wiem skąd. Wiem też, że niedługo będzie

padać. W jaskini będziemy bezpieczni.

- Jeszcze parę chwil temu nie wiedziałeś, dokąd

jedziemy, prawda?

Pokręcił głową.

- Czy twoja babka miała rude włosy?

- Przecież ją widziałeś. Nawet gdy byłam małym

dzieckiem, jej włosy były białe. Jednak czy wcześniej,

były rude? Nie mam pojęcia.

- A matka twojej matki? Czy była ruda?

- Matka mojej matki... Nigdy jej nie znałam, ale

pamiętam, jak dziadek mówił, że Konstancja niedawno

odeszła i że prawdopodobnie porwali ją czarci. Potem

spojrzał na mnie z ukosa, jakby się zastanawiał, czy

i mnie porwą. Nie rozumiałam, o co mu chodzi.

- A twoja matka?

- Włosy mej matki były czarniejsze niż serce

grzesznika. Ojciec uwielbiał jej to powtarzać, potem zaś

przytaczał ją do ściany i całował. - Przez chwilę milczała,

po czym obróciła się w siodle i spojrzała mu w oczy -

Właśnie sobie przypominałam. Gdy byłam małą

dziewczynką, matka mówiła mi, że wyglądam dokładnie

jak babcia. Że jej włosy były czerwone jak płomień.

Bishop nie mógł w to uwierzyć. Nie chciał uwierzyć.

To zwykły zbieg okoliczności. Zapytał obojętnym tonem:

- Czy zdawało się, że w jej włosach pełgają płonie?

- Dziwne słowa, ale wiesz, pamiętam, jak mama

mówiła, że babcia lubiła nosić włosy rozpuszczone,

zwłaszcza gdy wiał silny wiatr, bo wyglądały wtedy jak

ogień płonący wokół jej głowy. Nie pamiętam nic więcej,

Bishopie. Matka umarła, gdy miałam zaledwie sześć lat.

Nie zdążyła mi powiedzieć wielu rzeczy.

- Przykro mi.

- A moje włosy wcale nie są tak bardzo czerwone.

- Są rude. - Rude jak włosy Breicii.

Spojrzał na uśmiechniętą twarz Merryn i okalającą ją

płomienne kosmyki. *To Merryn, pomyślał, jest po prostu sobą i nikim więcej. To naprawdę wspaniałe.*

Jechali plażą wokół przylądka Tintagel należącego do księstwa Kornwalii. Droga okazała się zdradliwa. Czarne skały wystawały spod nadmorskiego piachu jak olbrzymie pięści. Spieniona woda była czarna od wodorostów. Na ciemniejszym niebie głośno krzyczały mewy. Bishop zatrzymał Nieustraszonego.

- Popatrz, tam jest celtycka kaplica.

Merryn zerknęła na ruiny stojące na samym końcu cypla.

- Musi być bardzo stara - powiedziała. - Wygląda na miejsce nawiedzane przez duchy.

- Wcale nie jest tak stara, na jaką wygląda - stwierdził Bishop, zastanawiając się, skąd to wie.

- Byłeś tu już wcześniej, nieprawdaż?

- Chyba tak - zgodził się Bishop. Zeskoczył z siodła i zdjął Merryn na ziemię.

- Czy to magiczne miejsce?

Roześmiał się.

- Z pewnością nie. Jednak jest ważne. Muszę się tylko dowiedzieć dlaczego.

Nieustraszony spokojnie wszedł za Bishopem do jaskini przez wysoką wąską szczelinę osłoniętą poskręcanyimi gałęziami starego dębu.

- Nie będziemy zapuszczać się zbyt daleko w głąb -  
rzucił przez ramię do Merryn.

Nieustraszony parsknął. Bishop pogłaskał go po szyi.

- Spokojnie - powiedział. - Zostaniesz tutaj.

Podał Merryn sakwę z jedzeniem.

Gdy rozejrzała się po jaskini, ku swemu zdumieniu  
dostrzegła pod ścianą stos porąbanego drewna. Co jeszcze  
bardziej zaskakujące, Bishop przyjął to zupełnie  
naturalnie.

Gdy po chwili zapadła noc, ognisko stało się jedynym  
źródłem światła. Jaskinia była sucha. Sięgając po drewno,  
Merryn oparła się o kamienną ścianę i zdumiała się,  
czując, że skała jest ciepła w dotyku. Bardzo dziwne.

- Wiesz, Bishopie, cała ta jaskinia jest dziwna. Dotknij  
tylko tych ścian. Zupełnie, jakby nas zapraszała do środka.  
Ale to przecież niemożliwe prawda?

Miała rację.

Bishop tylko pokręcił głową i się przeciągnął. Dotknął  
podłóża jaskini, czując pod palcami miękki piasek bez  
kamyków i kawałków drewna. Powietrze było suche  
i czyste. Nieustraszony wszedł i od razu zabrał się do  
jedzenia owsa z worka. Co chwilę jednak patrzył w głąb  
jaskini, usiłując przebić wzrokiem ciemności, czujny  
i uważny, jakby ktoś go wołał.

Bishop i Merryn usiedli na zwiniętym namiocie.

- Możesz mi zdradzić, po co tu przybyliśmy?

- Mówiłem ci, że twoje włosy są bardziej rude niż były rano?

- Nie, nie mówiłeś. - Merryn dotknęła włosów. – To przecież niemożliwe.

Bishop nie odpowiedział. Oparł się o ścianę, układając głowę na ramionach, i zapatrzył się na sklepienie jaskini.

- To prawda - rzekł po chwili. Lecz nawet w półmroku dostrzegął płomienie tańczące wokół głowy. *Ogarnia mnie szaleństwo, pomyślał. Nic nie mogę na to poradzić.*

Ogień dogasał, lecz wciąż było bardzo ciepło. Powietrze w jaskini było przyjemne, balsamiczne. Bishop spojrzął na przeciwległą ścianę i drżące cienie rzucane przez płomienie ogniska. Po chwili jeden z nich zaczął gęstnieć i rosnąć. Merryn nie zauważyła dziwnego zjawiska.

Rysowała patykiem piasku zarys zamku Penwyth. Nie zauważała niczego. Ale Nieustraszony widział wyraźnie ciemny cień. Kiwał głową w jego stronę.

Bishop nie mógł oderwać od niego wzroku. Cień skręcał się, ciemniał tu, jaśniał ówdzie, aż wreszcie stał się mężczyzną. Mężczyzna, pomyślał Bishop. Przecież to nie cień, tylko prawdziwy mężczyzna. Nagle postać zachwiała się, zadrżała i znów rozwiała się w cień kłębiący się na



ścianie.

To tylko cień! Bishop nie powiedział nic Merryn. Nie chciał, żeby się przestraszyła.

Po chwili zdał sobie sprawę, że rozpoznaje męczyznę czającego się wśród cieni. Poczł, jak serce zaczyna mu łomotać, choć wcale się nie bał. W duchu gorąco pragnął, by cień do niego podszedł. W myślach wzywał go i nęcił.

Wreszcie ciemny zarys poruszył się i zaczął ku niemu płynąć. Otoczył go szczelnym kokonem. Bishop poczuł, jak słodko pachnące powietrze jaskini wypełnia jego ciało, jak zaczynają świerzbic go czubki palców.

Z oddali usłyszał głos Merryn. Krzyczała do niego, lecz nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi ani kim jest. Powoli wstał, czując, jak cień go oplata,  
- Róźdzka. Gdzie moja róźdzka?

Nagle poczuł ją w dłoni. Spojrzał na nią. Była piękna, misternie rzeźbiona, a mimo to surowa w formie i elegancka. Pasowała do jego dłoni, zupełnie jakby była częścią jego ciała. Pulsowali światłem i mocą; czuł, jak magiczna moc zaczyna go wypełniać i uśmiechnął się, patrząc na potężne płomienie płonące z hukiem, o wiele większe niż ognisko wcześniej rozpalone przez Merryn. Poszedł kilka kroków w głąb jaskini. Powietrze było tu przesycone zapachem kadzidła, ciężkim i uderzającym do

głowy. Nie, jednak to nie kadzidło. To woń prastarego dębowego lasu. Skąd dochodzi?

Nie wiedział i właściwie mało go to obchodziło. Szedł po prostu przed siebie. Jaskinia wydawał się nie mieć końca, choć był świadomy, że tak nie jest. Wiedział jednak, dokąd zmierza. Pewnym krokiem szedł pod wysokim sklepieniem. Ściany oddalały się od niego coraz bardziej i ginęły w mroku. Różdżka leżała w dłoni tak naturalnie jakby trzymał ją od zawsze.

Krzyknął do Merryn:

- Zostań tam! Nic mi nie jest!

Usłyszał jej głos, lecz z nazbyt daleka, by zrozumieć, co mówi.

Usłyszał niski, buczący dźwięk, jakby leciał ku niemu rój os. Dźwięk narastał, stawał się coraz głośniejszy, aż Bishop zakrył uszy dłońmi. Buczenie ustało.

Opuścił dłonie i dostrzegł, że nie ma różdżki. Nie! Musi mieć różdżkę. Gdzie ona jest? Rozejrzał się po podłodze jaskini, lecz nie mógł jej znaleźć.

Spostrzegł niewielki okrąg ułożony z kamieni otaczający dziurę w podłodze. Kamienny okrąg podobny do miejsc zgromadzeń na równinach Brytanii. Wiedział, do czego służą menhiry. Ukłękł przy kamiennym kręgu i zajrzał w głąb dziury. Nie widział niczego poza

ciemnością. Nie miał pojęcia, głęboki jest ten otwór.

Pochylił się i włożył do środka rękę, jednak czuł tylko powietrze.

- Gdzie jesteś? - krzyknął w głąb dziury. - Przybywaj!

Nic, tylko ciemność.

- Czekam na ciebie! - zawołał, tym razem głośniej. -

Przybywaj!

Na dnie ciemności rozjarzyło się światełko, chybotając się i chwiejąc jak płomień świecy na wietrze. Z chwili na chwilę stawało się coraz jaśniejsze. Bishop nie poruszył się. Jak urzeczony wpatrywał się w światło, a gdy znalazło się niemal przed jego nosem, odskoczył nagle, jakby ukąsiła go osa z roju, który słyszał parę chwil wcześniej.

Ale to nie była osa ani nagły skurcz...

Ktoś z całej siły uderzył go w twarz.

Odchylił się szybko, lecz nie zdołał uniknąć drugiego ciosu.

Dostał w twarz z drugiej strony. Aż echo poniosło.

Rozdz

d ia

i ł 18

Zam

a ek

k Pe

P n

e w

n yth

t

Obecn

c i

n e

Zanurzony w kadzi lord Vellan odezwał się do Crispina:

- Co masz na myśli? Jak to, kolejna banda najeźdźców stoi u bram? Jeszcze jeden idiota chce poślubić Merryn?

Przecież sam król przysłał do nas sir Bishopa z Lythe.

- Wygląda na to, że on o tym nie wie, mój panie. Ma ze sobą ze dwudziestu ludzi i żąda wpuszczenia go do grodu.

Chce się żenić z Merryn.

- To mu się nie uda - stwierdziła lady Madelyn.

Szorowała gąbką plecy męża, rozmyślając o tym, że strasznie jest już chudy i przygarbiony. Nawet przez gąbkę wyczuwała sterczące kości. Z drugiej strony, nie było to dla niej wielkie zaskoczenie, gdyż wyczuwała jego kości pod gąbką od tylu lat, że nie potrafiła ich zliczyć.

Lord Vellan przeczesał palcami mokre siwe włosy, wciąż długie i gęste.

- Na wszystkie strzały, które przeszły świętego

Sebastiana, to jakieś szaleństwo! Zaraz zejdem do tego

wariata.

Dziesięć minut później lord Vellan wspinał się po drabinie, uważnie patrząc na Crispina. Był gotów go chwycić, gdyby stary strażnik stracił równowagę.

Obydwaj dyszeli ciężko, gdy wreszcie dotarli na blanki.

Lord Vellan spojrział na łysego rycerza, który właśnie zdjął z głowy hełm i zadarłszy głowę, wpatrywał się w pana zamku. Starzec potrafił dostrzec, gdy ktoś jest zdeterminowany. Ten rycerz wyraźnie był. Był też młody i jak wszyscy młodzieńcy uważał się za niepokonanego.

- To nie wygląda dobrze - powiedział Vellan do

Crispina, a potem krzyknął: - Kim jesteś i czego chcesz?

Młodzieniec uśmiechnął się szeroko, ukazując rząd śnieżnobiałych zębów. Lord Vellan dawno nie widział tak imponującego uśmiechu ani w lustrze, ani wśród własnych starych rycerzy.

- Przybyłem, by zdobyć Penwyth, starcze. Przybyłem, by poślubić dziedziczkę tego zamku.

- Jeśli siłą weźmiesz mój zamek, zginiesz.

Młodzian roześmiał się tubalnie. Zgromadzeni za nim wojownicy przez chwilę rozglądali się niepewnie, po czym powoli zaczęli się śmiać razem z nim. Ależ to żalosne, pomyślał lord Vellan. Na pierwszy rzut oka widać, że nawet w połowie nie są tak przekonani

o niezniszczalności swojego pana jak on sam. Młodzian pomachał ręką w czarnej rękawicy sięgającej mu do łokcia. Tunikę również miał czarną, podobnie jak resztę odzieży. Cóż bufon!

- Patrzcie tylko - wykrzyknął młodzieniec. - Wszystko jest tak, jak mi opowiadano. Spójrzcie na tych zgrzybiałych staruchów w kolczugach i hełmach skrywających siwe włosy. Nie byliby w stanie walczyć nawet z niewiastami. Słyszałem też o czterech mężach, którzy zginęli zaraz po tym, jak poślubili twoją cenną wnuczkę.

- Zgadza się, wszyscy zginęli. Czy w swoim szaleństwie zamierzasz zostać piątym mężem?

- Ja nie zginę. Zabiliście ich za pomocą trucizny. To jasne dla wszystkich, mimo fantastyczny opowieści, jakie snują żołnierze tamtych mężów. O, tak, słyszałem niektóre z tych bajek. Mówili o wiedźmach krążących nad ich głowami i ciskających im w oczy kłębami czarnego dymu, o dziwnych ubranych na biało kapłanach chwytających rycerzy za gardła i duszących na śmierć. Słyszałem nawet, że sam diabeł przybywał z głębin piekielnych, by dosięgnąć tych, którzy podnieśli rękę na Penwyth. Te bajki mogą przerazić chłopców, ale nie wywrą wrażenia na mężczyźnie. Wiem, że musiała tu

działać trucizna, nie mogło to być nic innego. Ale nie zamierzam nawet tknąć jedzenia, które podacie na weselnej uczcie. Przyrowadź wnuczkę. Chcę ją zobaczyć.

- Czwarty mąż nie jadł u nas niczego - powiedział lord Vellan. - Mimo to umarł. Po prostu przewrócił się i już nie wstał.

- To tylko kłamstwo, nie wierzę ci.

- Moja wnuczka poślubi sir Bishopa z Lyth przysłanego tu przez samego króla.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

- W to kłamstwo również nie wierzę. Pozwólcie nam wjechać do grodu, zanim zrównamy z ziemi te mury i zabijemy wszystkich staruchów, którzy ich bronią.

Sądysz, że byliby w stanie zrobić cokolwiek prócz ciskania na nas klątw?

Pewnie nie, pomyślał lord Vellan.

- Kim jesteś i skąd pochodzisz? - zapytał jeszcze

- Jestem Fioral z Grandere Glen.

- Nigdy o tobie nie słyszałem. Gdzie jest Grandere Glen?

- Leży w pobliżu wielkiego Loch Ness w Szkocji.

Jestem drugim synem i muszę sam zadbać o siebie.

Wpuść nas, starcze, inaczej zabiję każdego, kto kryje się

w obrębie murów grodu.

Lord Vellan zaczynał tracić nadzieję. Krzyknął jeszcze:

- Sir Bishop z Lythe zabrał moją wnuczkę do... - Na

Boga, dokąd on mógł ją zabrać? - do hrabiego St. Erth.

Nie możesz jej poślubić, gdyż nie ma jej w zamku.

Fioral zaklął szpetnie. Starzec na pewno kłamie. Kim, do diabła, jest Bishop z Lythe? Przyjacielem Dienwalda de Fortenberry, zięcia królewskiego? Podobno jest z niego prawdziwy rozpustnik, lecz król zbywa wszelkie plotki na temat zięcia machnięciem ręki. Jeśli sir Bishop z Lythe zabrał ją do St. Erth, nigdy nie uda mu się jej zdobyć.

Jednak gdy sir Bishop wróci do Penwyth, a przecież kiedyś wrócić musi, Fioral najzwyczajniej go zabije i ożeni się z dziedziczką. Będzie szóstym mężem. Szóstka zawsze przynosiła mu szczęście. Uśmiechnął się. Bez wątpienia mieszkający na zamku ksiądz zna ceremonię ślubną już na pamięć. Roześmiał się cicho z własnego konceptu. Wszystko układa się po jego myśli. Przez chwilę rozmawiał ze swoimi ludźmi. Popatrzyli po sobie, kiwając głowami.

Dolan, dowódca zbrojnych, zbliżył się do Fiorala

i powiedział półgłosem:

- Moglibyśmy zrobić zasadzkę przy drodze z St. Erth, zabić tego Bishopa i sprowadzić tu cenną wnuczkę.



Fioral myślał o tym przez chwilę, wreszcie pokręcił głową.

- Nie, powinniśmy wystąpić z pozycji siły. Gdy Bishop wróci tu z dziewczyną, będę sobie siedział w fotelu lorda Vellana i głośno się śmiał. Potem go zabiję, a niebawem zostanę piątym mężem.

- Raczej szóstym - stwierdził Dolan. - Jeśli klątwa nie wtrąci sir Bishopa do grobu.

- Albo szóstym - zgodził się Fioral - jeśli wywiózł ją stąd, poślubił i uszedł z życiem. - Znow zdjęł z głowy hełm, który uciskał go w tył głowy. - Sądzę, że starzec jednak mówi prawdę. Gdybym ja był na miejscu Bishopa z Lythe, także wywiózłbym ją do St. Erth.

- Skoro tak zrobił - wtrącił z zadumą Dolan - to oznacza, iż wierzy w klątwę i chciał zabrać stąd pannę, by uciec od niechybnej śmierci.

- Głupiec. Przecież to trucizna. Zwykła trucizna. Nie czają się tu duchy żadnych kapłanów ani wiedźmy z Byrne nie przyglądają nam się z ukrycia.

Dolan w głębi duszy gorąco się modlił, by jego pan miał rację.

- Wjeżdżamy do Penwyth - krzyknął Fioral do lorda Vellana. - Opuśćcie most albo zabijemy was wszystkich. Mężczyzn, kobiety i dzieci. Nikogo nie oszczędzę. Jeśli

nas wpuściecie, nie stanie się wam żadna krzywda.

- Nie dotyczy to trzody – uśmiechnął się pod nosem

Dolan. - Musimy przecież coś jeść.

- Ciekawe, czy druidzka klątwa podąża za dziedziczką

Penwyth?

Dolan pokręcił głową.

- Trudno w to uwierzyć.

Fioral roześmiał się, gdy ciężki zwodzony most zaczął się z chrzęstem opuszczać nad fosę. Rycerz zauważył, że woda w niej ma niecały metr głębokości. Nie wyglądała na stojącą i pozieleniałą od gnijącej roślinności.

Wydawała się zupełnie świeża.

Słyszał

pogłoski

o

suszy

nękającej

Penwyth

i rzeczywiście drzewa i pola uprawne, które mijali, wyglądały na nieco przeschnięte, lecz powietrze było rześkie, a w fosie widział wodę. Nie, susza to bajka, podobnie jak wieści o druidzkiej klątwie. Zastanawiał się, czy nie powinien zabić jednego ze starych wojowników lorda Vellana, by pokazać, że nie żartuje, i że teraz gród

należy do niego wraz ze wszystkimi ludźmi, zwierzętami i siwobrodymi żołnierzami. Miał szczerą nadzieję, że umysły starców nie zatrzymały się w czasach szalonego króla Jana.

Uśmiechał się wciąż, kierując bojowego ogiera na drewniany most. Może powinien zabić samego lorda Vellana? Wtedy jego ludzie mieliby już pewność, że nie powali ich żadna trucizna.

\* \* \*

Jas

a ki

k nia

a T

int

n ag

a e

g l

e

Bishop chciał chwycić dłoń, która go uderzyła, lecz trafił tylko na powietrze.

Uderzenie w twarz wytrąciło go z równowagi; upadł bezwładnie na ziemię. Po chwili usiadł, zły i bezbrzeżnie zdumiony.

Podczołgał się z powrotem, przechylił przez krawędź

otworu i wyciągnął rękę w głąb. Dziura przecież nie może być aż tak głęboka.

- Wyłaź wreszcie, do diabła!

Usłyszał śmiech dobiegający z oddali i cichnący powoli, jakby ktoś oddalał się od niego. To oznacza, że musi tu być jakaś drabina lub schody. Powoli okrążył dziurę, macając dłonią jej krawędź w poszukiwaniu drabiny czy sznura. Na chwilę zastygł, wsłuchał się w odgłosy jaskini. Nie słyszał ani nie czuł niczego. Nawet powietrze stało nieruchomo.

Nagle usłyszał czyjś oddech tuż przy prawym uchu.

Obrócił się gwałtownie, lecz nikogo nie dostrzegł. Po chwili zrozumiał, że ów ktoś wychylił się ku niemu z czarnej głębi. Spojrzał w mroczną czeluść. Nie chciał tego, lecz spojrział. Nawet pochylił się nad nią.

Nie był wcale zdziwiony, gdy dwie silne dłonie chwyciły go za ramiona i wciągnęły w otwór. Był przerażony. Dłonie zaraz puściły go, a Bishop spadał, spadał i spadał.

Nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku.

\* \* \*

W i m n

n y

n m c z

c a

z s

a ie

Książę zbudził się i powoli przeciągnął. Natychmiast poczuł, że nie jest sam. Ktoś unosił się nad nim, przepływał przez niego, choć książę wciąż pozostawał sobą. Czuł głód owej istoty i ból kości po długim śnie na poszyciu dębowego gaju.

Książę Balanthu potrząsnął głową i odegnał od siebie szalone wrażenia. Wiedział, że wciąż jest w dębowym lesie i że jest sam. Znowu sam.

- Brecio! - krzyknął z rozpaczą. - Przybądź do mnie, przekłeta wiedźmo! Ukaż się!

Powietrze poruszyło się, zamigotało i po chwili Brecia stała przed nim z rękami założonymi na piersiach. Była wściekła.

- Brecio - powiedział miękko książę, wyciągając do niej rękę.

Spojrzała na jego opaloną, silną dłoń.

- Podajesz mi rękę, książę? Myślisz, że jestem na tyle głupia, by cię dotknąć? Przecież z łatwością mógłbyś mnie zmienić w ropuchę. Gdzie twoja różdżka?

- Ciebie w ropuchę? Byłabyś niezwykle groźną gadziną. Zebrałabyś wokół siebie wszystkie ropuchy, obaliła ich

rząd i mianowała się ropuszą królową. Moja różdżka? To dobre pytanie. Nie mam pojęcia, gdzie jest. Mam wrażenie, że mnie opuściła, czy to nie dziwne? Nie pamiętam. Nie wiem też, dlaczego spałem tu, w dębowym gaju. Dzieje coś dziwnego, czego zupełnie nie rozumiem, rzuciłaś na mnie czar, Brecio?

Wciąż nie wzięła go za rękę, więc opuścił dłoń.

- Coś się w tobie zmieniło, księżę - rzekła cicho Brecia.

- Może nawiedzili cię bogowie i nakazali odrzucić arogancję i przemoc?

O dziwo, księżę nie wybuchnął śmiechem.

- Och, raczej nie. Nie wydaje mi się. Rzeczywiście uważasz, że jestem zbyt arogancki? Zbyt władczy?

Dzieje się coś dziwnego, księżę ma rację. Pokiwała głową.

- Niejednokrotnie widziałam cię w takim stanie.

- Dlaczego tu spałem, Brecio? W środku twojego lasu, z dala od twierdzy?

- Była noc. To dobrze, że spałeś.

-Ale tutaj? - Rozejrzał się dokoła. - Sam, w lesie?

Zupełnie bezbronny?

- A przed czym miałbyś się bronić? Ach, rozumiem.

Twoja różdżka zniknęła.

- Sam nie wiem - odrzekł księżę. - Byłem w twojej

wieży, związałem cię, lecz nawet bez różdżki zdołałaś zniknąć. Dokąd się udałaś, Brecio?

- Byłam całkiem niedaleko, tuż obok ciebie, skoro musisz to wiedzieć. Chciałam odzyskać moją różdżkę. Słyszałam twój śmiech.

Dlaczego powiedziała mu prawdę? Nigdy wcześniej się na to nie zdobyła. Ten książę, którego rozpaczliwie pragnęła zaledwie trzy lata temu, był zbyt niebezpieczny, zbyt potężny.

- Sądzę, że po prostu postanowiłaś odejść z mojego lasu, ale zmęczyłaś się i ułożyłaś do snu.

Zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie? - spytała drwiąco. - Jesteś tak arogancki, tak wywyższasz się ponad śmiertelników i wszelkie inne istoty, że wierzyłbyś, iż żadne dzikie zwierzę nie odważy się do ciebie podejść. Twój wrogowie są dla ciebie niczym. Wystarczyłoby, żebyś gwizdnął, a ziemia pod ich stopami zamieniłaby się w bagno.

Uśmiechnął się zagadkowo.

- Naprawdę sądzisz, że jestem aż tak dobry?

- Nie igraj ze mną, książę. Nie jestem jedną z twoich kobiet gotowych paść ci do stóp i wielbić twoje umiejętności.

- Oczyma duszy widzę cię klęczącą przede mną -

powiedział księżę. - Widzę, jak wsuwam palce w twoje włosy.

Widział też, jak Brezia unosi się na kolanach i dotyka go, a potem bierze do ust. Niemal eksplodował. Na wszystkich pradawnych bogów żywiących się ludzkim mięsem! Gdyby w ostatniej chwili nie odzyskał nad sobą kontroli, rozlałby nasienie na jej oczy. Skupił wzrok na jej ślicznej twarzy. Nie chciał patrzeć na nic innego. Pragnął jej od tak dawna, że wydawało mu się, iż trwa to od zawsze. Miała dzikie rude włosy spływające kaskadą w dół pleców, przewiązane białymi wstążkami. Zdawało mu się, że w jej włosach pełgają płomienie. Uśmiechnął się.

- Chciałabyś?

- Czy co bym chciała?

- Paść przede mną na kolana i wielbić moje umiejętności? Może chciałabyś też obiecać mi wieczne oddanie? A także robić inne rzeczy?

- Dorównuję ci mocą, księżę. Robię tylko to, na co mam ochotę. Jednak ty nie chcesz się z tym pogodzić, nieprawdaż? Musiałabym stać się twoją niewolnicą i bić przed tobą pokłony. Musiałbyś wciąż trzymać stopę na moim karku.

- Dorównujesz mi mocą? Cóż, uciekłaś z ołtarza, który



dla ciebie stworzyłem. Taki piękny kamienny blok!

Wyglądałaś na nim niewiarygodnie pięknie. Miałem ochotę zdjąć z ciebie ubranie, rozciągnąć cię na ołtarzu i położyć się na tobie...

Brecia zamrugła gwałtownie.

- Ty arogancki pomioście szalonej wiedźmy! Wydaje ci się, że mogłabym kiedykolwiek z własnej woli ci się oddać?

- O, tak - zamruczał. - O, tak. Wiesz, że jesteśmy sobie przeznaczeni, Brecio. Dlaczego wciąż ze mną walczysz?

Nie chcę, byś była moją niewolnicą. Wolałbym, by na moim karku spoczęła twoja stopa. Masz śliczne stopy, nie takie jak dyndające blade stopy duchów o zdecydowanie zbyt długich palcach.

Książę nie zachowywał się jak zwykle. Był inny. Miała chęć parsknąć śmiechem, słysząc te idiotyzmy, lecz się powstrzymała. Pewnie urządza sobie jakieś gierki.

Ponieważ wciąż nie ma swojej różdżki, ta rozmowa może się źle skończyć. Z drugiej strony, książę także nie ma swojej. Czy rzeczywiście dorównuje mu mocą? Nie wiedziała.

- Nie lubię cię, książę - wycedziła Brecia. - Życzę sobie, byś opuścił mój las. Nie wiem, jak zdołałeś mnie odnaleźć, ale to nie ma znaczenia. Odejdź. Nie chcę cię

więcej widzieć.

Roześmiał się, wyciągając do niej rękę.

- Nigdy się tobą nie znudzę! Nigdy. Chodź do mnie,

Brecio. Jesteśmy tylko we dwoje. Kobieta i mężczyzna.

Zapomnijmy o naszej mocy, o zaklęciach, o wiedzy, czym

jest ten świat, a czym nie jest. Chodź ze mną.

Zmienił się, pomyślała znów Brecia. Wpatrywała się

w jego dłoń, nie wiedząc zupełnie, co ma robić. Wierzyła,

że jest najpiękniejszym mężczyzną na całej ziemi, lecz

prócz tego zdawała sobie sprawę, że jest także

czarodziejem. Chciał posiadać ją w całości, chciał prócz

tego mieć i żonę. Chciał, by powiła mu syna,

najpotężniejszego czarodzieja, jakiego znał świat. Jeśli

uzna to za konieczne, zniszczy ją, jej święty gaj

i wszystkich wyznawców, byle tylko zaciągnąć ją do

łóżka.

A jednak wydaje się inny. To ją wytrąciło z równowagi.

Gdy znalazła go śpiącego głęboko i chrapiącego donośnie,

jakby znajdował się wciąż w bezpiecznym łonie matki,

wpatrywała się w jego twarz i nie miała siły odwrócić

wzroku. Wtedy się obudził. Spodziewała się, że będzie

chciał ją natychmiast spętać, obezwładnić, a jednak tego

nie zrobił. Brecia stała wciąż bez ruchu.

- Dokąd mam z tobą pójść?

Zamyślił się na chwilę.

- Zdaje mi się, że najpierw powinniśmy odnaleźć nasze różdżki, potem zaś chciałbym zabrać cię do Balanthu, do mojego zamku.

- Nigdy wcześniej tam nie byłam. Słyszałam, że jest przerażający i tak wysoki, że jeśli śmiertelnik z niego spadnie, ginie na miejscu.

- Nie, to po prostu mój dom. To prawda, że nie tylko wznosi się pod chmury, lecz także drąży mroki ziemi, ale wyłącznie dla ochrony. Na zawsze byłabyś tam ze mną bezpieczna. Żaden śmiertelnik jeszcze nigdy nie wpadł do podziemnych sal. - Zamilkł na chwilę, zmarszczył brwi. -

Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek śmiertelnik widział Balanth. Nie został stworzony dla oczu śmiertelników.

- To prawda.

- Podobnie jak twoja forteca. Nie widziałem jej, dopóki nie odsłoniłaś przede mną wieży.

Machnęła ręką.

- Jak się tu znalazłeś?

Podrapał się w głowę. Ach, Brezia uwielbiała jego czarne, długie i gęste włosy. Łajdak...

- Wydaje mi się, że cię szukałem. Jak wiesz, gdy zniknęłaś, byłem więcej niż wściekły. - Podniósł rękę. -

Wysłuchaj mnie tym razem. Wiesz, że nie usmażyłem  
żadnego z twoich duchów nad ogniskiem. Nie posłałem  
ich wszystkich w bezkresne przestworza, by tam zamarzli  
i rozpułynęli się, wciąż dyndając nagimi stopami.

- To prawda - odparła. - Nawet nie próbowałeś ich  
skrzywdzić. Widziałam, jak odwróciłeś się od ołtarza  
i krzyczałeś tak głośno, że błękitny dym kłębił się nad  
twoją głową jak chmury na niebie. Potem wyszedłeś  
z wieży. Patrzyliśmy, jak wychodzisz, promieniejąc  
wściekłością purpurową jak serce śmiertelnika.

- I sądzisz, że po prostu zmęczyłem się, położyłem tu  
i nie rozpaliwszy ognia, który by mnie ogrzewał,  
zasnąłem kamiennym snem?

- Tak to wyglądało. Lecz twoja różdżka zniknęła,  
książę. Żaden czarodziej nie jest bezpieczny bez swojej  
różdżki.

Rozdz

d ia

i 119

Wydawał się zaniepokojony zniknięciem różdżki. Ale  
dlaczego?

- Twoja różdżka również zniknęła, Breccio – odparł  
swobodnie. - Z pewnością czujesz, że jej nie mam.

Brecia zamyśliła się głęboko. Książę domyślił się, że

mocno niepokoi ją los obu różdżek. Musiał je zabrać wróg. Mógł być nim tylko Mawdoor.

- Wiem, że jej nie masz, i niech cię piekło pochłonie - wybuchnęła po chwili. - Spałeś sobie w najlepsze, gdy przyszedł Mawdoor i zabrał nasze różdżki. To świadczy o sile jego umysłu i wielkiej mocy.

Księżę wzruszył ramionami.

- W pierwszej chwili myślałem, że sama zdołałaś mi ją odebrać. Lecz potem poczułem wyraźnie, że jest inaczej. Czy dlatego mnie szukałaś, Brecio? Chciałaś odzyskać różdżkę?

Lekko odwróciła głowę. Kiedy nią pokiwała, czerwona fala włosów opadła jej na policzek.

- Między innymi. Muszę odzyskać różdżkę, podobnie jak ty musisz odzyskać swoją. Wiesz, gdzie możemy je znaleźć?

Księżę milczał.

- Czarodziej bez różdżki może wpaść w nic lada kłopoty.

- Podobnie wiedźma - odparł, lecz nie wyglądał na specjalnie zmartwionego.

- Zauważyłam, że wiedźmy mają znacznie więcej magicznych narzędzi niż czarodzieje.

- To nonsens, Brecio - wypalił bez zastanowienia.

Nic nie powiedziała, co go zdumiało. Mógłby przysiąc, że Brezia patrzy na niego inaczej, jakby nie był sobą i jakby ten inny on znajdował o wiele większe uznanie w jej oczach.

Pokręciła ze zdumienia głową. Nie rozumiał dlaczego zachowywał się tak dziwnie. Dlaczego nie przywiązał jej do drzewa i nie zmusił do bliskości? Dlaczego nie mówił jej, że ma robić to, co jej każe? Wiedziała, że on do tego wcale nie potrzebuje różdżki.

Przychodzenie

tu

i przyglądanie mu się we śnie było nierozsądne. Była niedorzecznie przekonana, że wciąż ma jej różdżkę, teraz czuła, że nie ma nawet własnej.

- Mawdoor ma nasze różdżki - powiedziała.

- Ach, więc zadajesz się z tym czarodziejem - pokiwał głową książę.

- Mieszka nieopodal. Nie mogę go ignorować. Jest jeszcze coś...

- Co? Co jeszcze?

Brezia pogroziła pięścią staremu dębowi i książę

mógłby przysiąc, że drzewo zadrżało ze zgrozy.

- Mów wreszcie! - zażądał.

- Mawdoor chce mnie poślubić.

Książę roześmiał się głośno. Po chwili spowaźniał.

Posłał jej tylko bezczelny uśmiezek.

- Wątpię, by miało to nastąpić.

Brecia znów pokręciła głową. Włosy tańczyły wokół jej

głowy jak żywe płomienie. Książę ogromnie pragnął

wtulić twarz w te włosy.

- Moja różdżka wróci do mnie, jeśli to tylko będzie

możliwe - stwierdził spokojnie książę. - Ktoś, kto chciałby

utrzymać ją z dala ode mnie, musiałby być niezwykle

potężnym czarodziejem. Wierzysz, że Mawdoor nim jest?

- Splunął i znów się roześmiał. Arogancja niemal z niego

promieniowała. Nie uznawał żadnych granic własnej

mocy, nie tolerował myśli, że ktokolwiek mógłby stać się

potężniejszy od niego, nie uznawał własnych słabości.

I większość ludzi wierzyła w to. Widziała go silnego,

niezwycięzonego. Brecia zawsze wielbiła go za to, że

nawet odpychające cechy, takie jak arogancja, buta

i pycha, w nim stawały się pociągające. Musiałby ją

bardzo zranić, by stał się dla niej bardziej odpychający niż

przyciągający, była jednak głupia. Widziała, że książę jest

o wiele potężniejszy niż kilka lat wcześniej i że musi

postępować z nim niezwykle ostrożnie.

- Jestem przekonana, że nie masz różdżki, ponieważ

Mawdoor zabrał ci ją, gdy spałeś. A wraz z nią zabrał także moją.

Ale dlaczego nie spróbował mnie zabić? Przecież zawsze pragnął mojej śmierci.

- Spałeś. Czyż pradawny zwyczaj nie głosi, że czarodzieje muszą walczyć twarzą w twarz?

- To prawda. Ów zwyczaj jest niemal równie stary jak sam czas. Chodzi o to, by czarodziej, który wygra pojedynek, posługiwał się wyłącznie magicznymi umiejętnościami, nie zaś podstępem czy zdradą.

- Czy Mawdoor postąpiłby zgodnie ze zwyczajem?

Księżę wzruszył ramionami.

- Wątpię. Mawdoor zawsze chadzał własny drogami, a jeśli mnie nie zabił, to tylko dlatego, że chce ode mnie czegoś więcej. Bitwy na jego ziemi? Chce mnie zabić na twoich oczach, by zyskać twoje uznanie? - Brezia milczała. - Mawdoor wie, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Musi się mnie pozbyć.



- Ale przy tym nie może mnie zbyt zniechęcić -

dodała.

Księżę kiwnął głową. Oczyma duszy widział ciemną, dziką twarz Mawdoora, choć minął co najmniej rok od ich ostatniego spotkania w kamiennym kręgu. Mawdoor nie był przyjemnym czarodziejem. Był okrutny i podły, silniejszy niż powinien być z uwagi na swoją przeklętą krew. Był też najbardziej chciwym, żądnym władzy i zaszczytów czarodziejem na ziemi.

- Nigdy nie wyjdiesz za Mawdoora - powiedział księżę.

- Nie - odparła, spoglądając na swoje sandały.

Poprawiła złoty łańcuch w talii. - Oczywiście, że za niego nie wyjdę. I żaden z was nie ma na to najmniejszego wpływu. Wiem, że potrafisz korzystać z magii bez różdżki, księżę, lecz czy jesteś bez niej bezpieczny?

- Nie wiem. - Księżę zmarszczył brwi. - Nigdy wcześniej nie miałem powodu, by się nad tym zastanawiać.

Zanim zdążyła się pohamować, wyrzekła słowa które zaskoczyły ją samą nawet bardziej niż księcia:

- Mogę nauczyć cię magii, która ochroni cię nawet bez różdżki.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

- Nie chcesz, bym szczeł w męczarniach? Nie chcesz, by Mawdoor przygniótł mnie wielką czarodziejską skałą, pod którą miałbym siedzieć w ciemnościach do końca świata? Co się stało, Brecio? Dlaczego miałabyś chcieć nauczyć mnie magii? Dlaczego miałabyś mi pomagać?

Bo po raz pierwszy potrzebujesz mojej pomocy, pomyślała, lecz zachowała to dla siebie. Odwróciła się do niego plecami. Książę patrzył, jak długimi palcami bezwiednie gładzi wełnianą suknię.

- Mogłabyś mnie tak pogłaskać.

- Co takiego?

- Twoje palce. Głaszczą suknię.

Ku jego zdumieniu zarumieniła się jak przyłapany na gorącym uczynku podłotek, nie zaś jak wiedźma, która pstryknięciem palców mogłaby go rzucić na kolana i zmusić do jedzenia ziemi. Czy rzeczywiście mogła to zrobić, skoro nie miała różdżki? Nie był pewien.

- Zostaw w spokoju moje palce, książę. Zachowujesz się inaczej niż...

- Ale to ja, Brecio. Nikt inny. Co się z tobą dzieje?

- Powinieneś być wściekły, wykrzykiwać najgorsze klątwy i wzywać wszystkich bogów, miotać zaklęciami po całym moim gaju i zaprzęgać do pracy każdą cząstkę mocy, by znaleźć różdżkę. Dlaczego mówisz o moich

palcach i głaskaniu, podczas gdy twoje życie jest

w niebezpieczeństwie?

- Chyba dlatego, że nie sądzę, aby rzeczywiście było zagrożone - powiedział. - Czy to dziwne? Być może.

Naprawdę pokażesz mi swą magię, Brecio?

- Nie ufasz mi, książę, czyż nie? Wydaje ci się, że chcę cię wciągnąć w zasadzkę?

Spojrzał na nią, a w jego oczach czaiła się wielka tęsknota. Nie groźba, nie chęć dominacji, tylko tęsknota.

- Pragnąłem cię od pierwszej chwili, gdy ujrzałem cię w kamiennym kręgu. Podziwiałem cię i uwielbiałem od pierwszego momentu. Bez wahania powierzyłbym ci me życie. Ufam ci bezgranicznie.

- Przestań wreszcie, słyszysz? Przestań. Zachowujesz się jak ktoś inny, zupełnie inaczej niż do tej pory. Nie mogę tego zdzierżyć!

Spojrzał z czułością na piegi na nosie Brecii i po raz setny pomyślał, że chciałby dotknąć jej włosów.

- Szukałaś mnie, Brecio?

- Chciałam się tylko upewnić, że poszedłeś sobie z mojego lasu. Owszem, gdy cię znalazłam, miałam nadzieję, że masz wciąż moją różdżkę, ale nie miałeś. Po prostu spałeś.

- Widziałaś, jak różdżki znikają z moich dłoni?

Pokręciła głową.

- W pierwszej chwili pomyślałam, że Callas zdołał wykraść ci moją różdżkę, lecz zdałam sobie sprawę, że on nie ma wystarczającej mocy. Bardziej się ciebie boi, niż nienawidzi i obawia się, że zniszczysz mnie od wewnątrz, że zapomnę, kim jestem. Że zapomnę, co jestem winna moim ludziom i ile zawdzięczam temu świętemu gajowi.

Książę strzepnął liście z nóg.

- Może powinienem był jednak zabić tego starucha.

Roześmiała się. To był książę, którego znała i rozumiała, którego chciała wyrzucić ze swojego lasu, a najlepiej utopić w morzu.

Książę przypomniał sobie, że raz już słyszał jej śmiech.

W świętym miejscu spotkań. Śmiała się i wykrzykiwała z radości, dopóki nie dowiedziała się, że książę musi poślubić Lillian. Wtedy zniknęła.

- Callas to mój kapłan. Jeśli kiedykolwiek zajdzie taka potrzeba, sama się z nim rozprawię.

- Brecio, ja nie potrzebuję różdżki. Mogę nawet góry przenosić bez jej pomocy. Być może potrzebowalbym jej, gdybym chciał poruszyć ziemię.

- Tak, ale...

- Ale nawet mając różdżkę, nie mogę zmienić twojego zdania. - Uśmiechnął się i zatoczył lewą dłonią łuk. Nagły

poryw wiatru zdmuchnął jej włosy na twarz. Książę machnął dłonią w drugą stronę i wiatr ustał.

- Sprytna sztuczka, książę, lecz wiatr nie jest twoim śmiertelnym wrogiem ani czarodziejem. Pojawia się, gdy mu rozkażesz, bo nie ma własnej woli. Jednak czarodziej, który prawdopodobnie ma twoją różdżkę, Mawdoor, jest w tej wili potężniejszy od ciebie, potrzebujesz mojej pomocy.

- Jakie to dziwne - powiedział książę, drapiąc się po brodzie. - Wydaje mi się, że lubisz mnie bardziej, gdy jestem słaby.

- Słaby? Ach, książę, droczysz się ze mną. To tylko...

Zrobił krok w jej stronę.

- Co, Brecio?

Z uśmiechem uniosła dłonie i machnęła palcami.

Książę w mgnieniu oka stał się nagi.

Nie poruszył się. Stał spokojnie, uśmiechając się do niej. Nie podbiegł do Brecii. Zapewne uznała, że to dziwne.

- To było sprytne, Brecio. Czy podoba ci się ten widok?

Przyglądała mu się przez chwilę. Książę wiedział, że w głębi serca zachwyca się jego ciałem. Mimo woli zaczął twardnieć pod jej wzrokiem.

Brecia machnęła palcami i znów znalazł się w ubraniu.

- A może jesteś teraz zdany na moją łaskę, książe? Czy

to możliwe, że bez różdżki mam większą moc niż ty,

potężny czarodziej?

- Och, nie - odparł. - Och, nie. - Uśmiechnął się do niej,

złączył kciuki, zaś resztę palców rozpostarł szeroko.

Nagle dłonie i stopy Brecii były skrępowane. Przewróciła

się na ziemię.

- Teraz nie możesz już ruszać palcami, Breccio.

- Wydawało mi się, że jesteś rozsądny - odparła. -

Mylłam się. - Miała ochotę zacząć tłuc głową o pień

dębu. Książe z łatwością utrzymywał czar. Jak mogła

uwierzyć, że nie musi się go obawiać? Że może nawet mu

pomóc? - I co zamierzasz teraz zrobić, książe? Zniewolić

mnie. Zmusić, bym oddała ci pokłon i całowała twe

stopy?

Książe zaklął, zwinął dłonie w pięści, opuścił

podbródek i w tej chwili Breccia znów była wolna. Wstała,

otrzepała suknię z liści, ukrywając najwyższe zdumienie.

- Ha - odezwała się głosem równie bezbarwnym jak

piwo, które musiał pić w świętym miejscu zgromadzeń. -

W ogóle mnie nie potrzebujesz. Chciałeś tylko udowodnić

mi, że jestem od ciebie o wiele słabsza. Że moja śmieszna

magia nie może równać się twojej potędze. Nic więcej.

Roześmiał się wesoło.

- Spróbuj raz jeszcze pozbawić mnie ubrania,  
a przekonasz się, że między nami kryje się o wiele więcej  
niż rywalizacja.

- Prócz tego, że jesteś czarodziejem, jesteś też  
mężczyzną - rzekła tym samym bezbarwnym głosem. -

Ciało mężczyzny reaguje na najdrobniejszą myśl, widok  
płotka kobiecego ucha lub dźwięk jej głosu. Na widok  
nagiej kobiety natychmiast wpada w obłąd.

- Ja nie wpadłbym w obłąd na widok twojego nagiego  
ciała.

- Być może. Za to zażądałbyś, bym oddała ci się  
całkowicie.

Książę tylko się uśmiechnął, czując, jak w żyłach tętni  
mu gęsta, czarodziejska krew.

- Gdybyś zechciała mi pomóc, mielibyśmy o wiele  
większe szanse odzyskać nasze różdżki. Co o tym sądzisz,  
Brecio?

- Prosisz mnie o pomoc? - zapytała cicho. - Mielibyśmy  
razem pracować?

- Tak.

Las nagle zamarł, podobnie jak Brecia. Nie poruszała  
się nawet najmniejsza gałąź, żaden liść. Nie słychać było  
nawet bzyczenia owadów. Jeśli między drzewami kryły  
się jej duchy, były w tej chwili równie cicho. Książę czuł

się przytłoczony ciszą.

- Teraz znów ty nie ufasz mi, Breccio.

- Wiem, że jeśli ci zaufam, będziesz usiłował mnie do siebie przywiązać, a może wymienisz mnie na swoją różdżkę.

Książę z trudem stłumił w sobie wybuch wściekłości.

Tylko ziemia zadrżała pod ich stopami.

- Niech cię piekło pochłonie, przeklęta ślepa wiedźmo!

Wolałbym umrzeć, niż komukolwiek pozwolić cię skrzywdzić!

Jego słowa zawisły w powietrzu, skrząc się i lśniąc jak sople lodu. Breccia przyglądała mu się długą chwilę, zanim powiedziała:

- Tak wiele nas łączy i tak wiele dzieli, książę. -

Wiedział, że Breccia widzi lśniące kryształy lodu, wiedział, że własną mocą posyła w jego stronę swój ciepły oddech, by go uspokoić i rozgrzać. - Będę ci ufała, gdy znów staniesz się taki jak niegdyś.

- Co tylko zechcesz - powiedział, posyłając strumień ciepłego powietrza z powrotem w jej stronę.

- Mawdoor jest niebezpieczny - stwierdził Breccia. Jego forteca stała zbyt blisko jej gaju, by mogła o niej myśleć spokojnie. Kapłani drżeli na dźwięk jego imienia; nawet duchy tak stare, że równie łatwo spoglądały w przyszłość,



jak wspominały przeszłość, bały się go tak bardzo, że mówiąc o nim, ściszały głos.

- Mawdoor nigdy nie skrzywdził ani mnie, ani żadnego z moich czcicieli. Nigdy też nie wchodził do mojego gaju, o ile mi wiadomo. - Zamilkł na chwilę. Księżę zauważył grymas lęku przebiegający jej twarz. - Pamiętam, że kilka lat temu późną nocą Mawdoor posłał kulę ognia, która rozbiła się u stóp mojej wieży, wzbijając kłęb dławiącego dymu. Zrobił to tylko po to, by mi przypomnieć o swojej potędze.

- Ostrzeżenie - wtrącił księżę. - Co zrobiłaś?

- Ja? Nic. Słyszałam wiele opowieści o jego mocy i o zniszczeniach, jakie sieje, gdy jest niezadowolony.

Księżę zmarszczył brwi.

- Mawdoor wie, gdzie mieszkasz. Wie, gdzie się znajduje twoja wieża.

- Oczywiście.

- W jakiś sposób dowiedział się również, że cię odnalazłem.

- I był tym zaskoczony - dodała Brezia. - A potem wpadł we wściekłość. Masz rację. Skoro nie zabił cię, gdy spałeś i byłeś w jego mocy, zapewne szykuje coś widowiskowego.

- Nie mógł sam przewidzieć, że cię odnalazłem. Nawet

ja nie potrafię czegoś takiego. Może jeden z twoich

duchów szpieguje dla niego?

Ziemia zatrzęsała się gwałtownie.

Książę się uśmiechnął.

- Świetna sztuczka, Brecio. Chcesz mi pomóc odzyskać  
nasze różdżki?

Ziemia przestała drzeć. Książę usłyszał ćwierkanie  
ptaka i ciche bzyczenie owadów.

- Owszem - powiedziała Brecia. - Pomogę ci. Musisz  
jednak coś wiedzieć, książę.

- Sądzę, że raczej mi się to nie spodoba, nieprawdaż?

Wzruszyła ramionami.

- Trzy miesiące temu Mawdoor przysłał do mnie  
posłańca. Przybył w czasie pełni księżyca.

Książę czekał w milczeniu.

- Przedstawił mi propozycję małżeństwa. I nie tylko.

Również groźbę, że pożałuję, jeśli się nie zgodzę.

- Co zrobiłaś biednemu posłańcowi?

- Och, nic. Powiedziałam mu tylko, że zaprzysięgam  
zachować dziewictwo do trzeciego millenium.

- I co on na to?

- Zasugerował ponowne przemyślenie terminu wzięcia  
ślubu.

- Zamieniłaś go w ślimaka i rozdeptałaś?

- Przez chwilę miałam ochotę zamienić go w błękitny

dym, aby wyleciał przez powalę, ale obawiałam się

zemsty

Mawdoora.

Odesłałam

go,

obdarzając

błogosławieństwem na drogę. Nie jestem głupia, książę.

- Nie - przyznał. - Nie jesteś. I nie, nie poślubisz

Mawdoora.

- Jesteś tego pewien?

- Oczywiście. Będziesz moja.

Rozdz

d ia

i 1120

Twierdza Mawdoora była czarna i odpychająca. Ponura

jak druidzki ołtarz oczekujący na kolejną ofiarę. Okrągła,

strzelista wieża z czarnego drewna stała na niewielkim

pagórku stworzonym przez Mawdoora. Wieżę otaczał

trójkątny drewniany ostrokół z mniejszymi wieżami

strażniczymi na każdym wierzchołku. Drewno, z którego

wzniesiono twierdzę, było bardziej czarne niż w dniu, gdy

Mawdoor je wyczarował. Powiadano, że za każdym

razem, gdy twierdzę ujrzy śmiertelnik i strach wkradnie

się w jego serce, wieża ciemnieje. Nikt nie wiedział, jak długo czerń może się stawać jeszcze czarniejsza.

Okoliczne plemiona unikały oglądania fortecy; gdy ktokolwiek musiał przejść niedaleko niej, wpatrywał się w ziemię, póki groźna, czarna sylwetka nie zniknęła za drzewami.

Mawdoor nazwał twierdzę i okoliczną ziemię Penwyth.

Nazwa ta przyszła do niego we śnie i, jak tłumaczył swoim wyznawcom, nic nie znaczyła, jednak miała łagodne, miękkie brzmienie. Śnił o dalekiej przyszłości, o tym, że jego wypieszczona twierdza wciąż trwa, niemal niezmienną, może nieco mniej czarna. Sen sprawił mu ogromną przyjemność.

Książę nigdy nie był w twierdzy Mawdoora. Zapuścił się tak daleko na zachód tylko dlatego, że nie mógł zapomnieć o Brecii. Spojrzał na czarną wieżę i doszedł do wniosku, że właściwie wciąż nie ma wielkiej ochoty się do niej zbliżyć. Słyszał wiele o tym, że Mawdoor z roku na rok stawał się coraz bardziej szalony i zamknął się w odosobnieniu. Co jakiś czas wyłaniał się z mrocznej twierdzy i siał postrach wśród śmiertelników, zbierając krwawe żniwo. Szkoda, że w parze z szaleństwem i okrucieństwem szła także potężna moc. Mawdoor był niezwykle dumny ze swego lotnego umysłu i magicznych

zdolności.

Mawdoor wierzył w różne rzeczy. Był na przykład przekonany, że sami bogowie poustawiali ogromne kamienne okręgi na równinach całej Brytanii. Wierzył także, że w jednym z potężnych kamiennych bloków ukryli wielki skarb, nagrodę dla czarodzieja, który będzie wystarczająco przebiegły, by odgadnąć, o który menhir chodzi.

Księżę zgadzał się, że Mawdoor jest szalony. Wciąż powtarzano plotki o czarodziejskim skarbie, fantazjowano na jego temat, szeptem przekazywano sobie wieści, jednak naprawdę nikt w nie nie wierzył. Poza tym, jaki skarb mógłby być ukryty w kamiennym bloku?

- Mawdoor przeklął mnie już w kołysce - powiedział księżę do Brecii. - Ojciec mi o tym powiedział.

Prawdopodobnie od początku bał się, że będę potężniejszy od niego. Miał wtedy zaledwie siedem lat. Mam nadzieję, że rzeczywiście dysponuje niezwykłą mocą. Chciałbym, by zadziwił mnie swoim mistrzostwem.

Bercia myślała nad tym przez chwilę.

- To ciekawe. Może nie mógł cię skrzywdzić, dopóki pozostawałeś w moim gaju? Zawsze, gdy to możliwe, zapobiegam jakiegokolwiek przemocy w lesie.

- Chcesz powiedzieć, że roztaczasz opiekę nad całym

lasem?

- Tak, to właśnie mam na myśli. Nie wiem tylko, czy moja ochrona jest wystarczająca, by powstrzymać czarodzieja. Być może.

Księżę nic nie powiedział. Nie wierzył, że Breca ma rację. Był przekonany, że Mawdoor po prostu chciał ściągnąć go do swojej twierdzy. Breca ukryła włosy pod kapturem.

Księżę naciągnął na głowę czapkę i mocno związał troczki. Nie chciał, by pierwszy podmuch wiatru zerwał mu ją z głowy. Czapka była równie czarna jak twierdza Mawdoora, ale miękka jak futro. Dzięki niej pozostanie niewidzialny, ale tylko przez godzinę, gdyż nie miał różdżki, by przedłużyć działanie zaklęcia. Godzina musi wystarczyć. Wiedział, że nikt go nie zobaczy. Nawet Breca.

- Musimy się pospieszyć - powiedziała wiedźma, patrząc w jego stronę. - Chciałabym potrafić rzucić zaklęcie, które stworzyłoby taką czapkę. Tylko moja byłaby biała. W najczystszy odcieniu bieli.

Księżę się uśmiechnął.

- Zniknęłabyś mi z oczu, ale nigdy nie odzyskałabyś, różdżki.

- Zgadza się. Poza tym i tak nie uciekłabym daleko.

Gdybym oddaliła się zbyt daleko od różdżki, padłabym martwa na ziemię.

Właśnie zdradziłaś mi jeden ze swoich sekretów Brecio.

Naprawdę to zrobiła i dopiero w tej chwili się na tym złapała. Dlaczego mówi cokolwiek temu czarodziejowi, który jest w stanie zniszczyć ją i nie pozwolić jej w mglistej przyszłości osiągnąć tego co mogłaby?

- Może po prostu wierzę, że jestem tu sama i mówię na głos do siebie?

- Może - roześmiał się książę. Choć Brecia nie mogła go widzieć, odruchowo wyciągnął dłoń: - Widzę, że kucharz sieka jakąś zieleninę. Może Mawdoor jada teraz wyłącznie warzywa. Ciekawe, jak to by na niego wpłynęło?

Śmiech Brecii rozgrzał mu serce.

Książę spojrział na czarną fortecę, czując krew tętniącą w żyłach. Chciał dorwać Mawdoora, zgnieść jego szyję silnymi dłońmi. Odbieranie różdżek czarodziejom jest potworną zbrodnią.

- Ruszajmy - powiedział. - Czas ucieka.

Brecia wspięła się na nieprawdopodobnie strome kamienne schody do bram fortecy. Niewidzialny książę szedł cicho przy jej boku.

- Czego chcesz, kobieto? - dobiegł ich roztrzęsiony, starczy głos.

- Chcę się spotkać z lordem Mawdoorem.

- Po co?

- Nie przybyłam tu dyskutować ze starcem, który ma mniej zębów niż mój zgrzybiały kot. Jestem wiedźmą. Otwieraj albo zamienię cię w kwiatową wróżkę.

- Ha! Wróżki nie żyją w tej okolicy. Nie ma tu kwiatów.

- W takim razie będziesz kwiatową wróżką mieszkającą na kamieniu - odparła Brecia.

Strażnik wahał się przez chwilę.

- Czyś jest wiedźmą czy prostą niewiastą, skoro nie masz żadnego szacunku dla starszych, jesteś niewiele warta. Stój sobie pod bramą, aż obrócisz się w proch i stoczysz po zboczu wzgórza. Co o tym sądzisz?

- A może zamienię się w kamień i staczając się po zboczu, zmiążdżę małą kwiatową wróżkę, spieczoną na słońcu i trzęsącą się ze starości? Jak się zwiesz, starcze?

- Zwą mnie Debbin. Strzegę tych wrót w czwartki i wcale nie jestem starcem. Jestem w kwiecie wieku.

- A mówiłeś, że nie ma tu kwiatów.

Strażnik pogroził Brecii pięścią i zaklął plugawie.

Wiedźma z politowaniem pokiwała głową. Gdy otworzył



usta, by rzucić w nią bluźnierstwem, odkrył, że język stanął mu kołkiem w gardle. Chciał go wypluć, lecz zaczął się krztusić. Patrząc błagalnie na owiniętą w płaszcz kobietę, chciał zawyc głośno, lecz nie był w stanie wydobyć z siebie dźwięku.

- Jeśli chcesz, by język znów był ci posłuszny, wpuść mnie.

Twarz strażnika była już purpurowa z wysiłku.

- Jeśli zaś nowy rozmiar języka ci się podoba, ześlę cię na dno piekieł, gdzie na wolnym ogniu smażą starców podobnych tobie. Słyszałam, że demony przepadają za ludzkimi językami.

Starzec usiłował zakłąć, dławiąc się językiem.

Pospiesznie otworzył bramę. Brezia uśmiechnęła się, pstryknęła palcami i zdjęła z niego czar.

- Dobra robota - szepnął jej do ucha książę. - Niezwykły pomysł na wykorzystanie części ciała. - Dotknął jej ucha wargami, polizał je i ugryzł delikatnie. Pisnęła głośno.

- Co się stało, wiedźmo? - wybełkotał Debbin.

Machnęła dłonią lekceważąco i przeszła przez bramę.

Mijając starca, zatrzymała się na chwilę. Słyszała, jak książę wstrzymuje oddech. Słyszała też tłumione klątwy Debbina, który zapewne życzył jej rychłej śmierci, lecz obawiał się powiedzieć to na głos.

Brecia odchrząknęła i podniosła dłoń.

- Mogłabyś dać sobie spokój z tymi sztuczkami -

szepnął ksiązę jej do ucha. - Czas już dostać się do twierdzy.

Brecia prychnęła.

- A może starasz się mi zaimponować i udowodnić, że świetnie do mnie pasujesz?

- Zastanawiam się, ksiązę, jak ty byś wyglądał, gdybym powiększyła ci język.

- Nawet nie próbuj tych sztuczek ze mną, Brecio.

Przyznaję jednak, że to był świetny ruch.

Weszli na obszerny dziedziniec. Nie było na nim koni, dzieci, psów. Po placu kręcili się wyłącznie starcy i staruszki z pospuszczanymi głowami. Ni mówili ani słowa.

- Zdumiewające - westchnął ksiązę. - W żadnej z tych osób nie wyczuwam magii. Tylko rozpacz.

- Masz rację - odparła. - Ja również niczego nie wyczuwam. To zwykli śmiertelnicy. Ale wszyscy są strasznie starzy. Dlaczego?

Książę nie odpowiedział. Czują jego dłoń na ramieniu.

Prowadził ją w stronę czarnej wieży.

- Nie mogą umrzeć, gdyż nieszczęście trzyma ich przy życiu. Pamiętam, jak ojciec mówił, że powinien był zabić

matkę Mawdoora, zanim zległa z demonem i powiła tę czarną owcę wśród czarodziejów. Żałuję, że tego nie zrobił - wycedził ponurym głosem.

- Dlaczego się powstrzymał? - spytała Brezia.

- Sądzę, że matka Mawdoora odwiodła go od tego pomysłu. Pewnie przysięgła, że jej syn będzie prawy i honorowy.

- A twój ojciec jej uwierzył.

Książę pokiwał głową.

Brezia zatrzymała się nagle i spojrzała w górę.

- Wydawało mi się, że moja wieża jest dziełem sztuki magicznej, ale to...?

Książę się roześmiał.

- Czuję, że Mawdoor strawił wiele, wiele lat, konstruując tę budowlę. Ma ona przerażać nie tylko śmiertelników, ale i innych czarodziejów. On jeszcze nie czuje twojej obecności, Brezio, ani nie wie, że ja jestem tu z tobą.

- Skąd o tym wiesz, książę? Skąd wiesz, co on myśli?

Właśnie w tej chwili Mawdoor może gapić się na nas przez okno i zacierać ręce, zastanawiając się, jak nas zabić.

- Gdyby Mawdoor wiedział, że tu jesteś, całą tę wieżę pokryłby klejnotami, by cię oszołomić - odparł książę. -

Zapełniłby ten nieprzytulny dziedziniec kwitnącymi drzewami owocowymi i pięknymi kwiatami, by oczarować twe wiedźmie serce. Przecież cię pragnie, czyż nie?

Brecia nie odpowiedziała. Szła ku czarnym drzwiom.

- Gdyby zaś wiedział, że ja tu jestem, zapewne zmieniłby tę bramę we wrota prosto do piekieł.

- Wiesz przecież, że takie iluzje szybko się rozwiewają.

- Zwykle tak. Ale iluzje Mawdoora? Nie wiem. Krążą plotki o krwawych ofiarach, które składa na ołtarzach demonów...

Olbrzymie drzwi otworzyły się, zanim Brecia ich dotknęła.

Stał za nimi Mawdoor, wpatrując się w Brecię. Był wysoki, zbyt wysoki na człowieka czy nawet czarodzieja.

To zaklęcie zapewne również szybko się rozwieje.

Wiedźma zadarła głowę i rzekła swobodnie:

- Witaj, panie.

- Czy to ty, Brecio? Przybyłaś do Penwyth w samą porę. Czekałem na ciebie.

- Przyszłam odebrać moją różdżkę.

- Zatem to prawda, że nie możesz czarować bez różdżki. - Błyskawicznym ruchem wyciągnął jej różdżkę z rękawa. Lekko się uklonił i podał różdżkę Brecii. -

Przechowałem ją dla ciebie. Skąd wiedziałaś, że ją mam?

- Pomyślałam, że tylko ty mógłbyś zrobić coś takiego,

Mawdoorze.

- Masz na myśli coś równie sprytnego i błyskotliwego?

- Mniej więcej - odrzekła.

Mawdoor rozejrzył się po dziedzińcu.

- Gdzie się ukrywa ten przeklęty książę?

- Nie wiem. Kiedy go ostatnio widziałam, spał w moim gaju. Zesłałam na niego głęboki sen.

- Naprawdę domyśliłaś się, że to ja zabrałem twoją różdżkę?

- Oczywiście. Któż inny mógłby tego dokonać? -

Wzruszyła ramionami. - Mogę wejść, mój panie?

Mawdoor odsunął się od drzwi. Gdy Brezia weszła do środka, zastygł nagle.

- Coś weszło razem z tobą, Brezio. Coś się skrada za tobą. Co to? Co przede mną ukrywasz?

Rozdz

d ia

i 1 121

Brezia odwróciła się gwałtownie.

- Czyżby wstrętny książę Balanthu zdołał się tu za mną wśliznąć? Ale jak?

- Och, nie, tylko... - Mawdoor przymknął oczy

i znieruchomiał. Brecia czuła, jak bada przestrzeń wokół niej, jak węszy i szuka. Słyszała też cichy oddech księcia. Zastanawiała się, czy potrafi on wytworzyć także magiczną tarczę niewidzialności. Bez różdżki? To byłoby zaiste imponujące.

Gdy Mawdoor otworzył oczy, powietrze w sali znieruchomiało nagle i znów słodko zapachniało lawendą rozsypaną na posadzce prawdopodobnie w ostatniej chwili. Mawdoor się uśmiechnął.

- Nikogo tu nie ma. Musiałem wyczuć na tobie jego ślad, Breccio. Zdejmij pelerynę. Chciałbym cię zobaczyć. Była wprawdzie czarownicą i odzyskała różdżkę, ale nie była głupia. Mądra wiedźma zawsze zachowuje ostrożność. W duszy Mawdoora czał się mroczny cień świadczący o tym, że jego marzenia są okrutne i jest żądny władzy. Obmierzłe pragnienia przepęłniały jego serce. Brecia wiedziała, że Mawdoor urodził się zaledwie kilka lat przed księciem, lecz wydawał się o wiele starszy. Może przyczyniły się do tego mroczne myśli zasiedlające jego umysł i krwawe czyny, jakich się dopuszczał. Niezależnie od pierwszego wrażeni wciąż był mężczyzną w kwiecie wieku, wysoki silnym i krzepkim. Oczy miał tak soczyście zielone, że Brecii się zdawało, że to kolejna iluzja. N wyglądały naturalnie.

Zdjęła kaptur z głowy i zsunęła z ramion pelerynę.

Podąła ją Mawdoorowi, który wtulił twarz w wełniane okrycie.

- Jest przesycona twoim zapachem - powiedział. -

Spraw, by zniknęła.

Brecia uniosła dłoń, poruszyła wargami i peleryna zniknęła.

- Przeniosłaś ją do otchłani czy zniszczyłaś?

- Jest w otchłani. To piękna peleryna, utkana wiele lat temu przez ducha odznaczającego się niezwykłym talentem i zręcznością. Dlaczego miałabym ją zniszczyć?

Mawdoor wzruszył ramionami.

- Może dlatego, że książkę jej dotknął? Lecz to nie miałyby dla ciebie znaczenia, czyż nie? Wyczarowałaśbyś sobie nową.

- Nie uczono mnie tego. Peleryna należała do mojej matki, a wcześniej do jej matki. Gdy jej dotykam, zdaje mi się, że dotykam ich ciepłych dłoni. Byłabym zdruzgotana, gdybym ją straciła.

- Gdyby książkę ją zobaczył, zapewne domyśliłby się, że jest dla ciebie cenna i rozdarł ją na strzępy.

Przechyliła głowę w niemym pytaniu.

- Och, przestań, Brecio. Przecież wszyscy wiedzą, że książkę ujrzał cię w cieniu świętych obelisków i zapragnął

twego ciała. Nie chciał cię poślubić i czcić, jak ja pragnę, lecz nagiąć do swej woli, uczynić z ciebie niewolnicę jego zachcianek.

- Nie słyszałam o tym, Mawdoorze.

- Masz rację - Mawdoor wzruszył ramionami. - Księżę cię pragnął, ale teraz nie ma to znaczenia skoro przyszedł do mojej fortecy. Jesteś moim gościem. Oddałem ci różdżkę, więc masz u mnie wielki dług, czyż nie?

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, skąd ją wzięłeś.

Odebrałeś ją księciu?

- O, tak. Jeden z moich przybocznych znalazł go na skraju twojego lasu, śpiącego słodko niczym niebieski anioł, którym wszak nie jest. Przeraził się, że księżę się obudzi i zetrze go w proch. Potem zaś doszedł do wniosku, że jeśli nie weźmie różdżek, ja zetrę w proch jego.

- Jak sądzę, to dodało mu odwagi.

- Zgadza się. Niestety, to go również zabiło, zanim zdołałem umieścić różdżkę księcia w bezpiecznym miejscu.

Mawdoor podszedł do pięknego malachitowego stolika, na którym stała złota skrzynka. Strzelił palcami i na jego dłoniach znalazły się czarne skórzane rękawiczki. Wsunął do dziwnego zamka niewielki klucz i przyglądał się, jak



wieczko otwiera się powoli.

Brecia widziała światło pulsujące wewnątrz skrzynki.

Mawdoor włożył dłoń do środka, skrzywił się z bólu,

lecz zacisnął zęby i wyciągnął różdżkę księcia. Smukła

pałeczka wyrywała mu się z ręki, lecz był na to

przygotowany. Z wielkim wysiłkiem utrzymywał różdżkę,

unikając dotykania jej nagą skórą. Strach pomyśleć, czym

mogłoby to się skończyć.

- Jak myślisz, czy książę tu przybędzie, Brecio? -

zapytał Mawdoor przez ramię.

Książę stał bez ruchu. Gdyby tylko wyciągnął rękę,

mógłby dotknąć ramienia Mawdoora. Czuł, jak różdżka

szarpie się, by wrócić do jego dłoni, lecz Mawdoor

trzymał ją mocno. Książę skoncentrował się na różdżce,

w myślach głaskał ją delikatnie i przemawiał do niej

w starożytnym język Pałeczka zaczęła wibrować

i promieniować ciepłem.

- Ta przeklęta różdżka jest bardzo silna - wystękał

Mawdoor. - Jeszcze silniejsza niż była, gdy ją tu

przyniesiono. Jednak skoro skrzynka mojej babki potrafiła

ją utrzymać, to i ja mogę.

- Nie dbam o to, czy książę się tu pojawi, skoro mnie

już tu nie będzie - odezwała się spokojnie Brecia. -

Dlaczego mnie o to pytasz? Przybyłam tylko po moją

różdżkę. Skąd mam wiedzieć, gdzie jest książę? - Ściszyła głos do szeptu i pochyliła się ku czarodziejowi: - Książę jest niebezpieczny Mawdoorze. Widziałam kilka jego czarów. Jest najpotężniejszym czarodziejem, jakiego widziałam. Powiadają, że swego czasu jego ojciec i matka byli najsilniejszymi czarodziejami w Brytanii więc jako ich syn musi ich przewyższyć swą mocą,

- Nonsens - stęknął Mawdoor. - To tylko bajeczka, którą sam rozpowiada. Śmiać mi się chce, gdy słyszę, że jest najpotężniejszym czarodziejem na ziemi. - Splunął z pogardą na posadzkę. - Ja jestem najpotężniejszy!

Udowodnię ci to. Mogę nawet przejąć władzę nad jego różdżką. - Jego oczy stały się jeszcze bardziej zielone.

Mrok nad głową Mawdoora zgęstniał. Uśmiechnął się i skinął głową w stronę podłogi, na której po chwili pojawił się czerwony jak krew dywan. Brezia nie wiedziała, czy jest prawdziwy. Mawdoor skierował w jej stronę różdżkę księcia. - Ach, Brezio, przybyłaś do mnie, tak jak tego pragnąłem. Chcę, byś została ze mną już na zawsze. Zostaniesz w Penwyth, bym cię poślubił.

Przez chwilę Brezia czuła pokusę, by zmienić jego głowę w muchomora, lecz nie była pewna, czy jej się to uda. Na wszystkich bogów, czas wciąż ucieka! Za chwilę książę stanie się widoczny i Mawdoor rozsieję jego

szczałki po całej ziemi użyciu jego własnej różdżki!

Dlaczego czarownik nie wyczuwa jego obecności?

- Nie, Mawdoorze - odparła wreszcie. - Nie zostanę tu i nie wyjdę za ciebie.

*Teraz! Musi to zrobić teraz.* Poczwała oddech księcia na policzku.

Wyciągnęła

drżącą

dłoń,

wycelowwała

w Mawdoora swoją różdżkę i zastygła, patrząc jak różdżka księcia rośnie gwałtownie w ręce Mawdoora.

*Przecież miał ją w prawej dłoni! Och, nie! Kiedy przełożył ją do lewej? Nic już nie mogła zrobić. Zastygła jak głaz.*

Czuła, jak książę zasłonił ją swoim ciałem. Roześmiał się głośno, widząc, jak różdżka szarpie się z Mawdoorem.

- Jeszcze troszkę - powiedział. – Chodź do mnie, dasz radę.

- Dlaczego nie czuję twojej obecności, wiedźmi pomioście? - zawył Mawdoor. - Wiem, że tu jesteś. Chcesz odzyskać różdżkę, ale ci na to nie pozwolę.

Książę roześmiał się znowu i w jednej chwili zrzucił z siebie czar niewidzialności. Stał tuż przed Mawdoorem

w lśniąącym złotym stroju i złotej koronie na głowie.

Śmiejąc się swobodnie, dmuchnął mocno. Jego różdżka poleciała w górę ciągnąc za sobą Mawdoora pod sklepienie czarnej wieży. Czarownik wykrzyczał jakieś niezrozumiałe wyrazy i różdżka przestała się wznosić.

Mawdoor wisiał na niej, kołysząc się jak wahadło zegara.

- Puść ją, Mawdoorze, albo zostaniesz tam do końca świata.

- Nie! - wrzasnął Mawdoor, kołysząc się na różdżce. -

Nie zostawię jej, podła kreaturo!

Brecia zdała sobie sprawę, że czarownik nie może sięgnąć po własną różdżkę, bo spadnie.

Książę znów się roześmiał i klasnął w dłonie. Różdżka zniknęła z ręki Mawdoora, który nadal wisiał u powały, rzucając obelżywe przekleństwa. Książę przesłał mu całusa. Wokół czarownika pojawiły się nagle drewniane pręty klatki.

- Tylko szalenciec zabiera czarodziejowi jego różdżkę,

Mawdoorze - powiedział książę, trzymając różdżkę.

Machnął nią i w jednej chwili zniknął wraz z Brecią.

Mawdoor wycelował lewą dłoń w kraty. Klatka

rozpadła się na kawałki. Czarownik wylądował na

podłodze, oddychając ciężko i zastanawiając się, jak

książę zdołał wyrwać mu różdżkę z ręki. Miał ją przecież

w lewej dłoni, walczył z nią i zdołał ją utrzymać. Udało mu się ochronić ją też przed zakusami Breccii.

Jednak utrata różdżki była niewiele znaczącym upokorzeniem. Zawieszenie u powały i zamknięcie w klatce były kolejnym upokorzeniem, równie mało znaczącym. Choć wcale mu się to nie podobało, uśmiechnął się szeroko.

Zatarł dłonie z zadowolenia.

- Sądysz, że jestem głupcem, książę? Znalazłeś się w pułapce, wstrętny łajdaku. Mam was oboje w garści i zostanieie tam, dopóki was nie wyzwolę!

Spojrzał na wspaniałe więzienie, które stworzył z takim wysiłkiem. Przemyślał każdy detal, przewidział wszelkie ewentualności. Wyjął własną różdżkę, zamknął oczy i wyśpiewał pieśń dziękczynną na cześć swych przodków.

Rozdz

d ia

i 1 122

- Nie wydostaniemy się stąd - powiedział książę z niedowierzaniem. - Niech szlag trafi moją zarozumiałość i pychę! Spójrz, co się stało! Uwięził nas, Breccio! - Książę klął długo na cały głos, miotając przekleństwa we wszystkich językach świata, wzbogacone bluźnierstwami z Bułgarii i Bizancjum. Po jakimś czasie powściągnął

wściekłość. - Popatrz tylko, Breccio. Łajdak stworzył celę

więzienną utkaną z powietrza! Wisimy ponad jego

twierdzą. Chciałem, żeby mnie zaskoczył, i proszę!

Jestem zaskoczony.

- Owszem, arogancja nie popłaca - pokiwała głową

Brecia, przyglądając się powietrznej celi. Nie mogła

zobaczyć ścian więzienia. Nie czuła ich również.

Nie jestem arogancki - powiedział książę. - Byłem zbyt

pewny siebie i szczerze to wyznaję.

- Ha! Ujawniłeś się w złotogłowie i koronie! Chciałeś

go rozżłościć, a sprowadziłeś na nas...

- Zrobiłby to samo, gdybym ukazał mu się

w łachmanach.

- ...nieszczęście. A w dodatku zamknąłeś go w klatce!

- Zrobiłby to, nawet gdybym usadził go na złotym

tronie.

- Och!

Książę miał ochotę odrzucić głowę i zawyc

z wściekłości, ale wiedział, że nie może. Breccio wciąż go

obserwowała. Musiał zachować twarz.

- No dobrze. Masz rację. Byłem arogancki. Chciałem go

porazić swą mocą. Powinienem był wiedzieć, że wszystko

idzie zbyt łatwo. Powinienem był przewidzieć, że szykuje

jakiś podstęp.

- Wspaniale, że wreszcie to przyznajesz. Muszę się zgodzić, że ta złota korona wyglądała oszałamiająco. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że arogancja jest do tego stopnia częścią ciebie, że nie jesteś w stanie jej kontrolować?

- Wszystko mogę kontrolować, do diabła! Może byłem arogancki celowo?

- Cokolwiek miałeś na myśli, teraz nie ma to już znaczenia. Tkwimy w tym oboje.

- Przestań się ze mną kłócić. To niczego dobrego nie przyniesie. Razem się stąd wydostaniemy.

Brecia wiedziała, że nikt ich nie widzi, gdyż ksiązę miał już swoją różdżkę i mógł rozciągnąć czar niewidzialności również na nią. A przynajmniej do momentu, gdy coś nie rozproszy jego uwagi.

- Ksiązę, jesteśmy niewidzialni.

- Owszem.

- Ale nie widzę także tych starych śmiertelników. Nie widzę nikogo. Och, na bogów! Robi się gorąco! Co się dzieje?

Nagle zrozumiała. Chwyliła obie ręce księcia i ścisnęła je. Nagle stali się widzialni, ale nie miało to żadnego znaczenia. Musiała to zatrzymać.

Złota szata księcia migotała dziwnie, jakby tańczyły po

niej miriady maleńkich płomyków ognia. Buchał z niej żar. Złota korona zniknęła z jego głowy podobnie jak czapka niewidka. Gdyby wciąż ją miał, zapewne stanęłaby w płomieniach.

- Dość! - krzyknęła mu prosto w twarz. - Musisz się uspokoić, książę. Inaczej obrócisz wszystko w popiół! - Z rozmachem trzasnęła go w twarz. Po chwili znowu.

I jeszcze raz. - Zapanuj nad wściekłością! Posłuchaj mnie! Musisz się uspokoić albo oboje zginiemy! Przecież jakoś zdołamy się stąd wydostać!

Książę zadygotał. Kilka razy odetchnął głęboki i zaczął się powoli uspokajać. Zrobiło się nieco chłodniej.

- Przepraszam - wydukał książę. - Bardzo cię przepraszam. Straciłem nad sobą kontrolę.

- Gdybyś ty się nie zapomniał, pewnie mnie trafiłby szlag - wyznała Breccia, lekko muskając palcami jego rękaw. - Musimy się wydostać z tej bańki.

Ostrożnie obeszli swoją celę, badając ją dłońmi, szukając słabych miejsc. Nie znaleźli niczego. Książę szeptał zaklęcia tak stare, że ich ciała pokryły się gęsią skórką. Nic to nie dało. Zamilkł i spojrzał jej w oczy.

Nadeszła kolej Breccii. Wypowiedziała każde starożytne zaklęcie, jakie była w stanie sobie przypomnieć. Nawet przepisy na magiczne napoje i maści, lecz nic nie



zadziałało. Powietrzna cela nawet nie drgnęła. Wciąż byli w pułapce.

Złota szata księcia rozplynęła się na oczach Brecii.

Znów był ubrany w prostą tunikę i obciste spodnie przystające zwykłemu śmiertelnikowi.

Czekała, lecz książę milczał. Dało się zauważyć, że nie jest zadowolony.

- Chcę coś jeszcze wypróbować - odezwała się Brecia.

Uniosła różdżkę, wypowiedziała coś pod nosem i nagle jej piękna zielona peleryna znalazła się wraz z nimi w powietrznej bańce. – Udało się! Wezwałam pelerynę, choć nie byłam pewna, czy zdoła przeniknąć do wnętrza celi.

Książę raz jeszcze zbadał przestrzeń wokół nich, która wydawała się zupełnie przejrzysta, choć wcale taka nie była.

- Twoja peleryna jest przesycona starożytną magią. -

Przez chwilę przeżuwał jakąś myśl. - Coś w tym jest, Breccio. Świetnie się spisałaś. Ta cela ma jednak słabą stronę i musimy wymyślić, jak ją wykorzystać, zanim Mawdoor zetrze nas na pył.

- Mnie nie chce zetrzeć na pył. Ze mną chce się ożenić.

- Najwyraźniej sprawia ci to przyjemność.

Pokręciła tylko głową, ignorując jego słowa. Książę nie

przywykł do takiego traktowania. Najwyraźniej myślała o czymś ważniejszym niż rozmowa z nim. Zanim zdążył powiedzieć jej, co powinni zrobić, Brezia stwierdziła:

- Te jego oczy... Zrobił coś z oczami. Ta zieleń...

Wyglądały jak ożywione szmaragdy.

- Rzeczywiście - przyznał książę. - Takich sztuczek nigdy nie próbowałem. Ojciec powiedział mi, że jeśli zmienisz swoje oczy, zmienia się również twój sposób widzenia. Nie zawsze wiesz, czy to, co widzisz, jest iluzją czy prawdą i możesz popełniać fatalne omyłki.

- Czy myślisz, że z tego powodu nie był w stanie cię wyczuć? Zmienił swoje oczy i teraz nie widzi już tego, co powinien widzieć?

- To ma sens. Chciałabyś mieszkać w tej czarnej wieży?

Brezia zadrżała.

- Nigdy nie przestałabym próbować się z niej wydostać.

Książę parsknął.

- Świetnie. Zatem masz tę odrobinę rozsądku. Nie zapominaj jednak, że jesteś tu ze mną. Wiesz, co to oznacza.

- O, tak. Obrócimy się w proch obydwójce.

- To mnie wcale nie śmieszy. Wróćmy do peleryny, którą przywołałaś. Chciałbym, żebyś odesłała ją z powrotem.

Brecia odetchnęła głęboko. Oczyszczyła umysł, jak uczyła ją matka, babka i wszystkie duchy, które otaczały ją od urodzenia.

Nagle zobaczyła celę jak na dłoni. Znajdowali się w bańce utworzonej w powietrzu, choć nie była ona okrągła. Wyciągała się w górę, a czubek wyraźnie skręcał w stronę szczytu wieży Mawdoora. Skoro ujrzała celę, zaczęła ją badać. Czas upływał. Nie znalazła słabego punktu.

- Widzę nasze więzienie - powiedziała.

- Odeślij pelerynę i zobacz, którędy się wydostanie.

Uniosła różdżkę, przymknęła oczy i po chwili peleryna zniknęła.

- Wezwij ją z powrotem - rzekł książę.

Wezwała. Peleryna wpadła prosto w jej dłoń.

- Ona się pojawia znikąd i znika niepostrzeżenie. Nie

mogę

znaleźć

szczeliny

w

celi.

Wydaje

się

nieprzepuszczalna.

Książę syknął cicho.

- To nie ma sensu. Wiem już, co powinniśmy zrobić, Brecio. Mawdoor może nas zniszczyć w każdej chwili, to kwestia jego kaprysu. Musimy zaryzykować. - Odetchnął głęboko. - Dotkniesz mojej różdżki swoją.

Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona.

- Och, nie! Nie możemy tego zrobić! Słyszałam, że to może zniszczyć całą ziemię lub przywiązać mnie do ciebie na zawsze.

- Z pewnością są gorsze rzeczy niż przywiązanie do mnie.

- Oczywiście, szaleńcze! To tylko jedna z rzeczy, które mogą nam się przytrafić. Słyszałam także, że możemy stać się śmiertelni. Nie, nie możemy ryzykować.

- Stare bajeczki bezzębnych czarownic... Czarodzieje nigdy nie biorą ich na poważnie. Koniec świata? To jakiś absurd, Brecio. Śmiertelność? Jeszcze większy absurd.

- A przywiązanie mnie do ciebie?

- To z kolei nie wydaje się ani trochę naciągane. Dość już, Brecio. Nie wiem, ile jeszcze czasu nam zostało, wiem za to, że połączenie mocy dałoby siłę wystarczającą, by się wydostać z tego nedorzecznego bąbla!

Brecia zadumała się głęboko.

- Zacukałaś się jak wiedźma zaplątana we własne

klątwy.

- Przestań wreszcie obrażać wiedźmy! Gdyby nie wiedźma, nie byłoby cię na świecie, żalosny głupcze. To przez ciebie siedzimy teraz w tym wstrętnym bąblu!

- Myślę, że to raczej rodzaj kopuły. Spójrz tylko na ten kształt. Poza tym, gdybyś była sama, wziąłby cię przemocą. Dzięki temu, że jestem z tobą, masz szansę przed nim uciec. Zresztą wcale nie wiemy, co się stanie, gdy zetkniemy różdżki, jeśli tego nie zrobimy.

- Nie, nie ryzykujemy. Musi być jakieś inne wyjście.

Księżę milczał. Starał się nie myśleć o łączeniu różdżek.

Brecia ma rację, to za duże ryzyko. Musi być jakiś inny sposób. Jednak zakrzywiona kopuła ponad ich głowami wydawała się nieprzepuszczalna. Księżę zaczął badać dłońmi powierzchnie przezroczystych ścian od samego dołu do zakrzywiającego się wierzchołka. Idealnie gładkie.

Wzniósłszy się w powietrze, dokładnie zbadał ostry wierzchołek bąbla. Wyczuł delikatne pulsowanie, choć przejrzysta ściana nie emitowała ciepła. Przycisnął dłoń do gładkiej powierzchni, która nagle stała się lodowato zimna. Nic tu nie ma pomyślał. Naprawdę nic tu nie ma. Nagle ujrzał pod sobą brodatych starców chodzących po dziedzińcu. Dlaczego nie widział ich wcześniej? Czy

Mawdoor nie zdołał utrzymać jednocześnie celi i iluzji pustego dziedzińca?

Książę krzyknął głośno. Starcy go nie usłyszeli, czego zresztą się spodziewał.

Skoro książę i Brecia nie są w stanie wydostać się z bąbla, to tym bardziej starcy nie będą w stanie dostać się do jego wnętrza. Prawdopodobnie nawet nie zdają sobie sprawy, że tuż nad ich głowami wisi cela.

Opuścił się na dół i stanął przed Brecią.

- Pozwól, że cię o coś spytam. Dlaczego nie ma tu młodych ludzi? Ani żadnych zwierząt?

- Powiedziałeś, że Mawdoor wysysa z nich nadzieję.

- To było tylko przypuszczenie. A co ty sądzisz?

- Może Mawdoor się ich boi?

- Dlaczego?

Brecia wzruszyła ramionami i wygładziła pelerynę.

- Młodzi są pełni życia. Uważają się za niepokonanych i zwykle to przekonanie chroni ich przed różnymi katastrofami. Może przy młodych Mawdoor nie jest w stanie korzystać z całej swojej mocy, gdyż w jakiś sposób ją osłabiają? Ale nie jestem wcale tego pewna, książę.

- Ciekawe, czy byłbym w stanie dokonać w Penwyth kilku drobnych zmian.

- Książę - odezwała się Brezia, widząc, jak czarodziej skupia się i zapada w siebie, szukając w otchłani pamięci odpowiednich zaklęć. - Książę, posłuchaj mnie - powtórzyła, ściągając na siebie jego uwagę. - Mam pewien pomysł. Skup swoją moc i potęgę różdżki w tym miejscu. Ja zrobię to samo i zobaczymy, czy uda nam się coś zdziałać.

Książę spojrzał na nią i nakazał sobie spokój.

- Może - odparł.

Nie żywił zbyt wielkich nadziei, lecz kto wie? Spojrzał na wskazany przez Brecię punkt, wycelował w niego różdżkę podobnie jak ona i zaczął w duchu przemawiać do różdżki w starożytnym języku.

Nic się nie wydarzyło. Brezia miała ochotę zawyć z rozczarowania, lecz nagle powietrze zaczęło drżeć.

Różdżka zatrzęsała się w jej dłoni i musiała przytrzymać ją obiema rękami. Z każdą upływającą chwilą stawało się coraz zimniej, jakby w jakiś sposób otworzyli drzwi wychodzące na pustkowie mroźnej północy.

- Nie odwracajmy różdżek - wyjąkała Brezia. - Celujmy wciąż w to samo miejsce.

Wiatr zawył przeraźliwie i potargał im włosy. Bańka drżała od połączonych mocy. Niewidzialny punkt, w który celowali, zaczął syczeć. Wydawało się, że oddycha coraz

szybciej jak umykające zwierzę. Nagle zapadła cisza.

Bańka wytrzymała atak.

Po chwili jednak rozległy się trzaski i huki, jak gdyby podziemny olbrzym wypychał pięścią nową górę z trzewi ziemi.

Usłyszeli łomot. Wokół czarodzieja i wiedźmy zaczęły

tańczyć

płomienie.

Krąg

ognia

zacieśniał

się

niebezpiecznie.

- Trzymaj, Breccio. Nie odwracaj różdżki.

Różdżka Breccii stanęła w płomieniach. Stała się tak gorąca, że palce wiedźmy szerniały.

- Na świętą matkę wszystkich dębów - wyszeptała

Brecia, lecz nie puszczała różdżki. Nie miała wyboru.

Trzymała ją, ignorując potworny ból i smród smażącego

się ciała. Dłoń księcia się nie paliła. Kątem oka Breccia

dostrzegła, że stoi on prosto, wpatrując się z uporem

w jeden punkt. Zdołała się skoncentrować mimo bólu.

Dlaczego jego palce nie płoną?

To nie potrwa już długo. Wiedziała, że ból zaraz ją



zabije, że jej ciało spłonie i obróci się w popiół. Nie, nie!

Musi się skoncentrować. Musi skupić całą wolę w różdźce

i trzymać ją nieruchomo. Trzymać!

Nagle bańka rozprysła się, a płomienie wystrzeliły

w niebo. Rozległ się głośny trzask pękającego szkła.

Szklane odłamki posypały się dokoła. Ryczące słupy

ognia strzelały tak wysoko, że dotykały chmur. Książę

i Brechia czekali bez ruchu. Ani jeden odłamek szkła nie

spadł na dziedziniec, nie prysnęła w jego stronę żadna

iskra. Giętkie języki płomieni owijały się wokół obłoków.

Brechia mogłaby przysiąc, że słyszy syk parującej wody.

Ogień przygasał powoli.

Książę odwrócił się po chwili i ujrzał Brecię leżącą na

ziemi. Była nieprzytomna. Jej dłonie wciąż płonęły! Nie

namyślając się wiele dotknął swą różdżką różdżki Brecii.

W jednej chwili nie byli już na okropnym dziedzińcu.

Leżeli na piasku, na opuszczonej plaży, jakby przeniósł

ich tam potężny podmuch wiatru. Książę nie wiedział, jak

daleko przenieśli ich różdżki. Zresztą w tej chwili nie

miało to najmniejszego znaczenia.

Byli wolni.

Piękna peleryna Brecii leżała przy jej boku na ciepłym

piasku. Jeszcze się tliła. Gęsto tkana ciepła szata

wyglądała, jakby porozdzierały ją pazury dzikiego

zwierza. Była kompletnie zniszczona.

Brecia obudziła się i na widok tłącej się peleryny poderwała się z piasku. Książę zdumiał się, że jej uwagę przyciągnęła szata, nie zaś poparzone dłonie. Wiedźma zaczęła sypać piasek na pelerynie, by zdusić płomień.

- Och, nie! Nie!

Książę nie mógł jej powstrzymać. Patrzył na pelerynę i żałował sobie, by znów była cała, lecz nic się nie wydarzyło. Wciąż się paliła, chociaż ogień na niej dogasał.

Nie potrafił tego pojąć. Cokolwiek wywołało ten ogień, znajdowało się poza jego mocą.

- Brecio, zostaw ją. Na litość bogów, popatrz na swoje dłonie.

Spojrzała na poczerniałe palce pokryte bąblami i krwawiącymi ranami. Nagle poczuła przejmujący ból, tak wielki, że nie była w stanie go znieść.

- Przestań się mazać - krzyknął ostro książę. - Nie dam ci umrzeć, głupia wiedźmo! Nie pozwolę, byś cierpiała.

Zamknij oczy i przestań na chwilę wierzyć, do diabła!

Ujął jej dłonie. Palce miała zwęglone, zakrzywione jak szpony. Ucałował każdy z nich, muskając językiem spaloną skórę. Potem jeszcze raz ucałował wszystkie palce.

Ból ustąpił. Dłonie znów miała całe i zdrów Brezia aż do tej chwili płakała cicho z bólu. Łzy toczyły się po jej twarzy i kapały z podbródka. Książę zebrał łzy w dłoń i prysnął nimi na tłącą się pelerynę, szepcząc antyczne zaklęcie, jakiego nigdy wcześniej nie używał: *Blashen norna*.

Nic się nie wydarzyło. Wełniana szata nadal tliła się spokojnie. Książę spojrział na nią przenikliwie, uśmiechnął się i dotknął lewą dłonią tłących się resztek.

Peleryna leżała na piasku znów piękna i czysta. Nie było na niej śladu po płomieniach. Brezia westchnęła

głęboko,

promieniując

radością

i

dozgonną

wdzięcznością. Książę otoczył jej ramiona peleryną

i włożył kaptur na głowę.

- Uratowałeś mnie. Jak tego dokonałeś?

Usłyszała jego ciche słowa, choć ich nie wypowiedział:

„Mój ojciec jest wielkim czarodziejem, ja jestem od niego

potężniejszy, a syn, którego mi urodzisz, stanie się

najpotężniejszym czarodziejem na całej ziemi”.

Spojrzała znów na dłonie, rozprostowując palce. Nie

czuła żadnego bólu, skórę miała gładką jak dawniej. Jakby nigdy jej dłonie nie uległy spaleniu. Peleryna miękko otaczała jej ramiona.

- Jesteśmy na plaży - odezwała się wreszcie, smakując słone podmuchy morskiej bryzy.

Książę wstał i przeciągnął się. Brezia przez chwilę zastanawiała się, czy w ten sposób sprawdza, czy na pewno jest wciąż tym samym mężczyzną. Czy nie zostawił części siebie w twierdzy Mawdoora.

- Zetknąłem nasze różdżki i to one nas tu przeniosły.

Bardzo się cieszę, że jesteś cała, Brecio.

Nie miała innego wyjścia, jednak wcale się nie czuła dziwnie, mówiąc:

- Dziękuję ci, mój książę.

- Uważam, że najwyższy już czas, byśmy opuścili ziemie Penwyth. Wciąż jesteśmy blisko fortecy. Nie chciałbym, by Mawdoor nas tu znalazł i wymyślił kolejną sztuczkę.

Podał jej rękę i pociągnął energicznie ku sobie. Poły jej peleryny otoczyły ich oboje, tak że stali się jak jedno ciało. Nagle zniknęli z plaży i ziemi Penwyth. Choć minęła zaledwie chwila, zdawało jej się, że czekała całe wieki, zanim jej stopy dotknęły ziemi. Od razu poczuła, że jest w domu.

Książę przeniósł ją na skraj jej lasu. Brezia odetchnęła powietrzem pachnącym dębami. Od razu poczuła się bezpieczna.

Wciąż tulili się do siebie, owinięci peleryną.

- Jesteśmy w domu - powiedziała Brezia.

- Jesteśmy - przytaknął książę, muskając wargami jej skroń. - Przeniosłem cię do domu.

Rozdz

d ia

i 1 123

Stali na skraju wiekowego dębowego boru i czuli na sobie promienie słońca w zenicie.

- Wydaje się, jakbyśmy wyruszyli dopiero przed chwilą

- zdumiała się Brezia.

- Nie, po prostu minął cały dzień i cała noc.

Chciał jeszcze coś dodać, lecz umilkł, widząc

zbliżających się ku nim podróżników. Czterech mężczyzn

i trzy kobiety. Niektórzy pieszo, inni na mułach.

Śmiertelnicy.

Grupę prowadził starzec wspierający się na sękatym

kiju. Spozrzegł księcia i Brecię, zatrzymał się, oparł na

kosturze i powiedział:

- Widzieliśmy, że przybywacie z ciemnego lasu.

Wiecie, że kryje się w nim śmiertelne niebezpieczeństwo?

Jesteście zdrowi i cali?

Brecia nagle zdała sobie sprawę, że oboje są ubrani jak zwykli ludzie. Księżę już wcześniej nosił szaty śmiertelników, teraz zaś i Brecia miała na sobie zieloną, prostą wełnianą suknię i miękkie skórzane trzewiki.

Domyśliła się, że to sprawka czarodzieja. Delikatnie pogłaskała ciepłą tkaninę i dotknęła złotego łańcucha w talii. Księżę zostawił go na miejscu.

- Och, wszystko w porządku - powiedział księżę do starca i kiwnął głową reszcie wędrowców. W tym lesie są tylko stare drzewa. Ich gałęzie i gęste liście nie wpuszczają zbyt wiele światła, poza tym nie ma w nim nic groźnego.

- Nazywam się Branneck - przedstawił się starzec. -

Wybraliśmy się w podróż do świętego kamiennego kręgu.

- Jesteście pielgrzymami, *sir*? - zapytała Brecia. Czowała na sobie uważne spojrzenia kobiet siedzących na mułach.

Dlaczego tak na nią patrzą? Dotknęła złotego łańcucha w talii. Oczy kobiet śledziły ruch jej palców. Kobiety miały chrapkę na złoty pasek! Dlaczego księżę nie owinał wokół jej talii skózanego?

- Zgadza się - odparł starzec. - Przybywamy z Kaledonii, by opryskać święte kamienie łzami potwora z Loch Ness.

Głupota ludzka naprawdę nie zna granic, pomyślał księżę.

- Właśnie wracam z żoną do domu - powiedział z uśmiechem. - Spędziliśmy cały tydzień w dębowym gaju, gdyż, jak powiadają, kobieta z pewnością pocznie dziecko, jeśli w trakcie zbliżenia stoi, wspierając się o stary dąb.

- Ach - westchnął Branneck, wpatrując się w złoty łańcuch Brecii. - Interesujące. Wierzysz, że jesteś już brzemienna?

Brecia przytuliła się do księcia i uśmiechnęła.

- Zapewne byłabym już brzemienna, gdyby tylko mój mąż zdołał urosnąć do właściwego rozmiaru by dokonać dzieła.

Siedmioro wędrowców gapiło się na nią ze zdumieniem.

Potem spojrzeli na księcia, by ujrzeć, jak karze swawolną małżonkę, lecz księżę roześmiał się głośno.

Branneck zacisnął dłonie na kosturze.

- Wygląda na to, że jesteście tu sami.

- Oczywiście. Żaden mężczyzna nie chce mieć widowni, gdy zapładnia żonę - parsknął księżę, po czym z fałdów tuniki wyciągnął dysk. Piękna ozdoba wyszła pewnie spod rąk rzymskiego złotnika. Lśniła w słońcu jak

gwiazda. Brecia zastanawiała się, czy książę stracił rozum.

Mężczyźni chciwie wpatrywali się w złoty dysk.

Branneck z pewnym siebie uśmiechem skinął na swoich ludzi i wznosił kostur. Podbiegł do księcia i zamachnął się kijem, by rozbić mu głowę. Chwilę później na czarodzieja napadło trzech rzezimieszków. Brecia ze zdumieniem patrzyła, jak kobiety na mułach patrzą na walkę czterech mężczyzn przeciwko jednemu. Uśmiechały się cynicznie.

- Atakowanie bezbronnego człowieka tak was bawi? - krzyknęła w rozpaczy.

- Zamknij się - wycodziła jedna z kobiet. - Jeśli nie będziesz cicho, każemy naszym chłopcom obracać cię tak długo, aż naprawdę staniesz się brzemienna.

Breca spojrzała na księcia. Zablokował kostur i obalił starca na ziemię. Pozostali trzej najwyraźniej zamierzali go zabić i obrabować. Jego życie nic dla nich nie znaczyło. Liczyły się tylko monety w jego mieszku.

- Brecio droga - odezwał się książę - masz ochotę policzyć się z tymi przyjemniaczkami, czy wolisz, bym ja to zrobił?

- Z przyjemnością popatrzę, jak sobie radzisz - odparła.

Spodziewała się, że książę zetrze ich w proch bądź zamieni w stos czarnych głazów, lecz nie uczynił nic podobnego. Rozejrzał się jak śmiertelnik przed atakiem,



pochylił i powiedział:

- Chodźcie do mnie, moi dzielni przyjaciele. Pozwólcie, że wam pokażę, jak prawdziwy mężczyzna traktuje takie śmieci, jak wy.

Brecia zdała sobie sprawę, że księżę stał się zwykłym śmiertelnikiem. Wygasił w sobie całą magiczną moc.

Czyżby aż tak wierzył we własne siły? Chyba oszalał!

Poczuła nagłe ukłucie strachu. Dlaczego on to robi? Już chciała na niego wrzasnąć, lecz w porę się powstrzymała.

Przecież jest silny, świetnie zbudowany. Może się obronić sam.

Jeden z rzezimieszków ryknął z wściekłości i rzucił się na księcia, wskazując pozostałym dwóm, by zaszli go od boków. Branneck podniósł się z ziemi i okrążył księcia od tyłu.

Któryś z napastników zaczął biec w stronę księcia, zamierzając się na niego kijem. Czarodziej roześmiał się wesoło, chwycił kij i z całej siły zakręcił nim, obracając wkoło uczepionym kostura zbójem i bezbłędnie trafiając jego nogami prosto w brzuchy pozostałych. Dał się słyszeć głośny trzask łamanych żeber, przekleństwa i głucho jęki.

Kobiety zaczęły się niepokoić. Jedna z nich krzyknęła ze zniecierpliwieniem:

- Branneck, powal go! Wbij mu sztylet w plecy! Chcę dostać ten złoty pasek! Rusz się!

Brecia podeszła do niej spokojnym krokiem, chwyciła za ramię i energicznie ściągnęła z siodła. Niewiasta krzyknęła dziko, spadając na ziemię, jednak się poderwała i rzuciła ku Brecii, mierzając długimi paznokciami w twarz.

Zanim Brecia zdążyła zareagować, książę chwycił jednego z leżących napastników i rzucił nim prosto w atakującą kobietę. Padli razem na ziemię.

Mężczyźni spojrzeli na Brannecka i pokiwali głowami.

Każdy z nich wyciągnął zza pazuchy długi ostry sztylet.

Widać było, że potrafią się nimi posługiwać, i że robili to niejednokrotnie. Książę tylko się roześmiał.

- Co zamierzacie zrobić tymi kozikami, chłopcy? -

zapytał drwiąco. - Chcecie koniecznie poczuć, jak wbijają się wam między żebra? Chodźcie do mnie. Pomogę wam skrócić drogę do nędznego piekła dla śmiertelników.

Branneck zrobił krok w tył, pozostali trzej szyli na

księcia z wściekłym rykiem. Czarodziej wymierzył

pierwszemu cios w skroń, drugiemu w żołądek,

a trzeciemu kopniaka w podbrzusze. Odwrócił się do

Brecii i uśmiechnął z zadowoleniem. Stał promieniejąc

dumą, gdy Branneck zakradł się ku niemu cicho jak kot.

Brecia nie zastanawiała się nad niczym. Krzyknęła

rozdzierająco:

- Za tobą!

Księżę odwrócił się, ale za późno. Sztylet Brannecka ugodził go w pierś. Starzec wyszarpnął ostrze z rany i odskoczył na bezpieczną odległość.

- Zdychaj wreszcie, demonie!

Brecia nie mogła w to uwierzyć. Po prostu nie wierzyła własnym oczom. Pozwoliła księciu bawić się w gierki ze śmiertelnikami, gdyż widziała, że sprawia mu to przyjemność, ale wszystko poszło nie tak jak trzeba.

A teraz już jest za późno! Biegły ku niej kobiety, mężczyźni gramolili się z ziemi.

- Dajcie nauczkę tej dziwce!

- Rozprujcie jej brzuch!

- Zabijcie ją!

- Ja wezmę złoty łańcuch – krzyknął Branneck.

Księżę leżał na plecach. Oczy miał zamknięte.

- Nieszczęśni głupcy! - Brecia wysunęła różdżkę z rękawa i wykrzyczała słowa, których nie używała jeszcze nigdy w życiu. Napastnicy natychmiast legli skrępowani na ziemi. Brannecka zaś zawiesiła wysoko w powietrzu. - I będziesz tam wisiał na przestrozę innym.

Na zawsze!

Słyszała ich krzyki, gdy przyklękała nad księciem

i okrywała go peleryną. Oddaliła od siebie strach, zamknęła oczy i przeniosła się w głąb dębowego gaju.

- Nie waż się umierać, do diabła! - powtarzała bez przerwy. Książę leżał cicho i nieruchomo na jej łóżku w drewnianej wieży. Krew zaplamiła całą tunikę.

Przy boku wiedźmy zjawił się Callas.

- Odsuń się, pani. Książę może próbować cię zabić.

- Zostaw, Callasie. On nie jest moim wrogiem. Na bogów, co mam teraz zrobić?

Książę otworzył nagle oczy i powiedział:

- Niezbyt dobrze udawałem śmiertelnika, prawda?

- Udawałeś wyśmienicie. Było ich czterech i uparli się, by cię zabić. Nie odzywaj się lepiej.

Przecież on nie jest śmiertelnikiem, powtarzała sobie w duchu Breca. Kiwnęła głową i znów była ubrana w długą, białą suknię.

- Powiedz mi, co mam zrobić.

- Nic nie możesz zrobić - odparł. - Znów zachowałem się jak głupiec, wybac mi. Nie chcę cię opuszczać.

Chciałem mieć z tobą syna.

- Chcesz powiedzieć, że nie potrafisz się uleczyć? Co z ciebie za czarodziej? Na litość bogów, zrób coś! Albo powiedz mi, co ja mam zrobić.

Książę zamknął oczy, a ironiczny uśmiech zniknął

z jego warg. Brecia domyśliła się, że księżę umiera.

Umierał jak zwykły śmiertelnik ugodzony sztyletem

prosto w serce.

- Nie!

Położyła się na nim i otuliła jego ciało. Czuła, jak krew

czarodzieja wsiąka w jej suknię. Czuła też słabe,

zamierające bicie jego serca.

Wyciągnęła się i wyprostowała tak, że jej nogi leżały

równy na jego nogach, ręce na jego rękach, a serce tuż

przy sercu czarodzieja.

Przywarła ustami do jego warg, oddychając tym samym

oddechem.

- Nie umrzesz - wyszeptała. - Słyszysz mnie, żałosny

czarodzieju? Gdzie twoja moc? Zrzuć z siebie jarzmo

śmiertelności i uzdrów się lub bądź przeklęty na wieki!

Czuła jego ból pulsujący w sercu, przenikający jej

suknię. Zaczęła drzeć z cierpienia, które wciąż rosło,

wlewając się w jej ciało, raniąc jej serce. Przymknęła

oczy, czując stalowe ostrze rozdzierające skórę, wbijające

się w ciało. Po chwili czuła też wyciekającą wolno krew.

Zacisnęła zęby, zamknęła mocno powieki i starała się

utrzymać w sobie ból. Wyszeptała z wysiłkiem:

- Nie umrzesz, mój księżę. Oddaj mi ból. Oddaj całe

cierpienie.

- Nie, Breccio - odparł. Głos zamierał mu na wargach. -

Byłem głupcem. Chciałem się pobawić w śmiertelnika,  
więc teraz umrę, ale nie pozwolę ci umrzeć razem ze mną.

Nie, Breccio.

Zebrał w sobie resztkę sił i zrzucił wiedźmę ze swojego  
ciała. Potoczyła się bezwładnie po podłodze, nie czując  
już ani bólu, ani cierpienia. Książę podniósł się na łokciu,  
by na nią spojrzeć.

- Nie chciałem, by to się stało - wyjąkał i opadł na  
poduszkę. - Chciałem cię tylko rozbawić, zbić zbirów  
i usłyszeć twój śmiech.

- Nie umrzesz teraz! Niech cię diabli! - Wykrzyczała  
jego imię, splatając je z każdym zaklęciem, jakie była  
w stanie sobie przypomnieć. Zerwała się z podłogi,  
wyskoczyła w powietrze i ponownie runęła na niego,  
dokładnie przykrywając jego ciało swoim.

Trzymała go w łóżku najsilniejszym z zaklęć, cisnęła  
jego czoło własnym. Ból narastał. Nie wiedziała, że  
istnieje tak wielkie cierpienie. Przewyższało ból  
płonących dłoni, przekraczało granice jej wyobraźni.  
Słyszała krzyki Callasa, który błagał ją, by zostawiła  
nędznego czarodzieja jego losowi.

Czuła, że książę znów usiłuje ją zrzucić, lecz siły go  
opuszczają. Zaklęcie trzymało go mocno. Breccia nagle

zdała sobie sprawę, że ratując go w ten sposób, sama może umrzeć.

Trudno. To nie ma znaczenia.

Przycisnęła się do niego mocniej, jęcząc z bólu.

- Zejdź ze mnie, Brecio - wyszeptał niemal

niedosłyszalnie. - To nie jest właściwa droga. Takie jest moje przeznaczenie. - Wiedział przecież, że nikt nie może zmienić przeznaczenia.

Brecia nie miała zamiaru tracić czasu na rozważania o losie. Zaczęła się modlić do matki, babki i całej linii poprzedzających je wiedźm, które ją uczyły, pielęgnowały i pieściły, a potem rozplakała się, a jej łzy spadły na zamknięte oczy księcia.

Ból rozdzierał jej serce. Był silniejszy niż cierpienie śmiertelnika, większy nawet niż ból wiedźmy. Dzielony, ostateczny ból przekraczał wszelkie granice.

Nie wiedziała, w jaki sposób, jednak udawało jej się wytrzymać. Czuła, jak reszta krwi wypływa z niej powoli. Nagle poczuła się pusta i lekka jak skorupka, która nie ma już znaczenia ni celu. Znalazła się ponad własnym ciałem, kołysząc się łagodnie i zastanawiając, co się stało.

Po chwili westchnęła miękko, opadła policzkiem na jego policzek. Miała wrażenie, że spada, czuła jednak przy

sobie silne ramię księcia. Spadali razem w czarną czeluść

bez dna. Brezia zastanawiała się przez chwilę, czy

kiedykolwiek przestaną spadać, i co się wtedy wydarzy.

Rozdz

d ia

i 1 124

Obecn

c i

n e

Wróciwszy do jaskini, Bishop ujrzał Merryn grzejącą

dłonie przy niewielkim ognisku. Obserwował ją

ukradkiem przez chwilę, zdumiewając się, jak bardzo

przypomina Brecię.

Ale Merryn nie jest Brecią! Brezia żyła całe wieki

temu.

Bishop nie wiedział, jak długo go nie było. Czuł

jednak, że oddalił się bardzo od jaskini nad morzem.

- Merryn? - odezwał się głosem chropowatym

i szorstkim, jakby nie mówił od bardzo dawna.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Znalazłeś coś ciekawego? Czego właściwie szukałeś?

Bishop potrząsnął głową.

- Jak długo mnie nie było?

- Zaledwie kilka minut. Wróciłeś już, bo zgłodniałeś,



czy po prostu nie znalazłeś niczego interesującego?

Tylko kilka minut? Przecież to musiało trwać dłużej!

Nie, sam już nie wiedział.

- Myślę, że i jedno, i drugie jest zgodne z prawdą -

odparł Bishop, choć nie do końca wiedział, co mówi.

Potał policzek, w który trzasnęła go ręka.

- Mam trochę czerstwego chleba, który chciałam upiec

na patyku nad ogniem, co o tym sądzisz?

- Świetny pomysł - rzekł Bishop, przełykając ślinę.

Niemal konał z głodu. Czuł też dziwny ból w klatce

piersiowej, jakby ktoś z całej siły uderzył go pięścią.

Roztarł dłonią obolałe miejsce.

Merryn pokroiła chleb na grube pajdy i nadziała je na

patyk. Powoli przesuwiała nad płomieniami.

- Co tam robiłeś? - zapytała, nie patrząc na niego.

- Och, nic takiego - prychnął, siadając przy niej po

turecku. - Tam jest całkiem ciemno.

- Zniknąłeś na tak krótko, że na pewno nie obejrzałeś

wszystkiego dokładnie.

- Pewnie nie - przyznał, zdejmując podpieczoną pajdę

z patyka. - Przecież to tylko kilka min

- Nieustraszony wciąż rżał. Wyjrzałam na zewnątrz, ale

nikogo tam nie ma.

- Sprawdzę jeszcze raz, gdy uporam się z tym

przepyszny chlebem. Miałaś świetny pomysł Merryn. -

Nie miał najmniejszego zamiaru opowiadać jej, że ktoś go

wciągnął do czarnej dziury, śmiał się z niego

i spoliczkował. A potem... Przymknął oczy, by sobie

lepiej przypomnieć. Potem Brezia leżała na nim, usiłując

go uratować kosztem własnego życia. Bishop czuł to, co

czuł księżę - wściekłość na własną głupotę, gorycz

porażki i rozpacz, że musi umrzeć, nigdy nie dotknąwszy

Brecii.

Ale to wszystko musiało się dziać w jego głowie. Nie

był przecież śmiertelnie ranny. Nie było go zaledwie kilka

minut. To musiał być sen, w którym Brezia i księżę

chcieli raz jeszcze poczuć, że żyją. Dlaczego? By Bishop

uwierzył, że istnieli naprawdę? Dlaczego?

Klątwa. O czymkolwiek by myślał, zawsze wracał do

klątwy.

Uspokajał się powoli. Brezia i księżę pokażą mu, co

należy przedsięwziąć. Zjadł jeszcze jedną pajdę.

Cokolwiek przeżył, cokolwiek mu się przyśniło, szybko

ulatywało z jego pamięci.

Merryn oderwała przypalony kawałek skórki z pajdy.

- Mówiłeś, że musimy tu przyjechać. Że to ma coś

wspólnego z klątwą. Nie rozumiem tego. Twierdzisz, że

niczego nie znalazłeś. Co teraz zrobimy?

Bishop przez chwilę patrzył w ognisko.

- To miejsce jest źródłem klątwy - powiedział wreszcie.

- Albo tu właśnie musi się skończyć jej władza. Jeszcze nie jestem pewien.

- Nie wiesz, co powinieneś był tu znaleźć? Co my tu właściwie robimy?

Bishop pokręcił bezradnie głową.

- Czuję się jak ślepiec - wyznał. Jednak już się nie bał.

Sny nie były wyłącznie snami, stały się częścią jego samego.

- Co dalej, Bishopie?

Spojrzał na włosy Merryn czerwone jak płomień w mrocznym wnętrzu jaskini. Splotła je ciasno wokół głowy.

- Nie wiem - przyznał. - Wiem tylko, że musimy tu pozostać. To wszystko stało się tak dawno temu.

- Co stało się dawno temu?

Bishop zdał sobie sprawę, że myśli na głos.

- Wiele rzeczy – wyjąkał.

Merryn wyjęła z sakwy ostatnią porcję solonych śledzi i podzieliła na dwie części. Bishop zauważył, że jego porcja jest trzy razy większa. Dziewczyna mruczała coś pod nosem. Pasma skręconych włosów wysunęło się z koka i leniwie kołysało przy jej piersiach. Znienacka

Bishop poczuł tak silną żądzę, że niemal nie mógł oddychać. Była obezwładniająca. Jeszcze nigdy nie doświadczył tak potężnej mocy pożądania drażącego jego ciało, sprowadzającego szaleństwo. Musiał ją mieć! Musiał ją osiąść tu i teraz! Nagle oczyma wyobraźni zobaczył księcia i Brecię.

- Teraz. Pragnę cię teraz.

Merryn upuściła swoją porcję śledzi do ogniska. Jego wygląd ją przeraził.

- O, nie! - wykrzyknęła. - Zobacz, co przez ciebie zrobiłam! Przestań myśleć o głupotach i pomóż mi! -

Pochyliła się nad ogniskiem i usiłowała wydobyć paski ryby spomiędzy płomieni i popiołu lecz nie szło jej dobrze.

- Możesz wziąć moje, Merryn, i tak nie będę jadł. Ale najpierw muszę cię osiąść. Natychmiast.

- Co się z tobą dzieje? Zjadasz pieczony chleb i natychmiast przepelnia cię żądza? Nie oszukuj, że mnie pragniesz. Pragnąłeś mnie już wcześni a jakoś się powstrzymałeś. Przyznaj, że tak naprawdę to nie mnie pragniesz, lecz tego, co mogłabym przynieść ci w wianie.

Co się nagle zmieniło?

Jakże mógłby jej nie pragnąć? Och, na bogów, myślał tylko o tym, by się w nią wedrzeć, a ona kazała mu snuć

jakieś rozważania? Owszem, smakował mu chleb. Czy już raz tego nie mówił? Bishop potrząsnął głową, lecz nie znalazł w niej odpowiedzi na żadne z pytań. Czuł wyłącznie palące płomienie żądz, której nie był już w stanie opanować. Wyciągnął po nią rękę, lecz ku jego zdumieniu wetknęła mu w dłoń pasek opieczzonego śledzia. Zjadł go i znów wyciągnął rękę tylko po to, by dostać kolejny pasek ryby.

- Chcę cię zobaczyć nagą - wybełkotał z pełnymi ustami. - Chcę, byś szeroko rozłożyła nogi i objęła mnie ramionami. Teraz.

- Nie boisz się już, że klątwa cię zabije?

Klątwa? Co za nonsens!

- Chodź tu, Merryn. Ściągaj suknię i chodź tu.

Merryn podniosła się z klęczek, wsparła dłonie na biodrach i spojrzała na niego z góry.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Zostaw mnie,

Bishopie, i przestań mówić takie rzeczy. Nigdy nie słyszałam, byś zwracał się do kogokolwiek takim tonem.

Choć twoja twarz ukryta jest w cieniu, widzę twoje oczy i one wyglądają bardzo dziwnie. Zostań tam! Idź precz!

- Nie mogę jednocześnie zostać i iść precz – odparł dowcipnie Bishop.

Merryn aż się zatchnęła ze zdumienia.

Bishop czuł, że krew burzy mu się w żyłach. Przecież

jest wciąż taki sam, do diaska! To tylko żądza

doprowadza go do szaleństwa. Merryn odetchnęła płytko

i zniecka wypadła pędem z jaskini.

- Merryn! Niech cię лихо, kobieto, wracaj! Jest ciemno,

mogą cię zaatakować zwierzęta i...

Oczywiście go nie słyszała. Co się z nim dzieje, na

litość boską? Czuł, że jego męskość nabrzmiała

i stwardniała jak marmurowa kolumna. Drżał z pożądania,

tonął w nim, nie był w stanie się obronić. Wiedział tylko,

że musi ją mieć. Tu i teraz. Wkrótce i tak będzie jego

żoną, więc nie ma nawet znaczenia, czy uczyni ją

brzemienną. Bóg mu z pewnością przebaczy.

Przeczesując okoliczne zarośla, wciąż wykrzykiwał jej

imię. Wreszcie zobaczył ją biegnącą ku Nieustraszonemu.

Chyba nie ukradnie mu konia?

Chwycił ją za nogę w momencie, gdy wskoczyła na

koński grzbiet. Pociągnął z całej siły. Merryn ciężko

spadła na Bishopa. Trzymał ją mocno. Och, przecież nie

pierwszy już raz trzyma ją przy sobie, czując jej prężne

piersi, lecz teraz czuł się zupełnie inaczej. Chciał je

obnażyć, przywrzeć wargami do nagiej skóry. Chciał czuć

na sobie każdy kawałek jej smukłego ciała. Oddychał tak

ciężko, że nie był w stanie nic powiedzieć.

Uderzała go z wściekłością po ramionach i torsie, a po chwili wymierzyła mocny cios w szczękę. Nie była w stanie się dobrze zamachnąć, więc Bishop nie ucierpiał zbyt wiele. O wiele bardziej bolały go siarczyste policzki w głębi jaskini. Teraz ledwie dostrzegał wysiłki Merryn. Czuł tylko jej zapach i urywany oddech. Tego było już za wiele.

Nagle zdał sobie sprawę, że Merryn się go boi.

Przestraszył ją dziwnymi słowami. Musi coś zrobić, przecież nie może rzucić jej na ziemię i posiąść.

Chwyciwszy ją za ramiona, zaczął nią potrząsać, aż się uspokoiła. Chciał ją pocałować w usta, lecz zamiast tego wrzasnął:

- O co ci chodzi? Będziesz przecież moją żoną! Nie ma nic złego w tym, że mi się oddasz. To nie szkodzi, że ksiądz nas jeszcze nie pobłogosławił. Oddasz mi się, Merryn. Przestań ze mną walczyć, nie bój się. Silna i odważna z ciebie dziewczyna, niczego nie powinnaś się bać. Chcę cię tylko posiąść, a z pewnością ty również tego pragniesz czyż nie? Nie widzisz, że wszystko ku temu zmierza?

- Co ku temu zmierza? - wrzasnęła, tłukąc go pięściami.

Bishop nie zrozumiał pytania, ale nie zamierzał się nad tym zastanawiać. Powiedział, co należało, a teraz chciał

już tylko w nią wejść.

- Powiedz, że już się nie boisz. Powiedz, że mnie pragniesz.

Stwardniała męskość pulsowała wściekle. Bishop wiedział, że Merryn to czuje, czuje jego kształt i wielkość, wiedział też, że ją to przeraża. To nie miało dla niego znaczenia. Nic już nie miało znaczenia, prócz wepchnięcia się wreszcie pomiędzy jej nogi.

- Powiedz!

Merryn chwyciła dłońmi jego głowę i ścisnęła ją mocno. Chciała, by choć przez chwilę jej wysłuchał.

- Posłuchaj mnie. Będiesz moim mężem, dopóki śmierć nas nie rozłączy, pod warunkiem że klątwa cię nie zabije. Ach, nienawidzę tej klątwy!

Pocałował ją. Merryn poczuła przyjemne łaskotanie w dole brzucha. Uniosła głowę i oddała mu pocałunek. Przyjemne ciepło zafalowało w łonie i rozlało się jak fala ku piersiom. Przedziwne. Teraz ona miała kłopoty z oddychaniem. Czy to dlatego, że męskość Bishopa tak silnie na nią napiera? Rycerz chwycił ją za biodra, uniósł i przycisnął do siebie, przesuając dłonie na krągłe pośladki. Merryn chciała, by nigdy nie przestał jej całować. Język Bishopa wciskał się między jej wargi, więc je rozchyliła i niemal zemdląca, gdy wdarł się do



wnętrza jej ust.

Krzyknęła i zacisnęła mocno usta. Na kości wszystkich świętych! To zdecydowanie za dużo. I za mało jednocześnie. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, jednak wcale nie chciała już uciekać. Maleńką cząstką świadomości, która wciąż jeszcze potrafiła formułować myśli, zdała sobie sprawę, że przecież wie, co mężczyźni robią z kobietami, a do tej pory zawsze uważała to za niedorzeczne, zawstydzające i zapewne niezmiernie obrzydliwe dla kobiety. Tajemnicza część jego ciała zdawała się jeszcze twardsza niż przed chwilą. Bishop przytulił Merryn tak mocno, że stanowili niemal jedno.

Jednak pragnęła znaleźć się jeszcze bliżej. Potrzeba dotykania go, wtulania się i ocierania stała się obezwładniająca. Chciała dotykać go całego, nawet tę tajemniczą część jego ciała, która tak mocno wpijała jej się w brzuch. Czowała łomotanie jego serca i wydawało jej się, że nawiązuje ono sekretną rozmowę z jej własnym sercem. Oddychał ciężko i pragnęła, pragnęła...

- To jest po prostu cudowne - powiedziała, zanim znów zamknął usta na jej wargach. Wspięła się na palce, wsunęła dłonie w jego włosy, by przyciągnąć go do siebie.

- Zapomnij o klątwie.

Bishop dyszał z pożądania. Na bogów! Jej usta, jej

piersi! Posunął się za daleko i nie ma już odwrotu. Musi ją  
posiąść! Chwycił ją na ręce i zaniósł do jaskini, całując jej  
usta i oczy. Potknął się na kamieniu i niemal przewrócił.

Merryn wczepiła się w niego kurczowo. Nie przestawał jej  
całować. Podobnie jak ona nie mogła przestać całować  
jego. Należała już do Bishopa. Będzie jego żoną.

Chwilę przed tym, jak się na niej położył, zdał sobie  
sprawę, że pomimo czterech mężów, których miała, wciąż  
jest dziewicą. Lecz w tej chwili to dla niego było bez  
znaczenia. Musi ją natychmiast posiąść. Merryn jęknęła  
cicho.

Położył ją na plecach i zadarł suknię. Zobaczył długie,  
smukłe nogi, rozsunął je na boki, odsłaniając rude loki na  
łonie. Na bogów. Niemał ugryzł się w język.

- Jesteś moja - wyjąkał. Zrzucił spodnie i ułożył się na  
niej.

- Bishop?

Głos Merryn drżał lekko. Bishop wyczuł jej lęk.

Z trudem oderwał wzrok od jej brzucha i spojrzał  
w zielone oczy.

- Nie bój się. Postaram się zrobić to delikatnie, ale nie  
wiem, czy zdołam. Już za późno, Merryn. Przykro mi.

Rozsunął szerzej jej nogi. Był już nabrzmiały, gorący  
i gotowy wnikać w jej ciało. Zdążył tylko cicho syknąć,

gdy Merryn uderzyła obydwoma łokciami na boki, wytrącając go z równowagi. Opadł na nią bezwładnie. Był zbyt wstrząśnięty, by się poruszyć. Merryn chwyciła go za włosy i zaczęła obsypywać twarz Bishopa pocałunkami.

- Wcale się nie boję, rozumiesz?

Czuł jej nagie ciało i bijący z niego żar. Był bliski spełnienia. Och, nie! Najpierw musi w nią wejść. Potem może nawet umrzeć.

- Nie boisz się?

- Nie - wyszeptała mu do ucha.

- Jesteś naga - odszepnął. - Jesteś naga i bardzo cię pragnę, Merryn. Muszę.

Chciał się podnieść, by ułożyć się dobrze między jej nogami, lecz Merryn trzymała go kurczowo za szyję i wciąż obsypywała pocałunkami jego twarz.

Przez chwilę badał językiem wnętrze jej ust.

- Twoje włosy łonowe są tak samo czerwone, jak te, które masz na głowie. Czuję cię przy sobie i to sprawia, że... muszę cię dotykać, muszę cię smakować...

Merryn drżała na całym ciele, w ogóle nie rozumiejąc, co Bishop do niej mówi. Wiedziała jednak, czego pragnie - chce czuć w ustach jego gorący język i żar jego nagiego ciała. Zdawało jej się, że dłonie Bishopa są wszędzie. Dotykał jej, rozpalając coraz mocniej. Nie

puściłaby go za nic. Nie mogła nasycić się jego ustami i ciepłym oddechem, który rozgrzewał ją aż do stóp.

- Muszę w ciebie wejść, naprawdę muszę. Nie rozumiesz, Merryn? Jeśli w ciebie nie wejdę, rozleję nasienie na ziemię.

Czuła, jak całe jego ciało dygocze. Domyśliła się, że nie może w nią wejść, dopóki go nie puści. Nie mogła tego zrobić! Kurczowe trzymanie sprawiało jej wielką rozkosz.

- Całuj mnie, Bishopie. Nie przestawaj mnie całować.

Tego właśnie pragnę. Nie przestawaj.

- Chcę pocałować twój brzuch - zadrżał Bishop, przygryzając lekko wargi Merryn. - Chcę całować twoje piersi i...

- Dobrze, ale pocałujesz mnie znów w usta, jeśli coś mi się nie spodoba?

- Przysięgam, że wszystko ci się spodoba.

Merryn puściła szyję Bishopa. Podniósł się na dłoniach i kolanach. Spojrzał jej w twarz i zobaczył wszystkie dzikie żądze, które skrywała w sercu. Wiedział, że Merryn go pragnie.

Jeszcze szerzej rozsunął jej uda. Spojrzał na nią tylko raz i wiedział już, że dłużej nie wytrzyma. Nie miał już czasu na całowanie jej brzucha ani ocieranie się policzkiem o czerwone włosy na łonie.

- Merryn - wyjął cicho. - Postaraj się to polubić  
dobrze?

Chwytał ją za biodra, zaciskając palce na delikatnej  
skórze i wszedł w nią szybkim ruchem. Krzyknął głośno  
z rozkoszy. Słyszał też przeciągły krzyk Merryn, czuł, jak  
tłucze go pięściami po torsie, lecz już nie mógł się  
powstrzymać. Przedarł się przez dziewiczy wianek  
i wcisnął aż do samego końca. Wsunął na chwilę i znów  
się w nią zagłębił. I jeszcze raz. Słyszał z oddali jej krzyki  
i piski, nie mógł się na nich skupić. Ekspłodował nagle,  
niemal tracąc świadomość. Miał wrażenie, że rozpadł się  
na drobne kawałki i mógłby w tej chwili umrzeć bez  
odrobiny żalu. Czuł się wolny, lekki i odurzony. Serce  
tłukło mu się w piersi. Opuściły go wszystkie siły i opadł  
ciężko na jej ciało. Niezmierzony pokój wypełnił mu  
serce. Ze zmęczenia zamykały mu się oczy.

Nie sądził jednak, by Merryn czuła się podobnie. Szlag.

Następnym razem sprawi, że będzie krzyczała  
z rozkoszy tak długo, aż ochrypnie.

Następnym razem.

Po chwili zapadł w głęboki sen.

Rozdz

d ia

i 1 125

W inn

n y

n m cz

c a

z s

a ie

Księciu powoli rozjaśniało się w głowie. Ból zelżał, czuł tylko ucisk w piersi, jakby ktoś uderzył go pięścią, lecz Brezia leżała na nim bezwładnie, bez ruchu.

Ledwie powstrzymał okrzyk strachu. Nie, Brecii nie mogła stać się krzywda! Strach dławił go w gardle, serce zaczęło łomotać. Otoczył ją ramionami i przytulił. Nie poruszyła się.

- Breccio.

Zaczął lekko głaskać jej plecy, zastanawiając się, jak zdołała go ocalić. Pamiętał doskonale, że otrzymał śmiertelną ranę prosto w serce. Był arogancki i chciał pokazać Brecii, jaki jest silny, wspaniały i ilu wrogów może naraz pokonać. Zarówno śmiertelników, jak i czarodziejów. A jednak się pomylił. Na wszystkie moce! Powinien być martwy, a nie jest i to dzięki wiedźmie!

Brezia go ocaliła.

Nie poruszyła się. Nie, to niemożliwe. Nie mogła przecież oddać życia za życie księcia. Nigdy by się z tym

nie pogodził. Przytrzymał ją ramionami i obrócił się powoli, aż spoczęli na bokach. Dotknął dłonią serca Brecii.

- Niech cię licho porwie, szalona wiedźmo! Pozwól sercu znów bić. Słyszysz mnie? Mam już dość tych zabaw. Niech twoje serce znów bije! - Zaczął rytmicznie przyciskać dłoń do jej serca, jednocześnie całując zastygłe wargi. - Otwórz oczy. Przecież tak łatwo się nie poddasz. Powinnaś walczyć o życie, bronić go. Jak mogłaś zrobić coś tak głupiego? Nie mieści mi się to w głowie! Breccio, otwieraj oczy albo ci przyłożę!

Poczuł pod dłonią słabe bicie jej serca i uśmiechnął się.

- Wystarczy, że pogrozę ci palcem i już mnie grzecznie słuchasz.

Otworzyła oczy. Twarz księcia była tak blisko, że Breccia widziała tylko rozmazaną plamę.

- Zabieraj łapę z mojej piersi, obłąkany czarowniku!

- Dlaczego? Czyżbym naprawdę był obłąkany? Trudno byłoby mi zaprzeczyć. Ale dłoń zostaje tam, gdzie jest.

Bardzo mi się to podoba. Chwileczkę... - Wsunął dłoń pod suknię, dotykając nagiej piersi Brecii.

Poczuł wilgoć na palcach.

Zmarszczył brwi, przetoczył Brecię na plecy i pochylił się nad nią.

- Co się stało? Dlaczego jesteś przemoczona? - Zsunął suknię z ramion wiedźmy i spostrzegł krew wypływającą z rany na jej jasnej piersi, tuż nad sercem. Och, Boże.

Wzięła na siebie jego ranę! Wiedział to już wcześniej, lecz nie mógł ścierpieć widoku krwi - jego krwi i jej krwi zmieszanych, plamiących jej gładkie ciało. Nie mógł uwierzyć, że była gotowa umrzeć, by go ocalić, że przyjęła na siebie niewyobrażalny ból.

- Ocaliłaś mnie. - Książę przycisnął dłoń do piersi Brecii. Krew przestała wypływać z ram - Wciąż cię boli, Breccio?

- Już nie tak bardzo. Tylko trochę.

Książę usiadł. Krew zaschła na piersi wiedźmy i zaczęła znikać, rozwiewać się jak sen. Wkrótce ciało Brecii było znów czyste i jasne.

- Żyję - powiedział książę. - Krew krąży w moich żyłach. Jestem znów silny, niepokonany. Już nigdy więcej nie będę się bawił w śmiertelnika.

- Wreszcie powiedziałaś coś mądrego, książę.

Uśmiechnął się słabo.

- Nigdy nie słyszałem, by wiedźma uratowała czarodzieja.

- Ja również tego nie zrobiłam. - Złapała go delikatnie za rękę. - Jak się czujesz?



- Znów jestem silny. Jestem sobą. Dlaczego pytasz?

Brecia westchnęła.

- Zawsze uważałam, że czarodziej albo śmiertelnik powinien zginąć, jeśli kogoś skrzywdzi, nie zaś wtedy, gdy wydaje mu się, że jest tak pełen mocy, że przewycięży wszelkie przeciwności. To nie jest przecież takie złe. Twoja zaś arogancja, mój książę, jest po prostu częścią ciebie. Właściwie to nawet ją lubię.

- Co zrobiłaś tym zbrojmom?

- Związałam ich wszystkich razem, przeplatając ich ręce i nogi na wszystkie możliwe sposoby! Brannecka zaś zawiesiłam w powietrzu wyjącego wniebogłosy. Nie wiem, jak długo będzie działać to zaklęcie. Może gdy zbroje się uwolnią, zdołają go jakoś ściągnąć.

- Przyszli od Mawdoora.

- Oczywiście - odparła. - Myślę, że sprawdzał naszą moc. Nie zmartwiłby się wcale, gdybyśmy zabili ich wszystkich. Jednak to, co zrobiłaś... Mawdoor może dowiedzieć się na twój temat czegoś nowego, odkryć twoją słabość.

Książę już chciał powiedzieć, że nie ma żadnych słabości, lecz westchnął tylko.

- Odkrył ją bez wątpienia. Jeśli Mawdoor obserwował całe zajście, wiedział, że głupotą jest stanąć przeciwko

napastnikom w skórze śmiertelnika. Może nawet uważa, że zginąłem? To bardzo prawdopodobne. Czarodziej nie może cię tu śledzić, prawda? Nie może wędrować myślami po lesie?

Brecia pokręciła odmownie głową.

- Wiele ryzykowałeś, wchodząc do mojego gaju. Wydaje mi się, że święte dęby wygaszają magiczną moc czarodziejów. Wyśmienicie mnie chronią.

- W takim razie dobrze zrobiłem, biorąc Callasa na przewodnika.

- Owszem. - Brecia uśmiechnęła się do niego i pogłaskała lekko jego tors. - Przeżyliśmy.

- Zgadza się. I to nie dzięki mnie. Chciałem cię rozbawić, Brecio. Chciałem, byś mnie podziwiała, zaprzepaściłem jednak wszystko, do diabła. A ty mnie uratowałaś. Dotknij mnie znów - westchnęła Brecia.

- Dotknij mojej piersi.

Jeśli istniało niebo dla czarodziejów, mógłby przysiąc, że właśnie się w nim znalazł. Wprost nie mógł uwierzyć w to, co powiedziała. Spojrzał na jasną, pełną pierś, pocałował ją i objął brodawkę wargami. Była bardzo ciepła. To ciepło rozgrzało go. Odetchnął zapachem jej ciała.

- Nikt cię jeszcze nie całował, Brecio?

Brecia wiedziała, że księżę coś do niej powiedział, lecz nie była w stanie skupić się na jego słowach.

Wstrząsały nią nieoczekiwane uczucia. Miała wrażenie, że mogłaby wzlecieć w niebo i zabrać go ze sobą. Chciała krzyknąć z rozkoszy i pragnęła, by całował ją aż do utraty przytomności.

Co się z nią dzieje?

Nigdy w życiu nie czuła się podobnie.

Od przebiegających jej ciało dreszczy niemal czuła ból w podbrzuszu i piersiach. Chciało jej się wzdychać, śmiać i jęczeć jednocześnie. Księżę bez pośpiechu muskał ją tak delikatnie, jakby jego palce były skrzydłami kolibra. Czy coś z nim jest nie w porządku? Czyżby nie czuł zupełnie niczego? Czy jest nieczuły jak pień dębu?

Poderwała się i popchnęła go na łóżko.

- Księżę... - szepnęła, zdzierając z niego ubrania.

Czarodziej leżał bez ruchu, zastanawiając się co się dzieje z Brecią. Jednak cokolwiek się działo, nie miał najmniejszego zamiaru jej powstrzymać. Jej ciało aż drżało z żądz.

Po krótkiej chwili była już naga i ocierała się brzuchem o jego męskość. Z zapamiętaniem głaskała nagi tors i płaski brzuch, po czym wsunęła się między jego nogi.

- Brecio, zwolnij trochę. Musisz zwolnić. Nie potrafię

tak jak ty...

- Cicho - ucięła i objęła jego męskość ustami.

Książę uniósł się pół metra nad łóżkiem, wraz z Brecią.

Odetchnął błękitnym dymem, który miał zapach afrodyzjaku, i położył dłonie na głowie wiedźmy.

Nigdy nawet nie wyobrażał sobie czegoś podobnego.

Teraz zaś nie był w stanie wyobrazić sobie niczego.

Brecia ujęła w dłonie jego członek. Był już tak twardy, że mógłby się przebić choćby przez czas. Usiadła na nim okrakiem, delikatnie wsunęła główkę męskości w swoje ciało, a po chwili jednym, silnym ruchem wzięła go całego.

Nie wiedziała, że zaboli. Krzyknęła z przestraczem lecz w jej krzyku, prócz bólu, słysząc było też dziką radość posiadania. Miała go wreszcie! Swojego czarodzieja, którego wybrała już dawno i którego krew płynęła teraz w jej żyłach.

Książę nigdy jeszcze nie widział tak wszechogarniającej żądzy - ni u śmiertelniczki, ni u wiedźmy. Brecia pragnęła go i bez ceregieli brała to, na co miała ochotę. Jęknął głucho. Chwyił ją za ramiona i przyciągnął, by pocałować w rozchylone usta. Poruszała się w szalonym tempie, mrużąc jaśniejące pożądaniem oczy.

- Brecio - szepnął książę. - Spróbuję dotrzymać ci

kroku.

Wsunął palce między jej uda i odnalazł nabrzmiąły pączek. Zaczął go pieścić, czując, jak Brezia emanuje mocą. Chciało mu się płakać ze szczęścia, że wreszcie należy do niego i już na zawsze pozostanie przy jego boku.

Palce księcia głaskały ją, pocierały i z każdą chwilą zbliżały ku czemuś, czego jeszcze nie rozumiała, choć czuła, że jest blisko. Dłonią głaskał napiętą skórę uda, zaś jego męskość wbijała się głęboko w jej wnętrze. Widziała to wszystko oczyma wyobraźni, czuła każdy jego oddech. Zastygła na krótką chwilę i krzyknęła na cały głos. Na ten widok księżę również osiągnął szczyt. Na bogów, czuł się spełniony! Trzymał ją mocno w ramionach, wiedząc, że wzniesli się wysoko w kłębach błękitnego dymu aż ponad dach fortecy.

Gdy Brezia doszła do siebie, nie wiedziała, gdzie się znajdują. Wiedziała tylko tyle, że nie leżą już w jej łóżku.

Księżę trzymał ją w ramionach, jego męskość wciąż znajdowała się w niej i Brezia czuła się szczęśliwa.

Czarodziej całował jej ucho, delikatnie lizał i przygryzał płatek.

- To, co zwykle robimy, Brezio, to tylko sztuczki - powiedział głębokim, dudniącym głosem. - Jednak to, co

robiliśmy przed chwilą... - ścisnął ją mocno - ...to

prawdziwa magia.

- Gdzie jesteśmy?

- Nie wiem - powiedział zaskoczony. Jednak po chwili domyślił się i był dumny ze swojej intuicji. - To nie ma znaczenia. Możemy oddychać i rozmawiać, jest nam ciepło. Czuję ciepłą bryzę.

Wciąż leżała na nim, przytulona z całych sił, podobnie jak wtedy, gdy brała na siebie jego ból i krew. Pocałowała go w usta.

- Mogłaś umrzeć, głupia więdźmo!

Brecia ugryzła go w język.

- Ach, tak - powiedziała, muskając czubkiem nosa jego twarz. - Mam przez to rozumieć, że gdybym to ja była ranna, pozwoliłbyś mi umrzeć? Nic byś nie zrobił?

- Znam mnóstwo zaklęć i potrafię robić mikstury.

Stworzyłbym coś, co uratowałoby ci życie.

- Dobrze to wiedzieć.

Oplótł Brecię ramionami, przyciągając ją bardzo blisko siebie. Byli wciąż nadzy i czuł swoje nasienie na jej brzuchu i nogach.

- Poczęłaś mego syna - powiedział księżę i przytulił ją znowu. Ścisnął ją tak mocno, że pisnęła.

- Nie połam mi żeber, wariacie.

- Wariacie? To nie ja cię posiadałem na siłę, Brecio!

Prawdę mówiąc, leżałem i zastanawiałem się, czy przeżyję, czy jednak umrę, bałem się poruszyć i miałem wielką ochotę spuścić ci lanie za to wszystko. Hm.

Nigdy nie słyszałem, by kobieta napadała na mężczyznę, by zaspokoić swą chęć.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło - odparła, lecz w jej głosie pobrzmiwała duma i dzikość. Księżę uśmiechnął się czule.

- Cokolwiek to było, może najść cię znowu. - Podniósł ją delikatnie, by ucałować jej nagie piersi. Odetchnął jej zapachem, polizał gładkie brodawki i znów przytulił mocno do siebie. - Napadaj na mnie, Brecio. Napadaj tak często, jak tylko masz ochotę.

- Dobrze - powiedziała wiedźma, uśmiechając się lekko.

- Tylko jedno mnie niepokoi, mój księżę. Niedługo wszyscy dowiedzą się, że niezbyt dobrze sobie radzisz ze śmiertelnikami. Jeden z nich zdołał nawet wbić ci sztylet prosto w serce. Rzecz zupełnie nieprawdopodobna!

- I mnie również nie mieściło się to w głowie - rzekł księżę z zadumą - dopóki nie zdałem sobie sprawy, że choć byli śmiertelni, nie byli zwykłymi ludźmi.

- Cóż to znaczy?

- Mawdoor udzielił im nieco mocy i znacznie zwiększył

ich siły i spryt. Miał nadzieję, że to wystarczy, by mnie zabić.

- Dzięki bogom, że dał im tylko tyle mocy. Naprawdę wierzysz, że jestem brzemienna, mój książę?

Brecia uniosła się na łokciach, patrząc na wargi czarodzieja. Uśmiechnął się do niej i musnął palcami policzki.

- O, tak. Mój syn mieszka już w twym łonie. Nigdy już nie zachowam się równie głupio, Brecio. Jeśli kiedykolwiek ponownie znajdziemy się w pułapce, to ja będę chronił ciebie.

Brecia poczuła nagły chłód, a może to wiatr dmuchnął jej prosto we włosy.

- Nie podoba mi się to - powiedziała, wciągając powietrze nosem. - Chcę wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Książę nie odpowiedział. Spojrzała na niego zdając sobie sprawę, że wciąż jest w niej i znów staje się twardy.

- Jesteśmy w jaskini - powiedział książę, ziewnął, przeciągnął się i stał się jeszcze twardszy niż przed chwilą. - Jesteśmy w mojej jaskini.

- W twojej jaskini? Masz własną jaskinię? Jak to możliwe? Która z jaskiń jest twoja? Nie ma jaskiń w moim gaju.

- Zgadza się. Nie ma jaskiń w twoim gaju. Tu zawsze



czułem się bezpieczny. Jaskinia nie jest rozległa, więc nigdy nie bałem się czających się w niej potworów czy wrogów. - Westchnął głęboko. - W jakiś sposób przeniosłem nas do jaskini.

- Ciepło tu. I pachnie przyjemnie. Jak kiełkująca trawa.

- Prawda. Powiałem w ciebie lekką bryzą. Czulaś ją?

- Osuszyła pot z mojego czoła. Widzę też koce, na których możemy się położyć.

- Czy zauważyłaś, że w ogóle nie dotykałem łóżka, gdy zaczęłaś ze mnie zdierać ubranie? Podniosłaś mnie z niego swym pożądaniem.

- Gdy teraz o tym myślę, to rzeczywiście, pamiętam, że wyjątkowo łatwo było mi obejmować cię ramionami - powiedziała Brecia, muskając nosem jego brodę.

Książę jest czarodziejem. Nie dziwi go nawet to, co zrobi mimochodem, w ogóle o tym nie myśląc. Prawdę mówiąc, Brecia także nie myślała o niczym. Czula, że z ich ciałami dzieje się coś cudownego, lecz nie zastanawiała się nad tym ani przez chwilę. Nie wiedziała też, że nawet w chwili zapomnienia jego wola jest od niej silniejsza.

Nagle się przestraszyła. Książę jest od niej o wiele potężniejszy. Przyznając to przed samą sobą, musiała w duchu zgodzić się, że jego pozycja jest mocniejsza.

Zupełnie jej się to nie podobało i bała się tego. Poza tym...

Czy naprawdę jest już brzemienna? Po jednym zbliżeniu?

Nie, to przecież niemożliwe! Gdy tylko wróci do swojego

gaju, zapyta najstarszego ducha, który jest wprawdzie

ślepy, lecz potrafi zajrzeć w głąb starego dębu, w strumień

ognia, w łono wiedźmy.

Książę zaczął się poruszać. Wchodził w nią rytmicznie,

długimi ruchami.

- Breccio - powiedział wprost do jej ust - zapomnij się ze

mną jeszcze raz. Może tym razem znajdziemy się

z powrotem w twojej fortecy? Jeśli chcesz, mogę tam

wysłać moje myśli.

Jego wola zabierze ich z powrotem, choć jej wola nie

zdołałaby tego dokonać. Pocałowała go i zapomniała

o całym strachu. Żądza znów rozgrzała jej ciało,

wzburzyła krew.

- Och, tak - szepnęła. - Och, tak.

\* \* \*

Obecn

c i

n e

Gdy się obudził, Bishop zapragnął Merryn z taką siłą,

że nie był w stanie znaleźć właściwych słów, które

mogłyby przekonać ją, by ponownie mu się oddała,

Przetoczył się tylko, położył na Merryn, rozsunał jej nogi i wszedł w nią gwałtownie.

Otworzyła oczy. Czowała go w środku. Nic bała się, nie czowała trwogi. Wiedziała z całą pewnością, że tym razem będzie zupełnie inaczej. Już czowała coś zdumiewającego.

Bishop stał się częścią niej samej. Był w niej głęboko i wysuwał się tylko po to, by wejść w nią ponownie.

Pocałowała go w ramię. Uniósł się na łokciach.

- Merryn? Obiecuję, że tym razem ci się spodoba.

- Wiem - odszepnęła. - Chyba już zaczyna mi się podobać.

Pocałował ją namiętnie i za każdym razem, gdy odrywał od niej wargi, opowiadał jej z najdokładniejszymi szczegółami, co zamierza z nią zrobić. Palce Bishopa przesuwały się powoli po jej brzuchu, ześlizgiwały się coraz niżej, wreszcie odnalazły punkt, którego szukały.

Merryn spojrzała na niego ze zdumieniem. Rozkosz zalała ją tak nagle, że zdążyła pomyśleć. Krzyknęła tylko głośno.

Słyszała jego ciężki oddech, przyspieszający nagle i urywający się gwałtownie. Po chwili Bishop otoczył ją ramionami, przeturlał się i usadził ją na sobie. Wciąż był w niej. Merryn nie chciała krzyczeć. Raczej wolałaby wyszeptać, jak cudownie się czuje, pozwolić fali przyjemności toczyć się i płynąć.

Położyła się na jego torsie, czując ciepłe dłonie

głaszczące jej plecy, biodra i pośladki.

- Jak się czujesz, Merryn? Podobało ci się?

- Och, tak - odpowiedziała. - Bardzo. – Była z siebie ogromnie zadowolona.

- A teraz musimy pokonać tę idiotyczną klątwę byśmy mogli się pobrać. Poczęłaś właśnie mojego syna.

Te słowa wstrząsnęły nią tak bardzo, że zastygła.

- To z pewnością niemożliwe. Skąd miałbyś to wiedzieć? Mężczyźni przecież nawet o tym nie myślą, gdy dyszą i przewracają oczami!

- Po prostu wiem. Jeśli chcesz rozmawiać o dyszeniu, to powinnaś też pomyśleć o przeraźliwych krzykach, jakie wydobywały się z twojego gardła. Prawie ogłuchłem.

Nie mogła zaprzeczyć.

- Wydaje ci się, że to twoja zasługa?

Przyciągnął ją ku sobie i całował tak długo, aż zaczęła cichutko jęczeć. Doprowadzało go to szaleństwa. Zaczęła się na nim poruszać i Bishop wiedział, że go pragnie.

- Tego z pewnością nie powinno się robić w ten sposób

- wydyszała Merryn. Bishop miał wrażenie, że tonie w nieskończonym oceanie pożądania.

- Ależ skąd, robimy to właściwie. Zaufaj mi. Krzyknij jeszcze raz, Merryn.

Merryn krzyknęła. Bishop nie pozostawał w tyle. Zanim jeszcze opadła z sił, Merryn stwierdziła, że po tym wszystkim powinna nosić w łonie co najmniej trzech synów.

Zasypiając, usłyszała kobiecy śmiech. Czyżby sama się śmiała? Nie, przecież wiedziałaby, że się śmieje. Śmiech zamilkł po chwili i znów zapanowała cisza. Merryn odetchnęła zapachem ciała Bishopa, zlizwała kroplę potu z jego ramienia i uśmiechnęła się. Równe, spokojne bicie jego serca ukołysało ją do snu.

Rozdz

d ia

i 1 126

Bishop pochylił się nad czarną dziurą, czekając na siarczasty policzek i śmiech.

Nic. Powietrze stało nieruchomo. Nic nie czaiło się w mroku, nic nie domagało się wyjaśnień.

Bishop miał ze sobą pochodnię. Podniósł ją i oświetlił wnętrze otworu. Zobaczył tylko ciemność. Poświecił głębiej - nic. Żadnej drabiny, schodów, niczego.

Był niemal gotów uwierzyć, że wszystko mu się śniło, gdy nagle pochodnia zgasła z głośnym trzaskiem, jakby ktoś zgniótł ją między potężnymi dłońmi. Bishop stał w kompletnych ciemności. Cofnął się o krok, potknął na

czymś i upadł na piaszczyste dno jaskini.

W tej chwili pochodnia zapaliła się znowu, mimo że leżała na piasku. Paliła się równie jasno jak przed chwilą, zanim zgasiły ją niewidzialne dłonie. Niewidzialne dłonie? Chyba opił się wiedźmich dekoktów! Odkąd pierwszy raz zobaczył zarysy zamku Penwyth, popadał w coraz wiek szaleństwo. Wstał powoli, podniósł pochodnię i sprawdził, o co się potknął.

Na dnie jaskini leżał do połowy zagrzebany w piasku patyk. Skąd się tu wziął? Bishop na pewno go wcześniej nie widział. Czyżby leżał ukryty pod piaskiem, a potykając się, Bishop sam wyciągnął go na powierzchnię? Z jednej strony miało to nawet sens, lecz z drugiej... Ignorując czający się na obrzeżach świadomości strach, rycerz kucnął i wetknął pochodnię w piasek. Zapadła się dobre kilkanaście centymetrów, choć pod piaskiem nie mogło być przecież nic poza litą skałą. Nieważne. Chciał się przyjrzeć patykowi.

Delikatnie otrzepał reszty piasku i podniósł lewą ręką. Dłoń zaczęła go natychmiast parzyć, jakby wsunął ją w płomień. Odrzucił patyk, roztarł palce i ból zniknął. Nie namyślając się wiele, sięgnął znów po patyk, tym razem prawą dłonią. Był ciepły. Przeklęty kawałek drewna był ciepły. Bishop nie czuł bólu, lecz

równomierne pulsowanie ciepła. Wydawało mu się, że kijek układa się w jego dłoni, jakby pasował tylko do tej i do żadnej innej. W dotyku nie przypominał niczego, z czym Bishop miał do czynienia do tej pory. Na wszystkich świętych! Wystarczyło go dotknąć, by poczuć, jak bardzo jest stary. Gdy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że „stary” nie jest właściwym słowem.

Wydawało się, jakby pochodził sprzed całych wieków, a może nawet z innego świata.

Nie był to zresztą pospolity kijek wycięty z drzewa.

Bishop zbliżył go do pochodni. Na całej długości był pięknie rzeźbiony. Widać też było wgłębienia, jakby

wcześniej

był

wysadzany

kamieniami.

Może

drogocennymi klejnotami? Rycerz nie był nawet pewien, czy pałeczka rzeczywiście jest drewniana. Nie była jednak metalowa, więc jaka?

- Bishop?

Merryn stała trzy kroki od niego.

- Popatrz, co znalazłem, Merryn.

- Co znalazłeś?

- Potknąłem się o to, gdy zgasła mi pochodnia.

Wygląda jak patyk, ale to chyba coś innego. Zobacz, tu  
chyba były klejnoty. - Podał jej tajemniczy przedmiot. -

Powiedz mi, co czujesz, gdy tego dotykasz.

Merryn wyciągnęła dłoń.

- Bardzo dobrze. Musisz go wziąć prawą dłonią.

- Dlaczego? - spytała.

- Nie wiem. Za pierwszym razem podniosłem go lewą  
ręką i mnie poparzył. Czujesz coś?

- Ciepło. Drewno jest bardzo gładkie, wydaje się  
miękkie.

- To prawda. Właśnie tak.

Merryn usiadła przy nim, wciąż trzymając patyk.

Ostrożnie dotknęła go lewą dłonią i pisnęła, jakby włożyła  
ją do wrzątku.

- Uważaj - powiedział Bishop. - Z jakiegoś powodu to  
coś nie akceptuje lewej dłoni.

- Ciekawe, co to jest? - zastanawiała się Merryn,

trzymając

patyczek

delikatnie,

jakby

był

czymś



niewymownie kruchym i cennym.

- Myślę, że to właśnie po to musiałem tu przybyć -  
powiedział Bishop.

- Dzieje się tu coś dziwnego, prawda? Coś, czego  
w ogóle nie rozumiemy.

- Owszem, i ma to coś wspólnego z klątwą. Ale  
wkrótce rozwikłamy wszystkie zagadki. Po to tu  
przybyliśmy.

Merryn w zadumie obracała w dłoni patyk pulsujący  
ciepłem. Był taki dziwny.

- Gdy byłem małą dziewczynką - powiedziała - dziadek  
pokazał mi rysunek na jakimś starym pergaminie. Nigdy  
go nie zapomniałam. Kolory były tak jaskrawe i lśniące,  
że cały obrazek wydawał się jak żywy.

Serce Bishopa zaczęło bić mocniej. Pochylił się ku niej,  
patrzając, jak powoli obraca patyk w palcach.

- Opowiedz mi o nim - powiedział cicho.

- Było tam trzech starców o długich siwych brodach tak  
gładkich, jakby dopiero co je uczesali. Wszyscy mieli na  
sobie białe szaty do kostek spięte skórzanymi pasami  
wysadzanymi klejnotami. Jeden z nich trzymał właśnie  
taki patyk, choć tamten wyglądał, jakby był zupełnie  
nowy. Lśnił jasno i krzeszał iskry, jakby jego czubek  
płonął. Starzec wyciągał patyk w przód, jak gdyby

w stronę osoby oglądającej obrazek. Dziadek pochylił się nade mną i powiedział z powagą: „To czarodzieje, Merryn. Czarodzieje sprzed wieków. Ten w środku trzyma różdżkę”.

- Czy trzymał ją w prawej dłoni?

Merryn zamknęła oczy, by sobie lepiej przypomnieć.

- Tak - stwierdziła po chwili. - Trzymał ją w prawej dłoni.

- To bardzo ciekawe. Sądzisz, że jest czarodziejska?

Taka jak na obrazku?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jakaś siła ściągnęła cię tutaj. Potem znalazłeś to. To musi mieć coś wspólnego z klątwą.

Jestem najzupełniej pewny, że kiedy szedłem tu wcześniej, nie było tego na ziemi.

Merryn zadrżała ze strachu.

- Jak możesz być tego pewien?

- Po prostu jestem. Pytanie tylko, co z nim zrobić.

Merryn wciąż obracała różdżkę w palcach, czując, jak bijące z niej ciepło wnika w rękaw jej sukni, rozgrzewa ramię. Czowała się świetnie. Po prostu wspaniale.

- Wiem, że Penwyth istnieje od wielu wieków - powiedział Bishop.

- Nie dłużej niż sto lat - sprostowała Merryn, patrząc na

niego ze zdziwieniem.

- Och, nie. Penwyth było już o wiele wcześniej. Może nie ten sam zamek, nie ten gród, ale od wielu wieków to miejsce nosi nazwę Penwyth.

- Skąd o tym wiesz?

Już miał na końcu języka: „Byłem tam wcześniej”, ale zrozumiał, że wzięłaby go za szale leńca. Jednak oczyma duszy widział to miejsce. Widział siebie jako księcia i widział Brecię. Widział wszystko niezwykle wyraźnie. Spojrzał na różdżkę w dłoni Merryn i obraz stał się jeszcze wyraźniejszy. Teraz dostrzegał nawet złote błyski w oczach Brecii.

Zamrugął gwałtownie i potrząsnął głową. Dotknął różdżki i wszystko stało się tak jasne, jakby wydarzyło się zaledwie przed chwilą. Czy należała do księcia? A może do Brecii?

- Tak dawno temu - szepnął. - To wydarzyło tak dawno temu.

- Skąd to wiesz, Bishopie? Jesteś czarodziejem?

- Nie, nie jestem czarodziejem - odparł, czując, że naprawdę nim nie jest. - Ale w jakiś sposób przeszłość przepływa przeze mnie. Nie bój się Merryn. Już nie jestem czarodziejem.

Merryn przełknęła ślinę.

- Nie boję się.

Spojrzał na nią. Czerwone włosy splotła w ciasny węzeł, jej zielone oczy były zarazem czujne i rozmarzone.

Na widok różdżki w jej dłoni poczuł dziwny ucisk w sercu. Wyglądała jak Brezia, wiedźma żyjąca przed wiekami, towarzyszka księcia. Tylko kim był książę?

W tej chwili zdał sobie sprawę, że cieszy się, iż Merryn naprawdę nie jest Brecią. Brezia żyła dawno temu. Merryn zaś jest tu, przy jego boku. Jego nasienie kiełkuje w jej łonie. Zadrżał na myśl o tym.

Bishop wziął różdżkę od Merryn i wstał. Musi dowiedzieć się więcej.

Stanął w ciemności, a światło bijące od pochodni oświetlało mu twarz. W tej chwili nie był sobą. Merryn wiedziała o tym, lecz nie bała się ani trochę. Siedząc bez ruchu, wpatrywała się w niego, gdy podniósł różdżkę nad głowę.

Sklepienie jaskini znajdowało się wcześniej tuż nad głową Bishopa. Teraz zaś wznosiło się gdzieś wysoko, poza zasięgiem wzroku. Bishop także wydawał się potężniejszy. W drgającym świetle pochodni przypominał demona z dna piekieł.

- Bishopie - powiedziała cichutko. - Wróć do mnie.

Magiczna chwila przeminęła.

Bishop był błąd jak ściana. Powoli opadł na kolana i odłożył różdżkę na niewielką skalną półkę ciągnącą się wzdłuż ściany. Merryn wyciągnęła dłoń, by dotknąć różdżki, lecz cofnęła ją po chwili.

- Muszę to przemyśleć - wyjąkał Bishop.

Wyciągnął dłoń, a Merryn dostrzegła w jego oczach płomień pożądania. Patrzył na nią przenikliwie, choć zdawało się, że jej nie widzi. W jego oczach czaiła się ta sama żądza, którą widziała w nocy. Całkowicie pozbawiająca go kontroli. Merryn uniosła suknię i rzuciła się do ucieczki.

\* \* \*

W inn  
n ym cz  
c a  
z s  
a ie

Brecia rozmyślała intensywnie, przekładając w palcach ogniwa złotego łańcucha.

- Mawdoor posłał tych ludzi - powiedziała po chwili. -

Były wśród nich kobiety, których zadaniem było cię ukoić w razie potrzeby.

- Masz rację. - Książę ogryzał udko kuropatwy

upieczone nad jednym z ognisk. Wiedział, że ludzie Brecii

kryją się w lesie, na wypadek gdyby ich potrzebowała.

W obrębie fortecy przebywały tylko duchy. Siedziały wokół ognisk i uważnie wszystko obserwowały. Brecia podała mu drewnianą miskę z zupą, w której wypatrzył marchew, kapustę i brukiew.

- Zamierzasz jeść przez następny miesiąc?

Księżę uśmiechnął się wesoło.

- Wykończyłaś mnie, Brecio. Jestem tylko czarodziejem. Muszę odzyskać siły.

Rzuciła w niego śliwką. Złapał ją zręcznie i wpakował do ust.

- Ach, co za zapach! Przepyszna śliwka.

- Musimy go pokonać, księżę. Nie możemy pozwolić, by w dalszym ciągu prześladował całą okolicę. Prawie mu się udało cię zniszczyć. Pewnie później zdobyłby mnie siłą.

- Myślę o tym, Brecio.

- Nie, nie myślisz. Myślisz o moim nagim ciele. Wiem, bo widzę, z jaką pasją oblizujesz tę wstrętną śliwkę!

Księżę rzucił w nią pestką.

- Ty także powinnaś coś zjeść - stwierdził.

Brecia spacerowała po komnacie. Przechodząc obok stołu, chwyciła garść jagód tarniny z przepięknej, bardzo starej szklanej miseczki i wrzuciła je do ust. Nagle

zatrzymała się w pół kroku.

- Wiem, co musimy zrobić - powiedziała. Odetchnęła głęboko. - Wiem, co zrobimy.

Książę

usłyszał

dziwny

dźwięk

dobiegający

z dziedzińca. Wiele głosów mruczało jednocześnie i harmonijnie. Delikatny dźwięk lekko pulsował.

- To moje duchy - powiedziała Brezia, przechylając głowę. Jej niezwykle włosy opadły na bok. – Są bardzo zadowolone. Czy to nie dziwne? Myślałam, że chcą, bym pozostała nieskalana, lecz myliłam się. Cieszą się, że jesteś tu ze mną.

- Czy cieszą się także z tego, że mój syn rośnie w twoim łonie?

- O, tak - powiedziała. – Bardzo.

Książę uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Powiesz mi, co wymyśliłaś w związku z Mawdoorem?

Zjadła jeszcze kilka jagód i powiedziała:

- Wyruszmy o zmroku.

- Powinienem zdjąć ubranie?

- Dlaczego miałbyś to robić?

- Skoro wiesz już, co musimy zrobić z Mawdoorem, to nie muszę więcej o tym myśleć i mogę się z tobą swobodnie kochać.

Brecia odwróciła się, zacisnęła dłonie i otworzyła je gwałtownym ruchem, uśmiechając się do niego zza rozpostartych palców.

Książę był nagi.

Zaczęła się śmiać, gdy dotarło do niego, że siedzi otoczony talerzami pełnymi jedzenia, bez żadnego ubrania, tylko z nożem przypiętym do przedramienia.

- Najpierw skończ posiłek, mój książę. Widzę teraz jak dobrze wpływa na ciebie jedzenie – powiedziała

i roześmiała się znów, gdy książę swobodnie usadowił się po turecku wśród talerzy. Przez kilka chwil zastanawiał się, co wybrać, wreszcie wziął kawałek pieczonego jeża.

Jedząc, nie spuszczał z niej wzroku. Widząc piękne, silne ciało księcia, Brecia podeszła do niego. Czowała pożądanie

tak silne, że nie była w stanie go ukrywać ani mu zaprzeczać. Uśmiechnął się do niej leniwie, mrugnął dwa razy i ubranie Breicii także zniknęło. Zrobił dla niej trochę miejsca między przepiórkami a zającem.

- Jestem wymagającym czarodziejem - powiedział. -

Musisz dbać także o swoje siły.



Karmił ją i pieścił, tak jak i ona pieściła go między  
kęsami jedzenia. Powietrze wokół nich nasyciło się  
zapachem mięsa i błękitnym dymem.

Słodko pachnący dym wypłynął na dziedziniec, gdzie  
siedzące

przy

niewielkich

ogniskach

duchy

wyśpiewywały swoje harmonijne pieśni. Ciche dźwięki  
unosily się pomiędzy gałęziami starych dębów. Noc była  
spokojna i bezpieczna.

Rozdz

d ia

i 1 127

W

W inn

n y

n m cz

c a

z s

a ie

Mawdoor nie śmiał się tak głośno od bardzo dawna.

Ostatnim razem śmiał się piętnaście lat temu, gdy jego na

wpół obłąkana babka oddała mu dwa życzenia w zamian za wyrwanie serca z piersi jej wroga. Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy starej wiedźmy, gdy wypowiedział drugie życzenie. Życzył sobie, by z zawiązanymi oczami weszła w głąb tego dębowego gaju i została w nim na wieki.

Zdawało mu się, że jest niesłuchanie przebiegły.

Czekał, pękając z dumy, na to, co powie babka. Nie powiedziała ani słowa, lecz również nie poszła do dębowego gaju. Za karę na pełne trzy miesiące pokryła jego twarz ohydną purpurową wysypką. I choć na jego widok wszyscy z obrzydzenia odwracali wzrok, było warto.

Czarownik raz jeszcze spojrzął na ludzi, których wysłał za księciem. Leżeli powiązani wszyscy ze sobą,

poprzeplatani

ramionami

i

nogami,

w

bardzo

niewygodnych, krępujących pozycjach. Nie mógł przestać się śmiać. A Branneck? Spójrzcie tylko na niego! Wisi w powietrzu i wrzeszczy jak opętany, wciąż ściskając w dłoni sztylet. Mawdoor miał nadzieję, że naprawdę

zabił księcia Balanthu.

Jeszcze niedawno czarownik zarzekał się, że chce tylko spokojnie żyć i nie zawadzać innym. Nie zdecydował się na tę koncepcję z przekonania. Po prostu doszedł do wniosku, że wcale nie tak łatwo będzie zabić księcia Balanthu.

Jednak wszystko uległo zmianie, gdy ujrzał Brecię, wiedźmę z dębowego lasu, na której widok stawał się równie twardy jak magiczny diament w jego skarbcu, którego szlifowane ściany były pokryte niezrozumiałymi dla Mawdoora symbolami, Domyślił się też od razu, że księżę również jej pragnie.

Teraz musiał już chcieć jego śmierci.

Wiedział, że Brecia wzięła księcia - żywego bądź umarłego - do swojej fortecy w głębi dębowego lasu. On sam nigdy nie widział tego miejsca, Słyszał o nim tylko opowieści krążące w mrokach nocy.

Czarownik z westchnieniem przyznał, że powinien był dać swoim wysłannikom więcej mocy. Natychmiast jednak odrzucił tę myśl. To nie byłoby rozsądne.

Śmiertelnicy szybko zmieniają się w bestie, gdy tylko mają możliwość. Przez całe lata obserwował, jak obdarzeni choćby maleńką iskrą magicznej mocy śmiertelnicy próbują od razu rozedrzeć ziemię na strzępy

i przynieść zgubę całej ludzkości. Nie można ufać

śmiertelnikom, ich słowa nic nie znaczą.

Branneck nie przestawał wrzeszczeć, jak to ugodził księcia w serce i zabił drania, aż Mawdoor wbił ten sam sztylet w szyję starca, by go wreszcie uciszyć. Jako że pozostawianie przy życiu świadków, którzy zawiedli i nie dopełnili misji, nie było rozsądne - po chwili zabił także pozostałych trzech mężczyzn.

Zanim Branneck wyzionął ducha, zaklinał się, że księżę nie mógł przeżyć rany zadanej prosto w serce, zwłaszcza że sztylet był zatruty. Zarzekał się, że to ta przeklęta kobieta związała trzech zbirów ze sobą, jego samego zaś zawiesiła w powietrzu, jakby był jakimś trzmielcem albo czymś w tym rodzaju. A skoro już mowa o przeklętych kobietach, to trzy jego towarzyszki nie pomogły w niczym. Wręcz przeciwnie, stały tylko, gapiły się i chichotały. Jedna z nich nawet pomachała do Brecii, jakby w podziękowaniu. Gdyby Branneck mógł, zabiłby je wszystkie.

Czy Brecia mogła jakoś ocalić księcia? Mawdoor długo stał, pocierając podbródek i patrząc beznamiętnie na martwych śmiertelników. Widział jak na dłoni, że to wiedźmia robota i że księżę nie maczał palców w zaplątywaniu ciał ani w wieszaniu Brannecka

w powietrzu.

Czarownik

zabrał

trzy

niewiasty

do

Penwyth

i podarował je swoim starcom, którzy niestety nie pamiętali, co się robi z tak wspaniałym darem, wiedzieli tylko, że powinni być uszczęśliwieni. Wzdychali smutno, szukając w pamięci wspomnień rozkoszy.

Zanim zapadła noc, starcy bili pokłony trzem kobietom i pieścili je na wszelkie możliwe sposoby. Staruszki mieszkające w zamku patrzyły ze śmiechem, jak trzy młode niewiasty wciąż dopominają się coraz to nowych darów i karesów.

Mawdoor zaś doszedł do wniosku, że z czasem i tak się dowie, czy księżę zginął, czy przeżył. Nie mógł przecież wejść do dębowego gaju, by to sprawdzić. Domyślał się, że gdyby spróbował się wedrzeć do sanktuarium Breccii, mogłoby mu się przytrafić coś bardzo nieprzyjemnego.

Wszyscy w okolicy wiedzieli, że w lesie mieszkają bardzo stare duchy. Przez chwilę zastanawiał się, czy duchy wiedzą, co by się z nimi stało, gdyby postanowiły

opuścić gaj Brecii.

Ludzie mawiali, że większość duchów pozostaje  
w lesie, ponieważ swoją moc czerpią ze starych drzew,  
układając monotonne melodie przypominające szelest liści  
w lekkim nocnym wietrze. Przejrzyste ciała duchów  
wyglądały  
jak  
utkane  
z  
księżycowego  
światła  
przenikającego gęste gałęzie.

Mogły one ochronić Brecię nawet przed potężnym  
czarodziejem, który pragnął jej od... Mawdoor zdał sobie  
sprawę, że dopiero od zeszłej wiosny, gdy ujrzał ją  
w świętym kamiennym kręgu. Dziwne. Zdawało mu się,  
że to już tak długo. Wcześniej słyszał wiele historii  
o Brecii. Gdy była małą dziewczynką, niepewną jeszcze  
swej mocy, pilnie uczyła się od wszelkich duchów i od  
samych źródeł mocy - kamiennych kręgów. Podobno  
pewnego herszta zbójców zamieniła w dwugłową kozę  
cierpiącą na nadmiar mleka za to, że zabił dziecko, które  
przypadkiem stanęło mu na drodze. Mawdoor długo śmiał  
się z tej historii.

A potem ją zobaczył. Nie była już małą dziewczynką.

Zaklął szpetnie na cały głos i od razu poczuł się trochę lepiej. Książę. Ten drań powinien zginąć! Czarownik odkrył ze zdziwieniem, że nigdy nie słyszał imienia księcia. Wszyscy, którzy z nim rozmawiali, zwracali się do niego „książę” i mówili to z uwielbieniem, czcią, a nawet grozą. Gdy książę leżał jeszcze w kołysce, jego matka rzekła do Mawdoora:

- Przywitaj się z moim małym księciem. Czyż nie jest doskonały?

Mawdoor ledwie spojrział na ten strzęp czarodzieja i natychmiast znienawidził go z głębi serca. Teraz zaś traktuje się księcia z największym szacunkiem i to jest chyba najgorsze. Na samą myśl o tym ścisnął mu się żołądek.

Za to on ma wspaniałe imię, imię, które przetrwa wieki i będzie budziło grozę w przyszłych pokoleniach.

Mawdoor z Penwyth. Imię nadała mu matka, potężna czarownica. Ojciec nie dał mu niczego, gdyż był straszliwym demonem. Nauczyciele często powtarzali mu, że ostre zęby ojca wciąż ociekają ludzką krwią. Prawdę mówiąc, czarownik nie dbał ani trochę o ludzką krew, choć musiał przyznać, że ojca spotkał straszliwy koniec.

Sam czuł się bardziej podobny do matki - był potężny,

uparty i cierpliwy.

Zaczeka. Prawdę mówiąc, nie może uczynić nic innego.

Czy jeśli księżę umrze, Brezia domyśli się, że to Mawdoor opłacił zabójców? A jeśli tak, to co zrobi? Czy kochała księcia?

Nie, z tym nigdy by się nie pogodził! Brezia była przeznaczona tylko i wyłącznie jemu. Przecież dla niej przygotował swoją fortecę. Penwyth tylko czeka, by otoczyć ją mrokiem, usidlić i uwięzić na wieki. Mawdoor będzie ją trzymał w ciemnościach, wychowywał swoje dzieci i wnuki, dopóki sam czas nie ugnie się pod ciężarem lat. Nikt inny nie może jej posiadać. Nikt.

Jeśli chodzi o magiczną moc, wiedział, że Brezia może się z nim mierzyć. Jednak w modlitwach szeptanych do mrocznej siły, która wysłuchuje czarnoksiężników, upewniał się tylko, że Brezia powinna należeć do niego.

A jednak uciekli mu. Na myśl o tym wciąż ogarniała go wściekłość. Nie miał pojęcia, jak zdołali roztrzaskać bańkę, nie da się jednak ukryć, że znaleźli jakiś sposób.

Czy przeklęty księżę nie żyje?

\* \* \*

Przeklęty księżę musnął wargami ucho Brecii. Jego oddech był jeszcze cieplejszy niż poprzedniej nocy, gdy lizał tę śliczną muszlę, aż zaczęła cicho śpiewać razem



z duchami. Nawet nie patrząc na niego, wiedziała, że księżę doskonale zdaje sobie sprawę, że jednym dotknięciem, musnięciem oddechu, drobnym ruchem dłoni, wzbudza w niej słodkie, pulsujące pożądanie. Zapewne uśmiecha się, pękając z dumy... Przekląły czarodziej!

- Powiedz, co masz do powiedzenia, i przestań się bawić w te gierki - fuknęła Brezia, odsuwając się odrobinę, by zapanować nad narastającą żądzą. Co się z nią dzieje?

- Kochasz mnie, Brecio - powiedział księżę triumfalnie. Jego oddech wciąż omiatał ucho Brecii, zaczęła więc tupać delikatnie, by odwrócić uwagę od pieśczoły.

- Masz mózg niewiele większy niż ropucha. Nie wiesz nic.

- Wiem, że musiałaś ocalić mi życie, by zrozumieć, że mnie kochasz, by rozpoznać tę miłość w swoim sercu i poddać się jej. Kiedy moi rodzic się dowiedzą, że niemal oddałem życie, by cię zdobyć, będą przerażeni moją niefrasobliwością.

Zapewne  
stwierdzą,  
że  
jestem

wspaniały. - Zmarszczył brwi. - Cóż, od zawsze tak uważają.

- W ogóle nie masz racji, głupcze.

Książę tylko pokręcił głową i spojrzał na nią uważnie.

Było to trudne, niemal bolesne, lecz nie odwracał wzroku.

- Jesteś wyjątkowo brzydka, Brecio. Prawdopodobnie brzydsza niż trzeba. Twoja głowa wygląda koszmarnie.

- Staralam się, jak mogłam. Mawdoor na pewno nas nie rozpozna, zobaczysz. Sądzisz, że to ja jestem brzydka?

Gdyby w pobliżu był staw i uległbyś pokusie, by spojrzeć na własne odbicie, pewnie padłbyś martwy ze zgrozy.

Książę tylko się uśmiechnął i pogłaskał palcem ucho Brecii.

- Będę opowiadał tę historię naszym wnukom  
prawnukom. Historię o tym, jak wiedźma Brecia stała się  
tak brzydka, że tylko niezwykła siła woli pozwalała mi  
patrzeć na nią i nie uciekać z wrzaskiem.

- Stoimy u bram Penwyth, a ty opowiadasz o naszych  
wnukach. Skup się wreszcie, książę. Zapomnij o gierkach.

Przez moment wyglądał, jakby cierpiał, starając się  
zachować powagę. Po chwili uśmiechnął się do niej

w milczeniu. Jej książę, którego pragnęła mimo  
niechlujnej siwej czupryny i gęstej sieci zmarszczek  
przecinających pospolitą twarz. Pragnienie okazało się

czymś najzupełniej wyjątkowym, zwłaszcza że nikt jej nie ostrzegł ani nie wytłumaczył, co będzie czuła.

- W porządku - powiedział. - Powiedz mi, jakie mamy plany wobec Mawdoora. Bardzo krwawe? Tak bolesne i okrutne, że wystrzelą w niebo wszystkie ogniska twoich duchów? - Westchnął. - Nie, przecież wcale nie jesteś finezyjna.

Pewnie

chcesz,

bym

przybił

jego

czarnoksiężskie przyrodzenie do ziemi, czyż nie?

Brecia pokręciła głową.

- Zobacysz. Najpierw najważniejsze. Spójrz na mnie, książę. Czy widzisz starą kobietę, równie pomarszczoną i kościstą jak twoje własne uschnięte dłonie?

- Niestety tak. Gdy na ciebie patrzę, włos jeży mi się na głowie. A jednak Kocham każdy szczerbiały ząb w twoich ustach.

- Duchy zdradziły mi, że Mawdoor ma specjalną złotą skrzynkę,

w

której

przechowuje

wizje

swojego

demonicznego ojca. Podobno są tak straszliwe, że

Mawdoor trzyma je w ukryciu.

- Zdaje mi się, że kiedyś o tym słyszałem. Co jeszcze  
powiedziały twoje duchy?

- Powiedziały, że jeśli otworzy się skrzynkę, Mawdoor  
zostanie zwabiony i wchłonięty przez starą okrutną wizję  
ojca, którą wyśnił wieki temu, i za jej pomocą miał  
zładzić swojego wroga. Z takiej wizji nawet czarodziej  
nie jest w stanie się wydostać.

- Czy Mawdoor w niej zginie?

- Nie wiem. Duchy twierdzą, że jeśli zostanie  
wchłonięty, pozostanie tam już na zawsze.

- Dobra robota, Breccio - pochwalił księżę, zacierając  
pomarszczone, pokryte starczymi plamami dłonie. - To  
będzie doskonała kara. Krew, którą przelewał, woła  
o pomstę. W najokrutniejszy sposób zabił wielu  
śmiertelników, a co najgorsze, uważa, że stoi ponad  
prawem natury, nad wszelkim stworzeniem. To, jak sędzę,  
jest najbardziej w nim niebezpieczne.

- Rozumiem. Musimy odnaleźć i otworzyć tę skrzynkę.

- Breccia spojrzała na starca gapiącego na nich ze szczytu

mur.

- Wysłuchaj mnie, cny strażniku! - zawołała drżącym starczym głosem. - Wraz z tym oto moim mężem pragniemy pomówić z Mawdoorem.

- Nazywam się Supney i strzegę bramy w piątki. To ja decyduję, kto wejdzie do Penwyth, a kto nie przekroczy naszych murów. To ja wydaję rozkazy. Teraz zaś mówię: nie będzie żadnego gadania z panem i mistrzem.

Odejdźcie. Spójrz tylko na siebie, starucho. Na widok twej twarzy cierpnie skóra na plecach. Mój pan Mawdoor nie ma czasu dla kogoś tak odrażającego jak ty.

- Mój mąż jest równie odrażający, dlaczego nie wskażesz na niego?

- Precz! - krzyknął Supney. - I zabierz ze sobą tego starego capa.

- Musimy porozmawiać z lordem Mawdoorem.

Potrafimy wiele i jeszcze więcej. I o tym właśnie chcemy porozmawiać z panem.

- Zamknij się wreszcie, nie chcę cię więcej słyszeć.

Precz! Nie macie tu czego szukać.

Rozdz

d ia

i 1 128

Spokojny, znudzony głos Mawdoora rozległ się nagle

tuż obok nich:

- Cóż takiego potraficie, staruchy? Wiele i jeszcze

więcej czego?

- Kto mówi? - Brezia wykonała pokracyjny piruet.

- To pan i mistrz - odpowiedział Supney i również się rozejrzał. Już wiele razy był świadkiem tej sztuczki, wciąż jednak przerażała go bezgranicznie.

- Czy to naprawdę ty, panie Penwyth? Słynny czarodziej, który panuje nad okolicą?

- Owszem, to ja - odparł Mawdoor. Jego głos nie był już tak znudzony. Nagle pojawił się przy boku Supneya na szczycie murów. - Cóż takiego potrafisz, kobieto?

- Przewiduję, mój panie - odparła tak cicho, by musiał mocno nadstawić uszu. - Widzę rzeczy, których inni nie dostrzegają. Mogę też sprawić, że coś się wydarzy.

Mawdoor wstrzymał na chwilę oddech. Książę i Brezia usłyszeli to i wiedzieli, że złapał haczyk. Wiedźma powiedziała jeszcze ciszej:

- Służyłam wiedźmie z dębowego lasu. Słyszałam, że pragniesz jej, panie, lecz nikt nie może wejść do dąbrowy pod groźbą utraty życia. Widzę, gdzie się wiedźma ukrywa, widzę, co robi. Wiem też, jak ją wezwać - wyszeptała na koniec tak cicho, że tylko Mawdoor mógł ją słyszeć.

- Jak to robisz?

- Ten oto starzec, mój mąż, trzyma mnie za głowę i lekko ściska. Im mocniej ściska, tym ostrzej widzę różne rzeczy i tym lepiej rozumiem, co muszę zrobić, by osiągnąć to, czego pragnę. Nie sądzisz, panie, że moja głowa jest już zbyt wąska i długa?

- Owszem. Jesteś okropnie brzydka, kobieto. Nos sterczy ci straszliwie.

- Spodziewam się, że zanim przeniosę się do lepszego świata, moja głowa będzie tak wąska, że na twarzy zmieści mi się tylko jedno oko.

Mawdoor roześmiał się. Starucha może wywabić Brecię z lasu? Do niego? Czarownik zaczął spacerować wzdłuż murów. Stary Supney odskoczył mu z drogi, choć Mawdoor chodził tak szybko, że sługa nie mógł go widzieć. Słyszał go jednak wystarczająco dobrze.

Po chwili Mawdoor ukazał się znowu, w pełni swojej przystojnej postaci.

- Powiedz, kobieto - krzyknął - dlaczego miałabyś to dla mnie zrobić?

- Matka Brecii chciała ją za ciebie wydać, lecz duchy sprzeciwiły się temu, śpiewając i mruczając bez wytchnienia, że nie można na tobie polegać, że zniszczysz ją, zamkniesz ich panią w czarnej wieży i będziesz ją

w niej trzymał po kres czasów.

- Nie sięgałem myślą aż tak daleko w przyszłość -

zachnął się Mawdoor.

- Duchy pragną, by księżę Balanthu ożenił się z Brecią

- skrzekliwie zapewniła wiedźma. - Ufają mu, a ze

względu na potężną moc jego rodziców sądzą, iż jest

godny czci i szlachetny. Podbił je swymi fałszywymi

uśmiechami. Kiedy widzę, jak się przechadza po

dębowym gaju, jakby rzeczywiście czuł się jak jego

odwieczny mieszkaniec, wywracają mi się wnętrzności.

- Księżę prawdopodobnie już nie żyje - wtrącił

Mawdoor, mruczając pod nosem modlitwy do

wszystkich znanych mu bogów, by tak istotnie było.

- Ależ skąd! Wczoraj wieczorem napychał brzuch

pieczonym jeżem i tańczył w rytm skocznej pieśni

duchów. On mi się w ogóle nie podoba. Uważa, że

błogosławiły go same święte kamienne kręgi, uważa się za

czarodzieja przewyższającego mocą wszystkich innych.

Powinien cierpieć za żądzę, którą pała ku Brecii. Nie jest

jej godzien. Matka Brecii miała rację - tylko ty, panie,

możesz stanąć u jej boku.

- Wszystko, co mówisz o księciu to szczerą prawdą -

westchnął teatralnie Mawdoor. - Słyszałem, że jest tak

zadufany w sobie, że spędza większą część każdego dnia,



wpatrując się we własne odbicie. I nie mylisz się co do mnie, starucho. Nie jestem taki, za jakiego uważają mnie duchy. To właśnie mnie można zaufać. To prawda, że moja babka zwykle zjadała baraninę, zanim jeszcze zdążyła się choćby podgrzać nad ogniem, lecz trzeba jej przyznać, że była czarownicą równie potężną jak Brecia. Z Brecią przy boku mógłbym dokonać wielkich rzeczy, władać światem i nagiąć go do mej woli. Powiedz jednak, czego żądasz w zamian za sprowadzenie do mnie Brecii.

- Przeniesiesz mnie i mego męża do świętego kamiennego kręgu. Chcę dostać się do środka potężnych gładów.

- Wiesz przecież, że kamienne kręgi otwierają swe podwoje tylko dla czarodziejów i wiedźm - odparł Mawdoor. - Nie wpuszczą zwykłych śmiertelników, nawet tych, którzy mają iskrę magii w swojej wąskiej głowie.

- Owszem, słyszałam, ale tego właśnie pragnę. Muszę się dowiedzieć, skąd one się wzięły. Musiało się wydarzyć coś przedziwnego i nawet najpotężniejsi czarodzieje nie potrafią tego wyjaśnić. Chcę rozwikłać tę zagadkę. Gdy stanę pośrodku tajemnego kręgu, otoczona prastarymi gładami, zaś mój mąż ściśnie mi głowę, wiem, że odpowiedź na to pytanie na pewno do mnie przyjdzie.

Wiem to.

- Mylisz się - oburzył się Mawdoor. - Nikt nigdy nie pozna pochodzenia kamiennych kręgów. One powstały, jeszcze zanim uformowała się ziemia i zanim ruszyły tryby czasu. Jeśli jednak tego właśnie pragniesz, przeniosę was do kamiennego kręgu. To dla mnie pestka. Musisz jednak wiedzieć, że taka podróż może was zabić.

Rozerwać strzępy.

- Czy byłeś tam, mój panie?

Mawdoor spojrzał na odrażającą staruchę, i na jej długą, wąską głowę i zdecydowanie za długi nos. Jeśli rzeczywiście ścisnąć głowę sprawiło, że stała się tak odrażająca, równie dobrze może sprawić, że Brezia pojawi się przed nim.

- Byłem tam. Właśnie w kamiennym kręgu po raz pierwszy ujrzałem Brecię i zapragnąłem jej.

- Tam również pierwszy raz ujrzał ją książe Balanthu.

Duchy twierdzą, że był nią tak zachwycony, że wyciągnął się na jednym z głazów, wsparł głowę na dłoni i oświadczył, że mógłby tak do końca świata leżeć, podziwiać jej urodę i słuchać dźwięcznego głosu.

Mąż staruchy zacharczał głośno, zasłaniając usta rękami. Żona stęknęła i z całej siły walnęła go między łopatki, niemal obalając starca na ziemię.

- Nie wiem, czy leżał na głazie, czy też nie - burknął

Mawdoor. - Książę nie żyje. Musiał umrzeć. Sztylet ugodził go prosto w serce, a ostrze wzmocnione było odrobiną magii i nasączone trucizną, zatem musiało przebić się przez jego czarodziejską tarczę.

Pod nogami starca nagle zatrzęsła się ziemia. Żona lekko ścisnęła go za ramię.

Mawdoor niczego nie zauważył.

- Ależ on żyje - upierała się starucha. - Moja pani uratowała go, niemal sama tracąc przy tym życie. Nie miała jednak wyboru. Narażając siebie i cały dębowy gaj, jednak go uratowała. Skoro nie oddała go śmierci, zamierza wyjść za niego. Będzie jego żoną, jeśli nie zdołasz zdobyć jej pierwszy.

Mawdoor przez chwilę się namyślał. Nie widział żadnego ryzyka. Bez trudu odeśle te dwa relikty przeszłości do kamiennego kręgu. Z pewnością zginą, lecz to nie miało dla niego najmniejszego znaczenia. Wreszcie skinął głową.

- Supney wpuści was do twierdzy.

Starucha ukloniła się nisko i szepnęła, wiedząc, że

Mawdoor słyszy ją doskonale:

- Jesteś potężnym, wielkim czarodziejem, mój panie.

Tylko ty jesteś godzien Brecii. Dostanie, wszystko, na co

zasługujesz.

- Owszem - przytaknął Mawdoor. - Dostanę.

Ogromna brama otwarła się bezszelestnie. Książę szepnął do ucha Brecii:

- Wolałbym być niewidzialny. Mógłbym wtedy dotknąć twoich piersi i nikt by tego nie dostrzegł. Gdybyś jeszcze i ty była niewidzialna, pieszcząc cię, nie musiałbym oglądać twej szkaradnej twarzy.

Oddech

Brecii

wyraźnie

przyspieszył.

Książę

uśmiechnął się, spoglądając na Mawdoora. Czarownik stał na szczycie schodów do czarnej wieży. Dłonie wspierał na biodrach.

- Bądź ostrożna, Brecio - szepnął książę poważnie.

Obydwoje bądźmy ostrożni. On na pewno wyczuje naszą moc magiczną. Prawdopodobnie nie będzie zaskoczony, skoro go o tym poinformowałam, mimo to lepiej uważać. Jak myślisz, książę, czy Mawdoor będzie chciał samodzielnie ścisnąć moją głowę i całować długi nos?

Książę zaniósł się chrapliwym kaszlem, by ukryć

wybuch śmiechu.

Brecia rozejrzała się po dziedzińcu i doszła do wniosku, że obydwójce pasują tu doskonale. Wokół twierdzy kręcili się sami starcy, zgarbieni i pomarszczeni tak, że zaczęła się zastanawiać, czy są starsi niż niektóre z jej duchów.

Jak zdołali dożyć tak sędziwego wieku?

W Wielkiej Sali dostrzegła trzy niewiasty, które dwa dni wcześniej były w grupie fałszywych pielgrzymów.

Siedziały na fotelach otoczone usługującymi im starcami.

Jeden z nich podawał jedzenie na tacach, drugi podszedł z miską pachnącej wody w trzęsących się ze starości rękach, trzeci okrywał nogi kobiet ciepłymi kocami.

Mawdoor zniecka pojawił się tuż przed Brecią i jej towarzyszem. Chciał ich zadziwić, a może nawet wystraszyć. Brecia uśmiechnęła się odrażająco, a na widok tego uśmiechu zadrżał.

- Ile czasu zajmie ci wywabienie Brecii z dębowego gaju?

- Nie potrafię tego określić, zanim spojrz w pełną tarczę księżycy, mój panie. Księżyc będzie w pełni już jutro, a wtedy mąż ściśnie mą głowę, zaś wszystkie sekrety potrzebne do sprowadzeni tu Brecii same popłyną z mych ust. Zjem trochę dzikich jagód, by mój oddech był równie słodki jak tajemnice, które ci zdradzę.

- Jeśli mnie zwodzisz, starucho, zginiesz, a wraz z tobą zginie twój mąż. Zaczekam do jutra, aż wszędzie księżyc, ani chwili dłużej. Zanim to jednak nastąpi, powinniście się trochę rozruszać. Posprzątajcie fortecę.

Pstryknął palcami i zniknął.

- Mawdoor uwielbia sztuczki - powiedział książę.

Przeciągnął się i rozejrzał po Wielkiej Sali - Przynajmniej nie będzie próbował cię uwieść. Mówię zupełnie serio.

Nie mógłbym cię okłamać Brecio, jesteś odrażająca.

- Przyganiał kocioł garnkowi. Nie mów tak głośno.

Jedna z tych kobiet mogła cię usłyszeć.

- Masz rację. - Książę spojrzał w oczy kobiety, ciekawskie i podłe, i powoli kiwnął głową. Niewiasta zamrugała gwałtownie, uśmiechnęła się po czym poklepała łeb leżącego u jej stóp wilczura

- Przynieś mi piwa! - krzyknęła.

Książę przez chwilę się zastanawiał, czy przypadkiem nie jego miała na myśli, lecz zauważył innego starca z drewnianym kuflem w drżącej dłoni pędzącego ku nim na miarę swych skromnych możliwości.

- Nikt nas nie rozpoznaje - powiedział książę do Brecii.

- Rodzona matka by cię nie poznała - odparła wiedźma.

- Chodźmy posprzątać komnatę Mawdoora.

- Chętnie. Ciekaw jestem, jak ją urządził. Masz pomysł,

gdzie może trzymać tę szkatułkę?

- Jeden stary duch powiedział mi, że kiedyś ją widział.

W zamku tkwił klucz. Powiedział, że skrzynka jest bardzo stara, nieduża, prawdopodobnie złota i cała wysadzana klejnotami. Pewnie jest dobrze ukryta, więc spróbuj ją sobie wyobrazić, żebyś mógł ją odnaleźć.

- Przedemną nic się nie ukryje - prychnął książę, idąc za Brecią po drewnianych schodach na piętro.

- Pamiętaj, że musisz chodzić powoli i powłóczyć nogami - szepnęła Brecia, patrząc na niego przez ramię.

Poczuła bijący od księcia żar. Ach, więc wciąż jej pragnie? Dodała kolejną zmarszczkę do kolekcji, odwróciła się i uśmiechnęła szeroko, ukazując cztery poczerwiałe zęby.

Koniec z żądzą na dziś, pomyślała, chichocząc w duchu.

Nagle rozległ się głośny trzask, jakby ściany twierdzy zaczęły się kruszyć.

Brechia zamarła, czując, jak drewniane stopnie drżą pod jej stopami.

Rozdz

d ia

i 1129

Obecn

c i

n e

Przez chwilę Bishop z niedowierzaniem patrzył za uciekającą Merryn, po czym rzucił się za nią w pogoń. To niemożliwe, że dziewczyna wciąż się go boi! Wybiegł z jaskini i aż się przygiął, gdy Merryn zniechęta wskoczyła mu na plecy.

Śmiała się. Śmiała do rozpuku, całując jego uszy i ciągnąc za włosy. Serce niemal wyskoczyło Bishopowi z piersi. Gdy Merryn zeskoczyła na ziemię, szybko chwycił ją w ramiona.

- Nieziemsko cię pragnę - wydyszał.

- Wiem - uśmiechnęła się Merryn. - Wiem, Bishopie. -

Doskonale rozumiała jego pośpiech i przepelniającą go żądzą. Wiedziała, że jego czynami kieruje klątwa i że nie jest w stanie się przed nią obronić. W zasadzie jednak nie miała nic przeciwko temu. Wtuliła się w jego ciało.

- Bishopie - szepnęła, ujmując jego twarz w dłonie. -

Ja także nieziemsko cię pragnę. Nie zniszcz mi ubrania.

Zdjęła mu tunikę przez głowę. Widząc, jak ciężko

oddycha, domyśliła się, że ledwie panuje nad sobą.

Trudno. Pochyliła się i delikatnie pocałowała go w nagie tors. Bishop zamarł.

- Wejźmy do jaskini.

Wciąż w jego objęciach, idąc do jaskini, nie przestawała



całować muskularnego torsu, wpijać palców w ramiona, wdychać zapachu jego ciała.

Powietrze wypełniające jaskinię wydawało się ciepłe i aromatyczne. Merryn ściągnęła Bishopowi spodnie, przyglądając się jego naprężonej męskości. Zauważyła, że jest już na granicy spełnienia, choć zaledwie kilka godzin wcześniej nie wiedziała niczego na ten temat. To zdumiewające. Nie rozumiała tak wielu spraw, lecz w tej chwili nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia.

Bishop odtrącił spodnie na bok.

- Merryn - powiedział miękko.

Położył ją na plecach i zaczął delikatnie głaskać jej smukłe nogi. Patrzył na szczupłe ciało, pieszcząc coraz wyżej jedwabiste uda. Od samego dotyku niemal osiągnął szczyt. Musiał zacisnąć zęby z całej siły, by się powstrzymać od brutalnego wtargnięcia w jej ciało.

Merryn patrzyła na niego ufnie, poddając się pieszczotom.

Wkrótce zaczęła unosić biodra i wzdychać z pożądania.

Wydawało jej się, że wypełniająca ich cięła żądza pochodzi z zewnątrz, jakby kryła się w jaskini i czekała, by opanować niczego nieświadomych gości. Jakież to dziwne! Merryn zanurzyła się w falach namiętności.

Bishop wsunął dłonie pod jej pośladki, a po chwili wszedł w nią głęboko.

Czując go w sobie, Merryn miała ochotę rozplakać się ze szczęścia. Przyjęła go chętnie i zaczęła się poruszać w szaleńczym rytmie. Owinęła nogi wokół bioder Bishopa, przyciągając go do siebie rękami.

Bishop coraz głębiej wdzierał się w jej ciało. Wreszcie odzyskał kontrolę nad sobą. Spojrzał jej w oczy i się uśmiechnął.

- To przekracza wszelkie moje wyobrażenia, Merryn. Jeszcze chwila. Daj mi jeszcze chwilę.

Wysunął się z niej, odchylił głowę i krzyknął przeciągle. Jego głos odbił się echem od ścian jaskini.

Gdzieś w głębi ciała, pod sercem, Merryn poczuła mruczenie. Miała wrażenie, że żyje ono własnym życiem i narasta. Po chwili czuła już tylko nic okiełznaną żądzę.

Chciała się poderwać, ugryźć Bishopa w brodę, całować jego oczy. Sprężyła się nagle i popchnęła go na plecy.

- Nie ruszaj się - wycedziła głosem chrypiącym z podniecenia. Rozpostarła palce na jego torsie i usiadła na nim, przyjmując jego męskość do wilgotnej, spragnionej kobiecości. Bishop wypełnił ją całą, wsunął palce pomiędzy jej uda i zaczął głaskać pulsujący pączek.

Merryn krzyknęła z rozkoszy, słysząc okrzyki Bishopa. Zadygotała, zaciskając palce na jego ciele.

Dziwne mruczenie pod sercem zaczęło cichnąć, Merryn

opadła bezwładnie na tors Bishopa, wsłuchując się w echa ich krzyków.

Bishop czuł, jak ziemia pod nim zadrżała, Wstrząsy narastały przez chwilę, jakby dno jaskini miało pęknąć na dwoje. Rycerz przytulił do siebie Merryn i rozejrzał się przestraszony.

Co się dzieje?

Wstrząsy uspokoiły się równie nagle jak nadeszły.

Mogłoby się zdawać, że były tylko złudzeniem. Delikatne mruczenie Merryn również ucichło. Odetchnął zapachem jej ciała.

Gdy wreszcie i Merryn mogła swobodnie odetchnąć i zebrać myśli, zapytała:

- Nasza miłość jest inna, prawda, Bishopie? Nie powinna być... aż taka.

- Racja - wykrztusił Bishop, gdyż nie był w stanie wykrztusić nic więcej. W zasadzie nie miał nic przeciwko temu, jednak Merryn miała rację. I wciąż może mówić!

To go zdumiało. Sam zastanawiał się, czy zdoła jeszcze raz odetchnąć. Niezgrabnie pogłaskał ją po plecach, marząc o dotyku nagiej skóry Merryn. Chciał poczuć na sobie jej piersi, pocałować miękkie wargi.

Z ogromnym wysiłkiem zdołał zdjąć jej suknię.

Wreszcie byli nadzy.

- Śpij, Merryn - szepnął cicho. - Śpij.

- Mruczenie - odszepnęła niezrozumiale. - Mruczenie.

Ach, mruczenie. Merryn mruczała mu do ucha.

- Mruczałaś cudownie - powiedział. Pocałował jej włosy

i zasnął głęboko.

\* \* \*

W

W i nny

n m c

z

c as

a ie

Książę roześmiał się w głos.

- Jak ci się to podoba, Breccio? To moja żądza wstrząsa

całą fortecą!

- Przestań się wygłupiać, wariacie. Zachowuj się

przyzwoicie. Musimy znaleźć tę skrzynkę.

- Czy zdajesz sobie sprawę - ciągnął książę - że pragnę

cię nawet teraz, gdy jesteś tak brzydka, że od patrzenia na

ciebie bolą mnie oczy?

- Ty sam jesteś tak paskudny, że musiałabym nałożyć ci

worek na głowę, zanim zdołałabym cię choćby

pocałować.

- Jak zatem byś mnie całowała, skoro miałbym na

głowie worek?

- Mogłabym udawać, że pod workiem kryje się przystojny czarodziej i jakoś bym się zmusiła.

Nagle na głowie księcia pojawił się lniany worek.

Brecia usłyszała jego stłumiony śmiech.

- Pragnę cię ogromnie - wybełkotał. - Pocałuj mnie, wiedzmo.

To był tylko przelotny pocałunek, gdyż Brecia doskonale wiedziała, że nie mają zbyt dużo czasu. Książę jednak nie poprzestał na tym, chwycił ją w ramiona i nie wypuścił.

Słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi, gdy wreszcie weszli do komnaty Mawdoora. Obydwoje uśmiechali się szkaradnie. W ich żyłach wciąż tętniła krew, a wspomnienie rozkoszy rozgrzewało pokraczne ciała.

- Przez okna nie wpada tu zbyt wiele światła - zauważyła Brecia. - Ciekawe dlaczego?

- Mawdoor czuje się o wiele lepiej, gdy ukrywa się w cieniu, gdy czai się w mroku. - Książę podrapał się po brodzie. - Myślę, że najlepiej by się czuł przygnieciony ogromnym głazem.

- Nie lubisz go, bo chce cię zabić i pojąć mnie za żonę.

- Ach, oczywiście. Od zawsze wiedziałem, że wreszcie

będziemy musieli stoczyć ostateczną walkę. Jej czas się

zbliża, czuję to każdym nerwem Znajdźmy tę skrzynkę.

Nie znaleźli jej w ogromnej komnacie. W kątach

zalegały tylko cienie chybotające się na wytartej

drewnianej podłodze. Brezia obejrzała ogromne łóżko

Mawdoora nakryte nieprawdopodobnie białą narzutą.

Dotknęła jej. Narzuta przypominała jej własne wełniane

suknie.

- Musimy się pospieszyć.

- Racja.

Ruszyli do drzwi. Brezia stanęła jeszcze w progu,

wymówiła cicho zaklęcie i zatoczyła dłonią krąg.

Komnata wciąż tonęła w mroku.

- Ach, jaka świetna robota - rzekła Brezia. - Komnata

jest doskonale sprzątnięta, choć w istocie nie było tu zbyt

wiele kurzu.

Trzy godziny później wciąż bezskutecznie szukali

skrzynki.

- Może mityczna skrzynka w ogóle nie istnieje? -

mruknął zniechęcony książę. - Może to tylko bajeczka dla

niegrzecznych duchów?

- Ale przecież ty również słyszałeś o niej.

Niechętnie kiwnął głową.

- Duchy były pewne, że skrzynka istnieje. Ojciec

wręczył ją Mawdoorowi, dając mu wolny wybór. Mógł ją przyjąć bądź odmówić. Miała mu zapewne wielką moc, lecz jeśli ją zgubi albo pozwoli sobie odebrać, wciągnie go i unicestwi.

- Może zatem nie podjął ryzyka? Może ją zniszczył?

Może duchy się pomyliły, że zachował skrzynkę?

- Przecież mówimy o Mawdoorze. - Brezia tylko

pokręciła głową. - Pomyśl, jaki on jest. Podjąłby każde

ryzyko, gdyby miało mu zapewnić większą moc. Na

pewno ma tę szkatułę, ale schował ją dobrze, bo od tego

zależy jego istnienie.

- Cale jego istnienie? To nie ma sensu, Brezio -

skrzywił się książę.

- Twój ojciec nie jest demonem, więc nie potrafisz tego

zrozumieć, książę. Demony wciąż szukają zła w świecie,

gdyż nim właśnie się żywią. Dlatego, aby przetrwać,

muszą wszystko niszczyć i zsyłać na innych grozę

i cierpienie. Wracając do skrzynki, duchy twierdzą, że

mogłaby wchłonąć Mawdoora i trzymać go na zawsze

w swym wnętrzu.

- Już o tym wspominałaś - powiedział książę. - Tylko

jak mamy go tam wpakować?

Brezia zmarszczyła brwi i podrapała się po długim

nosie.

- Może powinienes ścisnąć moją głowę, żebym wpadła na jakiś pomysł?

Księżę się roześmiał.

- Na wszystkich bogów, ależ jesteś szkaradna! Muszę wyznać, że tam, na schodach, musiałem mocno zamykać oczy, by odnaleźć rozkosz w twym ciele. Było to ogromnie trudne zadanie, ale chciałem ci pokazać moją wierność i stałość. Widziałaś, że miałem zamknięte oczy?

Doceniasz to poświęcenie?

Brecia wybuchnęła śmiechem. W ciągu ostatnich dwóch dni śmiała się o wiele więcej niż w ciągu minionych trzech lat.

- Wierność i stałość u czarodzieja?

- Ach, Brecio. Ranisz me serce.

- Zauważyłam, że masz zamknięte oczy, bo niezbyt dobrze trzymałeś równowagę. Ja nie miałam z tym kłopotu. Przecież miałeś na głowie worek.

Choć tylko żartowali, Brecia czuła, jak w głębi jej serca topnieją zimne, oschłe uczucia i odradza się nadzieja.

Z uśmiechem dotknęła jego odrażającej twarzy.

- Powinniśmy myśleć o szkatułce.

Późną nocą, gdy forteca pogrążyła się we śnie i wszyscy starcy spali głęboko wokół paleniska w Wielkiej Sali, Brecia wyobraziła sobie kuchnię, dostrzegła kawałek



pieczonej dziczyzny i biały chleb, po czym jednym ruchem ręki przeniosła potrawy na swoje kolana.

- Jeśli nie znajdziemy tej skrzynki - powiedział książę, pogryzając chleb - będziemy musieli wymyślić inny plan.

- Ja już wymyśliłam - rzekła Brecia, rozkoszując się smakiem dziczyzny. Książę przewrócił oczami.

- Jesteś wiedźmą. Wiedźmy zawsze mają mnóstwo planów, ale zwykle niewiele z nich dochodzi do skutku.

Wiesz, że szkatuła jest dobrze ukryta. Przeszukaliśmy już całą fortecę. Jaki masz plan?

- Musimy jej poszukać, używając magii.

- Ach, tak. A wtedy Mawdoor od razu poczuje, że coś jest nie tak. Nie mam zamiaru znowu wydostawać się z tego przekłętego bąbla. Nie chcę, byś znów cierpiała z powodu spalonych rąk. Nie mogę znieść, gdy cierpisz, Brecio.

- Posłuchaj, widziałam, jak zabiera na górę jedną z młodych niewiast. Jest teraz skupiony na czymś innym, a niedługo pewnie mocno zaśnie.

- Jak to dobrze, że nie zamierzasz za niego wychodzić.

Nie jest ciebie wart. Udowodnił, że nie jest wierny i stały, skoro mając ciebie tak blisko, wziął sobie inną kobietę.

Brecia parsknęła śmiechem. Słyszając, że jeden ze starców poderwał się z posłania, stłumiła śmiech dłonią.

- Wlałam też trochę sennego wywaru do wina, które zaniósł mu kobieta. Będą spali do samego rana.

- Zaraz pęknie z dumy. Chcesz, żebym przez całą noc przeszukiwał tę przeklętą fortecę?

- Jesteś czarodziejem. Możesz dążyć do celu bez wytchnienia.

Oderwał jeszcze kawałek mięsa i oparł się o ścianę.

- Dobrze. Połączymy nasze moce i przeszukamy fortecę jeszcze raz.

Zaczęło już świtać, gdy Brezia wyczuła jakieś drżenie.

Stała blisko latryny, w której siedział starzec. Wytarte spodnie naciągnął na chude kolana i rozmawiał z innym starcem czekającym na swą kolej.

- Och, tak - powiedział, kiwając głową. - To ja przyniosłem pannie ciepłego chleba z masłem i miodem.

I co dostałem w zamian? Radośnie poszła za lordem Mawdoorem, niewierna!

- A co byś z nią zrobił, gdyby poszła z tobą?

- Coś bym wymyślił między wizytami w latrynie.

Drugi starzec wybuchnął śmiechem.

Brezia przesunęła dłoń lekko w prawo, wciąż wyczuwając drżenie. Gdy przesunęła ją w lewo, dłoń zadygotała tak mocno, że aż podskoczyła.

- Aha - mruknęła z uśmiechem.

Bardzo powoli badała drewnianą ścianę, aż znalazła maleńki przycisk. Nacisnęła go. Drewniane panele rozsunęły się na boki, odsłaniając niedużą wnękę, w której spoczywała szkatuła Mawdoora.

Brecia poczuła lęk. Telepatycznie przekazała księciu, co znalazła. W tej samej chwili stanął u jej boku,

- W życiu nie widziałem takich diamentów - wyznał księżę ze zdumieniem. - Wyciszmy nasze moce, Brecio.

Nie musimy już ryzykować, skoro odnaleźliśmy szkatułkę.

Księżę przyjrzał się jej uważnie, bardzo powoli wyciągnął rękę i delikatnie dotknął wieczka.

Było zimne jak lód. Natychmiast zabrał dłoń.

Brecia także dotknęła złotej skrzynki i równie szybko zabrała rękę.

- Klucz tkwi w zamku.

- Widzę - odparł księżę. - Wszystko jest tak, jak miało być. Jak mówiły duchy. Gdy ją otworzymy, pokonamy Mawdoora.

Nagle klucz wyskoczył z zamka i zniknął.

- Och, nie! - krzyknęła Brecia, odwracając się pośpiesznie. - Mawdoor nas odkrył! Za długo zwlekaliśmy.

Rozległ się potężny ryk. Wiedzieli, że to Mawdoor

chwycił klucz od skrzynki. Ryk brzmiał, jakby stado dzikich, głodnych i wściekłych lwów pędziło w stronę latryny.

- On nie może wiedzieć, że to my - wyjąkała Brecia, chwytając księcia za rękaw.

- Musiałby być wyjątkowo głupi, by tego nie podejrzewać.

Szkatuła zaczęła lśnić i rosnąć, aż wyskoczyła z wnęki.

- Na wszystkich bogów, Mawdoor obłożył ją potężnymi zaklęciami - krzyknął książę. Wzniósł różdżkę i krzyknął donośnie: - *Sostram Denesici avrat!*

Przeklęta szkatuła wciąż rosła.

Na twarzy księcia odbił się strach.

- Zostaw to - krzyknęła Brecia, szarpiąc go za rękaw. -

Uciekajmy!

W następnej chwili leżeli wciśnięci między dwóch chrapiących głośno starców. Ułożyli się i zaczęli chrapać równie głośno. Gdy starcy poderwali się, słysząc okropny ryk, Brecia i książę leżeli wciąż, jakby zasnęli kamiennym snem.

Po chwili stanął nad nimi Mawdoor. W lewej dłoni trzymał uniesioną w górę różdżkę.

Rozdz

d ia

Obecn

c i

n e

Bishop na chwilę zamknął oczy i znów poczuł na wargach usta Merryn. Po chwili delikatnie lizała jego tors, brzuch, wreszcie wzięła go do ust. Zdawało mu się, że ziemia ucieka mu spod pleców. Zadrżał, otworzył oczy i spostrzegł, że Merryn na niego patrzy.

- Gdy ode mnie uciekałaś, Merryn, czułem się, jakby mnie ktoś uderzył. Nie mogłem tego znieść. I nagle wskoczyłaś mi na plecy.

- Wskoczyłam ci na plecy, bo nie wierzyłam, że zdołasz mnie złapać, głuptasie - roześmiała się Merryn. Dotknęła opuszkami jego warg. - To było cudowne, Bishopie.

Uśmiechnął się do niej, szczęśliwy, że jest Bishopem, ona zaś Merryn. Że nie są żyjącymi przed wiekami czarodziejem i wiedźmą. Pobiorą się, zaś Merryn będzie nosiła w łonie jego dzieci. On z kolei będzie ich chronił i strzegł za cenę własnego życia. Jeśli będą mieli szczęście, ich życie potrwa jeszcze wiele lat i przyniesie im dużo radości. Bishop uśmiechnął się do własnych myśli.

Po chwili jednak spoważniał. Wiedział, że muszą

zacząć działać i to w bardzo konkretny sposób, inaczej...

- Musimy znaleźć coś, co przełamie klątwę -

powiedział.

Merryn wstała i otrzepała suknię z piasku. Patrzył na nią

z zadowoleniem. Była bardzo młoda, bardzo brudna

i bardzo zadowolona z bliskości z nim.

- Nosisz moje dziecko - powiedział Bishop.

Przez chwilę stała bez ruchu, wreszcie zapytała

ostrożnie:

- Już raz mi to powiedziałaś, dlaczego mówisz to

znowu?

- Ponieważ bardzo mnie to cieszy i lubię o tym mówić.

Muszę teraz wrócić do tej czarnej dziury. Tam na pewno

coś jest, choć na razie ukryte przed naszymi oczami.

Poszli razem w głąb jaskini.

Merryn spojrzała w nieprzeniknioną ciemność.

- Chcesz tam wejść? - zapytała z trwogą.

- Owszem, pod warunkiem że wymyślę, jak to zrobić.

Nie mam liny, a nawet gdybym ją miał, to nie miałbym jej

do czego przywiązać. Masz jakiś pomysł?

- W zasadzie mam - powiedziała, podając mu różdżkę. -

Użyj tego, Bishopie.

Wziął różdżkę, wpatrując się w twarz Merryn.

- Nie wiem jak.

- Powiedz jej, czego pragniesz.

Ma powiedzieć głupiemu staremu patykowi, że chce się dostać na dno czarnej dziury? Różdżka stawała się coraz cieplejsza. Na pewno sobie tego nie wmawia. Pałeczka pulsowała, wysyłając fale ciepła wzdłuż ramienia

Bishopa, który nagle zdał sobie sprawę, że trzyma coś, czego

nie

powinien

potykać.

Coś

potężnego

i przekraczającego wiedzę i wyobrażenie zwykłego śmiertelnika.

Na chwilę zamknął oczy. Ujrzał jaśniejącą różdżkę w dłoni księcia i delikatniejszą lśniąca różdżkę Brecii.

Obie promieniowały tak wielką mocą, że zadrżał ze strachu.

Teraz zaś miał różdżkę we własnej dłoni.

Bishop w milczeniu podszedł do otworu i spojrzał w czarną czeluść. Skierował różdżkę w głąb dziury

i powiedział, czując jednocześnie irytację i nadzieję:

- Sprowadź światło, bym mógł zobaczyć dno tej dziury.

Ku ich zdumieniu dziura wypełniła się nagle oślepiająco

jasnym światłem. Bishop spojrział w głąb, zamrugał gwałtownie i się roześmiał. Zwrócił się do Merryn, która bez ruchu wpatrywała się w białe światło:

- Wciąż nie widzę dna. To światło mnie oślepia.

Ktoś lub coś stroi sobie z nich żarty.

- Chcę widzieć dno, do diaska! - krzyknął Bishop, machając różdżką nad otworem. W jednej chwili światło złagodniało. Ukłękł na brzegu. Okazało się, że dziura wcale nie jest tak głęboka, jak mu się zdawało. Miała zaledwie sześć metrów głębokości, a na jej dnie majaczył jakiś złoty kształt.

- Nie, Bishopie! Nie schodź tam!

- Muszę - uciał, kierując różdżkę w głąb otworu. -

Zabierz mnie tam.

W jednej chwili stał już na dnie, spoglądając w górę na Merryn.

- Nie spadnij!

- Sprowadź mnie do siebie.

Bishop machnął różdżką w stronę Merryn.

- Sprowadź ją do mnie.

Merryn natychmiast znalazła się obok niego. Oddychała ciężko z podniecenia i lęku.

- Na zmurszałe kości wszystkich świętych, co się tu dzieje, Bishopie? - szepnęła ledwie słyszalnie.



- Znaleźliśmy coś, co mieliśmy znaleźć – odparł Bishop, przytulając do siebie drżącą dziewczynę. - Wreszcie. To różdżka nas tu przywiodła.

- To przerażające - wyjąkała Merryn, chowając głowę w jego tunikę. Tkanina pachniała Bishopem. - Nie ogarniam tego umysłem. Machnąłeś na mnie różdżką i nagle stanęłam na dnie tej dziury.

- Wiem - rzekł uspokajającym tonem Bishop. - Wiem, kochana. Wszystko będzie dobrze.

Nie mówiąc nic więcej, jednocześnie odwrócili się ku leżącej na ziemi złotej skrzynce. Wieczko pokryte było warstwą prastarego kurzu, choć boki lśniły czystym złotem, jakby ktoś wypolerował je tuż przed zesłaniem w to miejsce. Tylko kto to zrobił?

Bishop przyjrzał się szkatułce. Była dość długa i wąska, zdawała się wykuta ze szczerego złota. Wieczko i boki miała wysadzane diamentami, rubinami, szmaragdami i innymi klejnotami, jakich Bishop nie znał, a wszystkie były większe niż jakiegokolwiek drogocenne kamienie, jakie widział w całym życiu.

Uklękli, by przyrzeć się lepiej. Bishop delikatnie odłożył różdżkę na ziemię. Wyciągnął dłoń i lekko dotknął wieka skrzynki.

Błyskawicznie zabrał dłoń. Skrzynka była zimniejsza

niż lód skuwający Tamizę każdej zimy.

Merryn zmarszczyła brwi i wyciągnęła dłoń. Wieczko okazało się tak lodowate, że podskoczyła z przestachu i upadła, ściskając zmrożone palce.

- To zdumiewające - powiedziała, gramoląc się z ziemi.

- Gdy tylko zabrałam palce, przestały boleć.

Bishop

przyciągnął

Merryn

do

siebie,

owinał

kilkakrotnie dłoń brzegiem jej sukni, odetchnął głęboko i znów dotknął skrzynki. Czuł lodowaty chłód, ale był w stanie to wytrzymać. Obejrzał zamek i tkwiący w nim klucz. Próbował go przekręcić, lecz zdawało mu się, że z zimna zaraz odpadną mu palce. Owinał dłoń jeszcze kilka razy i ponownie spróbował przekręcić klucz.

Bezskutecznie. Przysiadł na piętach, wpatrując się w przeklętą skrzynkę.

Coś go tu przywiodło, dało różdżkę, pomogło odnaleźć skrzynkę, lecz... Bishop chwycił różdżkę i wycelował ją w skrzynkę.

- Otwórz to!

Klucz obrócił się, a wieczko odskoczyło gwałtownie.

Rozległ się straszliwy ryk, jakby otoczyło ich stado dzikich, oszalałych zwierząt, zbliżających się, pragnących ich pożreć, rozedrzeć na strzępy.

Bishop próbował sprawdzić, co się kryje w skrzynce, lecz dostrzegł jedynie kłębiące się chmury lśniące złotem, skręcające się w wiry. Hałas stawał się nie do zniesienia.

Bishop wyciągnął różdżkę i wrzasnął:

- Ucisz to!

Harmider umilkł natychmiast. Znow zrobiło się bardzo cicho. Śmiertelnie cicho. Jakby całe życie zostało wysrane z ciemnej dziury.

Bishop położył dłoń na lewej piersi Merryn. Wyczuł bicie jej serca i odetchnął z ulgą.

- Wciąż żyję - powiedziała. - Czy twoje serce również bije?

- Biję, dzięki Bogu.

- Wcale mi się to nie podoba - mruknęła Merryn, przytulając się do niego. - Zajrzyj do tej skrzynki, Bishopie. Ja widzę tylko kłębiące się chmury. Nie dostrzegam żadnych zwierząt, które chciały nas pożreć.

To mnie przeraża.

- Wiem. - Bishop otoczył ją ramieniem. - Co to wszystko ma wspólnego z klątwą? - Spojrzał na różdżkę.

Obrócił ją kilka razy w dłoni. - Skrzynka jest otwarta, lecz nie możemy niczego zobaczyć.

Nagle wieko skrzynki zatrasnęło się z głośnym hukiem. Bishop i Merryn mogliby przysiąc, że klucz sam obrócił się w zamku. Merryn wstała i spojrzała z góry na piękne, złote puzderko. Czuła, jak życie znów wraca, jak powietrze napełnia jej płuca. Wszystko to było więcej niż dziwne.

- Pozwól mi spróbować, Bishopie.

Rycerz podał jej różdżkę. Merryn poczuła cudowne ciepło emanujące z drewnianej pałeczki.

- Otwórz skrzynkę - powiedziała, kierując różdżkę dokładnie na klucz.

Znów usłyszeli z oddali stado nadbiegających bestii.

Zbliżały się powoli. Hałas narastał.

Merryn miała wielką ochotę zatrzymać ten ryk, gdyż zdawało jej się, że stado bestii jest tuż-tuż.

- Otwórz skrzynkę - zdołała powtórzyć.

Klucz obrócił się w zamku. Bishop i Merryn patrzyli, jak wieczko otwiera się powoli.

\* \* \*

W i m

n y

n m cz

c a

z s

a ie

Książę chrapnął głośno, z trzaskiem przeciągane stare kości. Długi nos żony wbijał się w jego łopatkę.

Mawdoor spojrział na żalosalną parę i opuścił różdżkę.

Jeszcze przed chwilą był pewien, że to oni dobrali się do skrzynki, którą dostał od ojca, lecz... Wystarczy na nich spojrzeć. Potwornie brzydzący, aż ciarki przechodzą po plecach. Na wszystkich żądnych krwi bogów, jak mógł mieć nadzieję, że ta wstrętna starucha będzie w stanie sprowadzić do niego Brecię? To jakiś absurd.

Westchnął. Da jej czas do północy. Potem zaś będzie już jasne, czy straszdyło zginie w świętym kamiennym kręgu zgniecione starożytną magią czy raczej z jego ręki.

Mawdoor cofnął się powoli.

- Do północy - szepnął. - Jeśli jej tu nie sprowadzisz, oboje zginiecie. I nie będzie to przyjemna śmierć.

Czarownik wziął potężny haust powietrza i wypuścił je z sykiem. Odetchnął trzy razy. Wkrótce wszyscy starcy śpiący w komnacie zbudzili się i patrzyli, jak stoi pośrodku, dysząc coraz bardziej. Po chwili Mawdoor zaczął się obracać i wirować tak prędko, że stał się jedynie rozmazaną plamą, po czym wystrzelił ku sufitowi. Ku

zaskoczeniu

wszystkich

wyleciał

zniecka

przez

niewielkie okienko, zdecydowanie za małe, by mógł się w nim zmieścić człowiek.

Brecii chciało się śmiać z tych jarmarcznych sztuczek dla pospólstwa, lecz nie chciała ściągać na siebie uwagi.

Wtuliła się mocniej w ramię księcia i szepnęła:

- Co o tym sądzisz? Chciał nas zabić, ale zrezygnował.

Mamy czas do północy i ani chwili dłużej. Jaki masz plan?

Księżę zachrapał. Przeklęty czarodziej wcale nie udawał, że śpi! Przespał cały występ Mawdoora!

Brecia spostrzegła jedną z młodych kobiet stojącą na środku komnaty i wpatrującą się usilnie okienko, przez które wyleciał Mawdoor.

- Jakże on zdołał przecisnąć się przez tak mały otwór? -  
dziwiła się, kręcąc głową.

- Przecież to czarodziej, piękna pani - odpowiedział  
starczy głos. - Czy nie masz piątej klepki?

- Chyba nie mam także i pozostałych czterech -  
pokręciła głową kobieta.

Chór starczych głosów ponaglał:

- Idź już spać, młódko! Myślisz, że mistrz zrobi specjalnie dla ciebie jeszcze kilka sztuczek? O, nie. Nasz mistrz lubi sobie pospać.

Najwyraźniej wszyscy czarodzieje lubią sobie pospać.

Brecia przytuliła się do księcia. Chrapał tak donośnie, że aż grzechotały jego stare kości.

Tuż po wschodzie słońca Mawdoor spojrzał na parę odrażających starców i rzekł:

- Mam nadzieję, że dobrze wam się dziś spało.

- Och, wspaniale - powiedziała Brecia, ziewając. -

Spaliśmy jak dzieci.

- Jeśli nie sprowadzicie do mnie Brecii, zginiecie w taki sposób, jaki się wam z pewnością nie spodoba. A potem rzucę wasze pogruchotane kości moim wilczurom.

Księżę przełknął kęs chleba i powiedział:

- Lepiej nie dawaj psom kości mojej żony. Staną im w gardle i przyprawią je o śmierć. Rzuć im moje.

Mawdoor popatrzył z obrzydzeniem, po czym wstał i krzyknął:

- Maida! Chodź tu! Mam plany dla nas obojga.

Młoda kobieta o pięknych rudych włosach podeszła do Mawdoora, prowadząc dwa wilczury.

- Panie? - ukłoniła się niedbale.

- Ruszamy na polowanie - powiedział Mawdoor.

- Dokąd, mój panie?

- Może do Hiszpanii?

I w następnej chwili już ich nie było.

- Dlaczego miałby polować w Hiszpanii? - zastanawiał się głośno książę, przeżuwając bułkę. - W Hiszpanii nie ma na co polować.

Brecia roześmiała się tylko.

Muszą szybko odnaleźć skrzynkę. Wiedzieli jednak, że tym razem nie będzie to takie proste.

- Mawdoora nie ma - rzekł książę. - Nie może zatem wyczuć naszej magii.

- Sama nie wiem - odparła z zadumą Brecia. - Jak powiedziałaś:

dlaczego

miałby

polować

akurat

w Hiszpanii? I zabierać ze sobą śmiertelniczkę? To się nie trzyma kupy.

- Jeśli to pułapka, to będziemy musieli sobie z nią poradzić. Nie mamy wyjścia, Brecio, musimy odnaleźć tę przeklętą szkatułkę. Musimy się pozbyć Mawdoora. Och, gdybym tylko nie pragnął cię tak bardzo, przeklęta



wiedźmo!

- Nie jestem przeklętą wiedźmą!

- Owszem, jesteś. Myślisz, że to pułapka? Z pewnością masz rację, ale nie mamy wyboru. Musimy działać.

- Myślisz, że zabrał szkatułę ze sobą? - zapytała.

- Sądzę, że za bardzo się jej boi. Woli nie mieć jej w pobliżu.

Przez cały dzień przeszukiwali fortecę Mawdoora.

Przetrzęsneli nawet obory i kurniki, przesiali mąkę w spichrzu. Nic.

Gdy dzwon na wieży wybił szóstą, Brezia wykrzyknęła:

- Znalazłam!

Księżę, który przeszukiwał wszystkie otwory strzelnicze na blankach, w jednej chwili znalazł się przy niej.

- Patrz! - Brezia wskazała ręką.

Księżę dostrzegł skrzynkę na dnie studni. Tylko czarodziej lub wiedźma mogli ją zobaczyć pod wodą.

- Wspaniała kryjówka - przyznała Brezia. Wiatr strącił mi czapkę do studni i wtedy ją zobaczyłam. Ale wciąż nie wyczuwam jej obecności. Tym razem Mawdoor dobrze ją zabezpieczył.

Księżę wezwał skrzynkę, lecz ta nawet nie drgnęła.

Czarodziej westchnął, zniknął i pojawił się na dnie studni. Podniósł skrzynkę. W wodzie nie zdawała się

wcale zimna.

Księżę pomachał do Brecii.

Nagle na dziedzińcu rozległ się śmiech Mawdoora.

Brecia nie zdążyła nawet mrugnąć i już spadała do studni  
głową w dół.

\* \* \*

Obecn

c i

n e

Ze skrzynki wystrzelił promień światła, oślepiając

Bishopa i Merryn. Odskoczyli, zakrywając oczy dłońmi.

Po chwili odstłonili je i ostrożnie, przez palce, spojrzeli na  
jasny promień.

- Co to może być?

Bishop pokręcił głową.

- Na pewno nie są to już skłębione chmury. Ale nie  
mogę spojrzeć wprost do skrzynki.

Merryn zmrużyła oczy, lecz również nie zdołała zajrzeć  
do wnętrza.

Nagle dostrzegli, że wewnątrz promienia coś wiruje.

Obracało się tak szybko, że nie byli w stanie dostrzec, co  
to jest. Widzieli, jak wirujące coś raz po raz uderza  
o świetlne ściany, lecz nie może się wydostać.

- To więzienie stworzone ze światła - wyjąkała Merryn.

- Co jest w nim uwięzione?

- Nie mam pojęcia, ale chyba masz rację - powiedział

Bishop, sięgając po różdżkę.

- Nie!!! - krzyknął nagle jakiś głos.

Rozdz

d ia

i 131

### 3

W i m

n y

n m c z

c a

z s

a i e

- Niedobrze - powiedział książę, patrząc przez wodę w oczy Brecii.

- Bez paniki. Mamy szkatułę i na pewno uda nam się jakoś wydostać z tej studni.

Wyciągnęli różdżki z rękawów i skierowali je w górę.

- *Dranore narbus* - krzyknął książę.

Woda wzburzyła się wściekle ponad ich głowami, zabulgotała i uspokoiła już po chwili. Nic poza tym. Nie uwolnili się.

- Ciekaw jestem, czy wydostanie się stąd będzie trudniejsze niż rozbicie tamtej przeklętej bańki - mruknął książę.

Brecia przypomniała sobie płonące dłonie i powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie. Musimy to przemyśleć, książę.

- Usiadła na dnie studni i wymruczała pod nosem kilka słów, przywracając sobie i księciu dawny wygląd. W tej

samej chwili wpadła na pomysł i uśmiechnęła się. - Już

wiem! Wiem, co zrobimy. Nie martw się!

Owinęła się peleryną, położyła policzek na podciągniętym kolanie i otoczyła ramionami nogi. Zaczęła cichutko śpiewać. Tak cicho, że księżę prawie jej nie słyszał. Czas mijał. Brecia śpiewała, a woda zdawała się falować w rytm pieśni. Nagle zniknęła. Powiedziała mu, że ma się nie martwić, przekłeta wiedźma! Dokąd się udała? Nagle wszystko stało się jasne.

- To jednak ty, Brecio.

- Witaj, lordzie Mawdoorze. Dziękuję, że wydostałeś mnie z dna studni. Wiedziałam, że jeśli zwrócę się do ciebie, uwolnisz mnie.

- To była piekielnie trudna decyzja - wyznał Mawdoor, oglądając ją od stóp do głowy. - Na wszystkich nowych bogów, którymi pogardzam, zamieniłaś się w ohydną staruchę. Nawet czarodziej musi chylić czoło przed twą mocą.

- Podobała ci się moja wąska głowa?

- Ogromnie. To właśnie twoja brzydota przekonała mnie, by nie szperać i nie szukać w was więcej magii niż ta drobna iskra, którą sami chcieliście mi pokazać.

Promieniowaliście słabą, wypaczoną mocą, niewartą uwagi. Ale teraz cię mam. Czyż nie stworzyłem świetnej

pułapki?

- Owszem. Kryjówka na dnie studni. Bardzo sprytne, Mawdoorze. I klucz zniknął. Mam nadzieję, że ty go masz.

Mawdoor tylko zmarszczył brwi. Brezia widziała, że czarownik nie zdaje sobie sprawy, że to wcale nie on wyciągnął ją z dna studni. Podrzuciła mu tę myśl i chętnie ją wykorzystał. Miała tylko nadzieję, że Mawdoor ma klucz.

- Książę zostanie na dnie studni aż do końca naszego świata. Magicznych więzów, które go tam trzymają, nie można zerwać i żaden czarodziej nie będzie w stanie mu pomóc. Spędzi całą wieczność, trzymając w ramionach tę przeklętą szkatułkę. Czyż to nie doskonała kara? Zapomnij o kluczu.

- Myślałam, że będziesz wolał trzymać ją przy sobie - wyznała Brezia. - Czyż nie jesteś za nią odpowiedzialny? Mawdoor wzruszył ramionami.

- Pewnie duchy opowiedziały ci o mojej szkatułce. Zdaje się, że uwielbiają historie o porzuconych magicznych skrzynkach i kluczach otwierających drzwi do wszystkich tajemnic świata. Jeśli zaś chodzi o mój skarb, to jeszcze zobaczymy. Jednak książę zostanie tam aż do dnia sądu, jeśli taki kiedykolwiek nadejdzie.

Brecia zatupała cicho i podrapała się po brodzie.

- To nie ma sensu, Mawdoorze. Przecież już mnie masz.

Po co miałbyś zabijać księcia?

Mawdoor nagle urósł i zawisł nad nią groźnie.

- Księżę musi umrzeć. Zawsze pragnąłem, by zniknął z tego świata. Posiadł cię, czyż nie? Był twoim pierwszym kochankiem, chyba nie zaprzeczysz?

Brecia pokiwała głową.

- Owszem, był pierwszy.

Mawdoor skurczył się do zwykłego wzrostu. Przez chwilę patrzył na czubki swoich butów, a potem powiedział:

- Słyszałem, że księżę zmusza swoje kobiety do nienaturalnych rzeczy.

Na chwilę Brecia zapomniała o lęku, planach i nabrała animuszu.

- Hm... Do jakich rzeczy?

- Wiesz, o co mi chodzi, Brecio...

- Ależ skąd? Byłam zupełnie niewinna. Wszystko, co robił, wydawało mi się zupełnie normalne, a nawet nudne.

Niemal zasnęłam z nudów, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Woda w studni zawrzała na moment.

Mawdoor spojrzał na nią z uwagą.

- Powiadasz, że to, co z tobą robił, było nudne? A co

dokładnie?

- Och, na przykład pocierał moje palce u stóp własnymi tak długo, że niemal obdarł mi je ze skóry. To strasznie nudne, nie sądzisz?

- Pocierał twoje palce u stóp własnymi?

- Zgadza się. Przez niewytłumaczalnie długi czas.

Myślałam, że jest to jakiś rytuał. Czarnoksiężski rytuał godowy. Sądzisz, że to nienaturalne?

Mawdoor pokręcił głową.

- Nie, masz rację. To nudne. Ja nie pocierałbym palców twoich stóp, Brecio. A jeśli nawet, to tylko przez chwilę.

- Co zatem jest nienaturalne?

Brecia wciąż ociekała wodą po pobycie na dnie studni.

Mawdoor lekko dotknął jej rękawa i natychmiast wyschła.

Jej włosy lśniły w popołudniowych promieniach słońca.

Mawdoor spojrzał na błyszczące pukle.

- Powiedz mi, co jeszcze robił, a ja ci powiem czy to naturalne, czy też nie.

- Lizał i gryzł moją skórę pod kolanami.

- Hm...

- Czy to nienaturalne?

- Owszem, jeśli robi się to zbyt długo.

Woda w studni bulgotała wściekle, jakby miała zamiar przelać się przez cembrowinę.



Brecia pokręciła lekko głową.

- Och, nie. Robił to zaledwie dwadzieścia minut. -

Zmarszczyła brwi. - Świeca całkiem się wypaliła, więc może jednak dłużej.

- On jest najwyraźniej szalony. Jakie to szczęście, że się go pozbyłaś.

- Ach, ale tak wiele jeszcze rzeczy ze mną robił,

Mawdoorze. - Brecia zadrżała lekko.

- Jakich, do kata?

- Nie mogę ci powiedzieć. Wstydzę się.

- Powiadają, że zmusza kobiety, by przed nim klękały

i zaspokajały jego żądze tak długo, aż mdleją ze

zmęczenia.

Brecia pokiwała głową.

- To z pewnością byłoby męczące. I kolana pewnie by się pościerały. Na szczęście mnie do tego nie zmuszał.

Czy musiałabym się modlić, klęcząc przed nim?

- Musiałabyś trzymać w ustach jego członek, głupia

wiedźmo, i lizać go bez wytchnienia, aż zaczęłabyś się

dławić!

Brecia przymknęła oczy i zrobiła rozczarowaną minę.

- Tego mi nie pokazał, choć właśnie to wcale nie wydaje

się nudne. Mówisz, że to trwałoby godzinami?

- Tak powiadają, niech szlag go trafi! Ale teraz go

uwieźliem i będzie się moczył w tej studni do końca świata.

- Ale to nadal nie ma sensu, Mawdoorze. Po co trzymać księcia w pułapce? Dlaczego nie miałby się włóczyć sam po świecie, rozpamiętując, że miał mnie przy swym boku?

I cierpiąc z powodu porażki, jakiej doznał z twoich potężnych rąk? To z pewnością byłoby o wiele gorsze, niż pływanie w studni ze skrzynką twojego ojca w ramionach.

- Chcesz mnie wystrychnąć na dudka, Brecio. Widzę to w twoich oczach.

Chwycił ją za gardło. Brecia wciąż patrzyła na niego spokojnie, lekko przechylając głowę na bok.

- Niech cię piekło pochłonie, Brecio - krzyknął

Mawdoor. - Poniżyłaś mnie! Chciałem tylko pojąć cię za żonę, mieć z tobą potężnych synów, a zobacz, co próbowaliście mi zrobić! Co ciągle chciałyście zrobić!

Zacisnął palce na gardle Brecii.

- Zabij ją, Mawdoorze! Zabij tę wstrętną dziwkę!

- Nie zabiję jej - odkrzyknął Mawdoor, nie spuszczać wzroku z twarzy wiedźmy.

- W takim razie puść ją, a ja ją zabiję!

Mawdoor odwrócił się powoli. Ujrzał Maidę stojącą nieopodal. Dwa wilczury siedziały przy jej bokach.

- To nie twoja sprawa, Maido! Wracaj do wieży! -

wrzasnął Mawdoor.

- W nocy zapewniałeś mnie, że chcesz, bym przy tobie została. Jeśli to prawda, to dlaczego jednocześnie pragniesz tej kreatury?

- Nie widzisz, że ją duszę? - zawył czarownik.

- Ale robisz to z pożądaniem w oczach. Pozwól odejść tej kobiecie! Pozwól mi skopać jej tyłek!

Mawdoor zatrząsnął wiszącą bezwładnie Brecią.

- To nie kobieta. To wiedźma!

- Wiedźma? Owszem, nawet wygląda jak wiedźma. Na jej widok cała drzę.

Brecia zmrużyła oczy.

- A cóż to niby oznacza? Cała drzę? Zaraz sprawię, że naprawdę zadrżysz!

- Ha, teraz widzę, że to wiedźma! - wrzasnęła Maida. -

Dusisz ją, a ona nawet tego nie czuje. Wisi sobie i śmieje się z ciebie. Robi z ciebie głupca. Nie jest ciebie warta, mój panie!

Maida poleciała nagle w tył, trzasnęła plecami ścianę, zjechała bezwładnie na ziemię i upadła, siłując złapać oddech.

Mawdoor puścił Brecię. Wylądowała z gracją na ziemi.

- Ty to zrobiłaś, nieprawdaż?

- Oczywiście - odparła Brezia. - Jestem czarownicą.

- Brałem ją do łóżka - powiedział Mawdoor. -

Cieszyłem się jej towarzystwem. I zamierzam nadal to robić, nawet gdy już będziemy małżeństwem.

- Obawiam się, że złamała nogę przy upadku, może nawet i kark? Czy ona właśnie umiera? Leży z tak dziwnie powykręcanyimi rękami...

Mawdoor podbiegł do Maidy leżącej na ziemi.

- Co za wiedźma! - charczała dziewczyna. – Zabij ją!

- Zamilknij, kobieto - odparł Mawdoor. - Ta wiedźma będzie moją żoną. Jak się czujesz? Złamałaś coś?

Brezia z uśmiechem patrzyła, jak niewiasta szarpie go za rękaw. Mawdoor skupił na niej całą uwagę. Brezia spojrzała w niebo i zaczęła cicho śpiewać. Gdy po chwili ucichła, wszystko się zatrzymało, także Mawdoor. Czas zastygł.

Tylko wiatr wciąż wiał, dmuchając jej w twarz.

Spojrzała na Mawdoora zastygłego w pół ruchu. Osłabił swoją moc, gdy pozwolił, by dotknęła go śmiertelniczka.

Człowieczeństwo odebrało mu siłę i potęgę. Skupiał się tylko na niej, czując złość, a może nienawiść czy też

miłość, nieważne. Zaklęcie podziałało także na niego.

Czas zastygł, a wraz z nim bardzo potężny czarodziej.

Lecz nie na długo.

Podbiegła do studni i krzyknęła:

- Książę! Nie zechciałbyś zrobić ze mną jakichś

nienaturalnych rzeczy?

Usłyszała jego śmiech, a po chwili pojawił się przy jej boku. Otrząsnął się z wody jak pies, pokręcił głową i był już całkiem suchy.

- Bardzo mądra ze mnie wiedźma.

Książę spojrzał na Mawdoora i uczepioną jego ramienia kobietę.

- Stałaś się o wiele mądrzejsza, odkąd przy tobie jestem. Ale Mawdoor nie jest śmiertelnikiem Breccio. Nie mamy zbyt wiele czasu i dobrze o tym wiesz. Musimy się pośpieszyć. - Delikatnie dotknął palcami jej policzka. -

Masz ją?

- Mam - uśmiechnęła się i wyjęła spod sukni złotą szkatułę, która znów stała się przeraźliwie zimna.

- Spójrz na niego - powiedział książę, przygotowując się do zaklęcia. Wyjął różdżkę i pogłaskał ją delikatnie. -

Już niedługo. Zaklęcie nie utrzyma go dłużej. Widzisz, Breccio, że miałem rację. Zdradził cię i w dodatku ze śmiertelniczką, która chciała ci skopać tyłek. Zmusiłby cię do małżeństwa, ją zaś wziął sobie jako kochankę. To haniebne.

Brecia miała ochotę się roześmiać, lecz za bardzo się

bała.

- Mawdoor ma klucz.

- Wiem. Musimy go szybko znaleźć.

Wyciągnęła różdżkę w stronę Mawdoora.

Nagle zakłęcie przyszło i wszystko stało się niemal

jednocześnie. Ziemia zadrżała. Maida wydała, przenikliwy

okrzyk. Starcy rzucili się do ucieczki.

Potem zapadła cisza i przez dłuższą chwilę zdawało się,

że zamarło wszelkie życie.

Mawdoor stał, trzymając różdżkę w prawej dłoni.

W lewej dzierżył złoty miecz.

- Zabiję cię nim, książę. Przez całe lata szukałem

miecza, który może przeszyć serce czarodzieja!

Rozdz

d ia

i 1 132

- To niesłychane, Mawdoorze - rzekł książę, wspierając

dłonie na biodrach. - Zatem przygotowałeś dla mnie

specjalny miecz?

- Zawsze nienawidziłem twojego poczucia humoru,

książę. Jednak już niedługo zamilkiesz na wieki. A gdy

posiadę już Brecię, spalę jej dębowy gaj i będę tak długo

ciskał głazy na pogorzelnisko, aż wszystko zakryją. Niech

po wsze czasy płacze za swoimi duchami. Wyjęłaś

skrzynkę ze studni, Breccio. To było bardzo niemądre. Gdy książę wreszcie zginie, dam ci taką nauczkę, że popamiętasz.

Brecia chuchnęła lekko na czarownika, szepcząc:

- Twoje stopy płoną, Mawdoorze. Płoną, płoną, płoną...

Mawdoor podskoczył wysoko, a złoty miecz wypadł mu z ręki.

Książę był przy nim w mgnieniu oka, lecz Mawdoor poruszał się tak szybko, że gdy rzucił się w kierunku miecza, widać było tylko rozmazaną plamę. Krzyknął głośno, celując prosto w pierś księcia.

Książę miał tylko nóż, z którym błyskawicznie skoczył do gardła czarownika, lecz w tej chwili niebo zasnuło się czernią. Beładny chór głosów zaczął skandować:

- Zabij go! Zabij go!

Po chwili głosy przybrały kształt tysięcy czarnych kruków, spadających z nieba wprost na księcia, okrywając go czarną masą łopoczących skrzydeł.

Mawdoor cofnął się, wbił czubek miecza w ziemię i zaczął się śmiać.

Nagle kruki wystrzeliły w powietrze i opadły martwe na ziemię. Po chwili kolejne martwe ciała ptaków zaczęły spadać u stóp Mawdoora. Książę zatoczył dłońmi ochronny krąg. Cokolwiek przekroczyło granicę sfery,

padają martwe.

Mawdoor wznosił miecz i z rykiem ruszył na przeciwnika. Brezia dostrzegła, że ciało księcia spływa krwią z ran zadanych przez kruki. Krzyknęła ze złości i wymierzyła w Mawdoora różdżkę:

- Niech złoty miecz oplącze mu szyję!

Zakłęcie chybiło celu.

Z nieba sypnęły się kolejne skrzydlate stwory. Tym razem były to demony. Setki czarnych potworów pod

wodzą

ogromnego

czerwonego

upiora.

Krewni

Mawdoora!

- Niech krew demonów splami tę ziemię! - krzyknęła

Brezia, machając różdżką.

Gdy czerwony upiór spojrzał na wiedźmę, aż zakręciło jej się w głowie ze strachu i odrazy. Nie zabił jej, lecz nagle poczuła się słaba jak śmiertelnik. Okropne uczucie.

Księżę wiedział, że ma już niewiele czasu. Demony były potężne, niemal niezniszczalne, a było ich tak wiele! Tym razem Mawdoor przewidział wszystko.

Jeden z demonów oderwał się od sfory i zatopił długie



szpony w twarzy księcia, oślepiając go. Czarodziej szybko wyobraził sobie postać Mawdoora i zamierzył się sztyletem.

Usłyszał głośny krzyk, nie widział jednak, w co ugodził.

Kolejne trzy demony spadły mu na głowę. Nie mógł ich strząsnąć i wydawało mu się, że zaraz umrze z bólu.

Kątem oka ujrzał gotującego się do skoku czerwonego upiora, który czekał, aż jego pobratymcy schwycą czarodzieja, by go zabić jednym potężnym ciosem.

Księżę walczył dziko, łamiąc ręce i nogi wrogów, lecz było ich zbyt wielu. Używał całej swojej potęgi, ale nie działała ona na istoty z innego świata. Czuł, jak fale magii Brecii rozbijają się o ciała demonów, lecz nie zdało się to na nic.

Brecia wiedziała, że jeszcze chwila i demony rozerwą go na strzępy. Musiała się pospieszyć.

- Chcę klucz! - krzyknęła. W tej samej chwili poczuła w dłoni klucz i nie namyślając się wiele, wcisnęła go w zamek i otworzyła wieko skrzynki. - Niech cię pochłonie na wieki, Mawdoorze! Razem z twoimi demonami!

Zahuczało przeciągle. Mawdoor wraz ze zgrają demonów wpadł do przezroczystego tunelu. Brecia widziała, jak złoty miecz owija się wokół ciała

czarownika, uniemożliwiając mu jakikolwiek ruch. Przez chwilę kręcili się bezładnie nad szkatułką i nagle wpadli do środka z głośnym gwizdem. Brezia szybko zatrzasnęła wieko i przekręciła klucz.

Księżę klęczał ze zwieszoną głową, podpierając się ramionami. Był cały we krwi.

Brezia dotknęła go, pocałowała i zaczęła śpiewać uzdrawiającą pieśń, jednak rany zadane przez demony nie reagowały na magię.

- Nie mogę cię uzdrowić, księżę - powiedziała. -

Musimy spróbować innych metod.

- Nie ma innych metod - odparł księżę, czując, że nadchodzi śmierć.

- Chyba jesteś szalony! Musi być jakiś sposób!

Księżę zdołał unieść głowę i spojrzeć na nią.

- Najdroższa, bardzo mi przykro, że tak się to kończy.

Drań zwołał demony... Kto mógłby to przewidzieć?

Mawdoor znów mnie zaskoczył. Ciekaw jestem, gdzie go ugodziłem.

- Odciąłeś mu ucho - odparła Brezia. Drżała z przerażenia.

- Wspaniale. Ach, jakie to ekscytujące. - Księżę zamknął oczy i opadł na bok. Gęsta, czerwona krew wsiąkała w ziemię.

- Nie! - krzyknęła Brezia. - Pomocy!

W powietrzu nagle zawirowwały duchy, oplatając ciało księcia. Były niemal niewidoczne, nie licząc długich, wąskich stóp. Na oczach Brezii przykryły całe ciało księcia i zaczęły mruczeć. Miękkie, harmonijne głosy rozbrzmiewały na pograżonym w ciszy dziedzińcu, wznosiły się pod niebo.

Brezia opadła na kolana. Jeden z duchów delikatnie głaskał jej plecy. Klęcząc, modliła się gorąco. Nic więcej nie mogła zrobić.

Pieśń słabła powoli, w miarę jak duchy rozplýwały się w powietrzu. Po chwili odeszły do dębowego gaju.

Książę leżał bez ruchu na ziemi. Nie był już zboczony krwią, wciąż jednak nieruchomy i zimny. Brezia pochyliła się nad nim, dotknęła ukochanej twarzy, pogładziła szeroki tors, ramiona i długie nogi.

- Już wystarczy, książę. Wróć do mnie.

Minuty wlokły się w nieskończoność. Brezia chciała wykrzyknąć swój strach, gdy nagle książę zamrugał i otworzył oczy. Uśmiechnął się do niej.

Brezia ucałowała go w usta.

- Moczysz mnie łzami, Brezio.

- Szalony, szalony książę - szeptała Brezia, całując go raz po raz. - Wszystko będzie dobrze.

Książę był tak wyczerpany, że nie mógł nawet oddać jej pocałunku. Czuł się z tym okropnie.

Stopniowo zaczęła wstępować w niego siła. Odetchnął głęboko i usiadł. Pokręcił lekko głową. Nie widział już krwi ani ogromnych ran po szponach demonów.

- Twoje duchy mnie ocaliły - powiedział.

- Nasze duchy, książę - poprawiła Brezia. - Nasze duchy.

- Zażądałaś klucza. To było bardzo sprytne, Brezio.

Otworzyłaś skrzynkę?

Brezia wskazała głową złote pudełko stojące na ziemi, z kluczem tkwiącym w zamku.

- Mawdoor jest w środku razem ze swoimi demonami.

Złoty miecz owinał się wokół jego ciała.

- Trzeba przyznać, że przygotował się wyśmienicie -

stwierdził książę. Skinął głową w kierunku skrzynki

i w tym momencie już ją trzymał na kolanach. - Co się

stało?

- Demony chwyciły Mawdoora i zbiły się w bezładną

chmurę. Wyglądały, jakby porwał je cyklon, który wsysał

je wprost do szkatuły. Gdy wpadli do niej, nie mogłam już

ich zobaczyć.

- Więc zamknęłaś ją i przekręciłaś klucz.

Brezia pokiwała głową.

Książę zmarszczył brwi.

- To niezwykle. Jak mogą być tam w środku, skoro ich nie wyczuwam? Niczego nie czuję.

Brecia wpatrywała się w skrzynkę z obawą. Wciąż miała wrażenie, że za chwilę wieko odskoczy z trzaskiem, demony wysypią się ze środka i rozerwą księcia na strzępy, a Mawdoor zmusi ją, by na to patrzyła. Wciąż była spięta, gotowa w każdej chwili przenieść oboje do Hiszpanii, gdyby zaszła taka potrzeba. Szkatułka i uwięzione w jej wnętrzu stwory napawały ją grozą.

Książę podrapał się po brodzie.

- Musimy coś zrobić z tą szkatułką, Brecio.

Brecia wiedziała o tym doskonale. Spojrzała na leżącą nieopodal Maidę. Usta śmiertelniczki otwierały się w niemym krzyku. Wszyscy starcy wciąż stali nieruchomo jak głązy.

Nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Brecia zamknęła oczy i wyszeptała starożytnie zaklęcie. Ziemia lekko zadrżała. Starcy nie poruszyli się, choć nie więził ich już żaden czar. Byli zbyt przerażeni. Wpatrywali się tylko ze zgrozą w leżącego księcia i martwe kruki.

- Co zrobiłaś Mawdoorowi, podła wiedźmo? -

krzyknęła Maida.

- Nie ma już Mawdoora - odparła Brecia. - Wróci

porządek.

Maida wstała, otrzepała się z piasku i podeszła bliżej.

Była przerażona, lecz starała się to ukryć.

- Macie magiczną moc tak jak mój pan - rzekła.

- Owszem - powiedział książę lekkim tonem. - Mamy magiczną moc, a Mawdoor nie będzie dłużej terroryzował tej ziemi.

Brecia zmierzyła spojrzeniem zgrabną figurę Maidy, jej gęste włosy i ciemnozielone oczy.

- Obraziłaś mnie, głupia kobieto. Podniosłaś na mnie rękę...

- A czy ty przypadkiem nie walnęłaś mną o ścianę?

Cudem nie złamałam nogi!

- ...ale zaczynam sądzić, że mogłabyś być świetną panią na Penwyth.

- Byłabym świetna we wszystkim - odwarknęła Maida.

- I powiem ci, nędzna wiédźmo, że nie byłabym tylko utrzymanką Mawdoora. Zmusiłabym go, by wkrótce ciebie udusił, a za żonę wziął mnie

- Ach, głupia! Nie chodzi mi o to, że byłabyś świetną panią pod rządami mężczyzny. Moim zdaniem sama powinnaś tu rządzić.

Maida otworzyła usta ze zdumienia.

- Czyżby? A jak niby miałabym bronić tej ziemi,

szkaradna wiedźmo?

- Nie jestem szkaradna. Jestem piękna, każdy ci to powie. Poza tym, a wiesz, że niechętnie to przyznaję, jesteśmy właściwie podobne z tymi rudymi włosami i zielonymi oczami.

- Hmm... Ale ja wyglądam z nimi o wiele korzystniej.

Księżę odkaszlnął.

- By ochronić tę ziemię, Maido, przede wszystkim musisz się pozbyć czarnej wieży. - Lekko stuknął różdżką o rękaw i w jednej chwili na miejscu fortecy Mawdoora stanął normalny drewniany gród z glinianymi chatami krytymi strzechą. Nawet chlewy nie były już z czarnych, lecz ze zwykłych okorowanych bali powiązanych grubymi linami.

Starcy zamruczeli z ukontentowaniem.

- Hm... - mruknęła Maida. - A jak mam utrzymać

Penwyth, skoro mieszkają w nim sami starcy?

Księżę uśmiechnął się tylko i zatoczył dłonią krąg.

- Długie życie w Penwyth nigdy już nie będzie karą.

Będzie nagrodą dla najwierniejszych poddanych. Oddaj młodość tym starcom, Brecio.

- Niech wróci tu młodość! - krzyknęła Brecia. W jednej chwili starcy stali się młodzi. Otrząsnęli się, rozmasowali łokcie i kolana, w których nie czuli już bólu, podrapali

w głowy na nowo pokryte bujnymi czuprynymi. Trzy  
panny wykonały taniec radości, wysoko podnosząc nogi.

Młodzieńcy na zmianę pokrzykiwali i przeklinali.

Ożywione głosy wypełniły dziedziniec.

- Nie ma już Mawdoora. Znow możecie sami  
decydować o waszym życiu - krzyknęła Brecia.

Maida rozejrzała się dokoła i zatarła ręce.

- Spójrzcie tylko. Ten zaskoczony przystojny  
młodzieniec to chyba stary Dorom. No, no! Nie uważacie,  
że ma prześliczny uśmiech?

- W dodatku znowu wszystkie zęby - dodała Brecia.

- Chyba sprawdzę, czy poprawił mu się oddech - rzuciła  
Maida, oddalając się z gracją.

- Wiesz, Brecio, mam jakieś dziwne uczucie stwierdził  
książę, drapiąc się po szczęce. Rzekłbym, że ścieżki  
moich myśli są bardziej pokrętne niż zwykle. Mam  
życzenie chronić Penwyth i wszystkich potomków  
Maidy...

- Zważywszy na jej charakter, przypuszczam, że  
potomkowie Maidy przez długie wieki zdołają sami  
utrzymać tę ziemię. Chcesz rzucić jakiś czar na Penwyth?

- Myślałem raczej o klątwie. - Podniósł skrzynkę  
w górę, by wszyscy mogli ją zobaczyć. - Słuchajcie! Jeśli  
kiedykolwiek najeźdźca zdobędzie tę ziemię przemocą,



zginie! - Uśmiechnął się do Brecii. - No, to by było na tyle.

- Jak na tak pokrętny umysł, niewiele miałaś do powiedzenia - prychnęła Maida, odrzucając rude włosy na ramię.

Książę miał ochotę cisnąć w nią skrzynką.

- Każda panna z Penwyth, która będzie miała rude włosy i zielone oczy, będzie strzeżona - wykrzyknęła Breccia.

Książę zarechotał rubasznie.

- I ta żałosna jałmużna ma być lepsza niż moja szczerą, prosta klątwa? Przecież jedynie chroni kobiety podobne do ciebie i Maidy!

Breccia pogroziła mu pięścią.

- Zazdrościsz mi, bo sam o tym nie pomyślałeś. - Przez chwilę obserwowała, jak Maida rozkazuje młodym poddanym. - Wiesz, Maida byłaby świetną wiedźmą.

Penwyth jest już bezpieczne. Mieszkają w nim ludzie, którzy pomogą Maidzie, a my... - Odetchnęła ciężko -

...my musimy się zająć szkatułą. Co z nią zrobimy?

- Musimy ją ukryć w mojej jaskini. Jednak zapewne zdajesz sobie sprawę, że pewnego dnia klątwa przestanie działać. Chyba nachodzi mnie kolejna zdumiewająca myśl.

Książę chwycił Brecię. Była tak zaskoczona, że

upuściła szkatułę, jednak on złapał ją w locie.

- Tak - wykrzyknął, całując jej ucho. - Pewnego dnia,

w dalekiej przyszłości, klątwa utraci swoją moc. To

będzie straszne. Ktoś będzie musiał ją odnowić i nawet

wiem już, jak to zrobić. Związę Mawdoora z klątwą.

- Mawdoora? Oszalałeś?

- Posłuchaj, splotę klątwę z tą skrzynką, a skoro

Mawdoor jest w środku, będzie z konieczności z nią

związany. Zaufaj mi. Wiesz przecież, że nie zasłużył na

to, by siedzieć w tej skrzynce na zawsze. To zbyt surowa

kara. - Książę zbliżył twarz skrzynki i powiedział: -

Mawdoorze, odciąłem ci jedno ucho, więc słuchaj mnie

bardzo uważnie. W przyszłości będziesz mógł się

uwolnić, przełamując moją klątwę, pod warunkiem że

zostawisz demony w ich świecie. Będziesz musiał

przysiąc, że staniesz się godnym zaufania i szacunku

czarodziejem. - Skrzynka zadrżała w jego rękach. Książę

pokiwał głową i się uśmiechnął. - Mawdoor aż kipi

z wściekłości, lecz jak długo może to trwać? Widzę to

wyraźnie: przyjdzie czas, gdy klątwa zostanie złamana.

Pojawi się pewien mężczyzna, sprytny i śmiały, muśnięty

odrobiną magii. Pokieruję nim i wszystko dobrze się

skończy. - Książę zamknął oczy, wymruczał zaklęcie

i rzekł: - Stało się.

- Czy ten śmiałek straci swoją magię? – zapytała

Brecia.

- Tego nie wiem - odparł książę i strzelił palcami. - Nie

zapominaj, że to tylko odrobina magii. Ten mężczyzna

odnajdzie szkatułę.

- Śmiertelnicy

zawsze

odnajdują

ukryte

rzeczy,

niezależnie od tego, jak dobrze je schowasz. Muśnięty

magią śmiałek będzie szedł do skrzynki jak po sznurku,

póki na nią nie nadeptnie. Czy będzie do ciebie podobny,

mój książę?

- Czegóż więcej mógłby pragnąć? Przecież jestem

porażająco przystojny.

Brecia dotknęła różdżką jego nosa.

- Musi być przy nim kobieta, która go poprowadzi,

będzie go rozśmieszała, kochała i tysiąc razy ocali mu

życie.

- Czy będzie podobna do ciebie, Brecio?

- Dlaczego nie? Wtedy będą do siebie naprawdę

pasowali. Dam także naszemu śmiałkowi wielką siłę

i spryt. Mam nadzieję, że poradzi sobie z Mawdoorem.

- Przecież to będzie mężczyzna na mój wzór

i podobieństwo, poradzi sobie ze wszystkim. Być może

będzie miał drobne kłopoty z kobietą, jeśli będzie nazbyt

do ciebie podobna. Ale i ją również podbije. Oczaruje ją,

a ona będzie go wielbiła.

- Twoja arogancja mnie wzrusza - parsknęła Brezia,

całując księcia w policzek.

Kątem oka spostrzegła, że mieszkańcy Penwyth

obserwują ich uważnie, szepcząc cicho, lecz boją się

podejść bliżej.

- Zostawmy ich, by mogli opowiadać o nas historie,

siedząc przy kominku. - Ujęła księcia za rękę i krzyknęła:

- Dom!

W jednej chwili zniknęli. Rozglądający się ze

zdumieniem ludzie usłyszeli kobiecy głos dobiegający

jakby sponad ich głów:

- Pójdź, mój książę. Pokaż mi jakieś nienaturalne

rzeczy. Czy naprawdę będziesz chciał, bym klęczała przed

tobą godzinami?

Wokół rozległ się tubalny śmiech.

Rozdz

d ia

i 1 133

Obecn

c i

n e

Gdy potężny głos wykrzyknął: Nie! Merryn myślała, że serce pęknie jej w piersi, a ona umrze w tej wstrętnej dziurze.

Bishop zamarł, wpatrując się w szkatułę.

Rozdzierający ryk zaczął zamierać, aż stał się dźwiękiem, który dziwnie koił zmysły, podobnie jak szum fal rozbijających się o piaszczysty brzeg.

- W tej skrzynce coś jest - powiedział Bishop.

Merryn schwyciła go za rękę.

- Nie! Zostaw to! Nie wiemy, czym się to może skończyć.

- To prawda, że nie wiemy. Ale musimy się dowiedzieć.

Merryn zacisnęła zęby z przerażenia. Wcale nie chciała patrzeć, jednak nie mogła się powstrzymać. Uważnie śledziła wzrokiem dłoń Bishopa zanurzającą się w złotej skrzynce. Z pozoru szkatułka nie była głęboka, lecz ręka Bishopa zanurzała się coraz głębiej i głębiej, aż do łokcia.

Uniósł się na kolanach i pochylił, wyciągając mocno palce. Rękę miał już do ramienia zanurzoną w skrzynce.

- Nie czuję niczego - powiedział. - Ani ciepła ani

chłodu.

Nagle rozległ się czysty, wibrujący głos:

- Jestem Mawdoor, strażnik klątwy, więzień tej przeklętej szkatuły przez czas dłuższy, niż to można sobie wyobrazić. Uwolnij mnie, śmiertelniku.

- Czy przysięgniesz, że staniesz się najbardziej szlachetnym i godnym zaufania czarodziejem na całym świecie? - bez wahania zapytał Bishop

W ciasnej dziurze rozbrzmiał jakby grzmot.

- Przysięgam - po chwili odpowiedział Mawdoor.

- Czy odeślesz demony do ich świata?

- Odeślę.

- Kiedy?

- Natychmiast. Uwolnij mnie!

Bishop przysiadł na piętach, wpatrując się w skrzynkę.

Powoli pokiwał głową.

- Dokonało się. - Wziął różdżkę i skierował ją w stronę szkatuły. - Zdejmuję z ciebie klątwę.

Zapadła głucha cisza. Po chwili rozbrzmiał śpiew wielu głosów zestrojonych w idealnej harmonii, a potem znów nastąpiła cisza.

Szkatuła zaczęła drżeć. Bishop i Merryn odsunęli się od niej, najdalej jak mogli.

Znienacka szkatuła wybuchła feerią barw. Czerwone,

błękitne, pomarańczowe i zielone płomienie unosiły się w górę, strzelając i trzeszcząc coraz głośniejsze, aż Merryn i Bishop zasłonili sobie uszy rękami.

Nagle barwne płomienie i hałasy znikły. Po prostu znikły.

Znów byli w otworze tylko we dwoje.

Wiesz co, Merryn?

Dziewczyna pytająco przechyliła głowę na bok.

- Właśnie do mnie dotarło, że bardzo bym chciał zobaczyć, jak przede mną klęczysz.

- Dlaczego? Chciałbyś, bym cię czciła?

Bishopowi zakręciło się w głowie. Przecież widział ją, do diabła! Widział, jak klęczy, dotyka go i pieści, a potem bierze do ust. Zadrżał. Byli na dnie jakiejś przeklętej dziury, nie miał pojęcia, jak się z niej wydostać, za to nie mógł pozbyć się wizji pieszczącej go Merryn!

Najwyraźniej całkiem oszalał.

Wszystko, co się wydarzyło w tym miejscu, było kompletnym szaleństwem. Chciał to zignorować, skupić się wyłącznie na terażniejszości, na tym, czego mógł dotknąć. Terażniejszość, pomyślał, co za błogosławieństwo. Wiedział, że ani on sam, ani Merryn nie chce więcej rozmyślać

szkatułce,

czarowniku

Mawdoorze

i wszystkich jego demonach. Tego było po prostu za wiele.

Nagle Bishop usłyszał śmiech. Ten sam, który słyszał, gdy za pierwszym razem pochylił się nad otworem. Ten sam, gdy ktoś uderzył go w twarz. Śmiech stawał się coraz głośniejszy.

Spojrzał na Merryn. Dziewczyna czekała, aż Bishop się odezwie, lecz on zwyczajnie nie mógł wykrztusić ani słowa.

Zdał sobie sprawę, że Merryn nie słyszy śmiechu.

Raptem się uśmiechnął.

- Nie, nie chcę, byś mnie czciła. Opowiem ci o tym później. Wydostańmy się stąd. Podaj mi rękę.

Bez zbędnych pytań podała mu dłoń.

Bishop przyciągnął ją do siebie i ciasno otoczył ramionami. Śmiech przycichł. Rycerz był pewien, że tym razem nikt go nie uderzy. *Czy to ty, księżę? Chcesz, żebym wylazł wreszcie z tej dziury, czyż nie? Chcesz, żebyśmy zostawili w spokoju twoja jaskinię.*

Bishop zamknął oczy. Gdy je otworzył, zobaczył sznurową drabinkę zwieszającą się po ścianie.



- A to skąd się tu wzięło? - zapytała Merryn. W jej głosie nie słyszał lęku, tylko ciekawość. - Przecież nie było jej tu wcześniej, prawda, Bishopie?

- Masz rację, nie było jej.

Nic więcej nie powiedział. Zresztą, cóż mógłby powiedzieć? Że książkę przyczepił sznurową drabinę?

Stwierdził, że obydwójce przekroczyli już granicę strachu i zrozumienia dla wszystkiego, co się działo.

- A może tu była, tylko jej nie zauważyliśmy? - Może była niewidzialna? Nie miał pojęcia. Wiedział jednak, że ją zobaczy, gdy otworzy oczy.

Wygramoliwszy się na dno jaskini, wiedział doskonale, że już nigdy więcej nie usłyszy tego śmiechu. Czy był to książkę, czy nawet Breca, głos zniknął na dobre. Bishop raz jeszcze zerknął do otworu i wcale się nie zdziwił, że sznurowa drabina zniknęła również.

Cokolwiek się wydarzyło, czy sam to sobie wymyślił, czy był to wytwór jego szaleństwa, wiedział, że wszystko już się skończyło. Klątwa nie działa. Dokąd udał się

Mawdoor

ze

swoją

skrzynką?

W

przeszłość?

W przyszłość? Nie miał pojęcia. Może nawet unosi się teraz tuż nad jego głową? Któż może to wiedzieć? Może czeka na kolejnego przypadkowego rycerza, który raz jeszcze odtworzy zamierzłą historię?

Merryn starała się otrzepać i uporządkować suknię.

- Złamałem klątwę - powiedział do niej Bishop

z pełnym przekonaniem. Wiedział, że obydwójce muszą w to uwierzyć.

- Aha - odparła lekkim tonem Merryn, uśmiechając się promiennie. - Chyba masz rację. Byłam w jakiś sposób przywiązana do tej szkatuły. Ciekawa jestem, jak to wszystko się zaczęło. Bardzo się bałam, gdy zanurzałeś w niej rękę, Bishopie. A kto ją ukrył w tej jaskini? -

Zamilkła na chwilę, widząc jakąś zmianę na jego twarzy.

Kolejne pytania zamarły jej w gardle. Pomyślała, że w zasadzie to wszystko nie ma znaczenia.

Zostaw to, powiedziała sobie. Zostaw wszystkie pytania w tej jaskini. Już po wszystkim, obydwójce żyjemy i nie wiąże nas już żadna klątwa. Już dość.

- Czy pojedziemy teraz do domu? Do Penwyth?

- Do domu?

- To teraz nasz wspólny dom. Nie będę się musiała obawiać, że na weselnej uczcie padniesz twarzą na

pieczonego bażanta.

- Och, to nie była moja ulubiona wizja przyszłości.

Powinniśmy pobrać się najszybciej, jak to możliwe,

Merryn. Nosisz moje dziecko.

Instynktownym gestem położyła dłonie na brzuchu.

- Może masz rację. Nareszcie. Powiję syna mojemu

piątemu mężowi.

Bishop roześmiał się głośno.

Gdy wyszli z jaskini, Nieustraszony zarżał rażno na ich

widok.

Merryn

z

radością

odetchnęła

morskim

powietrzem.

Nie tylko klątwa odeszła w niepamięć - pomyślał

Bishop. Wszyscy odeszli: księżę, Breca i Mawdoor. A co

się stało z Maidą? A rudowłosa, zielonooka Merryn? Czy

w jej żyłach płynie krew Maidy czy Brecii? Nie potrafił

ogarnąć wszelkiego, doszedł jednak do wniosku, że nie

ma to już najmniejszego znaczenia.

Uśmiechnął się, wyciągając rękę.

- Jedźmy do domu, Merryn.

\* \* \*

St. t E

rt

r h

t, d

w

d a

a dn

d i

n pó

p ź ni

n ej

Dienwald rzucił Bishopowi jabłko.

- Wiemy tylko, że młodzieniec zwący się Fioralem

z Grandere Glen zajął Penwyth – powiedział. - Stało się to

jakieś pięć czy sześć dni temu. Powiadają, że ma ze sobą

dwudziestu żołnierzy i zamierza czekać, aż wróci Merryn.

Chce się z nią ożenić.

- Mieliliśmy nadzieję, że klątwa go zabije, ale nic

takiego się nie stało - dodała Philippa.

- Bo nie miał się z kim żenić, skoro mnie tan nie było -

stwierdziła Merryn, gryząc jabłko.

- Co więcej, nie ma już klątwy - zaznaczył Bishop.

- Spodziewaliśmy się, że ją zdejmiesz - wyznał

Dienwald. - Mój przeklęty teść, obmierzył król tej ziemi,  
przysłał list, w którym nakazuje, byśmy udzielili ci  
wszelkiej możliwej pomocy i oświadczają, że na pewno  
zdejmiesz tę klątwę. - Dienwald rzucił ogryzek psu. -  
Napisał, że jest w tobie coś takiego, co sprawia, że  
wszystko jakby samo się załatwia. Obawiam się, że gdy  
następnym razem wybierzemy się do Windsoru, wciąż  
będzie opowiadał o twoim sprycie, mądrości i przekłętej  
umiejętności bezbłędnego docierania do istoty rzeczy. -  
Dienwald westchnął głośno. - Potem będzie lamentował  
w głos, że chciałby, iż byś to właśnie ty był mężem mojej  
słodkiej Philippy, nie zaś ja, przeklęty dureń, który zrobi  
jej tyle dzieci, że wszyscy wieśniacy z okolicy uciekną, bo  
nie będą w stanie nas wyżywić.

Philippa pocałowała męża i poklepała go po ramieniu,  
uśmiechając się do Bishopa i Merryn.

- Dienwald trzęsie się ze strachu.

- Ależ skąd, Philippo, on żartuje - wtrąciła Merryn. -

Nikt w St. Erth nie może się obawiać śmierci głodowej.

- Nie o to chodzi - rzekła Philippa, głaszcząc włosy  
męża. - Dienwald się irytuje, gdyż pojawiła się w okolicy  
niewielka banda rabusiów i chciał puścić się za nimi  
w pogoń, lecz nasi synowie wpadli w panikę, chwycili go  
za nogawki i błagali, by nie wyruszał, bo to zasmuci

dziadka.

Bishop parsknął śmiechem.

- Edward i Mikołaj mają zaledwie po osiem miesięcy!

Nie byliby w stanie zatrzymać ojca i błagać go, by został.

- Krętacz przemawiał w ich imieniu, czyż nie? -

wyjaśniła Philippa.

Błazen wyprostował się i zawył przeciągle:

*Król przemówił, a jego woła jest święta*

*Pan nie będzie już zbójcom deptał po piętach*

*Ma spać spokojnie w grodzie swym,*

*A przed snem będzie...*

Krętacz przewrócił się na ziemię i zaczął okładać się

pięściami po głowie.

- Och, nie! Zepsułem rym! Chciałem zaśpiewać o tym,

jak pani krzyczy na cały dziedziniec, gdy pan sprawia jej

rozkosz, ale zgubiłem rym! Skoro jednak już wiecie,

co zamierzałem zaśpiewać, to chyba przyznacie, że reszta

była dość dobra?

- Tak, Krętaczu - roześmiała się Philippa. - Nie była

najgorsza. Poza tym nie krzyczę na cały dziedziniec.

- Ha - zachnął się Dienwald - wrzeszczysz tak, że Prim,

nieszczęsny strażnik bramy, wciąż myśli, że wróg atakuje

St. Erth. Wyśpiewałeś tu całą prawdę, Krętaczu. Jednak

mamy dziś zacnych gości i musisz się nieco wysilić, by

pieśń była i prawdziwa, i piękna.

To rzekłszy, Dienwald podniósł się z fotela i kopnął błazna w wypięty zadek. Krętać potoczył się bezładnie na sitowie.

Rozdz

d ia

i 1 134

- Moi ludzie nie mogą już usiedzieć w siodłach, tak są podekscytowani - oświadczył Dienwald. - Przez dobre dwa tygodnie nie mieli okazji zmierzyć się z żadnymi rzeźmieszkami i na poważnie szykują się do walki o Penwyth. Mam nadzieję, że przygotowałeś jakiś dobry plan.

- Jasne - odparł Bishop, patrząc na majaczące w oddali mury Penwyth. - Oczywiście, że mam plan. - Zamilkł i uśmiechnął się.

Dienwald nie naciskał. Wiedział, że we właściwym czasie Bishop wszystko mu opowie.

Bishop nie mógł się nadziwić. Jego ziemia odżyła tak, że nie poznawał okolicy. Wszystko było zielone - i pola, i drzewa, i krzewy. Ciemna, wilgotna gleba lśniła w słońcu, polne kwiaty zdobiły krajobraz barwnymi kobiercami. Susza odeszła. Dlaczego jednak najpierw pokonał suszę? Księżę nie wspominał nic na jej temat.

Bishop zamrugał. Zapewne także susza była jakoś  
związana z klątwą bądź z jego przybyciem w te strony.

Wciąż

dobrze

pamiętał

gęstą

zasłonę

rozpaczy

spowijającą tę ziemię. Na widok bujnej zieleni w jego  
serce wstąpiła otucha.

Dienwald i Bishop jechali na czele grupy. Tuż za nimi,  
przy boku Merryn, jechał Gorkel, który potrafił w jednej  
chwili rozbić głowy trzem mężczyznom. Dienwald  
obejrzał się przez ramię.

- Merryn nie powinna była jechać z nami, Bishopie -  
powiedział. - To może być bardzo niebezpieczne.

- Prawdę mówiąc, nie byłbym w stanie przeprowadzić  
planu, gdyby jej tu nie było. Jest niezbędna i nie mamy  
innego wyjścia. Zadbam o to, by nie stała jej się żadna  
krzywda. Jednak powiedz mi, Dienwaldzie, jak zdołałeś  
zmusić Philippę do pozostania w domu.

Dienwald skrzywił się nieznacznie.

- Szczerze mówiąc, musiałem ją przekupić.

Bishop uniósł pytająco brew.



- Obiecałem jej, że porozmawiam z Graelamem o małżeńskim kontrakcie mojej małej Eleanor i młodego Harry'ego.

- Świetna byłaby z nich para, lecz wciąż nie wierzę, że Philippa zgodziła się zostać w domu dla takiej sprawy.

Spodziewam się, że i tak zaproponowałeś Eleanor synowi de Moretona.

- Oczywiście. Skoro jednak zamierzasz się żenić, Bishopie, pozwól, że udzielę ci rady. Nigdy nie wahaj się kłamać upartej żonie, jeśli chcesz osiągnąć swój cel.

Strawiłem całe godziny na krzykach i groźbach, że nigdy nie zgodzę się na mariaż z rodziną de Moretonów. -

Dienwald wyszczerzył się w uśmiechu. - Byłem naprawdę przekonujący. Pozwoliłem jej nawet, by tłukła mnie po głowie, krzyczała na mnie i oświadczyła mi, że jestem ostatnim idiotą. Och, moja najdroższa wiedźma siedzi teraz i puchnie z dumy, uważając, że odniosła wielkie zwycięstwo.

Zadowolony z siebie Dienwald zaczął cicho gwizdać.

Za plecami usłyszeli śmiech Gorkela. Był to przerażający dźwięk.

- Merryn rozśmieszyła Gorkela. To zdumiewające, jak bardzo się do niej przywiązał. Szczęściarz z ciebie, Bishopie. Ale dość już o małżeństwach, powiedz lepiej,

jaki masz plan odbicia grodu.

\* \* \*

Przekonany o własnej nieśmiertelności dwudzie-  
stodwuletni Fioral z Grandere Glen podniósł się powoli  
z fotela lorda Vellana, w którym siedział wygodnie od  
kilku dni, rozmyślając o tym, że jednak jest sprytniejszy  
od większości śmiertelników.

- To oczekiwanie zaczyna mnie nudzić - ziewnął  
rozdzierająco. - Przyda nam się jakaś rozrywka, Dolanie.  
Sprowadź tu jednego z tych zmurszałych reliktywów  
przeszłości.

Dolan sprowadził Crispina, który zgłosił się na  
ochotnika. Stary strażnik nie chciał, by szalony najeźdźca  
bez powodu torturował jego ludzi. Był ich dowódcą od  
tylu lat, że nie był w stanie sobie przypomnieć, kiedy  
objął to stanowisko. Dolan zaś był znużony i stroskany.  
Nie, właściwie to był przerażony. Czuł, że stanie się coś  
strasznego. Wiedział doskonale, że skoro młodego pana  
nie zabiła klątwa, to zdaje mu się, że już wygrał. To  
prawda, że Fioral tryskał humorem i energią. Ale po co to  
wszystko? Co Fioral zamierza uczynić z Crispinem,  
starym, bezbronnym człowiekiem, z którym Dolan niemal  
się już zaprzyjaźnił?

Było najzupełniej jasne, że klątwa nie zadziała, dopóki

Fioral nie poślubi wnuczki lorda Vellana, Merryn de Gay.

Dolan byłby naprawdę szczęśliwy, gdyby zdołał ujść z tego przeklętego grodu cały i zdrowy. Gdyby zaś dane mu było również wyprowadzić swoich żołnierzy, do końca życia błogosławiłby wspomnienie tego dnia. Miał szczerą nadzieję, że Fioral poślubi Merryn de Gay. Wtedy klątwa się z nim rozprawi i będzie miał za swoje. W ostatnich dniach Dolan przekonał się, że młodzieniec nie jest nawet w połowie tak bystry, jak mu się wydaje.

Crispin widział wyraźnie, że Fioral jest śmiertelnie znudzony i prawdopodobnie będzie chciał go dla zabawy znieważać i umęczyć. Czy go zabije? Tego Crispin nie wiedział. Podobnie jak lord Vellan i lady Madelyn, stary Crispin bardzo martwił się o Merryn i sir Bishopa. Gdzie się podziewają? Co się z nimi dzieje? Och, na Boga, niczego już nie wiedział prócz tego, że jakiś młody łajdak rozparł się na fotelu jego pana i rządzi wszystkimi, teraz zaś szuka rozrywki i to właśnie Crispin ma mu jej dostarczyć. Przynajmniej dotrzymał słowa. Fioral nikogo nie zabił. Na razie.

Dolan delikatnie popchnął Crispina w stronę Fiorala.

Obawiał się tego, co może zrobić jego pan. Znudzony wojownik może być o wiele gorszy niż starożytna klątwa.

Ach, ta klątwa! Mimo wszystkich przerażających

opowieści lorda Vellana, naszpikowanych krwawymi opisami, Fioral był przekonany, że została wymyślona.

Drapiąc się w otarcie na tyle głowy, Fioral myślał właśnie o śmierci trzeciego męża. Rana nad karkiem wciąż mu dokuczała i stawała się coraz większa. Z trudem oderwał dłoń od głowy i spojrzał z pogardą na starca stojącego przed Dolanem.

- Nazywasz się Crispin i jesteś dowódcą straży lorda Vellana?

- Zgadza się. Jestem dowódcą od wielu lat. Zacząłem nim być, zanim pojawiłeś się na świecie, złodzieju.

Fioral poderwał się z fotela, skoczył ku starcowi i z całej siły uderzył go w twarz. Crispin na pewno upadłby na podłogę, gdyby Dolan w porę go nie chwycił. Wiedząc jednak, że w ten sposób ułatwi Fioralowi dalsze bicie, delikatnie upuścił Crispina na podłogę i przytrzymał lekko, by starzec nie próbował się podnieść.

Fioral stał nad starcem, tupiąc gniewnie.

- Od ilu lat jesteś tu dowódcą, staruchu?

Crispin miał wrażenie, że od tego jednego uderzenia bolą go wszystkie kości. Dobrze mu się leżało na sitowiu i wcale nie zamierzał się podnosić.

- Zostałem nim jeszcze przed narodzinami twego ojca.

- Wierzysz w tę klątwę?

- Oczywiście. Tylko głupiec nie wierzyłby w nią po śmierci czterech mężów.

Fioral pochylił się, by ponownie uderzyć Crispina, lecz Dolan chwycił go za ramię.

- Nie,

mój

panie,

powstrzymaj

się.

Zapomnij

o zniewagach. Zauważ, że wszyscy mieszkańcy Penwyth są bardzo przesądni i wyglądają, jakby mieszkali tu od zarania dziejów. To przecież pewne, że z wiekiem stawali się coraz bardziej zastraszeni.

- Ach, więc jest to dla ciebie pewne, Dolanie?

Dolan kiwnął głową. W głosie swego pana słyszał dziwną miękkość, od której ścisnął mu się żołądek.

Fioral zastygł. Rana na karku swędziała i bolała coraz bardziej. Miał ochotę ją podrapać.

- Jak śmiałeś podnieść na mnie rękę, Dolanie?

Dolan pomyślał, że zachował się nieostrożnie. Poczul zaciskającą się wokół serca zimną dłoń strachu. Nie zdziwiłby się, gdyby następną rzeczą, jaką poczuje, był nóż Fiorala, wbijający się w jego pierś. Starał się nie

poruszać.

- Nie chciałem cię obrazić, mój panie. Chodziło mi tylko o to, że wszyscy tu są tak starzy, że nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia. Nie ma powodu, by ich zabijać.

- On ma rację, głupcze! Zostaw Crispina w spokoju. To dobry żołnierz, można na nim polegać i nic złego ci nie zrobił.

Fioral obrócił się gwałtownie. Do Wielkiej Sali wpadł lord Vellan. Choć nie miał już pewnie tyle siły, co niegdyś, wciąż był imponującym, roslym starcem, zwłaszcza w tunice wykończony gronostajowym futrem, którą podobno uszyła dla niego lady Madelyn. Fioral wątpił, by starucha wciąż była w stanie szyc tak piękne szaty. Palce miała kościste i powykręcane. Pragnął gorąco tuniki lorda Vellana. Pasowałyby na króla, nie zaś na starucha, który już od lat powinien gnić w piekle.

- Czy zamierzasz osobiście odpowiedzieć za podłość swego sługi, mój panie?

- Owszem, odpowiem osobiście. Powiedz, zatem, Fioralu, cóż takiego zrobił Crispin, że tak się wściekłeś? Czyżby cię zaatakował? Groził ci mieczem?

Fioral splunął tuż obok głowy Crispina.

- Wolałbym cię zabić, starcze i wreszcie wszystko byłoby skończone.

- Nic nie byłoby skończone, głupcze. Niedługo wróci sir Bishop i wyrwie ci wszystkie paznokcie, a ja będę się śmiać, gdy twoje wrzaski będą się odbijały echem od ścian naszego zamku.

Fioral nie mógł się powstrzymać. Spojrzał na swe paznokcie: brudne, połamane, lecz mocne.

- Ten słynny Bishop z Lythe z pewnością już nie żyje, mój panie, i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Zabrał z sobą lady Merryn i odjechał. Jak myślisz, dokąd się udał? Do Londynu na spotkanie z królem? Nie sądzę. Pewnie zabili ich bandyci. Gdybym to ja spotkał ich w drodze do Penwyth, na pewno bym ich zabił.

Nikt się nie odezwał, gdyż nikt nie chciał zginąć. Lord Vellan patrzył tylko na Fiorala, jakby ten był robakiem, którego niedługo zdepcze but rycerza.

- A może spróbujemy inaczej - ciągnął Fioral. -

Założmy, że klątwa działa tylko tutaj, w Penwyth. Ten Bishop zabrał lady Merryn i zmusił ją, by za niego wyszła, licząc na to, że klątwa go nie dosięgnie. A jednak zginął. Co sądzisz o takiej wersji, mój panie? Bishop z Lythe nie żyje, gdyż twoja klątwa działa wszędzie i zawsze.

- Nic nie wiem na ten temat - odparł lord Vellan. - Jeśli jednak klątwa zabiła Bishopa, to gdzie się podziewa moja

wnuczka?

- Pewnie wraca do Penwyth. Przybędzie do mnie

i poślubię ją jako prawowity mąż.

- Nie masz tu żadnych praw, Fioralu - prychnął lord

Vellan. - I zginiesz przez własną głupotę. Całe twoje

gadanie nie ma krzty sensu.

Fioral podbiegł do lorda Vellana i zamierzył się pięścią,

by go uderzyć, lecz w tym momencie poczuł

przeszywający ból w ranie na tyle głowy. Zdawało mu się,

że odrażająca ropa przepaliła mu skórę i rozlewa się

w głąb ciała, pożerając go żywcem. Na wszystkich

świętych! Fioral zmartwiał z przerażenia. Chwycił się za

ranę i wybiegł z Wielkiej Sali.

Crispin wstał powoli. Otrzepał sitowie ze spodni

i powiedział do Dolana.

- Coś bardzo złego dzieje się z twoim panem. Nie

licząc, rzecz jasna, jego zwykłego szaleństwa,

- Masz rację. Chodzi o ranę na jego głowie. Pójdę to

sprawdzić.

Lord Vellan roześmiał się głośno, a potem krzyknął za

młodzieńcem:

- Teraz chyba widzisz, że klątwa Penwyth ma różne

oblicza, czyż nie? Gnijesz od środka, Fioralu. Jak się

czujesz, wiedząc, że niedługo zginiesz i nic tego nie



powstrzyma?

Lord Vellan śmiał się tak donośnie, że dostał czkawki.

Napił się nieco piwa i spytał Crispina:

- Jak myślisz, gdzie jest Bishop?

- Mam nadzieję, że niedaleko, mój panie.

- I ja również, Crispinie. I ja również.

Późnym popołudniem Fioral znów siedział w fotelu

lorda Vellana.

Na głowie

miał świeży bandaż

i zachowywał grobowe milczenie. Dolan podszedł do

niego, zachowując bezpieczną odległość.

- Mamy gości, mój panie - powiedział. - Jakiś starzec ze staruszką proszą, byś raczył im udzielić audiencji.

Twierdzą, że ledwie zdołali uciec przed zgrają bandytów.

Błagają o schronienie.

- Powiedz im, żeby szukali go gdzie indziej albo poderżnę im stare gardła. Nie chcemy więcej starych kości w Penwyth.

- Twierdzą, że mogą ci powiedzieć, gdzie jest Merryn de Gay.

Fioral poskrobał się po brodzie. Im szybciej dostanie dziewczynę w swoje ręce, tym szybciej stanie się panem na Penwyth. To z pewnością uleczy ohydną ranę na

głowie. Był o tym przekonany.

- Dobrze, wpuść ich - kiwnął głową z przyzwoleniem. -

Na Boga, czy w tej okolicy wałęsają się same roztrzęsione staruszki i ich zgrzybiali mężowie?

Gdy para starców chyłkiem weszła do Wielkiej Sali,

Fioral był pewien, że nigdy w życiu nie widział

brzydszych ludzi. Chuda, obrzydliwa starucha miała na

twarzy trzy wielkie brodawki, z których sterczały twarde

jak szczecina włosy. Jej towarzysz nie wyglądał lepiej.

Skrzywiony i garbaty, o siwych, splątanych włosach

i czarnych pieńkach zębów.

- Pozwoliłem wam wejść do mego grodu - oznajmił

Fioral. - Albo natychmiast powiecie mi, gdzie znajdę lady

Merryn de Gay, albo poderżnę wam leciwe gardła.

Rozdz

d ia

i 1 13 5

Starzec wykonał jeden drżący krok. Ukłonił się

i trzymając się za plecy, wyprostował z trudem.

- Moja żona jest wieszczką, panie - odezwał się

skrzeczącym głosem, w którym Fioral słyszał echa

dawnych czasów. - W czasie pełni księżyca, która

nadejdzie już jutro, będzie mogła określić dokładnie,

gdzie znajdziesz panią.

- Ta starucha jest wieszczką? Skoro tak, to dlaczego musi czekać akurat do pełni?

Starzec wzruszył ramionami, stękając z bólu.

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale to prawda.

Nie zobaczy niczego, dopóki księżyc nie stanie w pełni, mój panie. Wtedy muszę ścisnąć jej głowę dłońmi, a światło księżyca pokaże jej wszystko, czego zapragnie.

- Właśnie tak - wtrąciła się starucha. - Czarownice z Byrne powiedziały mi, że jeśli zginie mój mąż, przepadną też moje magiczne moce, gdyż tylko on może ścisnąć mą głowę. Inaczej nic z tego nie będzie. Jest to zaklęcie, które nas na zawsze związało, lecz nie narzekamy na to. Czy udzielisz nam schronienia, panie?

Rana na głowie Fiorala pulsowała wściekle.

W tym momencie do Wielkiej Sali wszedł lord Vellan i zatrzymał się raptownie na widok pary starców.

- Starucha twierdzi, że jest wieszczką, lordzie Vellanie - wykrzyknął Fioral. - Uważa, że potrafi mi powiedzieć, gdzie chowa się twoja cenna wnuczka.

- Czyżby? - Lord Vellan podszedł do paskudnych przybyszów i przyjrzał im się uważnie. - Ach, rzeczywiście! Ona ma spojrzenie wiedźmy, teraz to dobrze widzę. Czy moja wnuczka żyje, starucho? Jak się miewa?

- Och, wszystko z nią w porządku, mój panie, jest z nią sir Bishop z Lythe. Powiem młodemu panu, gdzie dokładnie się ukrywają, byście mogli zabić porywacza i sprowadzić ją do domu.

Vellan zrobił krok w tył. Raptownie poczuł falę strachu.

- Skąd znasz jego imię? O co tu chodzi? Skąd przybyliście?

Nagle starucha zastygła i spojrzała przenikliwie na Fiorala.

- Jesteś chory, panie - rzekła. - Co ci dolega?

Fioral bezwiednie dotknął bandaża na głowie.

- Widzisz mój opatrunek, czyż nie? Jak na staruchę, masz całkiem bystry wzrok. To nic poważnego. Tylko niewielka rana, która mnie złości.

- Ależ to bardzo poważne, mój panie - powiedziała, czując w głębi serca, że ma rację. - Rana sączy w twoje ciało jad, który rozkłada cię od środka.

- Co mówisz, kobieto? Podejdź tu! Czy możesz uleczyć tę ranę?

Starucha zamrugła gwałtownie, odchyliła głowę i powiedziała głębokim, dudniącym głosem:

- W tej ranie kryje się zło, które pożera cię od środka! -

Zgromadzeni w Wielkiej Sali mieszkańcy Penwyth zadrżeli ze strachu. - Wyraźnie widzę, że to kara. Cóż

uczyniłeś, by na nią zasłużyć?

Fioralowi to wszystko przestało się podobać.

- Niech cię piekło pochłonie, starucho! Odpowiadaj!

Czy masz moc uzdrawiania?

- Nie, ale mój mąż ma. Ja tylko widzę zło, on zaś potrafi je odczynić.

W jednej chwili Fioral poderwał się na nogi.

- Podejdź tu, starcze!

Wezwany podszedł chwiejnym krokiem. Spojrzał na wełniany bandaż na głowie Fiorala.

- Zanim będę mógł ci pomóc, musisz wyznać mej żonie, jakie zło popełniłeś.

Fioral przygryzł dolną wargę i nic nie powiedział.

Lord Vellan podszedł do starca i powiedział donośnym głosem:

- Ten złodziej przybył do Penwyth i podobnie jak czterech poprzednich głupców zażądał mej wnuczki za żonę. Pragnął siłą przejąć władzę nad naszym grodem.

Czy to wystarczająco złe, starcze? Czy ta rana go zabije?

Powinna, gdyż nie zasługuje na lepszy los. Błagam, nie uzdrawiaj go! To mu się nie należy!

Rozwścieczony Fioral wyszarpnął sztylet, gotów ugodzić nim lorda Vellana.

- Jeśli go zabijesz, rana otworzy się i ropa zaleje ci

mózg! - krzyknęła starucha.

Fioral zamarł. Ciężko oddychał.

- Co się tu dzieje? Ta rana nie jest przecież częścią  
klątwy Penwyth. Miałem ją już, zanim tu przybyłem, teraz  
się tylko pogorszyło. - Przyłożył dłoń do bandaża i jęknął.

Rana stała się tak gorąca, że nie dało się już jej dotknąć.

- Och, na Boga, co się dzieje? Uzdrów mnie, starcze, albo  
zabiję i ciebie, i twą nieszczęsną żonę.

- Dobrze - zgodził się starzec. Odsunął dłoń Fiorala,  
delikatnie dotknął rany opuszkami palców, zamknął oczy  
i wypowiedział szeptem kilka łów. Przez moment mruczał  
coś pod nosem. W Wielkiej Sali zapanowała całkowita  
cisza, wszyscy wpatrywali się w starca trzymającego rękę  
nad karkiem Fiorala.

- Gotowe - rzekł wreszcie staruch, podnosząc głowę.

Palcami wciąż dotykał bandaża. - Jeśli będziesz żałował  
wyrządzonych krzywd i powstrzymasz się od złych  
uczynków, rana się zagoi. Czy żałujesz zła, które  
wyrządzałeś, panie?

- Żałuję.

- A przyszłe zło? Czy odstąpisz od swoich żądań  
i opuścisz Penwyth?

Młodzieniec nie odpowiedział. Starzec odsunął się od  
niego, a rana natychmiast zaczęła świerzbieć i pulsować

bólem. Co robić? Fioral odrzucił głowę w tył i wrzasnął:

- Nie robię nic złego! Przyjechałem do Penwyth, by  
poślubić dziedziczkę i zostać spadkobiercą lorda Vellana.

Cóż w tym złego? Jestem młody, silny i bystry. Wspaniały  
ze mnie wojownik i będę dobrze służył królowi

Edwardowi. Sam by mnie tu przysłał, gdyby mnie znał!

- Lecz król ciebie nie zna, Fioralu z Grandere Glen -  
odparł starzec. - Przysłał tu sir Bishopa z Lythe, ty zaś  
chcesz mu wejść w drogę. Nie jesteś lepszy od pierwszego  
lepszego złodzieja, który sięga po cudzą własność  
i powinien okupić to własną śmiercią.

- Nie jestem złodziejem! Chcę tylko zapewnić sobie  
byt, jak musi to uczynić każdy kolejny syn. Penwyth to  
soczyste jabłko, które zamierzam zerwać. Przecież od  
każdego dzielnego rycerza tego by oczekiwano.

- Nie widzę tu żadnego dzielnego rycerza - wtrącił  
starzec. - Widzę tylko nierozważnego młodego łajdaka,  
który zginie od jadu zatrującego jego ciało.

- Ale ja nie zrobiłem nic złego!

- Skoro tak twierdzisz...

- Tak właśnie twierdzą.

- Walcz ze mną, panie - rzekł starzec delikatnym,  
cichym głosem. - Jeśli zdołasz mnie zabić, rana  
natychmiast zniknie.

Fioral nie mógł uwierzyć własnym uszom. Zdawało mu się, że ogarnia go szaleństwo.

- Czy staniesz do walki, złodzieju?

- Chcesz, bym z tobą walczył? - upewnił się zdumiony

Fioral. - Jesteś tak stary, że ledwie stoisz na nogach.

Spójrz na siebie! Nawet nie uniesiesz miecza. Przewrócisz się, gdy tylko na ciebie dmuchnę. Co to ma być? Kiepski żart? Uzdrów mnie, i tyle.

- Już ci powiedziałem, co musisz zrobić - odparł

starzec. - Będziesz uzdrowiony, kiedy mnie pokonasz.

Twoje gadanie na nic się nie zda. Staniesz do walki?

Fioral nie wiedział, co robić. Chciał poznać kryjówkę

Merryn i obawiał się, że kiedy zabije starca, wiedźma niczego mu już nie powie. Co robić?

Lord Vellan podszedł do nich spokojnym krokiem.

- Fioral ma rację, starcze. Zabije cię w kilka sekund. -

Podniósł głowę i oznajmił dumnie: - To ja stanę do walki ze złodziejem.

Fioral zaczął się śmiać tak gwałtownie, że opadł na fotel. Im bardziej się śmiał, tym bardziej piekła rana nad karkiem. Wreszcie pojął, że nie może dłużej czekać. Musi zabić starca, inaczej jad rozleje się po wszystkich jego członkach i padnie martwy na podłogę w Wielkiej Sali.

- To nie dotyczy ciebie, lordzie Vellanie. Będę z nim



walczył. Starcze, Dolan da ci miecz. Będziemy walczyć na śmierć i życie. Na wewnętrznym dziedzińcu.

Staruch skinął głową, odtrącając dłoń żony.

- Gotuj się na śmierć, zdradziecki pomioście - wycedził do Fiorala.

Młodzieniec przewrócił oczami, roześmiał się i splunął.

- Za ile lat, mężu wieszczki?

- Za pół godziny nie będziesz już żył. Twój żołnierz opuści Penwyth, zabierając twoje ciało. Czy zrobisz to, Dolanie, by zło nie kłało już tego miejsca?

Dolan zamrugał ze zdumienia. Cała scena przekraczała granice jego rozumienia, jakby oglądał sztukę napisaną przez szaleńca. Jednak skinął głową:

- Zabiorę ciało mojego pana.

- Czy zapewnisz mu należyty pochówek?

Fioral łupnął pięścią w poręcz fotela.

- Dość tego! Zamilknij, starcze! Chcesz zasiać lęk w moim sercu!

- Czy ustawisz kamień nagrobny na miejscu jego spoczynku?

- Znajdę kogoś, kto wykuje w kamieniu imię mojego pana i ustawię ten głaz na mogile.

- Dość tego!!!

- Przyjmę miecz od Dolana, to dobry człowiek -

powiedział do Fiorala starzec. - Spotkamy się na dziedzińcu.

Mąż wiedźmy odwrócił się z godnością i wyszedł z Wielkiej Sali, powłócząc nogami i nie zważając na tłum gapiących się na niego równie starych mieszkańców zamku.

Fioral czuł, że to wszystko jest absurdalne, lecz nie miał wyboru. Musi zabić tego nędznika. Przekleństwo, to wszystko prowadzi donikąd! Rana pulsowała wściekle. Och, na Boga, musi się jej pozbyć!

Zaklął i wybiegł z Wielkiej Sali, wyszarpując po drodze miecz z pochwy.

Stara wiedźma skinęła głową w stronę lorda Vellana, zatoczyła krąg dłońmi i rzekła:

- To wszystko jest niezmiernie dziwne, czyż nie, *sir*? -

I roześmiała się chrapliwie.

Lord Vellan zbliżył się do niej i lekko dotknął palcem jej twarzy.

- Nos ci odpada.

Chwyciła nos, zanim upadł na ziemię, i przyczepiła na miejsce.

- Za to twój nos, *sir*, jest tak brzydki, że szkoda wielka, że jeszcze nie odpadł.

Lord Vellan chwycił się za nos, obmacał go dokładnie

i się roześmiał.

- Wcale nie jest brzydki. To nos wojownika z niezwykle szlacheckiej rodziny. Za to twój nos... Nigdy w życiu nie widziałem brzydszego.

- Cieszę się, że nie zawsze tak wyglądam - westchnęła.

- I ja także się z tego cieszę, Merryn. Urządziliście tu świetne przedstawienie. Bardzo się cieszę, że ty i miody Bishop tak się zbliżyliście do siebie. Gdzie się podziwialiście?

- W kilku miejscach, których nie zamierzam już nigdy odwiedzać, dziadku. Spieszmy na dziedziniec. Bishop może mnie potrzebować.

Vellan uniósł brew.

Usłyszeli straszny ryk.

Merryn uniosła suknię i zaczęła biec.

- Na litość boską, co też Bishop znowu wymyślił?

Rozdz

d ia

i 136

- Chodź tu, szczeniaku! - krzyknął Bishop. - Pokaż, co potrafisz.

Był ogromnie zadowolony z siebie. Wreszcie porządna, zwykła walka na miecze. Coś znajomego, w czym czuje się dobry, co sprawia, że krew krąży szybciej w żyłach.

Spojrzał za siebie i ujrzał Merryn zbiegającą ze

schodów w towarzystwie lorda Vellana.

Starzec zapewne już się domyślił, kim są. Wspaniale.

Po chwili u boku pana zamku pojawiła się lady Madelyn.

Vellan szepnął jej coś na ucho i starsza dama uśmiechnęła

się nieznacznie, ukradkiem kiwając dłonią Bishopowi.

Bishop przyjął miecz z rąk Dolana.

- Dziękuję. Dobry z ciebie człowiek. Czy nie ze-

chciałbyś zamieszkać w Penwyth, gdy już pochowasz

swojego pana?

- Z wielką chęcią. Moi ludzie również.

- Jak tam, Fioralu - krzyknął Bishop. - Szczękasz

zębami ze strachu?

Raptem z kręgu gapiów otaczających dziedziniec

wysunął się Crispin. Chwycił Bishopa za ramię.

- Nie mogę na to pozwolić, *sir* - stwierdził dobitnie. - To

będzie krwawa rzeźnia. Nie będziesz w stanie się przed

nim obronić. Nie, nie pozwolę to. Oddaj mi miecz

i spocznij pod jabłonią. Zasłużyłeś na długi odpoczynek. -

Crispin odwrócił się i krzyknął: - Ja będę z tobą walczył,

Fioralu! Ten starzec nigdy nie wyrządził ci nic złego.

Zdumiony Bishop nie miał czasu na zastanawianie się

nad zwrotem sytuacji. Chwycił Crispina za ramię

i szepnął:

- Nie musisz się obawiać, Crispinie. To ja, Bishop z Lythe! Przybyłem bronić mojej własności.

Pod Crispinem ugięły się kolana.

- Panie - wyjął - wprost nie mogę w to uwierzyć. Na wszystkich świętych, to było doskonale przedstawienie.

Zdumiewające. Wyglądasz nawet starzej niż ja!

Nie brzmiało to jak komplement, lecz Bishop wiedział, co Crispin ma na myśli.

- Dziękuję. Jednak wydaje mi się, że metamorfoza Merryn robi jeszcze większe wrażenie.

- Na litość boską, twierdzisz, panie, że ta stara wiedźma, na widok której ciarki chodzą mi po plecach, to nasza słodka Merryn?

- Zgadza się - uśmiechnął się Bishop. - A teraz ustąp pola, Crispinie, i pozwól mi rozprawić się z tym łajdakiem.

Fioral stał w otoczeniu swoich ludzi i ściszym głosem rozmawiał z najniższym, żyłastym żołnierzem. Co on knuje? Po chwili uśmiechnął się szeroko, wyszedł na środek dziedzińca i zaczął wymachiwać mieczem tak szybko, że powietrze furkotało wokół lśniącej klingi.

- Nie zechciałbyś położyć głowy na tym kamieniu, starcze? - zapytał Fioral, wskazując spory głaz przy murze. - Odetnę ci ją tak szybko, że nawet tego nie

poczujesz, co ty na to?

- Najpierw wrażę mój miecz w twoje wnętrze.

Potem zaś roztrzaskam ci głowę kamieniem, co ty na to?

Fioral ryknął gromkim śmiechem i puścił się biegiem, trzymając miecz w uniesionych nad głową dłoniach.

Bishop czekał na niego z uśmiechem. Fioral był silny, skupiony i zwinny, lecz z góry uznał, że wygra tę walkę.

Dlatego w ogóle nie zamierzał poświęcać uwagi na obronę. Haniebny błąd. Bishop czekał z lekkim uśmiechem. W końcu to nie Mawdoor biegł na niego ze złotym magicznym mieczem.

- Będziesz tam trząść się ze strachu, aż moi ludzie wywleką cię na środek? - szydził Fioral. - Przeczuwasz nadchodzącą śmierć? Przestrasz mnie teraz, żalosna kupo gnatów!

- Jak sobie życzysz - odparł Bishop. Gdy Fioral wykonał ostatnie trzy kroki, wznosząc miecz jeszcze wyżej, by rozplatać Bishopa na dwoje, przebrany starzec uskoczył zwinnie na bok, podstawiając rozjuszonemu młodzieńcowi nogę. Fioral padł z łomotem na ziemię, lecz natychmiast się podniósł, oddychając

chrapliwie

z wściekłości i zaskoczenia. W tym momencie skupił całą uwagę na Bishopie. Zauważył, że jak na starca porusza się zdecydowanie zbyt szybko. Jednak stwierdził, że był to ślepy traf. Łut szczęścia, z pewnością ostatni w jego nędznym życiu. Fioral nie popełni drugi raz tego samego błędu. Zaczął podchodzić powoli, kreśląc półkola mieczem.

- O co chodzi, starcze? Stoisz jak słup soli. Nie jesteś w stanie nawet podnieść tego miecza, nieprawdaż?

Położ głowę na kamieniu. Obiecuję, że nie będzie bolało.

- Podejdz i sprawdź, jaki jestem słaby, słodki

młodzieńcze - rzekł łagodnym głosem Bishop. - Taki jesteś pewny siebie, a zdaje mi się, że przed chwilą leżałeś na ziemi przechytrzony przez starca. Wystarczyło, że wyciągnąłem nogę i padłeś na twarz.

Fioral przyspieszył. Wściekłość wzbierała w nim falami.

- Jednak nie umrzesz szybko, starcze. Będziesz umierał bardzo długo.

Bishop wiedział, że Merryn podeszła bliżej i stanęła w pierwszym rzędzie gapiów. Nie dlatego, że ją widział, lecz dlatego, że znał ją doskonale. I czuł jej obecność.

Skoncentrował całą uwagę na Fioralu. W ostatniej

chwili uniósł miecz i dwa ostrza zderzyły się z trzaskiem.

Zdumiony Fioral odskoczył błyskawicznie. Nie czekał jednak ani chwili, z rozmachu ciął ponownie. Bishop odparował cios, prawie wytrącając miecz z ręki Fiorala.

Młodzieniec nie mógł w to uwierzyć. Dyszał ze zmęczenia i zgrozy przez jakiegoś nędznego starca!

- O co tu chodzi, draniu? - wykrzyknął z rozpaczą. -

Zapewne korzystasz z magii! Stosujesz czarnoksięskie sztuczki, by pokrzyżować moje plany, ale ja ci na to nie pozwolę! Zaczynij się już modlić! - Z rozmachu ciął mieczem, mijając ramię Bishopa zaledwie o cal.

Bishop wiedział, że wiele ryzykuje, pokazując wszystkim, ile ma sił. Arogancja zaślepiła go do tego stopnia, że przeciwnik zdołał go niemal dosięgnąć.

Wyprostował się i ruszył biegiem, unosząc miecz.

- Co, do diabła!?! - wykrztusił Fioral, zanim starzec dobiegł do niego, wcale nie tak stary, jak mu się zdawało.

Nie, raczej był całkiem młody, silny i zwinny. Zupełnie jak on sam.

Miecze zderzyły się z głośnym brzękiem. Bishop zbliżył twarz do zdumionego oblicza Fiorala i uśmiechnął się do niego, ukazując rząd śnieżnobiałych zębów.

- Zginiesz - wycedził. - Bo chciałeś ukraść moją własność.



W tej chwili Fioral domyślił się, że walczy z Bishopem z Lythe, że został haniebnie oszukany. Zapewne ktoś tu korzysta z czarnej magii mającej jakiś związek z tą zdradziecką klątwą. A okropna rana na karku na pewno jest efektem zaklęcia. Krzyknął rozpaczliwie i rzucił się w wir walki. Z krzykiem nacierał na Bishopa stojącego spokojnie na środku dziedzińca.

Bishop pozwolił mu podejść bardzo blisko i gdy Fioral wzniosł ostrze do straszliwego ciosu, wykorzystał moment, wbijając swój miecz w jego pierś. Aż po rękojeść.

Fioral nie wydał żadnego dźwięku. Spojrzał rycerzowi prosto w oczy, po czym bardzo powoli odepchnął się i zaczął cofać, aż upadł na plecy. Czubek miecza wciąż tkwił w jego torsie.

Bishop usłyszał głośny krzyk. Mieszkańcy wiwatowali głośno, zaś żołnierze Fiorala klęli z wściekłości. Odwracał się właśnie do Merryn, by posłać jej uśmiech pełen triumfu, gdy podbiegł ku niemu niski, żylasty żołnierz i wbił mu szylet w pierś. Przyskoczywszy błyskawicznie, Dolan chwycił żołnierza za ramię, odwrócił ku sobie i jednym cięciem szyletu poderżnął mu gardło, po czym odrzucił na ziemię.

- Merryn - wyjąkał Bishop, patrząc na rękojeść szyletu

tkwiącą w jego piersi. Przez chwilę kołysał się na boki, wreszcie osunął się na ziemię.

- Nie!!!

Czas się zatrzymał. Merryn nie widziała dziedzińca ani rozstępujących się przed nią ludzi. Podbiegła do Bishopa i padła na kolana. Krew płynęła spod rękodości sterczącej złowieszczą. Merryn nie wahała się ani chwili.

Wyszarpnęła sztylet i przycisnęła obie dłonie do rany.

Krew strumieniem wypływała spomiędzy jej palców.

Naparła na ranę z wszystkich sił, lecz w głębi serca wiedziała, że jest bardzo źle. Po policzkach spływały jej łzy. Łkając głośno, dostrzegła, że krąg ludzi zacieśnia się powoli. Widziała ich zbliżające się cienie, słyszała ich głosy.

Och, Boże, musi koniecznie coś zrobić!!!

- Nie waż się umierać, draniu! - krzyknęła. - Słyszysz?

Jak mogłeś dać się zasztyletować? Zabiję cię za to!

Głosy wokół zaczęły cichnąć. Ktoś próbował odciągnąć ją od Bishopa, lecz wrzasnęła tak przeraźliwie, że pozostawiono ją w spokoju.

Raptem stało się dla niej zupełnie jasne, co musi zrobić.

Nie zastanawiając się nad tym, ułożyła się na jego ciele, kładąc nogi na nogach Bishopa, a ręce na jego rękach.

Przytuliła policzek do twarzy Bishopa.

Stary Sarno, patrząc na dziedziniec ze szczytu blanków, ujrzał leżącą na staruszkę drobną, równie starą kobietę i rozlewającą się wokół nich wielką kałużę krwi.

W następnej chwili, wcale nie byli już starzy. Sarno aż przetarł oczy ze zdumienia. Chyba od palącego słońca dostał udaru! Później przysięgał, że widział nie tylko sir Bishopa i leżącą na nim lady Merryn, ale także dwa cienie pochylające się nad nimi, a potem wnikające w ich ciała.

Ale to przecież niemożliwe! Musiało mu się przywidzieć.

Bishop otworzył oczy i ujrzał nad sobą twarz Merryn.

- Nie - wyjąkał z trudem. Wzrok zachodził mu mgłą.

Czuł zaciskające się na sercu szpony śmierci. - Złaż ze mnie, głupia wiedźmo. Nie pozwolę ci za mnie umrzeć.

Złaż, powiadam!

Merryn, rzecz jasna, nie zamierzała go słuchać.

Przylgnęła do niego jeszcze mocniej. Resztką sił Bishop zdołał ją podnieść i zrzucić z siebie. Przetoczyła się na plecy i spojrzała w niebo pokryte delikatnymi, białymi obłokami.

Bishop opadł z powrotem na plecy. Merryn zobaczyła zbliżających się do niej ludzi. Gdy ktoś dotknął jej ramienia, krzyknęła:

- Zostawcie mnie, głupcy! Precz!

Znów rzuciła się na ciało Bishopa, a po chwili poczuła,

jak zalewa ją jego ból. W głębi duszy wiedziała dokładnie, co się dzieje. Z radością przyjęła cierpienie, zastanawiając się tylko, czy zdoła je przetrwać. Puls Bishopa wciąż słabł.

- Bishop - powiedziała stanowczo i ugryzła go w szyję.

- Nie waż się umierać. Słyszysz? Nie umrzesz. Nie umrzesz - powtarzała bez końca.

Bishop leżał bez ruchu.

Nagle ciałem Merryn wstrząsnął straszliwy ból. Nie miała wyboru, musiała znieść to wszystko. Zacisnęła zęby i pięści i zastygła. Och, na Boga, Bishop jest zbyt blady! W ogóle się nie porusza i nie sposób już wyczuć bicia jego serca. Ziemia wokół nich zrobiła się czerwona od krwi.

Nagle Bishop otworzył oczy.

- Będziesz musiała sama wychować nasze dziecko. Tak mi przykro, Merryn. A mieliśmy się pobrać. Przepraszam - wyszeptał.

Merryn przywarła ustami do jego warg.

- Nie umrzesz - powiedziała. - Słyszysz, śmiertelniku?

Nie umrzesz, bo jesteś częścią mnie, nie czujesz tego?

Kolejna fala bólu wniknęła w jej serce. Merryn zamknęła oczy i zacisnęła wargi, by nie krzyknąć. Zaczęła drżeć i trząść się jak w febrze. Czuła wypływającą z rany

krew Bishopa, a także własną krew. Nie była w stanie dłużej tego znieść.

Bishop znów chciał ją zepchnąć, lecz był zbyt wyczerpany. Zresztą Merryn nie pozwoliłaby na to tym razem.

Powoli ból zaczął słabnąć. Odpływał i rozwiewał się, jakby był zaledwie snem. Merryn westchnęła z ulgą, oparła policzek o policzek Bishopa i zamknęła oczy.

Obydwoje wyglądali, jak martwi.

- Zróbcie trochę miejsca - krzyknął lord Vellan. -

Odsuńcie się! Wszyscy precz!

Lady Madelyn załamała chude ręce.

- Co ona robi? Co się tu dzieje?

- Nie wiem - odparł jej mąż. - Ale czuję, że nie powinniśmy do nich podchodzić.

Crispin i Dolan stali z boku, wpatrując się bez słowa w dwoje ludzi, którzy zdawali się starsi niż najstarsze dęby w gaju niedaleko Penwyth.

Żadne z nich się nie poruszało.

Bishop czuł się bardzo dziwnie. Był tak zmęczony, że miał ochotę zapaść się pod ziemię i leżeć tak do końca świata. Miał wrażenie, że stracił wszystkie siły, energię i żywotność. Zdawało mu się, że mógłby swobodnie unosić się w powietrzu. Co więcej, nie czuł już bólu.

Merryn zabrała cierpienie; przyjęła na siebie śmiertelną ranę.

Nie. To niemożliwe. A jednak, już kiedyś się tak stało.

- Merryn?

Przez chwilę nie reagowała i Bishopowi wydawało się, że umrze ze strachu. Niebawem poczuł, że jej powieki zadrgały.

- Merryn?

Uniosła się nad nim, potrząsnęła głową i zapytała zdziwiona:

- Co się stało?

-

Byłem ranny. Położyłaś się na mnie. Dlaczego?

Zdołała się tylko uśmiechnąć. Była wyczerpana i obolała.

- Nie wiem - wyznała, całując go w podbródek. -

Wiedziałam, że muszę to zrobić. - Spojrzała na niego, widząc już nie starca, lecz Bishopa, którego kochała i któremu nie zamierzała pozwolić umrzeć. - Wiedziałam, że moje serce musi być blisko twojego. Strasznie mnie bolało, ale jakoś to wytrzymałam.

Lord Vellan zbliżył się ku nim, chcąc pomóc Merryn wstać, lecz ona chwyciła Bishopa za ramiona i nie zamierzała puścić. Spojrzała na dziadka przez ramię.

- Wszystko w porządku. Dajcie nam jeszcze chwilę.

Przyrzekam, że już w porządku.

- To niemożliwe, kochanie. Bardzo mi przykro, ale to niemożliwe. Bishop został ugodzony prosto w pierś. Jest już martwy. Na pewno nie żyje.

- Ależ żyje, dziadku. Przed chwilą z nim rozmawiałam.

Przysięgam.

- Nawet jeśli jeszcze nie umarł, zapewne skona za chwilę. Chodź już, Merryn. Zostaw go. Zajmiemy się jego ciałem.

Merryn spojrzała na sękaty palec dziadka i powoli pokręciła głową. Ucałowała usta Bishopa.

- Już czas, Bishopie. Czas już, byś wstał i powiedział wszystkim, że dziś mnie poślubisz.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy ze zdumieniem wpatrywali się w przemawiającą do martwego Bishopa z Lythe staruszkę, która wydawała się coraz młodsza.

Rycerz otworzył oczy i się uśmiechnął.

- O, tak. Poślubię cię.

Merryn wzięła dziadka za rękę i z trudem wstała. Na sukni miała ogromną plamę krwi. Słyszała, jak ludzie szepczą między sobą: „Przecież to lady Merryn!”, „Dlaczego on nie skonał? Powinien był zginąć!”.

Szeptali i mamrotali bez wytchnienia. Bishop wstał

i otrząsnął się jak pies po deszczu.

Jego tors również był uwalany krwią, która zaczynała obsychać. Na dziedzińcu zapadła głucha cisza. Bishop czuł delikatny wiatr na czole. Był wciąż osłabiony, lecz żywy. Dotknął palcami piersi, wyczuwając dziurę w tunice.

- On żyje! On żyje! On żyje! - wiele głosów zlało się w jeden zgodny chór.

Wszyscy wiedzieli, że to absolutnie niemożliwe, wreszcie któryś z żołnierzy powiedział:

- Już pojmuje. To było zaledwie draśnięcie. Jedno z tych, po których bardzo się krwawi, lecz nie wyrządzają ci większej szkody. Coś takiego nie mogło zabić sir Bishopa.

- Racja, racja - przytakiwały głosy.

Bishop widział, że wszyscy odetchnęli z ulgą. Wreszcie rozumieli, co się wydarzyło, i uznali, że nie ma to nic wspólnego z żadną magią czy czarnoksięstwem. Rycerz ujął dłoń Merryn i spojrzał w jej wstrętną twarz.

- Czy wyjdiesz za mnie za jakąś godzinę?

- Gdy tylko obmyję się z krwi i odkleję ten nos.

Nagle wybuchła wrzawa i rozległy się wiwaty. Dziadek chwycił Merryn na ręce i zakręcił nią dokoła.

Rozdz



d ia

i 113 7

Bishop nie znalazł rany na swojej piersi. Nie było na niej najmniejszego znaku po nożu. Trochę tylko bolało, jakby Merryn łupnęła go z całej siły pięścią, wskakując na niego z impetem. Uśmiechnął się.

Usadowiwszy się wygodnie w kadzi, przymknął oczy.

Wkrótce pojawi się Merryn z gąbką w dłoni, by go wykapać. Sam chętnie by ją umył, wiedział jednak, że została już gruntownie wyszorowana przez służące.

Zastanawiał się, czy na jej piersi znajdzie choćby rysę czy siniaka na potwierdzenie, że jednak coś się wydarzyło.

Czuł, jak w jego żyłach wartko płynie krew.

Przepelniała go energia i radość.

Merryn weszła do komnaty z gąbką w dłoni. Nie miała już na sobie zakrwawionej sukni, lecz prostą domową szatę. Uśmiechnęła się, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Jak się czujesz?

Bishop tylko kiwnął głową.

- Pokaż mi piersi.

Merryn odłożyła gąbkę, zrobiła krok w tył i rozchyliła szatę. Pod lewą piersią, tuż nad bijącym równo sercem,

Bishop dostrzegł jasną bliznę.

- Ja nie mam najmniejszego śladu - poskarżył się.

- Ciesz się tym. To nie takie. - Zawiązała szatę. -

Przysłałam cię umyć, mężu. Połóż się i rozluźnij. To był dla ciebie bardzo ciężki dzień.

Bishop roześmiał się z ulgą.

- Masz rację. Kochasz mnie, Merryn?

- Kocham cię - odparła bez wahania. - Kocham cię bardziej niż jeszcze minutę temu. Niedługo moja miłość będzie tak wielka, że nie zdołam się podnieść z łóżka.

Bishop z uśmiechem wziął ją za rękę.

- Doskonale wiem, o czym mówisz.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Kto tam? - zawołała Merryn. - Kto śmie zakłócać kąpiel pana młodego?

- To ja, lady Merryn. Crispin.

- Wejź, Crispinie - zawołał Bishop.

Crispin wszedł do komnaty. Nie patrzył wcale na dwoje młodych ludzi, którzy jeszcze niedawno wyglądali na starszych niż jego ojciec, lecz wpatrywał się w dziwny patyk, który niósł w dłoni.

- Mój panie, jakiś dzieciak znalazł to na dziedzińcu i twierdzi, że wypadło ci z rękawa, gdy wstałeś. To tylko patyk, choć dość niezwykły, jeśli dobrze się wyrażam.

Bishop wziął różdżkę od starego strażnika.

- Dziękuję, Crispinie. Myślałem, że zniknęła - mruknął

Bishop, zastanawiając się, skąd się wzięła w jego rękawie.

Choć w zasadzie wcale nie chciał tego wiedzieć.

Gdy Crispin wyszedł z komnaty, Merryn odetchnęła głęboko.

- Różdzka wypadła ci z rękawa? Myślałam, że zniknęła w jaskini przy Tintagelu.

- Bo tak było, lecz teraz wróciła.

Spojrzeni na siebie.

- Obydwoje żyjemy, Bishopie - szepnęła Merryn. - Coś niezwykłego się wydarzyło. Czy różdzka nam w tym pomogła?

Rycerz milczał, wpatrując się w różdzkę. Była ciepła i gładka. Gdy usiłował skupić się na tym, co się wydarzyło na dziedzińcu, czuł zawroty głowy.

- Czy to ta sama różdzka?

- Tak, na pewno. - Bishop usiadł, a Merryn zaczęła mu gąbką szorować plecy. Przyjrzał się dokładniej różdze.

Naraz podskoczył gwałtownie, rozchlapując wodę.

- Co się stało? - wykrzyknęła przestraszona Merryn. -

Zabolało cię? Bishop! Powiedz coś!

- Popatrz, Merryn. Popatrz tylko.

Wyciągnął ku niej różdzkę, wskazując palcem na inskrypcję w drewnie. Merryn uklękła przy kadzi.

Położyła palec tuż przy palcu Bishopa.

- Poczuj to - rzekł i przesunął palcem Merryn po inskrypcji.

- Muszę wziąć ją bliżej światła - stwierdziła. Wzięła różdżkę i podeszła z nią do okna. - *Ambrosius* -

przeczytała na głos. - *Ambrosius? Co to znaczy?*

- Nie widzisz nic więcej? Przyjrzyj się dobrze.

Merryn obracała różdżkę w palcach, przyglądając się jej ze wszystkich stron.

- Mam! Jest jeszcze jedno słowo. *Merlin. Merlin*

*Ambrosius*. Co to może oznaczać? Myślisz, że to czyjeś imię?

- Kilka lat temu byłem poważnie ranny - powiedział cicho Bishop. - Benedyktyni przyjęli mnie do siebie i uleczyli. Jeden stary mnich uwielbiał czytać na głos legendy spisane przez Geoffreya z Monmouth. Jedna z nich opowiadała o doradcy Uthera Pendragona, który był ojcem króla Artura.

- Merlin - wtrąciła Merryn. - Teraz pamiętam. Był magikiem, prawda?

- Och, nie. Był czarodziejem - rzekł z namaszczeniem Bishop. - Czarodziejem - powtórzył po chwili.

- Nie rozumiem tego, Bishopie.

On sam także niczego już nie rozumiał. I nawet nie zamierzał starać się zrozumieć. Różdżka, która należała

do Merlina? To nazbyt wiele dla zwykłego śmiertelnika.

Śmiertelnik. On sam i Merryn są śmiertelnikami, lecz

Brecia i księżę nimi nie byli. A księżę uczynił ją

brzemienną w czasie pierwszej dzikiej bliskości, podobnie

jak on sam uczynił brzemienną Merryn.

W tej chwili Bishop poczuł coś dziwnego. Miał

wrażenie, że księżę stoi tuż przy nim, mówi coś i śmieje

się cicho. Chwilę później zniknął. Została tylko Merryn.

- Podejdz do mnie, Merryn. Pocałuj mnie.

\* \* \*

- Jestem twoim mężem od pięciu dni, a wciąż żyję.

- To prawda, mężu. Czy napisałeś już do króla

Edwarda?

- Owszem. Posłaniec powinien niedługo do niego

dotrzeć. A jutro przyjadą do nas Dienwald i Philippa

z dziećmi. Vellan i Madelyn chcą ich poznać.

Bishop

wstał

i

kilka

razy

zadzwoił

nożem

o kryształowy puchar znad Renu, ozdobę cennej kolekcji

lorda Vellana. Gdy oczy wszystkich mieszkańców zamku

zwróciły się ku niemu i zapadła cisza, powiedział:

- Nastał koniec klątwy Penwyth. Została zdjęta.

Rozległy się głośnie wiwaty i toasty. Bishop uśmiechnął się do żony.

- Jestem piątym i ostatnim mężem waszej pani!

Głośny śmiech zatrzęsł murami zamku. Merryn stanęła u boku męża i zaczęła, aż poddani nieco ucichną.

- Nigdy więcej żadna klątwa nie będzie wisiała nad tą ziemią.

- Wszyscy się zastanawiają - ciągnął Bishop - dlaczego mieszkańcy Penwyth żyją tak długo. Powiem wam.

Każdy, kto kocha ten gród i jest mu wierny, zasługuje na długie, dostatnie życie.

- Nie mogę unieść miecza, ale żyję! - zakrzyknął jeden ze strażników.

- Wszyscy zasługujemy na długi żywot!

Zgromadzeni w Wielkiej Sali mieszkańcy Penwyth krzyczeli, śmiali się i rozmawiali jeden przez drugiego.

- Precz z klątwami!

- Precz z klątwami!

- Będziemy jeszcze długo żyli!

- Ciekawe, czy kiedykolwiek działała tu jakaś klątwa - rzekła cicho lady Madelyn. - Czy rzucili ją druidzi?

A może wiemy z Byrne? Szczerze w to wątpię.

- Oczywiście, że była klątwa, babciu - zachnęła się

Merryn. - Bishop i ja przełamaliśmy ją.

Lady Madelyn potrząsnęła głową.

Lord Vellan znał swoją żonę od tylu lat, że nie

potrafiłby ich chyba zliczyć. Spojrzał na nią z mieszaniną

niedowierzania, grozy i upojenia.

- O czym ty mówisz, Madelyn?

- Mówię o tym, że otrułam Arlana de Frome, a niby

o czym mam mówić? Potem modliłam się gorąco, żeby

pozostałych trafił szlag, a moje modlitwy zostały

wysłuchane.

Epilog

W inn

n y

n m cz

c a

z s

a ie

Księżę stał przy Brecii, lekko dotykając jej ramienia.

- Spójrz tam, ukochana, tam właśnie będziemy

mieszkali, gdy nie będziemy spędzać czasu w twym lesie.

Wyszli właśnie z jaskini księcia i spoglądali na

przyładek wcinający się w morze. Na jego końcu stała

smukła biała wieża. Brezia otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Zbudowali ją moi rodzice. Ojciec opowiadał mi, że w dawnych czasach żyli ludzie zwani Grekami, którzy budowali równie piękne budowle dla swoich bogów i bogiń.

- Jest przepiękna.

- Nasz syn będzie tu dorastał. W tych murach pozna prawdę o sobie i nauczy się korzystać z mocy.

Brezia oparła policzek na jego ramieniu.

- Jak damy mu na imię?

Księżę ucałował jej piękne włosy.

- Zobaczymy - szepnął cicho. Jego oddech był ciepły i słodki jak zapach kwiatów, które zerwał wcześniej i wpiął jej we włosy. - Wiem jednak, że na zawsze zostanie w ludzkiej pamięci. Wybierzemy imię, które będzie do niego pasowało.

- Dziękuję, że przyszedłeś do mojego gaju - westchnęła Brezia.

Przypomniał sobie chwilę, gdy nagle obudził się w pobliżu dębowego gaju i zobaczył pochylającego się nad nim Callasa. Nie wiedział, skąd się tam wziął, a może wiedział, tylko zapomniał, lecz nie miało to dla niego znaczenia. Uśmiechnął się, gładząc gładki policzek Brezii.



- Przyszedłem po ciebie, kochana. Dziękuję ci za

uratowanie mojego nędznego żywota.

Dłoń księcia spoczywała delikatnie na jej brzuchu,

lekko już zaokrąglonym. Brezia dotknęła jego palców.

Patrzyli w stronę pięknej białej wieży, czując na sobie

ciepło słonecznych promieni.

- Czuję, że wszystko wróciło do normy - powiedział

książę i uśmiechnął się. - We wszystkich czasach. -

Spojrzał przez ramię na jaskinię i uśmiechnął się szerzej. -

Wiesz, że uwielbiam, gdy krzyczysz tak, że aż dostajesz

chrypki? - Odgarnął włosy Brezii i pocałował ją w ucho.

Odwróciła się ze śmiechem.

- To jakieś szaleństwo, książę. Na pewno używasz

jakichś magicznych sztuczek, bym czuła to wszystko.

- Ależ skąd! - Pocałował ją w usta. - To tylko my. Ty

i ja.

Brezia roześmiała się i przytuliła do niego z całej siły.

\* \* \*

Zam

a ek

k Pe

P n

e w

n yth

t

Obecn

c i

n e

Bishop

poczuł

tak

obezwładniający

przyływ

pożądania, że niemal spadł z krzesła. Nie rozumiał tego, ale nie zamierzał się w tej chwili zastanawiać. Obrócił krzesło Merryn i pogłaskał jej ucho. Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Co się stało, mój panie?

W następnej chwili spojrzała na jego wargi i bez wahania poderwała się z krzesła, by wtulić się w jego ramiona i zasypać go gradem pocałunków.

Nie dbali o to, że Wielka Sala jest wypełniona ludźmi, którzy milkną powoli, cichną i gapią się na nich ze zdumieniem. Nic się nie liczyło. Po prostu musieli się kochać. Zaraz.

Bishop nie był w stanie tego znieść. Poderwał się z krzesła, chwycił żonę za rękę i robiąc wielkie kroki, wypadł z Wielkiej Sali. Merryn biegła u jego boku.

Radosny śmiech, który gruchnął w Wielkiej Sali, w ogóle  
ich nie dogonił. Wszystko wróciło do normy, pomyślał  
Bishop, biegnąc po schodach do sypialni. Merryn  
oddychała ciężko. O, tak. Wszystko wróciło do normy.  
We wszystkich czasach.